

TEODOR PARNICKI

KONIEC

«ZGODY NARODÓW»

I

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1955



KONIEC  
« ZGODY NARODÓW »

TEODOR PARNICKI

KONIEC  
«ZGODY NARODÓW»

I

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1955

**KONIEC**  
**« ZGODY NARODÓW »**

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom XII



IMPRIME EN FRANCE

---

*Tous droits de traduction et d'adaptation réservés  
pour tous les pays.*

*Copyright by „Kultura”, 1955.*

TEODOR PARNICKI

# KONIEC «ZGODY NARODÓW»

*Powieść z roku 179 przed Nar. Chr.*

I

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1955

„Widzicie różę, co wpół wychylona  
Dopiero swoje opowiada przyszcie  
I wpół zawarta, a wpół rozwinięta  
Jeszcze niedoszele ukazuje liście.  
Patrzcie, jako się ledwie wypełniona  
Rozwija, a już więdnie oczywiście;  
Więdnie — i już się nie godzi na wieńce  
Ani na panny, ani na młodzieńce.

---

Takci śmiertelnych rodzajów na świecie  
Przemija ten kwiat wesolej młodości;  
I choć się kwiecień wraca w każdym lecie,  
On więcej nie kcie i zbywa piękności...

„Jerozolima Wyzwolona” w przekładzie  
Piotra Kochanowskiego (1618 rok).



II 173. 983

1954D740/34a



*Eleonorze  
poświęcam*



CZEŚĆ PIERWSZA



## I

Heliodor i Dioneja wychodzili naprzeciw swej Wielkiej Przygodzie, a zdawało się im, że to tylko jeszcze jedna podróż służbowa z prądem wielkiej rzeki, którą sami nazywali Oksos, a która wiekom znacznie późniejszym miała być znana jako Amu-Daria.

Rzeka ta była tym dla królestwa greckiego w sercu Azji, czym Nil dla Egiptu — z tą przecież różnicą, że dla Dionei i Heliodora płynąć w dół rzeki nigdy nie mogło znaczyć: płynąć aż do ujścia. Jakoże mniej więcej w miejscu, gdzie średni bieg Oksosu przechodził w bieg dolny, kończyło się władanie dynastii greckiej Eutydemidów, a zaczynała się tak zwana „Scytia”, którą to nazwą Grecy skłonni byli — tym pochopniej, im dalej od Oksosu się znajdowali — określać olbrzymie przestrzenie, przeważnie stepowe, zamieszkałe przez liczne plemiona, na wpół osiadłe, na wpół koczownicze, językowo spokrewnione z podwładnym naonczas Grekom Iranem. Spośród plemion tych kilka czy kilkanaście zrzeszonych było w wielkie związki ponadplemienne, i właśnie jeden z takich związków, zwany Masageckim, wyposażony we wcale silną flotę, bronił dostępu zarówno handlowym, jak i wojennym okrętom greckim do ujścia Oksosu. Więcej jeszcze: flota Masagetów niejednokrotnie urządzała naloty pirackie bądź na ziemię niczyją po obu stronach wielkiej rzeki, bądź nawet na niewątpliwie władzy greckiej poddaną. Wówczas szerokie wody Oksosu stawały się widownią wielkich bitew, spośród których jedna — największa najwidoczniej — upamiętniona została przez wybite monety, która przetrwać miała wieki i wieki i wieki, a której przy

tym przeznaczone było przełomową odegrać rolę w dziejach Wielkiej Przygody Dionei i Heliodora.

W bitwie tej, po stronie greckiej, szczególnie odznaczył się okręt, zwany wówczas „Meandrią” a przemianowany potem, rozkazem Króla Wielkiego Demetriosa Eutydemidy, na „Zgodę Narodów Serca Azji”. Okręt ten w wiele lat po bitwie stać się miał najczęściej zamieszkiwanym spośród domów Heliodora i Dionei. Nie należy więc się dziwić, że na jego to właśnie pokładzie mieli stanąć twarzą w twarz ze swą Wielką Przygodą; dziwne raczej byłoby, gdyby to stało się gdzie indziej. Szczególnie iż właśnie na pokładzie „Zgody Narodów” bywali bardziej sobą, niż gdziekolwiek bądź; istotny zaś sens każdej Wielkiej Przygody w tym tkwi przede wszystkim, że człowiek poddawany jest przez nią próbie taki, jakim jest naprawdę, a nie za jakiego sam się ma lub mają go inni.

Drugą najistotniejszą cechą Wielkiej Przygody jest chyba zawsze element zaskoczenia. Nadchodzi właśnie wówczas, gdy nie jest się na nią wcale przygotowanym. Tak się miało stać z Dioneją i Heliodorem. Wprawdzie, gdy było już po wszystkim, mówili sobie nawzajem, że właściwie nie powinni byli dać się zaskoczyć, bo przecież dostali sygnał w postaci budzącego grozę zaćmienia słonecznego, które wypadło w tym samym dniu, kiedy tuż po ustaleniu, że zaślubiny ich odbędą się za dwa lata, po raz pierwszy weszli razem na pokład „Zgody Narodów”. Ale ponieważ nigdy nie byli w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, kto mianowicie mógłby chcieć takim sygnałem ich ostrzec — zdolność wrodzona i to nie osobista, ale plemienna zdolność do logicznego myślenia wcześniej czy później musiała doprowadzić ich do wniosku, że jedyne istotne znaczenie owego zaćmienia słonecznego w przebiegu ich Wielkiej Przygody polega na możliwości opracowania tego przebiegu w dokładnie dopasowane doń ramy czasowe.

Oczywiście, względna to była dokładność; stanowczo by nie zadowolili tych, którzy w liczne wieki po zniknięciu królestwa Eutydemidów z serca Azji mieli o tym właśnie zaćmieniu słonecznym mówić w terminach, zresztą, obliczania czasu, zupełnie dla Heliodora i Dionei niezrozumiałych, — że się odbyło dziewiętnastego października roku sto osiemdziesiątego trzeciego przed rozpoczęciem

się ery chrześcijańskiej. Ale i tak, jak na czystej krwi członków narodu, który przy wszystkich innych swych olbrzymich, wręcz olśniewających zaletach umysłu, nie posiadał ani zbytniego zamiłowania ani szczególnych zdolności do tropienia dokładnych związków czasowych między wydarzeniami — bardzo wiele już mogli powiedzieć, zdolni będąc mówić: między pierwszym a ostatnim wspólnym ich wejściem na pokład „Zgody Narodów” upłynęły mniej więcej cztery lata, przy czym owo „mniej więcej” nie przekraczało w ich własnym przekonaniu siedmiu dni, bądź do czterech lat dorzuconych, bądź brakujących. Przedzielał zaś te cztery lata — też „mniej więcej dokładnie” — na pół dzień, gdy prawo orzekło, iż są mężem i żoną.

Rzecz inna, że gdyby ktoś — albo w dobrej wierze, albo ażeby sobie z nich zażartować lub zakpić — zaczął w nich wmawiać, że się mylą, że od zaślubin ich do ostatniej podróży na pokładzie „Zgody Narodów” nie mniej więcej dokładnie dwa lata upłynęły, tylko dwa i pół albo półtora — trochę by im się to wydawało dziwne, ale na zbyt gorąco z żartownisiem, kpiarzem czy ignorantem nie spieraliby się, przedkładając nad upór w tej dziedzinie zjawisk możliwość poczynienia refleksji na temat niepochwytności myśłą czy pamięcią biegu czasu ku wieczności, względnie na inny temat bardziej osobisty: wpływu ich wzajemnej ku sobie miłości, gdy byli razem, albo tęsknoty też wzajemnej za sobą, gdy się rozłączali — na zdolność do obliczania, jak długo są już małżeństwem. Czego natomiast za nic by sobie nie dali nikomu narzucić — to innych, niż rzeczywiste, odcinków tegoż biegu czasu ku wieczności, dzielących jakiegokolwiek wydarzenie późniejsze od dnia ich zaręczyn. W tym sensie stanowili wyjątkową zupełnie parę wśród Greków, a poniekąd i nie tylko wśród Greków, bo normalnie dwoje ludzi lepiej pamięta, kiedy się pobrali, niż kiedy się zaręczyli, chyba, że małżeństwo miałoby się okazać nieszczęśliwe, czego przecież — co najmniej aż do stanięcia twarzą w twarz z Wielką Przygodą — ni Heliodor, ni Dioneja nie byłiby skłonni o swoim małżeństwie powiedzieć czy choćby tylko pomyśleć.

Każda jednak wyjątkowość, jeśli dobrze jej się przyjrzeć, zahacza o jakąś — innego zupełnie rodzaju — typowość. W królestwie Eutydemidów nie rejestrowano dokładnych dat zawieranych małżeństw, ani tym mniej zaręczyn, suro-



we natomiast groziły kary Grekom, zamieszkującym na obszarze tego królestwa, a później zjednoczenia królestw w nad-królestwo, na wypadek niepowiadomienia odnośnych urzędów królewskich o zgonach czy narodzinach. Powód tej skrupulatności, a i surowości na wypadek nieprzestrzegania jej był zupełnie jasny: w serce Azji wdarli się Grecy jako zdobywcy — zamieszkiwali je jako naród panów, stale zatroskany, by się nie dać pochłoniąć bezmiarowi rządzonej przez siebie ludności tubylczej. I właśnie z tego to zatroskania rodząca się czujność nakazywała tak skrupulatne rejestrowanie wszelkich, drobnych nawet, zmian, zachodzących w stosunku liczbowym między Grekami a tubylcami w wyniku czy to zgonów, czy urodzin wśród narodu zdobywców.

Że jednak nawet Grecy nie zawsze umieli być logiczni, z pomienionego zatroskania zazwyczaj nie wyciągali wniosku najprostszego, najbardziej oczywistego — i ta właśnie sprzeczność sprawiła, że datę dokładną zaręczyn Heliodora i Dionei bez trudu można było sprawdzić kiedy się tylko chciało, w odnośnym urzędzie, mieszczącym się w lewym skrzydle malachitowego przedsionku w pałacu Eutydemidów w stolicy ich Baktrze, zwanej też Aleksandrią Baktryjską. Wyjątkowość zaś i typowość w równym się złożyły stopniu na to, że między urodzinami Dionei a jej zaręczynami z Heliodorem zachodził niezmiernie ścisły związek i czasowy, i przyczynowy. Oczywiście aby związek ten mógł zaistnieć, wyjątkowość i typowość musiały wystąpić w formie szczególnie zaostrojonej, a i w szczególnie ostrym ze sobą wzajem starciu, a przy tym także w okolicznościach niezwykłych, choć wcale i nie koniecznie przypadkowych. W każdym razie ni Dioneja, ni Heliodor za przypadkowe ich nie mieli — przynajmniej aż do chwili zanurzania się na dobre w wirze Wielkiej Przygody. Ale też Dionei nie sposób było wyrobić sobie własnego zdania w tej sprawie; polegać musiała na tym, co jej opowiadał Heliodor, którego też dzień w dzień odkąd się pobrali, zamęczała dopraszaniem się o te opowiadania. Opowiadał, jak gdyby wcale to nie było zamęczanie go, bo z wyraźną przyjemnością, wręcz rozkoszą, choć i nie bez przyprawienia tej rozkoszy lekką goryczą refleksji iż droga ku zaręczynom z Dionejąomalże nie zawiodła go nad przepaść.



— Za co ja w żaden sposób nie mogę ponosić odpowiedzialności! — wołała niezmiennie rozbawiona bardzo tą wzmianką o przepaści, ilekroć ją posłyszała. Zgadzał się z nią. W żaden sposób — stwierdzał — nie mogło być jej poczytane za winę to, iż mąż jej był od pierwszych lat swej służby dla Eutydemidów tak sprawnym agentem do zleceń szczególnych, bezpieczeństwa dynastii dotyczących, że ilekroć gdziekolwiek na terenie królestwa greckiego w sercu Azji wydarzyło się coś, co dynastię wprawiało lub mogło wprawić w niepokój a nawet tylko w zakłopotanie, zaraz ktoś z członków dynastii rzucał uspakajająco, wręcz niedbale: „Heliodor to załatwi”.

— Wielki zaszczyt — powiada Dioneja. Zapewne, ale nie tylko zaszczyt. Bo i czegoż się pod owe „to” na przestrzni dwudziestu ośmiu lat nie podciągało? Zaczęło się od doglądania koni królewskich — potem koniuchów — jeszcze potem koniuszych, wreszcie samego Wielkiego Koniuszego; z kolei gorliwość służbową Heliodora przerzucano ze skarbów czworonożnych a grzywiastych na gładkie i zupełnie kończyn wyzbyte: bryłki białej miedzi, sprowadzane do mennicy w Baktrze z jakiegoś nie wiedzieć gdzie mieszczącego się Isedonu, który, zresztą, był — jak mówiono — punktem przeładunkowym tylko. Potem znów okazało się, że opieka nad białą miedzią obejmować ma i czujne wsłuchiwanie się na ulicach, czy kto z Greków — i kto mianowicie — narzeka na lekkość i cienkość bitych z tejże miedzi monet; było to bardzo nieprzyjemne zajęcie, ale myślało się o nim z czułością i tęsknotą, wówczas, gdy na odmianę trzeba było zacierać ślady, wiodące ku tożsamości sprawców wielokrotnego pobicia okrutnego kilku pięknych bardzo chłopców, o których mówiono, że schodzą się u mistrza Menagenesa z królewiczem wówczas, a późniejszym królem Margiany, Antymachem, nie tylko w celu słuchania wspólnego wykładów o filozofii Portyku. W karierze służbowej Heliodora było to doświadczenie wyjątkowo bolesne ze względu na ówczesne jego sny, w których późniejsza królowa Margiany odwdzięczała mu się za gorliwość służbową zupełnie inaczej, niż to się odbywało na jawie; ale i ono też, gdy przeobraziło się we wspomnienie już tylko wspomnieniem było przyjemnym, nie zaś bolesnym, szczególnie w zestawieniu z rzeczywistością dwu spośród dalszych zadań, jakie miał sobie powie-

rzony: wysłedzenia i postawienia przed sądem dziewczyny greckiej, która tak się przejęła pewnym przedstawieniem teatralnym, iż pogrzebała tubylcze dziecko, zaniezione przez rodziców na wolne od wszelkiej zieloności miejsce, nad którym krążyły sępy oraz głośnie przez rok i coś sprawy o dziecko, na odmianę greckie, którego rodzice nie chcieli wychowywać i odesłali na przeznaczoną dla takich niemowląt wyspę, ale które uratowane zostało i ukryte przez tubylczą nałożnicę ojca dziecka. W tej ostatniej sprawie rola Heliodora była szczególnie godna współczucia: zaszedł oto wypadek mieszanego się osoby ze społeczności tubylczej w prawie zabezpieczone zwyczaje narodu zdobywców; z drugiej jednak strony właśnie greckie prawo przelewało władzę i opiekę rodzicielską na każdą osobę, która zechce niemowlę, przez rodziców odrzucone, uratować od śmierci. To samo prawo jednak — w warunkach lokalnych — przestrzegało surowo greckiego stanu posiadania w odniesieniu do rzeczy ruchomych i nieruchomych, jak też i istot żyjących. Gotowość więc wychowania greckiego dziecka w zwyczajach tubylczych równała się zamachowi na grecki stan posiadania i Heliodor, tropiący i dziecko i jego zbawicielkę, znalazł się w wyjątkowo przykrew sytuacji: dopadnięcie ich równałoby się skazaniu ponownemu niemowlęcia na śmierć; zgubienie umyślne tropu, na którym już się znajdował, czyniłoby go współwinnym — i to przy pełnieniu obowiązków urzędowych! — przestępstwa, mającego na celu uszczuplenie greckiego stanu posiadania w Baktirii. Ów dylemat jednak to był tylko pierwszy etap sprawy, wcale jeszcze znośny w porównaniu z drugim: oto Dion, syn Demetriosa, ojciec niemowlęcia, kilku dni wytrzymać nie mógł bez najukochańszej swej nałożnicy, a że była prawnie jego własnością, zażądał od Heliodora doprowadzenia zbiegłej do siebie z powrotem. Ta jednak schroniła się w ojczystej swej wsi, przynależnej do gruntów królewskich i gdy niecierpliwym kochanek, oburzony opieszałością królewskiego śledczego, zagroził najazdem całej osady wojskowej, której był archontem, na ową wieś — Heliodor zrozumiał, że stoi nad przepaścią: poleje się krew, grecka czy irańska, czy ta i tamta razem, dwustronna skarga pomknie pod stopy najpierw hiparchy, potem eparchy, wreszcie stratega satrapii. Wszyscy trzej uchylą się od wydania wyroku, zasłaniając się niepodwładnością

śledczego do szczególnych poruczeń ich kompetencji, i wszystko skończy się w malachitowym przedsionku fioletowej sali pałacu w Baktrze, gdzie wyszedłszy od pozbawionego władzy w nogach ojca, królewicz Demetrios przypomni Heliodorowi ojcowskie słowa sprzed siedmiu lat: „Nie wiem anim nie ciekawy, coś zbroił tam, na Zachodzie, że chcesz tu zostać. Zostań! Ale pamiętaj: jeśli okazesz się głupi — wrócisz na Zachód”.

Oczywiście, już się okazał głupi. I to głupi głupotą próżności: po co się zdradzał przed zarządem osady, że jego kompetencji w sprawach śledczych podlega całe pogranicze nie tylko w okresie stanu wojennego? Czy mógł jakoś swój akt głupoty odrobić? Owszem, mógł jakkolwiek za cenę narażenia się na wielkie ryzyko. Postanowił jednak na nie się narażić — nie miał innego wyjścia. Oto zarządcy dóbr królewskich przy pograniczu zlecił ogłoszenie stanu wojennego we wsi, gdzie się schroniła zbawicielka niemowlęcia. Gdy Dion, syn Demetriosa, wykonywując swą groźbę, rzucił syna z trzydziestu innymi efebami i z chmarą niewolników na wieś — napastnicy zastali świeżo wzniesiony mur gliniany, gęsto obsadzony łucznikami. Co stało się dalej, Heliodor nie wiedział: wyruszył w drogę do Baktry po należną głupocie swej karę. Śpieszył się bardzo, ale przedzierać się konno przez posieczoną gęsto kanałami krainę nie było łatwo; gdy wjeżdżał między uśmiechnięte posągi, zdobiące wejścia głównego rynku stolicy, miał możliwość przekonać się raz jeszcze, iż nie ma szybszego jeźdźca nad soczystą plotkę: w Baktrze wiedziano już o sprawie uratowanego niemowlęcia. W pałacu zastał podanie piśmiennych ośmiu wytwornych pań z najlepszego towarzystwa greckiego, pragnących zaadoptować ocalone niemowlę, a ponadto dwadzieścia cztery oświadczenia gotowości poniesienia kosztów wykupu spod władzy Diona zbawicielki dziecka. Heliodora wysłuchano w pałacu uważnie i doradzono mu, by na jakieś pół miesiąca udał się polować na rysie. Nie upolował nic, nie licząc zbiegłego z jakiejś karawany wielbłąda, a i tego przez roztargnienie tylko, zupełnie zrozumiałe, skoro się zważy, iż dni łowów schodziły mu przeważnie na egzaminowaniu siebie, czy coś, a jeśli tak, to co mianowicie wie o krajach, otaczających Baktrię z innych stron, niż z Zachodu. Egzamin wypadł co dzień mniej niż zadowalająco: poza Masagetami, których zwy-

czaje studiował z urzędu odkąd go przerzucono na północne pogranicze, o żadnym z barbarzyńskich narodów, Baktrię — serce Azji okalających, nie wiedział więcej, niż o barbarzyńcach z dalekich kresów zachodnich świataswyc lat dziecinnych, Rzymianach i Kartagińczykach.

Oczywiście, tuż na wschodzie i na południu były góry i góry i góry, ale o tym wiedziało każde dziecko stołecznee, ilekroć wpatrywało się w dal z dachu jakiegokolwiek wyższej budowli. Równie oczywiście, dalej za górami na południu były Indie, a na wschodzie bajecznie żyzne oazy Parykennów, a dalej Funów czy Frynow, i właśnie w tych oazach dobrze by się zapewne wygnańcowi żyło, ale to by — niestety — nie było jeszcze wygnanie: z cytadeli i podgrodzia o dumnej nazwie Argos oazami tymi, choćby nawet i formalnie tylko, władała Baktria, bodajże nawet Isedonem jeszcze, choć naprawdę tam podobno robią, co chcą jacyś koczownicy — innej mowy niż Masageci, tak powiadają, ale bodajże stokroć jeszcze dziksi; więc choćby to już i formalnie nawet nie była Baktria, równie dobrze mógłby wśród Masagetów się schronić, gdyby nie... Ale o tym „gdyby nie” Heliodor nawet sam z sobą dialogów wyjaśniających unikał, wówczas, gdy niby polował na rysie, ale i przedtem też i długo jeszcze potem. Indie? O tych wiedział jeszcze mniej niż o wschodnich kresach królestwa. To jednak, co wiedział, przedstawiało się wcale nie zachęcająco dla samotnego wygnańca: najbardziej odstraszały go mrówki wielkości pantery, trudniące się wydobywaniem złota z piasków pustyni, a w wolnych chwilach od tego zatrudnienia polujące olbrzymimi rojami na ludzi, słonie i tygrysy. Poza tym jeszcze słyszał o wyrokach, skazujących na dożywotnie ciągnięcie olbrzymich bloków kamiennych za takie zbrodnie, jak rybołówstwo lub rozdeptanie robaka. A i o stosach pogrzebowych, na których wraz z nieboszczykiem palono żony; otóż wcale nie był pewien, czy tylko żony; uchodził raczej za przystojnego i gdyby nie sny o późniejszej królowej Margiany, mogłoby się i jemu samemu być przydarzyć, że uczęszczałby na wykłady mistrza Menogenesa, ponosząc zapewne wszelkie tychże wykładów konsekwencje. Ale jeśli podobał się możliwym światu Greków, to samo mogłoby mu się przydarzyć i w świecie Indów — a gdyby właśnie taki możliwy przedwcześnie odszedł spomiędzy żyjących i znalazł się na stosie, to by

prawdopodobnie... Nie, Heliodora stanowczo nie nęciły Indie jako miejsce wygnania...

Ale i o powrocie na Zachód mowy być nie mogło. Myślał więc z kolei o zachodzie północnym — to też zachód i tam też barbarzyńcy, na wespół koczownicy — ostatecznie jednak mógłby spróbować. Nie zabiliby go, nawet w ogóle niczym by nie wyrządzili mu krzywdy, gdyby w stanie był przynieść im jakiś pożytek — tego był pewien. Ale cóż on umie, czego by sami nie umieli? Owszem, zna nienajgorzej dzieła kilku wielkich poetów, ale cóż barbarzyńcom, w dodatku nieosiadłym, po poezji? Może by się jednak przydały im na odmianę jego zdolności i doświadczenia zawodowe? Wątpił: jeśli we wszystkim podobni są do Masagetów, a powiada się, że są — mieć muszą tajny wywiad na poziomie wcale nie niższym niż służba bezpieczeństwa królów Baktrii. Co do Masagetów — przekonał się osobiście — był już już bliski przegranej, i gdyby nie przypadek... Ale było to znowuż właśnie to samo „gdyby nie”, na którego temat nie chciał nawet z samym sobą wieść dialogów rozjaśniających.

Niczego nie wymyśliwszy, wrócił z łowów do Baktry. Sprawę niemowlęcia i jego zbawicielki znalazł posuniętą na dalszy jeszcze etap: Aspionia — tak się wybawicielka nazywała — twierdziła, że żadnej najwytworniejszej pani nie zamierza oddać dziewczynki, którą ocaliła od śmierci; dodawała nadto, że jak Dion jej, tak i ona jest niezmiennie jego spragniona uścisków, więc wcale nie pragnie wykupna spod jego władzy. Jeśli dziecko zostanie jej odebrane — zapowiadała — rzuci się do Oksosu i ci którzy znali ją, wierzyli, iż tak właśnie zrobi; ci zaś, którzy nadto znali Diona dodawali, że i on bez Aspionii żyć nie będzie w stanie, ale to stosunkowo najmniej alarmowało pałac i rynek baktryjski: ochotnicy, co by przedrzeć się z narażeniem życia spróbowali poprzez pastwiska koczowników ze Wschodu od Isedonu ku dziwacznej oazie skośnookich wytwórców jedwabiu i białej miedzi, właśnie o tym czasie szczególnie mile byli i przez dynastię i przez potentatów handlowych widziani. Dion, zresztą, i tak już znajdował się pod groźbą wyroku: zajazd jego syna z towarzyszymi na siedzibę obwarowaną królewskich pańszczyźnianych skończył się, dzięki zarządzeniu samowolnemu Heliodora, mniej krwawo, niżby się to mogło było stać; tym niemniej

krew się polała, zarówno tubylcza jak grecka, i to nie była jaka krew: z jednej strony królewskich osadników, z drugiej — królewskich też ludzi pańszczyźnianych. Dynastia była wyraźnie zakłopotana: pod Baktrę ściągnęli z zamków możnowładcy z licznym pocztem konnych łuczników każdy; niby to na doroczny obchód ku czci Niepokalanej, ale w radzie królewskiej sądzono, że tym razem więcej niż wokół księżycy ze złota pod stopami boskiego posągu, tłoczyć się będą w przedsionkach fioletowej sali, wypominając jeśli nie mową, to spojrzeniem ową krew irańską, co tak obficie polała się była nad brzegami rzeki Arios w obronie dynastii w czasie najazdu z Zachodu Antiocha Seleukidy; czy więc może za ową przelaną przed laty krew wynagrodzeniem ma być ta dodatkowa, teraz przelana w zajeździe syna Dionowego i towarzyszy? Odpowiedzieć im: „Też macie czym się gryźć, Chłopska to była tym razem krew, nie wielkopańska!” na nic by się nie zdało: zdobywcy Baktrii dawno już stwierdzili, że największy ciemiężca swych pańszczyźnianych poczuwa się silnie do jedności krwi z nimi, uważając widocznie, że choćby nawet żywcem ich ze skóry obdzierać — jemu wolno, a Grekom, choć niby to naród władców, ani palcem tknąć! Ale żebyż kłopot dla dynastii, sprawą córki Diona wywołany, wyczerpywał się niezadowoleniem czy pomrukiem choćby nawet tubylczych panów lennych i ich z kolei lenników! Ale gdzie tam! Wysłannicy samorządów garstki wolnych miast greckich, z dynastią spokrewnionych, a i królewskich też osad wojskowych, równie znacząco patrzyli w oczy królewiczom i ich Krewniakom, Przyjaciołom i Towarzyszom, co tubylcy: oto polała się krew grecka, a tak mało tej krwi żywej na ziemi obcej, zdobytej ciężkim znojem i odwagą iście baśniową naddziadów. Czyżby się mylili wysłannicy tej a tej Rady Starców, przodownicy takiej a takiej bohaterkiej osady nadgranicznej, zakładając, że królewicz, z nimi rozmawiający, wciąż się jeszcze nazywa Demetrios Eutydemida, a nie Spitamenes, Besos czy Aspiones? Każdy wolny Grek ma wedle niewzruszalnych ustaw i świętych, prastarych zwyczajów prawo i do swojej niewolnicy, i do rozrządzania życiem swego dopiero co urodzonego dziecka — czy więc się to godziło aby barbarzyńcy, gdy Grek praw swych dochodzi, odważali się stawiać opór i to na zlecenie wyraźne urzędnika królewskiego?

— Oczywiście — mówił po latach do żony Heliodor — może to jemu tylko się zdawało, że w spojrzeniach i greckich i tubylczych taka właśnie dawała się odczytać wówczas mowa; może naprawdę jej wcale tam i nie było? Ale, dodawał, postępowaniem naszym nie kieruje to co naprawdę jest, tylko to, co się nam być wydaje, więc mniemanie, choćby błędne Heliodora, iż z jego to przyczyny rozpętać się lada chwila może burza i nad Baktrą, i nad Baktrią całą — zupełnie było wystarczające, żeby wykrzesać z jego znękaney myśli rozwiązanie nieoczekiwane zupełnie dla wszystkich zainteresowanych w sporze o niemowlę i niemowlęcia tego wybawienie. Zrazu sam się owego nagłego pomysłu swego przeląkł, ale gdy królewicz Demetrios zaprowadził go do sali fioletowej przed ruchome krzesło ojca, gdy Król Wielki, Eutydemos, dotykając dwoma palcami grubego karku, na którym nagle szybko zaczęły pęcznić żyły, powiedział dobitnie: „Czasem zbyt sprawnie tropić bardziej jest karygodne niż zgubić ślad”, wówczas Heliodor wszelkie odrzucił wahanie; drżącym wprawdzie głosem, tym niemniej stanowczo, przejrzyście i zwięźle ujął w słowa swój pomysł rozwikłania całej tej, tak beznadziejnie, zdawałoby się, zawikłanej sprawy: oto on, urzędnik królewskiej służby bezpieczeństwa, wolny Grek, składa u stóp królewskich swą chęć poślubienia niemowlęcia, gdy dorośnie, i skłonny jest natychmiast objąć opiekę nad swoją narzeczoną i jej wianem, którym ma być ta właśnie wieś tubylcza, gdzie udzielone jej zostało schronienie, z tym, że z tytułu wdzięczności opiekun w imieniu właścicielki zgłasza natychmiastową gotowość uwłaszczenia wszystkich pańszczyźnianych, do tej wsi przynależnych, grunta zaś wsi puścić im w wolną dzierżawę dziedziczną na dogodnych warunkach — szczególnie zaś dogodnych dla tych rodzin, których członkowie ucierpieli cieleśnie w czasie zajazdu syna Dionowego i towarzyszy. Ponieważ jednak wolny i pełnoprawny Grek wolną i pełnoprawną tylko może mieć żonę, Dion, syn Demetriososa, musi uznać swe dziecko i zgłosić je do rejestru Greków, jako swoje, nadając mu imię zgodnie ze zwyczajami, jednakże bez obowiązku wyposażenia go, gdy nadejdzie czas zamążpójścia; udział zaś dziewczynki, co by jej przypadłał po śmierci ojca, przejdzie na własność osady, jako odszkodowanie za krew, przelaną przy próbie dochodzenia przez Diona swoich praw

do niewolnicy. Demetrios, syn Diona, i inni efebowie, którzy brali udział w zajeździe, powołani zostaną do stałej służby wojskowej w oddziale Srebrnych Tarcz — toż samo, o ile zechcą, wszyscy ci spośród obrońców wsi w czasie zajazdu, którzy największą ujawnili dzielność, z tym, że nie do oddziału Srebrnych Tarcz, tylko lotnych Dzierżycieli Złoczonego Łuku. Opiekun niemowlęcia nadto wykupi z dochodów ze wsi posagowej Aspionię od jej pana, będzie przebywała jednak nadal pod dachem Diona, jako piastunka i wychowawczyni przyszłej żony Heliodora tak długo, póki będzie sobie tego życzyła; o wynagrodzenie dla niej zatroszczy się opiekun jej wychowanki. Wreszcie ponieważ wszystko, co się stało, nie byłoby się stało bez woli boskiej — trzy miesiące w roku córka Diona wraz z piastunką będzie spędzała w służbie dla Niepokalanej, która dla jednej będąc Artemidą, Anaitą dla drugiej, jednakowej od obiedwu spodziewa się żarliwości wzamian za zdroj łaski, jaki raczyła na obie zlać, pocieszycielką strapiionych będąc jednakowo dla Irańczyków i dla Greków. Oczywiście, narzędziem woli boskiej musi stać się królewska: cały ów plan o tyle tylko mógłby się okazać wykonalny, o ile spodobałby się prawnemu panu wsi, do gruntów królewskich przecież przynależnej, obdarować nią ocalone niemowlę jako wianem.

Sparaliżowany król i tryskający zdrowiem i siłą królewicz ani jednym słowem nie przerywali całego tego wywodu. Gdy dobiegł końca, Eutydemos oderwał dwa palce od karku, na którym nie dawały się już dostrzegać nabrzmiące żyły, i powiedział: „Dzięki, Towarzyszu”. Demetrios zaś Eutydemida zdjął ze swej szyi złoty łańcuch i ozdobił nim Heliodora, po czym go zapytał, czy by nie zechciał towarzyszyć mu w rzecznej wyprawie ku pograniczu na tarasie komnat królewskich na pokładzie „Meandrii”. Heliodor nie chciał, ale czyż mógłby odmówić?! I tak już miało być przez lata i lata: Heliodor stale nie chciał, ale nigdy nie odmawiał.

— Dlaczego nie chciałeś? — zapytała po latach i latach Dioneja, kołysana wysoko w ramionach mocno już podstarzałego, ale wciąż jeszcze widocznie zdolnego dźwigać wcale znaczne ciężary męża.

Widząc jednak, że się wyraźnie na to zanosi, iż na to pytanie odpowiedzi nie otrzyma, zadowolili się podobnym



do kociego mruknięciem: „Ale teraz chcesz” i obwijając się mocno rękoma wokół jego szyi, zaczęła ponownie prosić, by dał się namówić na wyjazd do Argos. Bo pomyśleć tylko będzie eparchą Parykeny, najbardziej kwitnącej, najpiękniejszej części nad-królestwa, samej Baktrii nie licząc. Oczywiście, i ona też — mimo że klimat w Parykenie lepszy — wybrałaby Baktrię, ale ta przecież wyraźnie w rachubę już nie wchodzi; czy więc on naprawdę chce najpiękniejsze lata życia obojga spędzić w ciągłych podróżach między Tarmitą a Terą? Ona go, zresztą, doskonale rozumie: oto po odejściu nowego Króla Wielkiego, Demetriosa, do Indyj młode pokolenie z królem Eutydemosem Młodszym na czele nie jest zdolne doceniać go, Heliodora, tak, jak przedtem był ceniony, ba, tym młokosom, głuptionsom miło byłoby zapewne w ogóle go pozbyć się, i stąd ów pomysł, by go „zaszczycić” eparchiatem Parykeny. Ale przecież właśnie to, że sama Parykena tylko wchodzi w rachubę, najlepszym jest dowodem, jak bardzo wciąż z nim jeszcze się liczą: nawet młodziutki król nie ośmieliłby się zaofiarować mu mniej. Niech jej źle nie zrozumie — ona się wcale dobrze czuje na pokładzie „Zgody Narodów”, dawnej „Meandrii”, a przy tym możność ciągłego odwiedzania ojczystej osady wielka to dla niej przyjemność, czy jednak on właśnie — on, jej mąż, kochanek, opiekun, ojciec, zbawiciel, bóg — nie marnuje swych zdolności i swego doświadczenia, robiąc wciąż — lata i lata — to samo, to, co z powodzeniem robić by mogli już teraz młodci: ci, których on sam przecież wykształcił?! Odkąd Menander objął dowództwo okręgu ochrony północnego pogranicza, zmalało niezmiernie niebezpieczeństwo, grożące królestwu ze strony Masagetów czy Chorazmijczyków; Menander zaś wcale się z tym nie kryje, ile zawdzięcza Heliodorowi, skutecznemu rozgromieniu przez Heliodora wszystkich ośrodków szpiegostwa masageckiego i chorazmijskiego; nie lata — dziesięciolecia muszą upłynąć, nim północnego sąsiada stać będzie na ponowne przygotowanie sobie wewnątrz królestwa gruntu, jako tako umożliwiającego jakąkolwiek bądź próbę najazdu czy choćby nawet tylko zbrojnego obsadzenia ziemi niczyjej. Jej samej zresztą wciąż się snią owe dziesiątki palów, które widziała przedostatni raz odwiedzając matkę i ciotkę w Terze; nie chciała mu się do tego przedtem przyznać i zapewne dziwić się musiał,

czemu ona tak często krzyczy przez sen i gdy zaraz po krzyku się budzi, tak się gwałtownie, a zarazem dziecinnie do niego całym ciałem tuli. Niechże więc teraz wie: to te sny, pełne wbitych na pale... takie potworne sny... Na jawie przecież wie, że to dobrze, że tak powinno być, że ci i te, co podrygiwali na palach, to wrogowie królestwa, przez niego, Heliodora, wytropieni, przez Menandra zasłużenie i przykładowo ukarani. A gdy ostatnio matkę i ciotkę odwiedziła, żadnych już nigdzie nie było pali: „Nie ma kogo na nie nadziewać”, mówił Demetrios, jej brat stryjeczny. „Nie ma szpiegów. Nie ma zagończyków spoza rzek. Kupiec stamtąd to naprawdę kupiec, ujeżdżacz to ujeżdżacz, wróżka to wróżka”.

— I to teraz, gdy pół Tery prawie to twoja własność, chciałabyś się znaleźć tak daleko stamtąd? — przerwał żonie Heliodor, delikatnie a ostrożnie zsuwając ją ze swych ramion na podłogę. I wnet się rozżłościł na siebie samego: oto znów zapomniał! Dioneja nie znosiła stykania się boszymi nogami z niczym, co by nie było dziełem rąk ludzkich, a podłoga w pokoju okrętowym, gdzie się znajdowali, prawie w całości pokryta była skórą tygrysią, szlachetnym a wzruszającym królewskim podarunkiem ślubnym, przysłanym z pismem odręcznym samego Demetriosia Eutydemidy skądś z Pięciorzeczca Indyjskiego. Więc w myśl zasady, iż skoro się błąd popełniło, już się go nie odrobi, ale trzeba go zaraz naprawić — Heliodor natychmiast znów uniósł Dioneję tak, że usta ich i oczy na jednej znalazły się wysokości i dopiero odtrąciwszy swą stopą skórę w kąt, postawił ją ponownie, tym razem na deskach podłogi, przetkanych marmurowymi płytami o rybnych kształtach. Było jej i na deskach i na płytach zimniej niewątpliwie, niż na skórze, ale po pierwsze, myślał, trzeba szanować dziecięce kaprysy, a po drugie w tym klimacie chłód to przyjemna odmiana, byle nie na długo. Co prawda, stopy na deskach, jak i ramiona, wciąż wokół jego szyi owinięte, bynajmniej nie ujawniały w swych kształtach dziecięcości, ani też wyraz oczu, wciąż prosząco weń wpatrzonych. „To ja się tak bardzo starzeję — pomyślał ze smutkiem — więc dlatego wciąż skłonny jestem widzieć w niej dziecko”.

Stojącej doradził, by coś na siebie włożyła. Usłuchała bezzwłocznie, ale z miną i ruchami, znamionującymi, że jej samej jest zupełnie obojętne, czy będzie nadal naga, czy

okryta. Było tak zawsze od czasu ich zaślubin i było tak tylko w stosunku do niego; od jej przyjaciółek, od matki i ciotki wiele nasłuchiwał się wydziwian, wręcz utyskiwań i kpin, na temat jej przesadnej, wręcz chorobliwej wstydlivości, utrudniającej ogromnie współżycie z nią, towarzyskie, a nawet domowe. Zmuszony więc był nie wierzyć bądź swoim oczom, bądź uszom, aż mu kiedyś, gdy ją o tę sprzeczność zagadnął, wyjaśniła: on jest dla niej jak bóg zbawiciel albo i więcej: bóg stwórcy; wszystko, co nią i w niej jest, to dzieło jego myśli i woli — jakież więc ona mogła by mieć przed nim tajemnice? Na każdym miejscu i o każdej dobie ma być przed nim, dla niego odkryta i otwarta — tak rozumie stosunek istoty śmiertelnej do bóstwa, a raczej — w zasadzie przynajmniej wzajemny między nimi stosunek: czy bogowie i boginie w świątyniach, w pałacu i na rynkach Baktry nie są nadzy? Więc też jak na jej upodobanie, Heliodor za mało, za rzadko bywa przy niej i dla niej nagi, ale oczywiście, ona nie szemrze: to samo, co dla niej stanowi święty obowiązek, z jego strony może — ba, musi — być wyłącznie wyrazem kaprysu, zaspakajanego kiedy się chce i jak się chce.

— A jeśli wcale się nie chce? — przerwał jej kiedyś taki wywód mąż.

— To się nie musi.

— Więc wiedz, dziecinko, kochanie: ja nie chcę być eparchą ni Parykeny ni Fryniany; nie chciałbym nawet być wojewodą satrapii. Nie stanie się nigdy przedmiotem mojego kaprysu Argos, ni wszystkie uroki jego bliższych i dalszych okolic. Czy jasno się wyraziłem?

— Zupełnie jasno — odpowiedziała ze smutkiem rezygnacji, ale i z niewyzbytą lekkiej wesołości przekorą: — Przypomnij jednak sobie, że nawet Posejdona samego udało się w końcu Laertydzie przebłagać. A Orestesowi — przebłagać Apolina.

— Mówisz o Orestesie matkobójcy?

— Nie myślisz chyba, że o Orestesie rzeźbiarzu?

— Przez ułamek chwili myślałem. Co prawda ten Orestes na odmianę synobójcą jest, nie matkobójcą.

Nigdy się właściwie nie wie, w jakim dokładnie momencie rozpoczyna się nowy rozdział w księdze życia, a tym mniej jeszcze się wie, dlaczego w tym właśnie momencie

się rozpoczyna: wielka przygoda, która czekała na Heliadora i Dioneję w pobliżu ujścia do Oksosu kanałów, wypełnionych wodą z Politemnosu, wedle ustalonych pojęć w żaden sposób nie mogła się rozpocząć wcześniej, niżby „Zgodą Narodów” do owego ujścia dotarli, szczególnie iż rzeczywisty przygody owej protagonista o cztery miesiące drogi jeszcze odległy był od tegoż ujścia w chwili, gdy o uszy i świadomość Dionei otarło się pierwszy raz zestawienie dwu Orestesów: baśniowego i dobrze jej osobiście znanego. A przecież gdyby zestawienie to nie zostało wtedy właśnie przez Heliadora zrobione, kiedy zrobione zostało — gdyby protagonista rzeczywisty wkroczył do wielkiej przygody jako ktoś, całkowicie dla świadomości Dionei obcy, żadnych w niej nie powodujący skojarzeń myślowych — cały przebieg przygody byłby niewątpliwie całkowicie inny niż był w rzeczywistości; więcej, przygoda ta, gdyby nawet się odbyła w ogóle, co też wątpliwe, stanowczo nie kryłaby w sobie możliwości tych powikłań, dzięki którym zasługiwała na miano przygody wielkiej. W najlepszym razie byłaby jeszcze jednym wyczynem służbowym Heliadora, może i niemniej godnym zapamiętania od kilkunastu innych na przestrzeni jego życia, ale też i nie godniejszym od tamtych. Jeśli zaś stało się inaczej — sprawcą był sam Heliodor. Ale właśnie sprawcą — tylko sprawcą, nie winowajcą. Bo czyż można mężowi, który jeśli o różnicę wieku chodzi, mógłby nie tylko ojcem, ale od biedy i dziadkiem być swej żony, za winę poczytać to, że drażni go wszelkie skojarzenie słowne i myślowe — zarówno rzeczywiste, jak domnimane — z imieniem mężczyzny, o którym mniema nie tylko to, że żonie jego się podoba, ale co więcej: że w pełni zasłużył na to, aby właśnie jej się podobał?

## II

Nieraz — gdy było już po wszystkim — zastanawiali się, Dioneja i Heliodor, czy wielka przygoda na wodzie i tuż obok wody — przygoda, która kryła w sobie tyle dla obojga razem i dla każdego z osobna niebezpieczeństw, była w ogóle do uniknięcia, czy też — wcześniej czy później w innych byłaby ich tak czy owak dopadła okolicznościach. Bo oto przecież — zwracali sobie wzajem uwagę — łatwo wcale ta właśnie przejażdżka wspólna „Zgodą Narodów” mogła w ogóle nie dojść do skutku; wystarczyłaby choroba któregoś z dwojga, albo wcześniejszy — względnie znacznie późniejszy — wybuch zatargu między nimi na tle rozważań, jest czy nie jest wskazane, aby mieli dziecko. Zresztą, wedle Dionei, w ogóle zbyteczny to zupełnie był zatarg i całkowicie nieuzasadniony; Heliodor przecież zwracał jej uwagę na to, że on wówczas — przed przejażdżką, w objęcia wielkiej przygody wodną — żadnych nie miał danych ani faktycznych, ani myślowych na to, by mniemać tak, jak ona, względnie że tak ona właśnie mniema, odgadywać.

Oczywiście, może za mało się myślowo wysilił, by do możliwości istnienia tych danych dotrzeć, ale czyż go nie usprawiedliwia stan rozdrażnienia, wręcz zaalarmowania — i to wielostronnego zaalarmowania — w jakim właśnie wówczas się znajdował? Dioneja — choć tak niedawno dopiero jego żona — w samej rzeczy bezbłędnie wytropiła istotną przyczynę jego oporu w stosunku do zaszczytnych, jak się powszechnie mówiło, napomknięć częstych młodego

króla Eutydemosa na to, jakby się zaufany agent jego ojca, a i dziada jeszcze, zapatrywał na perspektywę zasłużonego wypoczynku po trudach pracowitego żywota, który to wypoczynek, zresztą, szedłby w parze z dostojnym tytułem i z przywiązanymi do tego tytułu, wcale okazałymi dochodami i miejscem pobytu w najbardziej uroczym zakątku nad-królestwa. Ponieważ to były wciąż jeszcze napomknięcia tylko — inaczej i być nie mogło przed powrotem Króla Wielkiego z Indyj — Heliodor udawał, że ich nie rozumie; dziękował gorąco za troskliwość królewską i zapewnił, że wcale jeszcze nie odczuwa potrzeby wypoczynku, dochody zaś, jakie ma, w zupełności mu wystarczają — tytuł Towarzysza również, a jeśli chodzi o problem uroków miejsca zamieszkania, dzięki charakterowi swej działalności służbowej ma stale dużą możność wyboru, przy czym najlepiej się czuje właśnie tam, gdzie najczęściej z racji obowiązków swych przebywa: na tarasie komnat królewskich na pokładzie „Zgody Narodów”, dawniej zwanej „Meandrią”. Była to prawda, odkąd dzieliła z nim ten taras i dobrze się na nim czuła Dioneja; ale właśnie dając tej prawdzie świadectwo, bezwiednie dorabiał się sobie na nieuchronność Wielkiej Przygody. Gdy bowiem z czasem napomknięcia przekształciły się w jawny nacisk, a temu Heliodor równie bez obłonek już przeciwstawił zasadę, iż tak długo, póki nie stracił zaufania Króla Wielkiego, nie musi — o ile nie chce — traktować jako rozkazy, życzeń króla Baktirii właściwej i przyległych satrapii północnych i wschodnich, stawało się jasne, że cokolwiek kiedykolwiek powiedział, zostanie użyte przeciw niemu samemu, o ile nadarzy się po temu sposobność. Nadarzyła się: w siedemnaście miesięcy po zaślubinach Dionei i Heliodora Menander zaalarmował stolicę wiadomością o wielkiej koncentracji na środkowym biegu Oksośu galer, nie masageckich tym razem, ale chorazmijskich, rzekomo handlowych, w rzeczywistości jednak ponad wszelką wątpliwość — pirackich. Młody Eutydemos przerzucił tę wiadomość poprzez śnieżne szczyty Parapamisadów ojcu — rozminęła się w drodze z żądaniem Króla Wielkiego, by natychmiast skierowano nad rzekę Hindus starsze, od dawna pod broń niepowoływane roczniki greckich osadników wojskowych — najwidoczniej nie szło mu w Indiach tak gładko, jak zapewne sobie przed wtargnięciem tam wyobrażał. Król

Eutydemos wezwał Heliodora, przyjął go w malachitowym przedsionku sali fioletowej, otoczony wojewodami i eparchami, przeważnie młodzikami, takimi jak sam i wezwał ojcowskiego agenta zaufanego do szczególnych poruczeń, by udzielił dostojnemu zgromadzeniu światłej rady, jakim to sposobem dałoby się równocześnie Indie zdobywać i bronić wybrzeży Oksosu przed wtargnięciem chorazmijskich piratów. Uwagę Heliodora, że są to sprawy ściśle wojskowe, odparł król, dostając poklask wszystkich obecnych, przypomnieniem iż dziad jego zwykł był mawiać: „Bez ramienia żyć jakoś można, bez głowy zaś nijak”; przypomnienie to należało, oczywiście, rozumieć jako drwinę, ale taką, co kryje w sobie groźbę, a może już i pułapkę także. Więc Heliodor udzielił rady: niech flota królewska na Oksosie uszykuje się w kołyszącą się na falach, przeciw jednolitą niczym mur, zaporę, dokładnie na linii pogranicza. „To ją, jak mur też, będą próbowali taranami rozwalić i szturmem zdobywać”, zawołał eparcha Bubakeny. „Zupełnie słusznie”, odrzekł Heliodor, „toteż zaporę taką trzeba by tak, jak mur, obsadzić i wyposażać”. „Wyposażać będzie w co”, odezwał się ktoś inny z otoczenia królewskiego, „ale do machin trzeba rąk”. Ktoś zaś jeszcze inny — bodajże eparcha Bandobeny Większej — dorzucił że gdyby nawet Król Wielki nie zażądał starszych roczników z osad pogranicza północnego do Indyj — jeszcze by i wtedy obsadzenie tymi rocznikami takiej zapory nawodnej równałoby się otwarciu lądowej granicy Masagetom. „Byłaby na to rada”, powiedziało ustami Heliodora dzieciństwo Dionei. Powiedziało trafnie, ale znów o krok, i to jaki krok, przysuwając oboje bliżej Wielkiej Przygody. Rada bowiem owa polegała na tym, aby wezwani zostali do obrony pogranicza lądowego możnowładcy irańscy ze swymi pocztami wolnych dzierżawców, których dotąd, o ile wojna nie została formalnie wypowiedziana, bądź faktycznie rozpoczęta — starano się nie skłaniać do opasywania się żelazem bitewnym, a już szczególnie tak opasanych nie ściągać nazbyt tłumnie na tereny graniczne; że jednak młody król Eutydemos wyrósł był z dziecięcia w młodzieńca, karmiony słodką nauką, iż Baktria to dynastii własność, nie zaś Greków baktryjskich w ogóle — jemu osobiście ta rada bardzo trafiła do przekonania i to tak dalece, że natychmiast zabrał się do dyktowania listu do ojca z odnośną

sugestią, aż mu ostudzono zapał przypomnieniem, iż w drodze już musi być odpowiedź Króla Wielkiego na wiadomość o ostrzeżeniu Menandra, więc by nie tworzyć gmatwaniny mijających się listów, lepiej byłoby może przeczekać pięć, sześć dni. Ta na odmianę rada nie pochodziła od Heliodora, ale król, choć jej usłuchał, przecież zrobił to bardzo niechętnie, wręcz z rozżaleniem, na jakie realcją zwykle u niego bywała żądza nieprzemierzona sprawienia przykrości ojcu; żądzę zaś taką zazwyczaj zaspakajał kosztem ulubieńców ojca, najchętniej kosztem młodziutkiej siostry, Agatoklei, względnie słonia, którego przed kilkoma zaledwie miesiącami Demetrios Eutydemida przysłał jedynej swej córce w upominku z Indyj. A że ulubieńcem ojcowskim był też niewątpliwie Heliodor — Eutydenos Młodszy zaproponował mu przejażdżkę na słoniu Agatoklei, równocześnie także wydając takie rozkazy poganiaczowi, których skutkiem nieuchronnym musiało się stać włamanie się słonia do klatki, wypełnionej małpami. Z zamiłowaniem jednak do płatania złośliwych figlów nie siedł w parze u młodego króla nadmiar sprytu, co się rodzi zazwyczaj z przezorności; pragnąc z bliska przyglądać się opadnięciu słonia i Heliodora przez małpy, znalazł się sam w zasięgu zamieszania i otrzymał dotkliwy wcale cios w głowę, nie wiedzieć czy z jakiejś małpiej nogi a raczej ręki, czy trąby słonia. Rozwścieczony, uznał bez żadnych dłuższych dochodzeń słonia za winowajcę i kazał natychmiast rozstrzelać go z łuków, jako wściekłego; gdy ryki bólu i konania ściągnęły z wnętrza pałacu królownę Agatokleję i ta, powiadomiona co się dzieje i dlaczego, uderzyła, mszcząc słonia, brata w twarz — król obył ją na oczach całego dworu, ale zaledwie się niezwykle to widowisko skończyło, padł nieprzytomny na ziemię. Lekarze stwierdzili silną gorączkę, skutek ciosu w głowę, przez zwierzę zadanego, i doradzili natychmiastowe wysłanie gońców do Króla Wielkiego. Heliodor, choć sam wcale dotkliwie przez małpy podrapany i też nie całkowicie przytomny, gdy go ściągnięto ze słoniowego grzbietu, o tyle jednak w pełni swych władz umysłowych wyszedł z tej przygody, iż zdolny był w lot dostrzec prawdopodobieństwo groźnych wcale dla siebie następstw choroby młodego króla: miał wielu sobie niezyczliwych w otoczeniu Eutydemosa, niech więc tylko któryś z nich puści pogłoskę, że to



on, korzystając z zamieszania, zadał fatalny cios, a nie żadna mała ni słoń — czy nikt takiej pogłosce nie uwierzy? Uwierzą wszyscy ci, komu to będzie na rękę, a poza nimi, i wielu też ludzi dobrej woli, którym wyda się wcale prawdopodobne, iż zasłużony — a pokaźnie już leciwy, wysoki urzędnik królewski, nie byle kto, bo Towarzysz! — nie mogąc znieść zniewagi, tkwiącej w niepoczytalnym wybryku młodego władcy, bądź podmówił przewodnika, też ofiarę tegoż wybryku, by odpowiednio naszczuł słonia na króla, bądź sam wydarł przewodnikowi z ręki laskę i okutym jej końcem wymierzył sobie sprawiedliwość, a choćby nawet i samym drzewcem tylko!... Oczywiście, Król Wielki zapewne by nie dał wiary takiemu oskarżeniu, gdyby Heliodor dopuszczony został, i to we właściwym czasie: ani o dzień, ani o godzinę za późno, do głosu, ale czy mu do głosu dojść dadzą?!... Miał świetne wyjście z niebezpiecznej sytuacji, to prawda: natychmiast, ale właśnie natychmiast, ani chwili nie zwlekając, wyprawić się do Indyj. Wiedział jednak bardzo dobrze, że tylko przekonanie niezłomne, iż grozi mu śmierć nieuchronna, mogłaby go popchnąć do kraju, o którym wiedział już znacznie więcej wprawdzie niż polując na rysie przed siedemnastu laty, ale też ta właśnie wiedza zwiększyła tylko jego odrazę. Cóż więc miał zrobić? Sięgnąć po pióro — nic innego mu nie pozostawało.

### III

Król Wielki odpowiedział Heliodorowi listem, dyktowanym drugiemu z synów, swemu imiennikowi, co podkreślało poufność zawartości listu. Król Wielki bez obstrukcji się przyznał do niechęci, jaką zawsze żywił do swego pierworodnego, ale zarazem też nie był wcale skłonny zadowolić się tłumaczeniem Heliodora. Zapowiedział wysłanie natychmiastowe do Baktirii najmłodszego syna, własny zaś powrót dopiero na wiosnę. Wysłanego syna wyposażył w bardzo daleko sięgające pełnomocnictwa: na wypadek, gdyby Eutydemos miał wyzdrowieć, cała sprawa przestałaby istnieć; gdyby jednak umarł, musiałyby zostać przeprowadzone śledztwo niezmiernie dokładne, i Król Wielki mógł tylko dać wyraz żalowi, że tym razem nie byłoby możliwe, aby kierował śledztwem Heliodor. Ale właśnie tu się zaczynała największa niespodzianka: Król Wielki najwyraźniej nie wierzył w nieszczęśliwy wypadek, jako wytłumaczenie ciosu, zadanego jego pierworodnemu. I tu tkwił powód, dla którego — przyznawał się do tego z całkowitą szczerością — nie był w stanie, jakkolwiekby gorąco pragnął, wyłączyć Heliodora spośród możliwych podejrzanych. Podejrzenie to jego jednak nie ma bynajmniej na celu zastosowania natychmiastowego jakichś sądowych sankcyj — wręcz przeciwnie: Król Wielki zalecał Heliodorowi, aż do odwołania, wykonywanie urzędowych swych czynności tak, jak gdyby nic się nie stało. Pochwalił też jego plan w sprawie ochrony pogranicza północnego, w szczególności zapory na Oksosie, ale też przyznał w peł-

ni słuszność zastrzeżeniom eparchów Bubakeny i Bando-beny Większej. Czy miał na tę sprzeczność jakąś radę? Miał. Greków potrzebował do Indyj stanowczo, więc mowy być nie mogło, by poza regularną obsługą floty, jednego choćby osadnika dało się przerwucić na kołyszącą się zaporę. Należało więc użyć tubylców: oczywiście, nie możnowładców, ani ich wolnych dzierżawców, ale pańszczyźnianych. Tych z dóbr królewskich jednak byłoby na to za mało, więc Król Wielki polecał Heliodorowi natychmiastowe udanie się na pogranicze północne z celem przeprowadzenia w porozumieniu z Menandrem zaciągu ochotniczego wśród pańszczyźnianej ludności tubylczej na terenach do pogranicza przylegających; oczywiście — wyjaśniał — termin „zaciąg ochotniczy” nie odnosi się do poszczególnych osób, tylko do całych gromad wiejskich. Że zaś ochotnicza służba wojskowa musi być szczególnie dobrze opłacana — zaciąg ma być przeprowadzony na zasadzie wzajemności świadczeń między dynastią a skłonny mi dać ochotników gromadami — mianowicie każda gromada, która skieruje do Menandra trzydziestu młodych ludzi, dostałaby prawo do obwarowania się wraz z wszystkimi innymi korzyściami, jakie nabycie tego uprawnienia daje. Co wyłożywszy, Król Wielki życzył Heliodorowi powodzenia w przedsięwzięciu, które jak zdaje sobie w pełni sprawę, nie byle jakimi najeżone jest trudnościami, ale też właśnie trudności te mając na oku, dziękuje wszystkim bogom — greckim, irańskim, indyjskim — że zesłali jemu, a i w ogóle dynastii, takiego nieocenionego Towarzysza, jak Heliodor. Obyż Król Wielki był w stanie w najbliższym możliwie czasie — najlepiej w trzydziestolecie działalności owocnej Heliodora w służbie dynastii — nazwać miłego Towarzysza ukochanym Krewniakiem!

Ukończywszy czytanie listu, Heliodor wpadł w przygnębienie, graniczące z rozpaczą. Oto znalazł się w potrzasku. Król Wielki najniedwuznaczniej obszedł się z nim jak ze skazańcem, któremu się proponuje, by spróbował uratować swe życie, stając do walki z niedźwiedziem lub tygrysem. Trudności, o których Demetrios Eutydemida wspomina, nie są do przewyciężenia: zaciąg niby ochotniczy pańszczyźnianych bezpośrednio do wojska królewskiego to jawne wyzwanie, rzucone możliwym panom tubylczym, ale dynastia wyraźnie chce być z tym możnowładz-

twem dobrze, więc też jej głowa obiecuje Heliodorowi najzaszczytniejszy tytuł Krewniaka, jeżeli zdoła i rysia upolować, i z łowów wracając, tyleż mieć strzał w kołczanie, ile ich było przed łowami. Czcza więc to zupełnie obietnica, co by jeszcze nie było takie najgorsze, gdyby nie problem, co by się stało, jeśliby z zadania sobie powierzonego, Heliodor się należycie nie wywiązał, względnie gdyby się go w ogóle nie podjął. Otóż w świetle listu Króla Wielkiego był to wyjątkowo prosty i jasny problem: wysoko nad głową Heliodora zawieszono podejrzenie o królobójstwo; nie spadnie na nią jednak o ile jej posiadacz zdoła wykonać to, czego od niego się żąda. Jednego, co prawda, nie rozumiał: jeśli Król Wielki tak jak on sam uważa zadanie to za niewykonalne i wymyślił je jedynie jako potrzask, co wedle mniemania królewskiego, naprawdę ma się stać ze skomplikowaną sytuacją obronności królestwa na pograniczu północnym? Demetrios chętnym okiem widział pomysł zapory na Oksosie, rozumiejąc równocześnie, że najmniejsze osłabienie lądowej linii obronnej to wprost zaproszenie dla barbarzyńców spoza granicy, by zaporę oskrzydłili! Osłabieniu temu ma przeciwdziałać zastąpienie pospolitym ruszeniem możnowładców tubylczych dotychczasowej ochrony pogranicza: starszych roczników greckich, które potrzebne są Królowi Wielkiemu w Indiach. Ale zaporą zostanie przełamana, o ile nie wzmocni się jej obsady; jeśli zaś ją się wzmocni zgodnie z zaleceniem Demetriosa, by powołać pańszczyźnianych, pospolite ruszenie, nowa ochrona lądowej linii granicznej, obrazi się, oburzy, rozwiąże i rozejdzie do swych zamków. Wówczas Masageci i Sakaurowie, którzy ponad wszelką wątpliwość sprzymierzą się z piratami chorazmijskimi, przełamają zaporę lądową i bez trudu zajdą rzecznej z dwu stron od tyłu. Czy to nie za droga byłaby cena przyjemności pozbycia się Heliodora, zrzucając mu na głowę zawieszono oskarżenie o królobójstwo? Szczerze zdziwiony, Heliodor zabrał się do pisania odpowiedzi na list Wielkiego Króla, którą zamknąć postanowił właśnie owym pytaniem w sprawie za wysokiej ceny. Nie zamierzał jednak pozostawać w Baktrze tak długo, aż znów list od Króla Wielkiego otrzyma. Powołując się na dany sobie rozkaz porozumienia się osobistego z Menandrem, opuścił stolicę bez wielkich przeszkód, choć i nie bez drobnych przykrości —

w Tarmicie wstąpił po Dioneję i pośpiesznie wszedł z nią razem na pokład „Zgody Narodów”. Towarzyszyli mu poza nią, gońcy Króla Wielkiego, którzy po oddaniu listów w Baktrze, mieli jeszcze jeden dla doręczenia do rąk własnych Menandra. Budzili w Heliodorze mocno mieszane uczucia, ale nie tylko w nim samym: pierwszy bowiem oto raz Król Wielki posłużył się jako zaufanymi a w wielkie wyposażonymi pełnomocnictwem, gońcami, parą młodzieńców, z których żaden nie był Grekiem. „Nie dziw więc, że w Baktrze, w Tarmicie, nawet na pokładzie okrętu szemrano — Heliodor zaś, choć i krył się właściwie za gońców niczym za potężną tarczę, szemraniu temu jeśli nie wtórował jawnie, to przecież w rozmowach z Dioneją niedwuznacznie mu potakiwał. Żona go słuchała uważnie dzień, dwa, trzy, aż wreszcie mu przerwała pytaniem: — „Czy nasz dom nawodny nie zowie się „Zgodą Narodów”?

Oszołomiony, długo nie mógł się zdobyć na odpowiedź, a gdy nareszcie zabrał znów głos, nie zdążył go wydać, gdyż do drzwi ich sypialni ktoś bardzo gwałtownie zaczął się dobijać. Była późna godzina wieczorna. Heliodor uczuł, że gną się pod nim kolana: to po niego przysłano z Baktry. Jął wołaćomalże rozpaczliwie Mankurasa Inda i młodziutkiego Sogdyjczyka; tarcza była mu potrzebniejsza, niż kiedykolwiek. Ale okazało się, że to właśnie Sogdyjczyk się dobijał — miał dla Heliodora pilną wiadomość ogromnej wagi: oto na brzegu stoi, licznym poczem otoczony, król Margiany, Antymachos Eutydemida, i domaga się, by go natychmiast wpuszczono na pokład „Meandrii”.

#### IV

Ów Sogdyjczyk był to niedwuznacznie rękodajny Króla Wielkiego — nic więcej, choć w piśmie, polecającym go władzom Baktrii, Demetrios Eutydemida określał go mianem zastępcy kierownika urzędu tłumaczy przy swej osobie. W samej rzeczy, młodzieniec ów, a raczej wyrostek, bo musiał być w wieku Dionei, mówił z jednakową biegłością po grecku, po baktryjsku, po sogdyjsku, a ze swym starszym towarzyszem mową Indów, co zresztą rzadko się zdarzało, gdyż Mankuras, choć i nie tak biegle jak Sogdyjczyk, umiał po grecku się wyśłowić zupełnie poprawnie, choć i wyraźnie językiem książkowym tylko, gdy tamten istotnie znał doskonale wszelkie odcienie mowy pospolitej. Najwidoczniej właśnie ta wyższość w dziedzinie władania językami sprawiała, że stosunek wzajemny między gońcami był wcale trudny do określenia przez osoby trzecie. Głową poselstwa musiał niewątpliwie być Mankuras: on to wręczał listy Króla Wielkiego, uzupełniał je ustnym komentarzem, udzielał wyjaśnień, odpowiadał na pytania — wielki pierścień jednak Króla Wielkiego, znak pełnomocnictw, w jakie gońcy byli wyposażeni, połyskiwał na palcu Sogdyjczyka i widocznie przez cześć dla tego pierścienia Mankuras nigdy nie siadał w obecności swego młodszego towarzysza, chyba że ten na czas pamiętał wezwać go, by usiadł. Ale — wedle spostrzeżeń i Dionei i Heliodora — wyrostek rzadko kiedy pamiętał, względnie tak oboje małżonkowie sądzili — udawał, że nie pamięta; najwidoczniej wielką przyjemność, zdecydowanie dzieciinną,

sprawiło mu akcentowanie ciągle swej symbolicznej wyższości nad głową poselstwa. Jeszcze dziwniejszy niż między nimi wzajem, był stosunek do obu służby, która im towarzyszyła: rozkazy odbierała tylko od Mankurasa, ale zwracała się po nie wyłącznie do Sogdyjczyka. Heliodor nie wiedział zupełnie, co o tym wszystkim ma myśleć; Dioneja zaś znalazła zupełnie jasne i proste, jak jej się wydawało, rozwiązanie całej zagadki: wyrostek był umiłowanym kochankiem Króla Wielkiego. Dla Heliodora jednak nabyt już proste było to rozwiązanie: po pierwsze — mówił — nie narażają potężni umiłowanych swych kochanków na trudy, a nawet niebezpieczeństwa takich podróży jak przez przełęcz Parapamisu tuż przed nadejściem zimy; po drugie, któżby, kto nie musi, chciał rozłąki tak długiej z takim kochankiem; wreszcie — i to właśnie wydawało się Heliodorowi najistotniejsze — Sogdyjczycy, o czym Dioneja powinna wiedzieć lepiej jeszcze od niego, brzydzą się uprawianiem miłości cielesnej z osobami tej samej płci aż do stopnia...

— ...niemożności zrobienia wyjątku nawet dla Króla Wielkiego?! — przerwała mu, śmiejąc się Dioneja: — Mój miły, ja w samej rzeczy znam Sogdianę lepiej niż ty. I w samej rzeczy nigdzie tyle się nie słyszy wielkich słów odrazy i oburzenia w odniesieniu do takiej miłości. Ale też z niczyich ust nie słyszałam tylu i tak pięknie brzmiących wyrazów zatroskania o stan posiadania greckiej krwi w Baktirii, jak z ust mojego ojca. Wreszcie raz jeszcze powtórzę: jaki filozof odmówi przyjęcia złota ze skarbcza samego Króla Wielkiego?

Nie pierwszy to już raz trzeźwe, praktyczne, wyzbyte złudzeń podejście Dionei do świata i życia zdumiewało Heliodora. Nigdy jednak może tak silnie, jak właśnie w czasie tej rozmowy, która, jak się okazało w wiele dni później — taką przełomową miała odegrać rolę w dramacie spotkania się ich z Wielką Przygodą. „Powiada, że jest jej ojcem, panem, zbawicielem, bogiem” — pomyślał nagle nieomal z goryczą — „a oto oświeca mnie, niczym wyrostka. Skąd się to u niej bierze — taka pewność siebie w stosunku do mnie? Trzy pokolenia królów nie gardziły nigdy moją radą...” Gorzkie te rozmyślenia przerwało mu nagle spadnięcie gwałtownego deszczu, jaki go zawsze cieszył, ale tym razem bardziej niż kiedykolwiek: wciąż bo-

wiem przewidywał możliwość, że w Baktrze wokół łoża niemocy królewskiej wezmą jednak górę ci, którzy gdy wyjeżdżał, domagali się uwięzienia go jako najbardziej podejznanego o targnięcie się na głowę Eutydemosa. Byłoby to, oczywiście, pokrzyżowanie planów Króla Wielkiego, i ten aspekt sprawy wówczas przemógł, ale czy nie dlatego tylko, że w stanie młodego króla właśnie wtedy nastąpiło polepszenie, i on to sam, zapytany, czy jednak nie byłoby to lekkomyślnością pozwolić Heliodorowi, by umknął, wyszeptał bezkrwistymi wargami: „Jeśli sobie tego życzy mój najdostojniejszy ojciec...” Ale jeśli w międzyczasie Eutydemos umarł? Albo wprost mu się tylko bardzo znów pogorszyło? Mankuras i Sogdyjczyk zapewnili Heliodora wprawdzie, że pod ich opieką czyli pod osłoną pierścienia Króla Wielkiego jest on całkowicie bezpieczny, najdosłowniej nietykalny; prosili go też bardzo, by się nie denerwował, nie kwapił się tak do wydawania rozkazów, mających na celu wprowadzenie na okręcie stanu pogotowia do natychmiastowego odpłynięcia. Wszak sam postanowił — przypominali mu — czekać aż nadejdą nowe wiadomości od Króla Wielkiego. Czeka ósmy już dzień, cóż więc znaczy poczekać drugie tyle najwyżej? Zresztą, w stanie są dać mu najbardziej pewną rękojmię; oto Sogdyjczyk poprzedniego dnia odwiedził dowódcę cytadeli w Tarmicie, Teodora, i postawił mu pytanie wprost: jak się zachowa na wypadek starcia między życzeniami Króla Wielkiego i młodego króla Baktrii, względnie doradców tegoż? Teodor odparł pytanie pytaniem: jak ma wiedzieć, że to, co mu się podaje jako życzenie Króla Wielkiego, jest nim w istocie? Sogdyjczyk błysnął mu w oczy pierścieniem, jaki miał na palcu. Teodor przyjrzał się uważnie, po czym oświadczył, że cytadela Tarmity oddaje się bez zastrzeżeń pod rozkazy okaziciela pierścienia.

Cytadela Tarmity! Heliodor znał Teodora dobrze i dawno. Tak dawno, że wolałby nie mieć w pamięci pierwszych miesięcy tej znajomości. A jeszcze by bardziej wolał, ażeby nie miał ich w pamięci Teodor. Ale skoro niewątpliwie niczego z tamtych czasów nie zapomniał, to przecież i tego chyba, jak bezsilna się okazuje cytadela Tarmity, a raczej wola jej dowództwa, wobec niechęci Greków Baktrii dla innoplemieńców w chwilach, gdy komuś bardzo mądrymu, względnie bardzo silnemu, napraw-



dę zależy na tym, by ową niechęć rozdmuchać do stopnia nienawiści, władnej uzewnętrznić się w ryzyku rozruchów. Więc Teodor Teodorem, ale także i Teofil Teofilem: powinowaty królewski, choćby nawet dalekiego już stopnia, najzawzięciej gardłował, gdy spierano się wokół królewskiego łoża boleści, należy czy nie należy pozwolić Heliodorowi na opuszczenie Baktry. Wedle Teofila, hańba to dla Greków otrzymywać rozkazy Króla Wielkiego za pośrednictwem barbarzyńców; pierścień na palcu Sogdyjczyka to świętokradztwo, któż bowiem zaręczy iż rzeczywista głowa poselstwa, Grek niewątpliwie, nie został strącony w jakąś przepaść przy przeprawie z Indyj do Baktrii? List Króla Wielkiego? Każdy list można sfalszować i upozorować autentyczność fałszyfikatu przyłożeniem zrabowanej pieczęci. Oczywiście Teofil sam nie wierzył w to, co mówił, nie spodziewał się też zapewne, aby inni mu wierzyli; celem jego było jednak obudzić drzemiącą w każdej greckiej świadomości niechęć do innoplemieńców, cieszących się łaskami czy zaufaniem dynastii, a do takiego celu wcale przydatne okazywało się snucie podejrzeń, z których w razie potrzeby można by ukuć jako tako przekonywujące usprawiedliwienie.

Dioneja, do której mąż mówił z coraz rosnącym podnieceniem, przyznała się, że nie rozumie, w razie jakiej to mianowicie potrzeby można byłoby ukuć z tego rodzaju podejrzeń takie usprawiedliwienie. Wówczas podniecenie Heliodora przeszło w coś jak gdyby uniesienie: wyciągając przed siebie rękę i nakierowując ją, a w ślad za nią i wzrok żony na mgliście rysujące się poza ciemną zasłoną ruchomą deszczu, mury cytadeli, zawołał: — Teodor uderzy na alarm... Miotacze kamieni i strzał obrócone zostaną ku brzegowi... Biedny Teodor! Będzie się łudził, że zgraja napastników się nastraszy...

— Napastników? Kto będzie napadał na kogo?

— Tłum. Oh! sami czystej krwi Grecy. A przy tym, zauważ, pełni przywiązania dla dynastii. Żarliwego, namiętnego przywiązania, takiego, co to nie w siłach jest znieść bezkarności domniemanego choćby tylko sprawcy zamachu na członka dynastii...

— Wysłannicy Króla Wielkiego cię obronią. Przecież mówili...

— Właśnie mówili... I słowu swemu zechcą być wierni. I za tę wierność zostaną rozszarpani....

— Majaczenia! hałastra portowa nastraszy się skierowanych na siebie miotaczy.

— Nie, bom już rzekł: biedny Teodor! W roku sto piątym też uderzył na alarm, też na tłum nakierował miotacze mechaniczne pocisków. Łudził się młodzik tak samo, jak dziś łądzi się starzec. Obsługa miotaczy nie strzelała wówczas, nie będzie teraz strzelała do swoich w obronie innoplemieńców.

— Załoga „Zgody Narodów” ich obroni. A i ciebie także.

— Także? Ależ nie: mnie obroni — to prawda, ale tamtych dwu — nie. Bo załoga, prócz wiosłarzy, to też sami Grecy. Ale cóż mi przyjdzie po tej obronie, jeśli tamci dwaj zginą? Jeśli pierścień Króla Wielkiego ściągnięty zostanie z sztywniejącego szybko palca zabitego chłopca? Znajdę się bezbronny, bezradny, bezsilny w mocy Teofila. A dostać się w jego ręce... nie mówmy lepiej o tym więcej.

— Mówmy. Czy Teofil to twój wielki wróg?

— Największy chyba.

— Co przyczyną tej wrogości?

— Pozornie zazdrość.

— Jakie to dziwne, wręcz zabawne! Zazwyczaj się mówi, że pozornie przyczyną wrogości na przykład Androklesa do Kleandra jest to a to, ale naprawdę ni to, ni tamto, tylko zazdrość... Ale żeby zazdrość mogła być tylko pozorem...

— Może być. Jest.

— A naprawdę przyczyną?

— Tyś.

— Ja? Jeszcze mniej rozumiem. Nienawidzi ciebie przeze mnie?

— Rzekłś.

— Za to, żeś twoja?

— Za to, że jesteś.

— Same zagadki! Za to, że jestem — czym. Czy też może raczej: że jestem — jaka?

— Żywa.

Ulewa coraz się wzmagala. Zeszli z tarasu. Dioneja głęboko zamysłona, Heliodor prawie rozweselony. W taki deszcz — zapewniał i żonę i siebie — mowy być nie może

o jakichś rozruchach. Ani też o tym, by największa choćby nawet nienawiść ściągnęła Teofila przy takiej pogodzie nad brzeg Oksosu.

Coś jednak oto ściągnęło przy takiej pogodzie nad brzeg Oksosu króla Margiany. Najwidoczniej — brzmiał komentarz Dionei — istnieć muszą w naturze ludzkiej jakieś bodźce do działania silniejsze, niż największa choćby nawet nienawiść. Czy pan jej i bóg — pytała — zgaduje, jakie to mogą być bodźce?

Było to czysto retoryczne pytanie: w mniemaniu Dionei nie istniały, nie mogły istnieć pod planetami zagadki, których rozwiązanie nastroczałoby Heliodorowi jakiegokolwiek poważniejsze trudności, z jednym może wyjątkiem: zagadek z dziedziny miłości. W wypadku jednak nagłego wynurzenia się spoza ruchomej ściany deszczu, graniczącej z gniewem niecierpliwości króla Antymacha, wyrażającej się w żądaniu, by go — wbrew przepisom — natychmiast wpuszczono na pokład — jeśli nawet i kryło się coś jeszcze, poza rozdrażnieniem, którego źródłem zmoknięcie, na pewno nie było to coś niczym z dziedziny miłości. A skoro tak, Heliodor w mniemaniu żony władny był, nim nowy zacznie bieleć dzień, w pełni zaspokoić jej ciekawość odnośnie bodźców, silniejszych niż silna bardzo nienawiść.

Tego jej optymizmu jednak sam Heliodor bynajmniej nie podzielał. „Zgoda Narodów” była czołowym okrętem nie tylko na Oksosie, ale w ogóle całego zjednoczenia czterech, a bodajże nawet pięciu już, Indie włączając, królestw greckich w nad-królestwie Demetriosa Eutydemidy. Stanowiła właściwie pałac ruchomy Króla Wielkiego i właśnie ten jej charakter powodował niezwykłą ostrość przepisów, mających obowiązywać — z dwoma wyjątkami — każdego, kto wszedł lub chciał wejść na jej pokład. Na czele zaś listy owych przepisów figurował zakaz wchodzenia na okręt lub schodzenia z okrętu między zachodem a wschodem słońca, przy czym zakaz ten — głosił to przepis najniezdważaczniej! — obejmował sobą najdosłowniej wszystkie istoty żyjące a śmiertelne, wyłączając samego tylko Króla Wielkiego i Towarzysza jego do spraw bezpieczeństwa, więc jak dotąd, od siedemnastu lat Heliodora. Dla uniknięcia nieporozumień przepis ten zaopatrzony był w wyjaśnienie uzupełniające, które precyzowało definicję

„wszystkie istoty żyjące a śmiertelne” w ten sposób, aby wszem i każdemu było oczywiste, iż pomieniony zakaz obejmuje także i członków dynastii. Oczywiście Król Wielki — ale już nie Towarzysz od spraw bezpieczeństwa — mógł z sobą wprowadzić na okręt lub z okrętu wyprowadzić, kogo chciał, o każdej porze dnia i nocy, więc też przez chwilę po otrzymaniu wiadomości o nagłym zjawieniu się na brzegu króla Antymacha Heliodor zastanawiał się, czy nie stoi oto znów w obliczu jednego z takich zaskoczeń, jakie Demetrios zwykł był stosować wobec swych bezpośrednich podwładnych w pierwszych latach swego panowania, a których motywem była częściowo kpiąca złośliwość, ale poza tym także i nadmierna gorliwość w poemowaniu swych obowiązków władcy. Sam Heliodor kilka razy został w ten sposób zaskoczony i wprowadzony w błąd, nigdy jednak ze szkodą dla siebie, zawsze bowiem taka tajna inspekcja królewska jego służbowej działalności wypadła zadowalająco; tym przecież razem wcale nie był pewien, czy powinienby się cieszyć, czy lękać, gdyby domysł jego miał się okazać słuszny. Król Wielki bowiem mógł niespodzianie zmienić swe mniemanie sprzed kilkunastu dni, uznać swój powrót do Baktrii za konieczny, może nawet nie tylko sam powrót, ale na przykład także i celowość przekonania się na własne oczy, jak naprawdę wygląda sytuacja na pograniczu północnym; równocześnie zaś mógł wyrozumować — a byłoby to, wedle Heliodora, nadzwyczaj trafne rozumowanie — że prawdy o zagadkowym ciosie, wymierzonym jego pierworodnemu synowi, łatwiej i sprawniej będzie mógł dociekać w takich okolicznościach, gdy nikt, poza tymi nielicznymi, komu objawić się zechce, ani nawet będzie podejrzewał, że jest w pobliżu, nie zaś nadal po drugiej stronie śnieżnych szczytów Parapamisu. Że objawiłby się, w pierwszym rzędzie, bratu młodszemu — to wydawało się Heliodorowi prawdopodobieństwem, graniczącym z pewnością: inaczej niż najmłodszego z braci, Apolodota, Demetrios Antymacha raczej nie lubił, niekiedy go może wręcz znosić nie był w stanie, ale równocześnie żywił do niego bezwzględne zaufanie; z drugiej zaś przy tym strony trudno było w danej chwili Heliodorowi wyobrazić sobie, by coś innego poza życzeniem Króla Wielkiego, skłonić mogło jego delikatnego i lubiącego pieścić się z sobą brata do narażania

się na wystawanie pod gwałtowną ulewą z pełną świadomością przepisów, wobec których jego własna, nie wsparta przez moc starszego brata, największa choćby niecierpliwłość musi się okazać nocną porą równie bezradna, co i rybaka czy zbieracza muszel czy poganiacza, pojącego w rzece opodal postoju „Zgody Narodów” muły lub wielbłądy.

Jeśli jednak słuszny to był domysł, Heliodor miałby równe właściwie powody do ulgi, wręcz radości, jak i do największego lęku. Oczywiście, Król Wielki osobiście osłoniłby go przed wszelkim niebezpieczeństwem, gdyby chciał. Ale właśnie, czy chciałby? Czy nie przybywa na pokład „Zgody Narodów” już po ukończeniu przeprowadzonego przez siebie potajemnie śledztwa w sprawie zamachu na syna, i czy nie jest tego śledztwa wynikiem błędne przesądzenie o słuszności podejrzeń, jakimi obarczali Heliodora Teofil i inni z otoczenia młodego króla? Więcej: czy nie byłaby w ogóle motywem najistotniejszym tajnego przedostania się poza plecami brata na własny okręt chęć śledzenia z bliska zachowania się Heliodora: Demetrios świetnie się znał na ludziach — lepiej niż ktokolwiek z członków dynastii, niż nawet założyciel jej, jego ojciec; mógł więc sobie powiedzieć: „Mam go za winnego, ale nim wydam wyrok, spojrzę mu w twarz, przyjrzę się jego ruchom, wsłucham się w jego głos”.

Ale w tym właśnie punkcie rozumowania Heliodora lęk zaczynał ustępować miejsca uldze: gdyby tak miało być, iż Demetrios uważałby za wskazane przed wydaniem wyroku czas jakiś niepostrzeżenie obserwować winnego, znałoby to, że nie jest jeszcze całkowicie o winie jego przekonany, że wciąż się jeszcze waha, a takie wahanie to sygnał nadziei na uniewinnienie. Od jednego zaś błysku nadziei łatwo dawały się zapalić i roziskrzyć dalsze: może — myślał na odmianę radośniej Heliodor — Król Wielki w wyniku tajnego śledztwa o czymś wręcz przeciwnym się przekonał: że jego długoletni Towarzysz zaufany do spraw bezpieczeństwa padł ofiarą oszczerstwa, więc żeby go chronić przed niebezpieczeństwem, lub choćby tylko nawet przed przykrościami, postanowił niepostrzeżenie czuwać z bliska nad nim przez cały czas aż do chwili, gdy swój sąd o zagadkowym uderzeniu syna zechce do publicznej podać wiadomości? Więcej jeszcze: przekonawszy się o niewinności Heliodora, mógł Król Wielki w swej goto-

wości do zadośćuczynienia posunąć się najfaskawiej aż do troski o zdjęcie z niego ciężaru zadania, jakim go obarczył był, zalecając ponowny wyjazd nad granicę. Że jednak powiedzieć: „Jesteś niewinny. Nie jedź” nie mógł bez narażenia się na ujawnienie swej tożsamości, wybrał inną drogę: oto będzie Heliodorowi towarzyszył w całej wyprawie, dopomagając mu takimi czy innymi tajnymi sposobami do wybrnięcia z trudnego ogromnie dylematu — mianowicie jak pogodzić zapal możnowładztwa tubylczego dla służby interesom dynastii z godzącym w interesy i w miłość własną tegoż możnowładztwa, pomysłem poboru ochotniczego pańszczyźnianych?!

Uczucie ulgi jednak minęło równie prędko, jak napłynęło. Opierało się bowiem — stwierdzał Heliodor z szybko rosnącym smutkiem — na przeoczeniu sprzeczności, równie jaskrawej, a może jeszcze nawet jaskrawszej, niż ta, której pogodzenia domagało się od niego zatroskanie dynastii o sprawność równoczesną i obronności granic i biegu podbojów pozagórskich. Bo oto jak mógł Król Wielki nierozpoznany przedostać się na okręt, skoro tylko objawienie się jego umożliwić było władne Antymachowi wejście na okręt przed wschodem słońca?! Czyli właśnie nocne zjawienie się króla Margiany przed okrętem rozwiewać musiało wszelką na to nadzieję, by ulgą tchnący odcinek biegu myśli Heliodora okazać się mógł zgodny z rzeczywistością! Plan bowiem rzekomy Demetriosa, który chwilę temu w swej wyobraźni tak szczegółowo a z takim upodobaniem odtwarzał, wykonalny był jedynie w dzień, które to stwierdzenie darło całe rozumowanie w strzępy; ze strzępów zaś tych jeden tylko był do ocalenia przed całkowitym rozwianiem się w nicości: możliwość, iż poza domniemanym zaskoczeniem nie kryje się nic bardziej dla Heliodora obiecującego, niż nagły kaprys władcy, nie liczący się z pogodą, a mający na celu jedynie naoczne przekonanie się, czy Heliodora i dowództwo okrętu stać będzie na to, by nieugięcie przeciwstawić moc przepisu woli drugiego, co do starszeństwa, członka dynastii. W zestawieniu z radością, chwilę temu przeżywaną, zaskoczenie domniemane, tak tylko dające się tłumaczyć, urastało w odczuciu Heliodora do rozmiarów złośliwej szykany, graniczącej z najbardziej wymyślnym okrucieństwem. Nie dziw więc, że metą całego tego biegu wytężonego jego myśli

stać się musiało zaprzeczenie stanowcze możliwości, iżby Król Wielki znajdować się miał wśród osób, Antymachowi towarzyszących.

Ale skoro tak — pozornie to była meta, a w rzeczywistości krótki bardzo postój tylko. Bo przecież musiał natychmiast jakieś praktyczne wysnuć wnioski z faktu odrzucenia możliwości, tak długo, tak szczegółowo rozważanej. Czyli myśl swoją, swoją czujność, swoją wnikliwość natychmiast na nowy rzucić trop i to bez poczucia pewności, że wystarczająco wypoczęły po biegu poprzednim. A co jeszcze gorsze — bez pewności też, że na właściwy je skieruje trop. Bo oto choć poprzednio także punktem wyjścia było rozdroże, wiedział jednak, dokąd obie domniemane możliwości prowadzą: jedna do rozpacz, druga do radości, i było jasne, która dokąd. Ale teraz znowuż dwa tylko widząc przed sobą tory dla biegu domysłów ku mecie, przy której jeden z nich uwieńczony ma zostać podniesieniem do godności faktu oczywistego, nie wiedział, ani którędy tory prowadzą, ani czy metą nie okaże się czasem przepaść, a wieniec nie będzie inny, niż taki tylko, jakim się ozdobi ofiary przebłagalne tuż przed strąceniem ich w czeluście Hadesu. Żądanie bowiem króla Margiany — po odrzuceniu możliwości, iż towarzyszy mu tajnie Król Wielki — pozwalało się rozumieć tylko jako objaw bądź obłąkania, bądź zuchwałego zamysłu, którego istotny sens może być jeden tylko: Antymachos, wykorzystując prawdopodobieństwo śmierci bratanka, przygotowuje zamach stanu. W jednym wypadku i w drugim nieostrożne wszczęcie alarmu groziłoby Heliodorowi nieobliczalnymi następstwami; ostrożność, co by się wyraziła zatajeniem prawdy dostrzeżonej — również. A Heliodor, odkąd miał — wreszcie naprawdę miał — Dioneję, bardzo nie chciał zostać strącony w czeluście żadnej przepaści, a już szczególnie jako ofiara przebłagalna i to — najniewątpliwiej — zastępcza ofiara. Wśród przymiotów, określających użyteczność agentów zaufanych do zadań szczególnych, nie na ostatnim miejscu — dobrze o tym wiedział — znajdowała się szczególnie też przydatność takich agentów w chwilach dla dynastii szczególnie kłopotliwych: przydatność dobrze wypasionych wołów, hodowanych starannie z myślą o czasie, gdy trzeba będzie coś rzucić na żer opinii publicznej, gdy targnie tą głód nagły sprawiedliwości czy pomsty w nas-

tępstwie grozy, której sprawcą rzeczywistym rozjuszony, lecz z przyrodzenia swego nietykalny byk, taką samą znaczoną na łbie gwiazdą, jaka zdobi tarczę królewską. Metafory Heliodora wzbudzały szczere uznanie Dionei, ani ona jednak, ani on sam nawet nie zgadywali, nie przeczuwali stopnia nietykalności tego byka, czyj ryk nie mniejszą wcale stanowił zapowiedź wielkich nieszczęść przez to, że dochodził do uszu prawdopodobnych ofiar czy choćby tylko świadków owych nieszczęść, ściszony do tonu, jakim zwykło przemawiać królewskie zniecierpliwienie. Co prawda — mówili zgodnie sobie wzajem po latach — gdyby nawet byli przeczuli lub byli odgadli, na wiele by się im to nie było zdało: nowa a niezwykła odmiana nietykalności, w którą się uzbroiło domniemane obłąkanie czy też zbuntowanie się króla Antymacha, wyposażyła tylko Wielką Przygodę w dodatkowe dreszcze — wpłynąć jednak na sam jej przebieg nie mogła, na to bowiem było już za późno.



## V

Zapytany kiedyś później, gdy dawno, dawno było już po wszystkim, co mu właściwie nasunęło na myśl pierwsze podejrzenie, że Antymachos mógłby przygotowywać zamach stanu, Heliodor po dłuższej chwili przeorywania tajników pamięci, odpowiedział: „Wierność, z jaką rzekomy Sogdyjczyk powtórzył słowo w słowo treść żądania króla Margiany”. Gdy zaś spostrzegł, że żona i synek nie rozumieją go tak, jak spodziewał się zostać zrozumianym — dorzucił: „Wystarczyłoby przy powtórzeniu powiedzieć o okręcie z przyzwyczajenia „Zgoda Narodów” lub użyć tylko zwrotu, też właściwie wszystko dokładnie wyjaśniającego: „Domaga się wpuszczenia go na pokład” — bym jedną tylko dostrzegł możliwość: szaleństwo”.

Mówił prawdę, ale jak często się dzieje z prawdą, pośpiesznie na żądanie wydobywaną z tajników pamięci, w dobrej wierze ją nie to że przeinaczył, ale upraszczał, nadając cechy nagłego olśnienia powolnemu procesowi myśli. Bo oto w samej rzeczy zaskoczyło go natychmiast w przekazie Sogdyjczyka użycie przez króla Margiany dawnej nazwy okręgu, — ale bezpośrednią reakcją myślową, na to zaskoczenie w rzeczywistości nie był wcale domysł, jakim następnego dopiero dnia miał się dzielić z Teodorem. „On nie jest za zgodą narodów” — tylko na wpeł wyrozumiałością, na wpeł politowaniem tchnące stwierdzenie: „Dla niego czas stanął, jak w rzeźbach Orestesa. Nic się pod planetami nie wydarzyło od dnia, gdy z pokładu „Meandrii” kierował pogromem najeźdźczej floty

masageckiej". Przy czym właśnie z owego „Nic się nie wydarzyło” wyłoniło się pierwsze podejrzenie, iż król Margiany wpadł w obłąd, podejrzenie, wcześniejsze nieporównanie od najwcześniejszych błysków świadomości, sygnalizujących drugą jeszcze możliwość. Ale nawet dostrzeżenie tamtej było procesem myślowym, znacznie wolniejszym niż się to po latach, gdy zaspokajał ciekawość żony i syna, Heliodorowi — znowuż w najlepszej wierze — wydawało; własne bowiem sformułowania „Dla niego czas stanął” lub „Nic się nie wydarzyło od dnia, gdy...” najlepiej byłyby uprzytomniły Heliodorowi, gdyby się nie był tak pośpiesznie, a więc i niedbale, kopał w tajnikach swej pamięci, że bardzo daleka była jeszcze wówczas jego świadomość od tego etapu swej wędrówki szlakiem, przez sformułowania owe dotkniętym, na którym dojrzeć miało porównanie domniemanego szaleństwa królewskiego z rozjuszonym a mimo to nietykalnym bykiem. Nie, na etapie owych sformułowań mógł to być dla świadomości Heliodora najwyżej cichy obłąd, mogący budzić prócz współczucia także i zakłopotanie, to prawda, ale bynajmniej nie lęk. Oczywiście, nawet taki nieszkodliwy obłąd, skoro dotknięty nim jest członek dynastii, stanowić musi dla wszystkich, a już szczególnie dla wysoce odpowiedzialnego urzędnika służby bezpieczeństwa, źródło nie byle jakiego zatroskania, więc zrozumiałe się staje, czemu Heliodor — dość lekkomyślnie, jak po niewczasie musiał stwierdzić — wołał przerwąć swą świadomość na trop jakiegoś innego domysłu, przy czym stało się to właściwie nieomalże odruchowo; był myślowo bardziej znużony, niż sam to sobie uprzytamniał, dopiero co ukończonym pościgiem kilkutorowym za istotnym stopniem prawdopodobieństwa tajnej obecności Króla Wielkiego w pobliżu brata. I niewątpliwie właśnie to znużenie musiało spowodować znowuż lekkomyślną raczej, niż karygodną łapczywość, z jaką coś w Heliodorze, czego nazwać nie umiał, ale o czym wiedział że choć podobne do świadomości, nie jest nią, uczepiło się wyników biegu poprzedniego, by ułatwić sobie następny, z tym pożałowania godnym skutkiem, że owo nie mające nazwy „coś” pociągnęło za sobą świadomość Heliodora w kierunku najprzyjemniejszej możliwej alternatywy domysłu, iż król Margiany wpadł w obłąd, a to przy pomocy przerzutu osiągnięć biegu poprzedniego na metę następnego. Czyli Anty-

machos, owszem, domagał się niby, ażeby go na pokład w nocy wpuszczono, ale biada tym, którzy by go wpuścili! Że zaś Heliodor, nie przeczuwając jeszcze wcale podstępu, wcale też nie przewidywał jeszcze, iż to on właśnie zostanie zmuszony uznać prawo króla Margiany do łamania wszelkich przepisów, więc i tego także, czy można mu się dziwić, brać za złe, że gdy odezwał się na dostarczoną przez Sogdyjczyka wiadomość, to głosem, w którym wielkie rozbrzmiewało zadowolenie?

Z siebie samego zadowolenie, to prawda, ale któż z żyjących, jak to sformułował u kresu Wielkiej Przygody Man-kuras, władny jest — o ile nie ma pomocy z zewnątrz — uwolnić się z pęt złudzenia, że istnieją przecież powody, dla których godzi się niekiedy być z siebie samego zadowolonym?!

## VI

Heliodor zrazu zamierzał okrzyknąć króla Margiany z wysokości tarasu a co najmniej z głównego pokładu; zdawało mu się, że w ten właśnie sposób najdobitniej ujawniłby swoją gorliwość w przestrzeganiu przepisów, jakimi spodobało się Królowi Wielkiemu obwarować niedostępność „Zgody Narodów” w porze nocnej. Ledwie jednak rozpoznał w świetle latarń odciętą olbrzymim parasolem od ruchomej ściany deszczu tak dobrze sobie znaną choć i nieoglądaną od czterech lat twarz średniego z trzech Eutydemidów, uczył, że ogarnia go wzruszenie, mało co różniące się od tego, jakie nim wstrząsnęło wówczas, gdy Dioneja, otwierając się pierwszy raz na wzięcie go w siebie, z zamkniętymi oczyma pytała rwącym się głosem: „Czy tak będzie dobrze?”, jak gdyby zarazem i przeproszała go za brak doświadczenia i dawała wyraz zatroskaniu, czy na pewno spostrzeże on i oceni, jak bardzo pragnie ona wysiłkiem najwyższym dobrej woli, wstydlivość wszelką przewycięzającej, ów swój brak zupełny doświadczenia nadrobić. Co prawda, to nie sam Heliodor, to dopiero Dioneja, gdy z nią dzielił się potem wrażeniami ze swej przegranej z królem Margiany, uprzytomniła mu na podstawie jego półsłówek tożsamość owych dwu doznań wzruszeniowych, wyciągając z niej wniosek, że widocznie prawdą było to, co jej mówiono, że on kiedyś Antymacha, jeszcze królewicza tylko, nie króla, pożądał i to nie bez wzajemności. Uwagę tę, oczywiście, z miejsca spróbował odeprzeć zwierzeniem, dotyczącym tak bardzo dawnych,

a przecież wciąż jeszcze żywych w jego pamięci snów o przyszłej królowej Margiany, nie udało mu się jednak ta próba tak jakby sobie życzył; Dionėja na wpół drwiąco, a na wpół ze smutkiem nazwała owe sny krzykiem, w obrazie senne przekształconym, wiekuistej tęsknoty greckiej za cudem, co by kobiety własnego narodu w takie wyposażył uroki, jakich duma grecka wolałaby — wbrew rzeczywistości — nie dostrzegać w kobietach Azji. Zaraz, zresztą, dodała, iż również nie przecenia wcale istotnej wagi możliwych czy kiedyś dawno czy nawet teraz jeszcze, załotów wzajemnych Antymacha i Heliadora; w świecie, pełnym takich kobiet jak baktryjskie i sogdyjskie sąsiadki czy miedzianowłose niewolnice masageckie — załoty tamtego typu to naprawdę nic więcej niż tylko rozrywka umysłowa, też właściwie sen, choć i z otwartymi oczyma przeżywany: duma plemienna znowuż każe wszystkim nienadto odważnym myślowo Grekom w podbitym kraju grać komedię wierności instynktów dla obyczaju ziemi dalekiej praocjów; naprawdę zaś wierność to tylko pewnym przesłankom myślowym. Wyczytali u Platona czy gdzie indziej, że kobieta to mniej doskonała istota od mężczyzny oraz to, że im doskonalszy przedmiot miłości, tym wznioślejsza się staje dusza zalotnika, więc udają jedni przed drugimi, że się wzajemnie tak pożądatają, jak uczestnicy dialogów platońskich, bo takie udawanie to świetne lekarstwo na udrękę ciągłej troski, czy „Tacyśmy wciąż jeszcze, jacy oni byli?” albo „Czy rozpoznaliby w nas siebie?” Rzecz jasna, że nie rozpoznaliby, bo aby być takimi jak oni, trzeba stałej bliskości morza i stałego tłoczenia się, duszenia wręcz, z pokolenia w pokolenie na małym i mało wydajnym skrawku ziemi ojczystej...

— Kto ciębie tego wszystkiego nauczył? — zdumiał się Heliodor.

— Zgadnij.

— Czyżby twoja zbawicielka i pierwsza wychowawczyni? niemożliwe!

— W samej rzeczy, niemożliwe.

— Nauczyciel? Też mało prawdopodobne.

— Bardzo mało prawdopodobne. Czemu jednak nie pomyślisz na przykład — że mój kochanek?

— Nie jestem teraz w usposobieniu, by się bawić najlepszym choćby nawet żartem.

Co do usposobienia nie przesadzał wcale. Kroki króla Margiany dawały się wcale dobrze słyszeć, ilekroć małżonkowie milkli oboje. Rozlegały się nieomal tuż nad ich głowami — Antymachos Eutydemida na nowo przeżywał wielki swój dzień: kierowania rozgromem floty masageckiej. Tak właśnie i w tym samym miejscu przechadzał się przed laty w czasie bitwy, starając się ogarniać wzrokiem kolejno wszystko, co działo się przed „Meandrią”, za „Meandrią” na lewo od niej, na prawo... Heliodor, wsłuchując się w te kroki, bliski był płaczu. Oto dał się wywieść w pole — chyba pierwszy raz odkąd pozostawał w służbie dynastii. Mniej jednak niż sama przegrana, martwiła go jej główna przyczyna. Ostatecznie największym wodzom zdarzało się przegrywać bitwy, — podobno nawet Hannibal Kartagińczyk, jeśli by się wierzyć chciało, przybyłemu niedawno z Zachodu kupcowi, przegrał jedną z barbarzyńcami rzymskimi, spod których ucisku wyzwolić przyrzekł był Greków Italii. A jeśli także on, bezsprzecznie największy z wodzów barbarzyńskich wszystkich czasów, to mógł jedną bitwę przegrać — na swoim polu działania — i Heliodor. Ale przybyły ów kupiec powiada, że Hannibal tak czy owak tę właśnie bitwę musiał przegrać, on zaś Heliodor, nie musiał, i na tym polega cała — a jakże bolesna, jak bardzo upokarzająca! — różnica. Rzymianie mieli podobno druzgocącą przewagę — czy miał też aż tak wielką przewagę nad Heliodoreм Antymachos? Otóż, niestety, nie miał i przewidując, że mieć nie będzie, postanowił podejść, usnąć — na chwilę chociażby, bo chwila by mu wystarczyła — tak dobrze sobie znaną i tak bardzo przez siebie cenioną, czujność przypadkowego przeciwnika. Właśnie przypadkowego! Heliodorowi wprost trudno było w to uwierzyć ale Antymachos zrazu nie wiedział wcale, że znajdzie go na pokładzie „Zgody Narodów”. Wręcz przeciwnie — przewidywał, że Heliodor musi być już w drodze do Indyj. — Antymachos bowiem, gdy dotarły do Antiochii Margijskiej wiadomości o chorobie jego bratanka i o przyczynach rzeczywistych czy domniemanych — tej choroby, od razu uznał za jedynie rozsądną dla Heliodora myśl zbawczą, tę właśnie, którą Heliodor sam bez żadnego prawie namysłu odrzucił: uciekać w pobliże Króla Wielkiego. Zapytany przez Heliodora, czy ma go — względnie jak Teofil, chce go mieć — za winnego

choroby Eutydemosa Młodszeo, król Margiany odpowiedział wymijająco, jak gdyby dając zapytującemu do zrozumienia, że dla królów urzędnik zaufany do zadań szczególnych bywa winny lub niewinny nie w sensie absolutnym, ale w zależności od tego, co w danej chwili może być przez nich, królów, uznane za dogodniejsze. Było to, właściwie, rozumowanie prawie nie różniące się od stanowiska, jakie zajął był Król Wielki w ostatnim, jak dotąd, liście swym do Heliodora, z tym jednakże, iż Demetrios wcale wyraźnie, z brutalną wręcz szczerością ujawniał, jaka by miała być cena za przymknięcie przezeń oczu na dowiedzioną choćby nawet Heliodorowi winę zamachu na członka dynastii, gdy odwrotnie Antymachos równie wyraźnie się wystrzegał wykraczania poza granice czysto teoretycznej wypowiedzi. Ponieważ rozmowa na ten temat prowadzona była zanim jeszcze stało się dla Heliodora oczywiste, iż nie będzie władny przeszkodzić królowi Margiany wejść na pokład „Zgody Narodów” — była taka chwila, iż skłonny był poza teoretyczną wypowiedzią dostrzegać ofertę doraźnej wymiany usług: „Jeśli wpuścisz mnie na okręt, możesz spodziewać się, iż świat uzyska podstawy do mniemania, jakobym ja osobiście najzupełniej był przekonany o twej niewinności”. Później, ale niestety, znacznie później dopiero jasne się stało Heliodorowi, że Antymachos na to właśnie bardzo liczył: na dopatrzenie się przezeń konkretnej oferty w czysto teoretycznej wypowiedzi, do czego też z dużą wcale starannością przygotowywał król Margiany odpowiedni grunt, tak silnie akcentując swe zdziwienie, iż Heliodor schodzi mu naprzeciw z pokładu, zamiast od szeregu dni już znajdować się w drodze do Pięciorzeczca Indyjskiego. Zdziwienie to, zresztą, było szczerze: Antymachos w drodze z Antiochii Margijskiej do Tarmity ominął Baktę, gdzie, rzecz jasna, zawczasu zostałby wyprowadzony ze swego błędu co do miejsca przebywania Heliodora; ale choć szczerze, a może właśnie dlatego iż szczerze, nie było to zdziwienie, graniczące z oszołomieniem. Mogłoby być, gdyby widok Heliodora, schodzącego z okrętu, był dla Antymacha całkowitym zaskoczeniem, ale nie był; gdy poprzedniego wieczora zajechał przed bramę cytadeli, od razu się dowiedział od Teodora, że się Heliodor znajduje na pokładzie „Zgody Narodów”. I wtedy to naprawdę czuł się zasko-

czony i długo nie chciał wierzyć, aż się Teodor obraził; dopiero gdy z przystani do cytadeli wrócili ludzie, których posłał na okręt z pakunkami...

— To wszystko jest bardzo ciekawe — przerwała mężowi Dioneja, unosząc się na obu łokciach — ale dlaczego on właściwie ominął Baktre? Lubił zawsze Eutydemosa, więcej niż wszystkich innych bratanków, czemu więc, będąc tak blisko, nie odwiedził ciężko chorego?

Gdyby Heliodor nie był tak bardzo przejęty wiadomością, że to sam król Margiany, a nie — jak mu się zdawało — Teodor w porozumieniu z „nauarchą” „Zgody Narodów”, przesłał był poprzedniego wieczora wielkie pakunki z popiersiami bogów, mające dodatkowo okręt i ozdobić i uświęcić, na pewno byłby pełen podziwu dla przenikliwości ujawnionej w pytaniu Dionei co do ominięcia przez Antymacha Baktry. A szkoda! — przyznawał się jej, gdy było już po wszystkim: — Gdybym na czas się spostrzegł, że masz wyjątkowe uzdolnienie do wyodrębniania z powodzi faktów tego, co naprawdę jest szczególnie ważne, może wręcz jedynie ważne, wiedziałbym, jak mam, jeszcze nim noc minie, pozbawić Antymacha wszystkich owoców odniesionego nade mną zwycięstwa... Powinien był — do czego też się przyznawał, ale znowuż dopiero gdy było już po wszystkim — dodać wówczas: „...i sam się owocami tymi pożywić”. Bo na tym polegała istota rzeczy, na tym bezcennaść broni, przez Dioneję mu podawanej, a przezeń na czas nie dostrzeżonej. Jakoż ostatecznie wydarł Antymachowi owoce zwycięstwa, ale wówczas dopiero gdy było już za późno na to, aby sam się nimi pożywił; gdy były już nie do tknięcia. Gdy — jednym słowem — wkroczył był już w życie Dionei i Heliodora oraz na pokład „Zgody Narodów” Leptynes.



## VII

Tuż prawie przed odpłynięciem Heliodor wybrał się raz jeszcze do cytadeli. Teodor przyjął go wyraźnie wrogo: nie był ciekaw, w jaki sposób udało się Antymachowi wejść na pokład w porze nocnej, wystarczyło, że wszedł, i tego właśnie Teodor Heliodorowi nie był skłonny przebaczyć. On by do cytadeli w nocy nie był wpuścił nawet Antymacha — niedwuznacznie mówiło jego spojrzenie, gdy zapytywał gościa z pokładu „Zgody Narodów” czym mógłby mu w chwili tak bliskiej już odpłynięcia służyć, a gotów był służyć wszystkim z wyjątkiem miotaczy strzał i kamieni; tych, o takim czasie, nie zamierza się wyzbywać. Owo „o takim czasie” odnosić się niewątpliwie musiało do stanu niepewności powszechnej co do wyniku choroby króla Eutydemosa. I tak to też zrazu zrozumiał Heliodor, i byłby tak rozumiał aż do chwili pożegnania, gdyby został do końca odporny na wrogość malującą się w spojrzeniu Teodora. Ale na szczęście dla nich obu, był Heliodor od jakiegoś czasu nieporównanie bardziej wrażliwy, niż dawniej, na objawy nieprzyjaznego do siebie stosunku i to bez względu na to skąd pochodziły. Odmiany tej w pełni był świadom, i bardzo miał ją sobie za złe, jak bardzo — świadczyło to, że nigdy na ten temat nie rozmawiał z Dioneją. Wstydziliby się wprost z nią o tym mówić, bo było dla niego, i teraz wciąż jeszcze jak przez lata i lata przedtem, rzeczą zupełnie oczywistą, iż, kto jak kto ale na pewno agent do zadań szczególnych w zakresie bezpieczeństwa i przy tym szczególnym też ob-

darzony od tyłu lat zaufaniem dynastii — zawsze musi mieć osoby sobie niechętne, wręcz go nienawidzące, prze-mysłiwujące nad sposobami, jakby go raz na zawsze, a bezkarnie dla siebie, unieszkodliwić. Nawet odruchy nie-chęci, z łona samej dynastii pochodzące, o ile nie trwały nazbyt długo, przyjmował dawniej jako zrozumiałe i uzasadnione zło konieczne: gdy po śmierci Eutydemosa Starszego, między synami zmarłego zaczęły się małe dla kogo, poza Heliodorem, dostrzegalne tarcia, uważał za coś zupełnie naturalnego, iż ludzie Antymacha zabili mu naj-pierw psa ulubionego, potem pięknego konia, wreszcie na-łożnicę; Apolodotos zaś wprost w oczy krzyknął mu kie-dyś, że każe go utopić. Potem gdy wszystko się uspokoiło, ten sam Apolodotos podarował mu wspaniały egzemplarz „Hipolita” Eurypidesa; Antymachos zaś własnego psa, własnego konia i własną nałożnicę, tę samą, od której w dwa lata później zaczęła Dioneja pobierać naukę w za-kresie sztuki miłosnej i to naukę zindywidualizowaną, bo mającą na względzie wyłącznie wymagania i potrzeby Heliodora. A i jeszcze wcześniej — i to znacznie wcześniej — gdy Eutydemos Starszy po kilku latach paraliżu odzyskał władzę w nogach i wyruszył osobiście na ostatnią swoją wyprawę — Demetrios, choć zasadniczo niezmiennie Heliodorowi życzliwy od czasu jego zaręczyn z niemowlęciem Dioneją, mając ostry zatarg z ojcem co do kie-runku wyprawy, nie zawahał się wrzucić ulubieńca do podziemnego więzienia na cały czas wyprawy tej trwania, ledwie spostrzegł, że Heliodor znajduje się w posiadaniu wiadomości, której ujawnienie pozyskałoby — wedle De-metriosa, ze szkodą dla przebiegu i wyniku wyprawy — wszystkie serca greckie w Baktrii dla planu sędziwego władcy. Wreszcie zaś, na samym prawie jeszcze począt-ku tak świetnej późnej kariery służbowej Heliodora, gdy zacięty późniejszy wróg jego Teofil wrócił z niewoli kilku-letniej u dalekich Tocharów i powołując się na swe powinowactwo z dynastią, odmówił zeznań co do przebiegu tej swej niewoli, Heliodor wcale się nie przejmował po-grózkami tegoż Demetriosa, gdy ten, młodzik zupełny jesz-cze spróbował osłaniać Teofila; śmiało złożył skargę na obu do założyciela dynastii i tyle osiągnął, że Teofil musiał zeznać, co wyraźnie dla samego siebie tylko chciał zachować: iż na pastwiskach Tocharów nie kończy się jeszcze

wcale okręg ziemski, ale że między pastwiskami tymi a Okeanosem rozciągają się ku wschodowi jeszcze dalsze obszary lądowe, wymagające może pół roku albo i więcej nawet, by przemierzyć je końmi. Długi jeszcze czas potem Demetrios dąsał się na Heliodora, a niekiedy to i wcale dotkliwie dawał mu odczuć, że nie jest łatwo żyć, gdy się ma przeciw sobie urażoną miłość własną najstarszego królewskiego syna, ale jakoś te objawy niełaski Heliodor przetrzymywał i robił swoje, a robił tak dobrze, iż właśnie od Demetriosia miał się doczekać najwyższego a trwałego uznania.

Teraz jednak oto nie mógł znieść wrogości, nawet spojrzeniem tylko objawianej, i to wrogości ze strony osoby tak mało właściwie znaczącej, jak dowódca cytadeli w Tarmicie, któremu dawno by już to stanowisko odebrano ze względu na objawy towarzyszącego wiekowi zniechęcenia, gdyby nie pamięć na wierność oliarną dla dynastii w najcięższych dla niej czasach. A nie był to bynajmniej pierwszy spostrzeżony u siebie objaw nadwrażliwości: przeciwstawiając się uporczywie wszelkim sugestiom Eutydemosa Młodszeo i jego otoczenia, mającym na celu przerwienie go z głównego szlaku między uroki dalekie Parykeny czy Fryniany. Przy całym tym swym uporze i stanowczości odkrywał w sobie równoczesne przygnębienie, rodzące się ze świadomości, że chcą się go pozbyć, i dużo go to trwanie w uporze kosztowało, tym więcej, że coraz częściej śniły mu się przyjazne twarze i po przebudzeniu długo musiał zmagać się z pokusą łatwego przemienienia snu w jawę z pomocą wyjścia naprzeciw życzeniom odmłodzonego Dworu w Baktrze. Nadwrażliwość tę zrazu skłonny był przypisywać swym latom, coraz się oddalającym od czterdziestki w kierunku pięćdziesiątki, ale nie zatrzymał się długo przy tym tłumaczeniu, bo oto Król Wielki był o blisko trzy lata starszy od niego, a Teofil o blisko dziesięć, ni w tym zaś ni w tamtym nie dostrzegał żadnych objawów podobnej nadwrażliwości. Gdy zaś przyczyn tej różnicy próbował jakiś czas doszukiwać się w niższości swego stanowiska w stosunku nie tylko do najstarszego Eutydemidy ale i do królewskiego, choćby nawet i dalekiego tylko, powinowatego, i temu też wytłumaczeniu zadawały kłam spostrzegane fakty: miał na przykład podwładnego, z którym wcale surowo — nie-

rzadko wprost niesprawiedliwie — się obchodził od lat z tego jedynie powodu, iż raz źle zrozumiał dany sobie przez Heliodora rozkaz, dotyczący sposobu tracenia kobiet-szpiegów masageckich; otóż podwładny ten niewątpliwie miał się za niesłusznie szykanowanego, ale jeśli zależało mu na prześlągnięciu Heliodora, to tylko w trosce o zabezpieczenie losu dzieci i wnuków, a nie aby doznać ulgi na widok nareszcie rozchmurzonego czoła zwierzchnika. A był ten podwładny o jakieś pięć lat co najmniej od Heliodora starszy. To samo właściwie należało odnieść do Teodora: znacznie od Heliodora starszy i w dużej mierze mu podległy, jako że cytadela Tarmity była przedmiotem szczególnej czujności ze strony dynastii a tym samym i zaufanego agenta dynastii do spraw bezpieczeństwa, nigdy nic sobie Teodor nie robił z tego, czy komu i jak się podobało lub nie podobało jego pojmowanie obowiązków dowódcy kluczowej twierdzy nad Oksosem. Nie dałby się żadnym namowom z niej przesunąć nawet na stanowisko wojewody najważniejszej satrapii, choćby i z tytułem „Krewniaka Królewskiego”; zwolniony zaś niedwuznacznym rozkazem, zapewne odebrałby sobie życie, albo — o co go niekiedy podejrzewano — wywiesiłby sztandar buntu, którego jedynym celem byłoby dać się zabić na szczycie najwyższej z wież narożnych cytadeli. Jeśli więc spojrzeniem tylko, a nie słowami, dawał wyraz oburzeniu i pogardzie dla ujawnionej przez Heliodora słabości w stosunku do żądania króla Margiany, to nie iżby cokolwiek mogło go obejść jak wysoki urzędnik służby bezpieczeństwa na słowną naganą zareaguje, tylko ponieważ Teodor uważał mowę za narzędzie rozumu, a nie uczuć, więc też użycie słów dla wyrażenia pogardy czy oburzenia wydawało mu się czymś, co równie nie przystoi rodzajowi ludzkemu, jak na wzór małą na dłoniach także chodzenie lub sięganie stopą po owoc.

Dla Heliodora było jasne, że gdyby nocy poprzedniej, zanim wpuścił był Antymacha na pokład, przyszedł do cytadeli i przedstawił jej dowódcy sytuację w jakiej się znalazł, Teodor mówiłby na ten temat bardzo dużo; teraz zaś, gdy Antymachos był już na pokładzie, niczego już nie miał Teodor do powiedzenia. Ale dużo miał do powiedzenia Heliodor. Tym więcej im trudniej mu właśnie było, jak czuł, znosić spojrzenie towarzyszące zdawkowym,

bezbarnym odezwaniom się jakimi Teodor najwyraźniej chciał co prędzej załatwić się z życzeniami tak mało pożądanego tym razem gościa. Toteż orzekłszy myślnie, że to miłość Dionei musi być ponad wszelką wątpliwość rzeczywistym powodem jego nadwrażliwości, Heliodor postanowił na później odłożyć wyciąganie wniosków z tego orzeczenia wypływających, a całą siłę swej umiejętności rozumowania skoncentrować bezzwłocznie na budowie mostu między wydarzeniami minionej nocy a słowem pomocnym Teodora, które wprawdzie niczego by już nie mogło odrobić z tego co się stało, ale władne było wiele zdziałać przy wznoszeniu przez Heliodora zapory myślowej przeciw następstwom tego, co już było nie do odrobienia. Pomoc ta wydawała się Heliodorowi tym niezbędniejsza, im mniej jej był dostał od Dionei, która w jego pretensjach do siebie samego w wyniku przegranej z Antymachem skłonna była dostrzegać akurat tyle sensu, co w samooskarżaniu się bądź rolnika, któremu cały urodzaj zniszczyły grady lub posucha, bądź też ulubionego pieska jej lat dziecinnych, co nie mógł z wysokości swych łapek dosięgnąć patyka, który jej ręka szybko przenosiła sprzed nosa psiaka wysoko ponad jej własną głowę. „Mój drogi” — powiedziała, wysłuchawszy do końca sprawozdania z przegranej — „bogiem albo się jest, albo się nie jest, ale jeżeli komuś raz, właśnie choćby raz tylko, przyznałeś prawo do zachowania się po bożemu, nie możesz odtąd ni siebie ni swych władz umysłowych stawiać na jednym z nim poziomie”.

Której to wypowiedzi Heliodor nie miał czym odeprzeć. Wątpił wprawdzie, czy można o nim powiedzieć, że przyznał Antymachowi prawo zachowania się po bożemu, bo ostatecznie przelotny uśmiech zadowolenia nie jest jeszcze żadnym sprecyzowanym „Bądź pochwalon”, ale poza tym zastrzeżeniem nie znajdował niczego, co by mógł ujęciu żony przeciwstawić. Może zanadto był wówczas znudzony tym, co miał tuż za sobą, a przy tym podrażniony krokami króla-boga, nagle objawionego tuż prawie nad sobą. Ale gdy siedział nazajutrz naprzeciw Teodora, wiedział, że właśnie za pomocą mowy, stosowanej jako narzędzie rozumu, a nie uczuć, potrafi obalić wywód żony, byleby Teodor dał mu się wciągnąć w dialog, co by musiał być prowadzony w tonie najwyższego wzajemnego

zaufania. Zapytał — niby w kategoriach czysto grzechnościowych — o wnuków Teodora, sieroty po jedynaku, obrońcy bohaterskim a tragicznym małej osady, Eutydemopola, na najdalszych kresach wschodnich nad-królestwa. Niezrażony bardzo zimnym, choć i nienagannie uprzejmym podziękowaniem, zaczął się zwierzać ze swych obaw, że choć dobrze jemu i Dionei z sobą, lada chwila może ona odczuć brak towarzystwa rówieśników, że zaś Teodora mało co młodsza jest od niej, więc nieraz myślał... „Teodora niezadługo wychodzi zamąż”, równie zimno i równie uprzejmie, co przedtem, przeciął mu w połowie zdanie pierwszy jego na terenie Baktrii przyjaciel a raczej opiekun.

Heliodor z przyjemnością stwierdził bezgłośnie że most, powoli i z trudem, ale przecież się buduje. Znamienne, a bardzo pocieszające wydało mu się to, że rozmówca nie był udzielił tej — bądź co bądź bardzo ważnej w życiu rodziny — wiadomości, wtedy kiedy najwłaściwszy był po temu czas : w odpowiedzi na pierwsze ogólne pytanie, wnuków dotyczące. Bo oto okazywało się, że lód wrogości, który tyle chłodu wciąż jeszcze nadawał i spojrzeniu i głosowi Teodora, najniedwuznaczniej gdzieś u samej swej podstawy topniał. Oczywiście, Heliodor był za ostrożny, aby miał wyciągać nazbyt pochopne, nazbyt przyjemne wnioski ze swych spostrzeżeń: myśl, że Teodor z pełną świadomością stawiał się miękki pod wpływem ciepła sugestii, określającej jego wnuczkę jako najodpowiedniejszą towarzyszkę dla Dionei, była bardzo ponętna, ale jej się nie dał urzec; przeciwnie, w tym, że Teodor przecież się zdecydował — choć i nie we właściwym czasie — powiedzieć mu o bliskim zamążpójściu wnuczki, dopatrywał się raczej jedynie zatroskania, by odmowa, tak czy owak tego dnia nieunikniona, została możliwie najuprzejmiej a najprzyzwoiciej umotywowana. Ale sięgając po takie właśnie umotywowanie, nie żadne inne, Teodor musiał być w pełni świadom ceny, jaką nieuchronnie powinien był zapłacić: oto dawał Heliodorowi prawo na szereg dalszych pytań, na siebie zaś brał obowiązek udzielenia na nie odpowiedzi. Skoro się przed kimś ujawniło projektowane na czas już niedaleki zamążpójście wnuczki, nie sposób wziąć temu komuś za złe objawów zainteresowania dla dokładnego terminu, dla osoby narzecz-

nego, miejsca i charakteru uroczystości ślubnych, a nawet dla okoliczności, które towarzyszyły bądź powolnemu dojrzywaniu decyzji, ustalającej ten właśnie, a nie inny czas; tę właśnie, nie inną, osobę narzeczonego. Chyba że za całym projektem kryłoby się coś tajemniczego lub dwuznacznego — ale tajniak z doświadczeniem Heliodora od razu byłby coś takiego wytropił w tonie, jakim wiadomość została udzielona, czy w wyrazie twarzy, oświadczeniu towarzyszącym. Nie wytropił jednak nic, bo niczego takiego — tego był pewien — do wytropienia w ogóle tu nie było.

Ale nawet z takim doświadczeniem tajniak czegoś nie przewidział: że świadom ceny, jaką musi płacić, Teodor zechce dokonać wypłaty przez zwyczajowo przyjętymi terminami, że zamiast odpowiadać na dalsze pytania wyprzedzi je samorzutnie, co prawda w sposób dość niezwykły, bo przypominający kupca, który mając wyznaczony sobie termin pewnej płatności w rynku głównym w Baktrze na siedemnasty Apelajosa, wywiązałby się z niej już siedemnastego Hyperberetajosa roku poprzedniego, ale przywożąc z Kapisy pieniądze nie drogą zwykłą poprzez przełęcz Parapamisu, tylko okrężną, co by go wiodło przez Aleksandrię Aryjską i Margijską Antiochię. Oczywiście, miałby prawo powiedzieć, przyciśnięty do muru powszechnym zdziwieniem: „Podróże wysokogórskie są nazbyt ryzykowne”, ale musiałby się narazić na zarzut co najmniej posiadania nadmiernej skłonności do dostawiania zawrotów głowy; jaki to zarzut, kupcom stawiany, zazwyczaj nie przyczynia się do umacniania ich kredytu.

Więc tak samo i Teodor narażał swój kredyt — innego, co prawda, zupełnie rodzaju niż kupiecki — kołując w drodze do oświadczenia, które zdecydował się złożyć zanim jeszcze padły pytania, na które oświadczenie to powinno być odpowiedzią. Ku wielkiemu zdziwieniu Heliodora zaczął mówić o Dionei. Nazwał ją żywym symbolem samej istoty nad-królestwa Eutydemidów: Greczynka mogła przetrwać jako taka, a i w ogóle żyć, nie dzięki greckim swym rodzicom, ale ponieważ tubylcza kobieta zbuntowała się w obronie greckiej krwi przeciw jednej z najbardziej typowych tejże krwi dążności odwiecznych: do bezwiednie popełnianego samobójstwa. Jak gdyby kamienie, przemienione przez Deukaliona i Pirrę w tętniące

życiem istoty ludzkie, nigdy nie przestawały, wbrew wszystkim pozorom, źle się czuć będąc czymś innym niż kamieniami. Kamienie, zresztą, z greckiej najwidoczniej tylko ziemi. Żaden inny naród pod planetami — wywodził Teodor — nie wkłada tyle wysiłku myślowego i mięśniowego w dzieło przekształcania powrotnego jak największej ilości własnej żywej płynnej krwi w szybko krzepnące nieruchome kałuże. On, Teodor, ma co do istoty tego zjawiska swoją własną teorię, którą już był się dzielił z tym czy owym i znalazł tu i ówdzie posłuch, a nawet poklask. Oczywiście, taki poklask dla teorii niczego nie zmienia, ale godzi się, by ktoś, kto samobójstwo popełnia, wiedział, co robi, a nie udawał sam przed sobą, że broni swych praw do pełniejszego, bujniejszego życia. Czy Heliodor zauważył, że Grecy, wiele rzeczy umiając robić mniej lub więcej dobrze, doskonalili się w jednym tylko: w sztuce rzeźbiarskiej? Doskonalili, i jako twórcy i jako odbiorcy. Najinteligentniejszy, najwrażliwszy Irańczyk czy Chaldejczyk — a podobno i Ind, jak mówią — nie jest zdolny wykrzesać z siebie dziesiątej nawet części tych doznań wrażeniowych czy myślowych, jakie doskonały kształt, w kamieniu utrwalony, wywołuje w przeciętnym zupełnie Greku. Właśnie w kamieniu utrwalony kształt! Skąd to pochodzi? Czy nie z tęsknoty właśnie puszczonej w ruch przez Deukaliona i Pirrę greckiej krwi do dawnego swego stanu, stanu nieruchomości, byleby to piękna była nieruchomość?

Heliodor słuchał nadzwyczaj uważnie. I nadzwyczaj też przychylnie. Bo oto Teodor wiódł go bezwiednie tam, gdzie on, Heliodor, bardzo pragnął się znaleźć. Wiódł ku możliwości postawienia mu pytania, czy wiedział, jakie to rzeźby wysłał król Margiany na pokład „Zgody Narodów”. Oczywiście, należało wystrzegać się zbytniego pośpiechu. Niech Teodor zdąży tam, gdzie Heliodor chce go mieć, tak długo i takimi drogami, jak mu się to tylko będzie podobało. Heliodor ma czas. A wraz z czasem i pewność, że do tak ważnej sprawy rzeźb greckich — dla obu ważnej, choć dla każdego inaczej — powrót zewsząd będzie możliwy, ba, łatwy. Stamtąd zaś z kolei tym łatwiej będzie zaprowadzić rozmówcę wszędzie tam, dokąd uzna Heliodor za stosowne — im więcej zostawi mu się uprzednio swobody wypowiedzenia się.



— Mniemasz, że to ty ocaliłeś Dioneję — mówił Teodor, podpierając swój mocno zwiędnięty, zapadnięty, a starannie wygolony policzek czterema palcami, ułożonymi prostopadłe nieomal do całej reszty dłoni, a równolegle do wspartej łokciem o płytę marmurową stołu, wydatnie zgiętej w przegubie ręki: — Nie ty sam, zresztą, wszyscy tak sądzą, w pierwszym rzędzie Dioneja sama. Ale gdyby nie odruch Aspionii, twoja gorliwość służbowa na nic by się nie była przydała. Gdyby nie jej odważny upór, nigdy byś się na zaręczyny z niemowlęciem nie zdobył. Czy ci żona mówiła może kiedy, że jej się śni dławiony noworodek, którego chce ratować, a nie może, przy czym lęk, jakiego we śnie doznaje, jest dwoisty, bo niemowlę we śnie to także ona sama? Moja synowa miewała takie sny. Ale nie miała ich nigdy moja żona. I znowuż nie będzie ich mieć moja wnuczka.

Oderwał cztery palce od policzka, by na odmianę oprzeć je wraz z dużym, koniuszkami wypielęgowanych paznokci, o samo skrzyżowanie dwu srebrnych jak gdyby przecznic, rozbijających marmur płyty na trójkąty. Ale że co chwila końce paznokci od białego metalu odrywał, by znów go za chwilę dotknąć, i tak w kółko — odtąd słowom jego towarzyszył miarowy wtór bębnienia, który zrazu Heliodora bawił, potem nudził, wreszcie drażnił.

— Sen, pełen okropności, to objaw protestu w śniącym przeciw tym okropnościom. Co mianowicie w nim tak ów protest zgłasza — nie wiem; może jednak ktoś gdzieś wie albo kiedyś będzie wiedział. Ale naprawdę to nie jest wcale ważne: kto lub co w nas protestuje, tylko to, że protest w ogóle zostaje zgłoszony. W snach mej żony się nie odzywał, bo jeszcze nie wiedziała, że jest przeciw czemu protestować; nie odezwie się w snach mojej wnuczki, bo ta będzie wiedziała, że nie ma już przeciw czemu protestować.

— Przygotowujesz zamach stanu, którego celem byłoby odebranie rodzicom prawa do odrzucania niepożądanych dzieci? — zażartował Heliodor. — Strzeż się. Mówisz z tajniakiem.

— ...Który — również żartobliwie odparł Teodor — od dawna już jest winien zbrodni odezwania się na pierwszy, daleki jeszcze sygnał, do zamachu stanu wzywający. A, o ile wiem, kara za udział w zbrodniach stanu

przewidziana jest dla tajniaków trzykroć surowsza, niż dla nas, zwykłych śmiertelników.

„Zwykli śmiertelnicy — to bardzo dobrze” — zanotował w myśli Heliodor. Liczba ścieżek bocznych, wiodących z powrotem ku sprawie dostania się Antymacha na pokład, coraz rosła.

— Tajniakom — powiedział wcale już wesołym głosem — niekiedy uchodzi na sucho udział w zbrodniach stanu, ale też tylko im. Ba, niekiedy wprost im się to poczytuje za święty obowiązek.

— Może jednak nie tylko im? Masz dobrą pamięć?

— Nie najgorszą, powiadają.

— Zaraz sprawdzimy. Co trzymałem w rękach, gdyśmy pierwszy raz w życiu spojrzeli sobie w oczy lat temu dwadzieścia pięć... nie... sześć?

— Dwadzieścia siedem. W lewej ręce trzymałeś puszkę z której prawą wyjmowałeś trzykrotnie przewiązany fioletowym sznurem zwój.

— Zawsze podejrzewałem, Heliodorze, że jakaś straszna musiała być to tajemnica, co kazała tobie, wyrostkowi, przetrzymać się od tych, z którymi tu zawędrowałeś, do nas w tej dokładnie chwili, gdyśmy — wedle ciebie i twoich — znajdowali się o krok od zagłady. Ale nigdy aż dotąd nie sądziłem, żeby to była aż tak straszna tajemnica.

— O której, jakieś mnie wtedy zapewnił, nic nie chciałeś wiedzieć.

— Po dziś dzień nie chcę. Ale skoro tak znakomicie utrwaliła się w twojej pamięci owa, tak dawno minioną chwilą, nie zapomniałeś chyba także i tego, com ci, płaczącemu, zalecił wówczas?

— Bym się ukrył na dwa dni choćby pod ziemię, tak byś, gdy ciebie zapytają o mnie, powiedzieć mógł a mówiąc to, nie skłamać: „Nie wiem, gdzie on jest. Szukajcie!” I jeszcze dodałeś: „Co za czasy! Ludzie, zamiast biec się do końca lub zawierać pokój, stadia i stadia wybrzeża przebiegają, szukając wróżek, co by im powiedziały, jak długo jeszcze będą żyli. Za wróżbę pół majątku oddają. Co za radość dla masageckich kobiet-szpiegów”.

— Więc też w spódnicy i w chustce na głowie i z kupą wołoku między piersią a przestronną szatą przez dwa dni wróżyłeś. Potem zaofiarowałeś mi wszystko, coś zarobił, a było tego dużo.

— Najłżejszego miedziaka nie przyjąłeś.

— Bom Grek, a więc chytry kupiec. Wołałem nie przyjąć wtedy długu, bo bym stracił odsetki za tyle, tyle lat. Ale teraz — właśnie teraz — nadszedł czas: płąć, Heliodorze.

— Czy złotem?

— Nie. Odpowiedzią na jedno jedyne pytanie: Czy Dionėja zna twoją tajemnicę?

Przez dwadzieścia siedem lat służenia Eutydemidom nie jeden raz wyrwało się Heliodorowi: „Głupstwo zrobiłem. Szkoda!” Ale zawsze było to niezadowolenie — właśnie tylko niezadowolenie z posunięcia, które nieoczekiwanie okazywało się zawodne wtedy i tam, gdzie i kiedy Heliodor tyle sobie po nim obiecywał. Nigdy jednak dotąd — na przestrzeni wszystkich tych dwudziestu siedmiu lat — nie zdarzyło mu się znaleźć w sytuacji, co by go zmuszała do zrewidowania słuszności któregośkolwiek bądź z rozwiązań, na jakie się decydował w momentach wyjątkowo ważnych służbowo lub życiowo. Nigdy dotąd nie musiał sobie powiedzieć: „Nie powinienem był w ogóle na tę drogę wstępować”, najwyżej: „Chyba lepiej będzie, bym w tym miejscu z tej drogi zбочył”, a w najgorszym razie: „Czy nie warto zawrócić?” Ale teraz nie bardzo wiedział, czy będzie miał w ogóle dokąd wracać; rozmowa, która aż dotąd zdawała się toczyć jak najpomyślniej dla niego ku zakrętowi, skąd bez trudności już mógłby nią kierować całkowicie wedle swego upodobania, przedstawiła mu się nagle jako zręcznie obmyślona przez Teodora przynęta, za pomocą której można było rozmówcę zaprowadzić w potrzask. W jednej chwili Heliodor zmienił zupełnie zdanie o sensie istotnym ujawnienia przez Teodora nowiny o bliskim zamażpójściu wnuczki. To właśnie była przynęta; Heliodor myślał, że Teodor nie chce z nim w ogóle — pomijając zdawkowe uprzejmości — rozmawiać, więc szukał — pomyślnie, jak sobie wyobrażał — sposobów, by go na rozmowę wyciągnąć; tymczasem Teodor robił cały czas zupełnie to samo, ale z większym — jak się to okazywało — powodzeniem; rozmowa przybrała taki obrót, jakiego od początku musiał Teodor wyglądać: Heliodor, chętnie odpowiadając na pytania, pozwalające mu bądź popisać się świetnością własnej pamięci, bądź się rozczulić nad przeżyciami czasów dawno minionych

— niczym dziecko za rękę, dał się Teodorowi doprowadzić do miejsca, gdzie nań czyhało pytanie, zapewne dawno przygotowane i ponad wszelką wątpliwość z jakimś złowrogim przygotowane celom. Odpowiedzieć na nie nie chciał — ale w okolicznościach jakimi starannie a zrećźnie zostało zawczasu obstawione — tak czy owak, musiał jednak odpowiedzieć.

Otóż to: tak czy owak. „Tak” to by znaczyło z prostotą i bez wahania powiadomić Teodora, że nie, nie zna Dioneja jego tajemnicy. I może kiedy indziej, w podobnej znalazłszy się sytuacji, wybrałby to „Tak”, po czym by dodał: „Na jedno jedyne pytanie odpowiedziałem. A teraz, sędziwy przyjacielu, dobroczyńco mojej młodości, wytłumacz mi, jakim sposobem wnuczka twoja wolna się stanie na zawsze od grozy niemożności wychowywania rodzonych przez siebie dzieci”.

Ale po nocy minionej, nocy, która zakończyła się prośbą dwojście wyrażoną Dionei o dziecko — nie czuł się na siłach sięgnąć po owo „tak” musiał więc rozejrzeć się za jakimś „owak”. Mogła nim być stanowcza odmowa udzielenia na takie pytanie odpowiedzi — albo też odpowiedź kłamliwa lub wykrętna. Oczywiście, sięgając po którąkolwiek z tych trzech możliwości, musiałby się liczyć z następstwami, które mogłyby mu kazać gorzko pożałować dokonanego wyboru, a których — choć bardzo się wysilał myślowo — zupełnie teraz nie był w stanie przewidzieć. On, czyja cała kariera wspierała się naprawdę na wielkiej umiejętności przewidywania, jak ten a ten czy ta a ta zareaguje na to a na to! Musiał być bardzo znużony. Nie dziw: cała minioną noc — a szczególnie jej zakończenie! I żebyż jeszcze zakończenie to nie zawierało w sobie znamion sygnału, że Dioneja — choć całkowicie bezwiednie, tego był pewien — ale przecież niedwuznacznie zaczyna już krążyć wokół jego tajemnicy.

Nagle olśniła go myśl: między zachowaniem się Dionei u schyłku minionej nocy a oszałamiającym pytaniem Teodora musi istnieć związek nie tylko przypadkowy. Przebiegł szybko pamięcią cały odcinek dnia, poprzedzający jego przybycie do cytadeli. Nie, Dioneja nie schodziła na brzeg, nawet z poziomu tarasu w ogóle na pokład główny nie zeszła. Z kim rozmawiała? Wysiłkiem wielkim pamięci, zawsze u niego bardziej bezradnej w obliczu

wrażeń najświeższych niż dawno doznanych, przywołał w pobliże żony pięć czy sześć postaci i twarzy. Szybko wyeliminował te, których nie sposób w ogóle było brać w rachubę. Skoncentrował się myślą na trzech, potem na dwu, wreszcie na jednej osobie. W miarę potęgowania się wysiłku koncentracji mijało znużenie. Zwolna ogarniało go coś, co podobne było do reakcji jego lat młodych na pierwsze dwie szklanki wysokogatunkowego wina. Tak się czuł niegdyś, gdy jasne stało mu się źródło nagłego z bogacenia się siostry i kochanki zarazem Wielkiego Koniuszego. Tak się czuł, gdy dwoiście kołysany wyczytał w na wpół przymkniętych oczach najbardziej uroczej kochanki swojej bolesną prawdę: to szpieg masagecki, mający sobie zleczone zatopienie „Meandrii” tuż przed wielką bitwą. Tak się czuł, gdy tuż nad brzegiem przepaści, której na imię Niełaska, dostrzegł ocalenie dla siebie i wielką usługę dla dynastii w pomysłach zaręczyn z niemowlęciem, co zdobywszy prawo do życia, miało zostać nazwane Dioneja.

Niemowlę, zdobywające prawo do życia. Dioneja, jego niezwykła narzeczona, teraz żona, minionej nocy dwoiście, bo i słownie i skurczem prawie skutecznym głębin swej kobiecości, próbująca daremnie uprosić go „miejmy dziecko”... Jasność przed nim rosła.

— Teodorze — rzekł głosem równym, spokojnym a przecież tętniącym radością niezachwianej pewności: — Nim ci na twoje odpowiem pytanie, chciałbym wiedzieć, czym dobrze zgadł sens twego napomknięcia na to, że nie tylko tajniakom przebacza się, a i zaleca niekiedy zamach stanu, taki na przykład jak uwolnienie raz na zawsze swej wnuczki od strasznych snów o dławionych niemowlęciach. Teodora Greczynka wychodzi zamąż za Spitamenesa Sogdyjczyka, zastępcę kierownika urzędu tłumaczeń przy osobie Króla Wielkiego — nieprawdaż?

— Rzekłeś, Tajniaku Wielki, Tajniaku nad tajniakami. Przyznaj się: czy jesteś bogiem?

— Niestety, nie jestem. Gdybym był nim, nie byłbyś spoglądał na mnie tak wrogo zaraz jakem tu wszedł. Starłbym się z królem Margiany jak równy z równym i nie wpuściłbym go na pokład „Zgody Narodów”.

Teodor westchnął boleśnie.

— Więc jednak on się ogłosił bogiem — wyszeptał

i nagle wygolone starannie policzki wydały się jeszcze bardziej zapadnięte i zwiędłe. Starczo drżąca ręka już nie bębniła miarowo po skrzyżowaniu dwu długich a wąskich sztab białego metalu, opadła bezwładnie na jeden z marmurowych trójkątów. Odrywała się od niego długo a z trudem, gdy jednak wreszcie się oderwała, choć wciąż trzęsąc się, zdołała przecież wskazać Heliodorowi najpierw schowek z kluczem, potem drugi z zamkiem, który tym tylko właśnie kluczem można było otworzyć. Otworzywszy, Heliodor zobaczył skrynkę, a w niej — po uchyleniu wieka, sposobem, przez Teodora sobie wskazanym — inną, znów zamkniętą na ten sam klucz, jakim chwilę temu otworzył schowek, ale nie tak samo: klucz tu trzeba było w odwrotnym przekręcać kierunku i to kilka razy, a przy tym w jakiś szczególnie przemyślny sposób. Twarz Teodora się wypogodziła. „Jeśli Tajniakowi nad Tajniakami z takim trudem to przychodzi...” zaczął z wyraźnym zadowoleniem, ale nie zdążył skończyć: wieko małej skryнки odskoczyło z silnym trzaskiem. Heliodor wydał głośny okrzyk, w którym mieszały się z sobą wzruszenie i zdumienie. Oto widział puszkę, taką samą, z jakiej przed dwudziestu siedmiu laty Teodor wyjmował przewiązany trzykrotnie fioletowym sznurem zwój. „Źle — to ta sama, nie taka sama”, poprawił się, spostrzegając iż słoniowi na płaskorzeźbie, zdobiącej pokrywę, brakuje kła, który odłamało było — jak mu wtedy powiedział Teodor — drugie dziecko królewskie, Antymachos.

— Przynies ją tu i otwórz.

Przyniósł, otworzył — mniej już był zdziwiony, ale bardziej jeszcze wzruszony. Aż do łez, mimo — a może właśnie dlatego — iż piękny fiolet sznura, trzykroć opasującego zwój, wcale mocno już wypłowiwał.

— To samo — wyszeptał.

Teodor radośnie się zaśmiał. Brzmiał ten śmiech niewiarygodnie młodzieńczo. A toż samo i głos wesoły, mówiący poprzez kaskady śmiechu: „Są tajniki i dla Tajniaka nad Tajniakami niedostępne. Agent zaufany dynastii! Nie taki już zaufany — postrzegam... Wiesz, byłem pewien, że ty nie pierwszy już raz całą tę drogę palcami rąk przebywałeś. Myliłem się. Od razu poznać, że to dla ciebie Indie za Pięciorzeczem. Wszyscy się zresztą mylimy. My, śmiertelnicy zwyczajni, i Tajniacy nad Taj-

niakami. Rzekłeś oto chwilę temu: to samo. A to nie jest to samo, coś widział w moich rękach dwadzieścia siedem lat temu”.

— Odłamano kiel słońowi na pokrywie innej puszkki? Żeby nie można było odróżnić — tak?

— Ależ nie: puszka w samej rzeczy nie inna. Inny — zwój. I zawartość zwoju. Choć i podobna. Bardzo nawet podobna.

— Cóż to jest?

— Wzlot oszałamiająco wspaniałą greckiej myśli czy jakby platonicy rzekli, duszy greckiej. A wedle mnie — nie tyle wzlot, co objaw najjaskrawszy najsilniejszej tęsknoty krwi greckiej do stanu powrotnego skamienienia. Innymi słowy: sygnał do popełnienia masowego samobójstwa.

— Dla kogo sygnał? — zachnął się Heliodor.

— Dla zjednoczonych w nadkrólestwo królestw greckich w sercu Azji. Choć może się myłę. Może to tylko wyzwanie, rzucone Heraklitowi filozofowi, co niegdyś rzekł był, że skoro wszystko płynie, nigdy nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Ale nikt jeszcze dotąd nie wymagał od tajniaków by byli filozofami. Więc powiem po prostu: jest to próba powtórzenia zabawy z wielkim ogniem, która raz się udała. Wiesz — kiedy? Gdyśmy spojrzeli sobie w oczy po raz pierwszy. Pamiętasz? Kojarzysz?

Kojarzył i pamiętał. Co, zresztą, o tyle łatwiej mu przychodziło, iż był to teraz już jak gdyby logiczny ciąg dalszy rozmowy, prowadzonej z Dioneją na schyłku minionej nocy. Chcąc odwrócić jego uwagę od posępnych myśli, wywołanych przegraną z królem Margiany, pociągnęła go w pewnej chwili z powrotem w niedawny czas, gdy przedmiotem jego zatroskania była możliwość nasłania przez Teofila morderców na Inda Mankurasa i Spitamenesa Sogdyjczyka oraz pogłębiająca owo zatroskanie pewność, że potężna cytadela Tarmity okazałaby się bezradna w obliczu takiego zamachu, gdyż załoga jej, sami Grecy, odmówiliby rozpraszania pociskami z miotaczy tłumy, złożonego z samych pobratymców — tak jak to raz już przed laty było się zdarzyło. I tu właśnie zaczynało się coś, czego Heliodor nie rozumiał, a zrozumieć bardzo chciał. Że Dioneja starała się oderwać jego myśli od świeżo doznanego niepowodzenia, o niego bezinteresownie zatros-

skana — w to nie wątpił. Ale czy w samej rzeczy żaden uboczny nie przyświecał jej cel, gdy ku ściśle określone-  
mu przedmiotowi jego myśli kierowała — tego już nie był  
tak pewien. Nawiązując do jego własnych smętnych  
uwag na temat bezradności cytadeli w określonej sytuacji  
— zapytała nagle: „Powiedziałeś, że bezradność ta tak  
jaskrawie wystąpiła w roku sto piątym — co to znaczy?  
W sto piątym po czym, po jakim wydarzeniu? Bo oto  
mówimy: teraz jest rok siódmy, albo rok dziewiąty, i zna-  
czenie obu terminów jest zupełnie jasne: siedem lat temu  
Eutydemos, syn Demetriosa, objął władzę nad Baktrią,  
Sogdianą, Parykeną i Frynianą; dziewięć lat temu Deme-  
trios, syn Eutydemosa Starszego stał się Królem Wielkim.  
Ale co się stało sto pięć lat temu? Nie śmieję się ze mnie,  
jeśli to głupota wielka z mej strony nie wiedzieć, a jeszcze  
większa głupota do tego, że nie wiem, przyznawać  
się. Tym większa, iż padła ci z ust ta data tak, jak gdybyś  
najmniej nie miał wątpliwości, że dla każdego, a więc  
i dla mnie też, musi być jasne zupełnie, co miałeś na  
myśli”.

Czy on naprawdę sądził, że dla każdego, a więc i dla  
niej też, musi to być zupełnie jasne? Pochylony nad sto-  
łem, po którego drugiej stronie Teodor rozplątywał zawile  
węzły wypłowiałego fioletowego sznura, uczuł nagle, że  
zaczyna go ogarniać jakieś ogromne zniechęcenie. Oto za-  
nosiło się na coś bardzo ciekawego, — coś, co może wy-  
magало skupienia całej jego uwagi, a zapewne i wszyst-  
kich innych władz umysłowych — on zaś oto musi wysi-  
lać i uwagę i owe inne władze nad rozplątywaniem węz-  
łów, których zaplątanie tak czy owak skutek już swój  
wydało w postaci tego, co się teraz dzieje, a i jeszcze da-  
lej będzie się nieuchronnie działo tu na jego oczach. Do-  
ciekać istotnego sensu pytania Dionei o rok sto piąty to  
by znaczyło uprzytomnić przede wszystkim, czym dla nie-  
go samego było wymienienie tej daty w rozmowie z nią  
i w rozmowie właśnie wtedy, a nie kiedy indziej, przy  
czym jasne widzenie tego z kolei znaczenia było utrud-  
nione poprzez znalezienie się między chwilą obecną a tam-  
tą dwu zmętnionych zwierciadeł jak gdyby dwu jego  
własnych reakcyj myślowych na tę samą sprawę wymie-  
nienia przez siebie roku sto piątego w dwu innych jeszcze  
chwilach. Był bowiem moment, gdy od niechcenia, nie-



spostrzeżenie wręcz rzucił to sformułowanie „Rok sto piąty” — był inny, w którym, inaczej niż w poprzednim, wiedział, że Dioneja na sformułowanie to uwagę zwróciła i chce wyjaśnień; był jeszcze inny, gdy pod wpływem nagłego widoku znanej sobie właśnie z roku sto piątego puszki wrócił Heliodor pamięcią do owego spostrzeżenia i zaciekawienia Dionei — by wreszcie teraz oto z oczyma, utkwionymi w wolno rozluźnianym sznurze, doznać zniechęcenia, a zarazem potem i rozdrażnienia w obliczu tych wszystkich powikłań, które na odmianę on, nie Teodor, miał rozplątywać. W każdym z tych czterech momentów — naszeptywały mu zniechęcenie i rozdrażnienie — było ich troje: on, Dioneja i „Rok sto piąty”; w każdym też z nich on, Heliodor, był już lub jeszcze czymś innym, niż w następnym momencie czy poprzednim: wiedział bowiem o stosunku wzajemnym między nimi trojgiem więcej niż w każdym poprzednim, mniej niż w każdym następnym. Ale i Dioneja i „Rok sto piąty” też były coraz to czymś innym — węzły więc do rozwikłania mnożyły się i mnożyły, niczym głowy Hydry Lernejskiej, ścinane przez Heraklesa, bo na miejscu jednego rzekomo rozplątanego pojawiało się kilka nowych. Więc też jak Herakles albo może bardziej jeszcze jak Aleksander, syn Filipa, gdy nad węzłem Gordyjskim się pocił, na radykalne zdecydował się rozwiązanie: nie będzie ani przez ułamek chwili dłużej zastanawiał się nad tym, co spowodowało, iż odkąd wszedł do cytadeli, mówił, słyszał, myślał i czuł to właśnie a to — cały natomiast, wszystkimi władzami swego umysłu, wszystkimi zdobyczami swego doświadczenia nastawi się na udział w tym, co za chwilę z tego, co słyszał, mówił, myślał i czuł, wyniknie. Będzie jak niemowlę, bezwiednie nastawiające się na udział w sprawach świata, który przyjmuje takim, jakim ten świat — wchodząc w życie — znalazło.

## VIII

— Jest nas tu wokół Antymacha — powiedział Teodor — pięcioro co najmniej, a raczej, wbrew wszystkim pozorom, co najmniej sześcioro, takich, co zadajemy sobie pytanie „Dlaczego chciał wejść na pokład „Zgody Narodów” właśnie w nocy, skoro bez żadnych trudności mógł to zrobić w kilka godzin później?” Pytamy o to — właśnie my sześcioro — nie pustą ciekawością kierowani, ale troską o cechach zaniepokojenia, takiego, jakie się odczuwa na widok wzbierającej wyżej niż zwykle Wielkiej Rzeki. Troskę tę u każdego z sześciorga odmienne rodzą pobudki, odmiennosc ta jednak nie przeszkadza nam otoczyć ciasno Króla Margiany zwartym pierścieniem czujności, której przedmiotem — znowuż wbrew wszystkim pozorom — mniej jest sama zagadka jego pośpiechu, a bardziej przyszłe, choć właściwie może już dokonywujące się, następstwa powodzenia, jakim ów jego pośpiech został uwieńczony. Nie mówię, że wspomniana zagadka, jako taka, nikogo z nas sześciorga nie obchodzi; owszem, obchodzi wszystkich, ale naprawdę to tylko jako klucz, którym najłatwiej jest otworzyć drzwi, wiodące do tajników, gdzie kryją się dalsze Antymacha zamierzenia. Szukając tego klucza, wszyscy sześcioro jesteśmy tajniakami, choć nie wszyscy zawodowymi; otóż jak dotąd, zawodowi pozostają w tyle, bo niewątpliwie najbliższej ukrytego klucza, gdziekolwiek jest, znalazła się Dioneja, zapytując męża: „Czemu właściwie w drodze z Margu do Tarmity ominął Antymachos Baktrę?” Wedle mnie, mając odpowiedź na

to „Dlaczego?” — będziemy w stanie bez żadnej już trudności odgadnąć całą resztę. Nie wchodźmy teraz, Heliodorze, w to, jakimi drogami dotarła do mnie wiedza, iż takie pytanie zostało ci przez żonę postawione. Tajniak nad Tajniakami zawsze będzie miał sposobność drogi te sam wytropić, byleby miał na to czas. Ale właśnie teraz nie czas na to — musisz wrócić jak najprędzej możliwie na okręt — ograniczmy się więc do tego jedynie, co naprawdę koniecznie powinno być między nami, nim się rozstaniemy, powiedziane.

„Wyraźnie się dziwisz temu, iż powiadam: jest nas — wbrew pozorom — sześcioro. Ale tak jest — bo musisz dodać do siebie, mnie, Dionei, Mankurasa i Spitamenasa jeszcze kogoś, o kim, oczywiście, pomyśleć nawet nie mogłeś, bo nie wiedziałeś, że przedostał się on na okręt jako jedna z osób, królowi Margiany towarzyszących. Mówię o Teofilu. Nie rozpoznałeś go, bo w ogóle dotąd przy świetle dziennym nie widziałeś tych, którzy Antymachowi towarzyszyli — nieprawdaż? Czy go jednak po powrocie na okręt zobaczysz i rozpoznasz zaraz — w to też raczej wątpię. Na pokoje bowiem królewskie masz ze swego tarasu dostęp o tyle tylko, o ile zostaniesz tam wezwany — mam słuszną prawdę? Otóż możesz ani razu przez cały czas trwania podróży nie zostać tam wezwany — liczę z tym, proszę cię bardzo. Wracając jednak do Teofila — wyda ci się zapewne ważne, jak to się stało, że Teofil, któregoś zostawił w Baktrze, zjawia się w Tarmicie przy osobie Antymacha, który Baktrę pomiął. Otóż jeśli istotnie masz to za ważne — pomyśl nad tym również przy sposobności, najlepiej w drodze powrotnej stąd na okręt. Tajniak nad Tajniakami i tę też zagadkę bez trudu niewątpliwie rozwiąże. Nie ubliżając jednak agentom zaufanym do szczególnych zleceń a i w ogóle urzędnikom służby bezpieczeństwa — dawno już spostrzegłem, a szczególnie przy sposobności śledzenia uważnego całej twojej drogi służbowej wzwyż, synku miły — że wy, tajniacy, zbyt dużo wysiłku myślowego umieszczacie w tropieniu odpowiedzi na pytanie „Dlaczego i jak to się stało?”, więc zazwyczaj bardzo już znużeni myślowo przychodzicie na trop, wiodący ku rozwiązaniu zagadki celu, dla osiągnięcia którego to a to zostało zrobione. Cel, zresztą, prawie zawsze mieści w sobie przyczynę — wcale zaś nie zawsze

bywa odwrotnie; jeśli się na mnie nie pogniewasz, pozwolę sobie poprzeć to moje przekonanie takim przykładem: wiem, w jakim celu wychodzi Teodora za Spitalmenesa, co wiedząc, bez trudu dociekam przyczyn, dla których ona właśnie za niego wychodzi; natomiast jakkolwiek dobrze wiem, dlaczego tyś się ożenił z Dioneją, nie władnym dociec, po co właściwie właśnie z nią się ożeniłeś. Więc tak samo jeśli będę wiedział, w jakim celu udaje się Teofil przy boku Antymacha w dół Oksosu „Zgodą Narodów” — jasne mi się staną wszystkie pobudki, które skłoniły Teofila do zrobienia tego, co zrobił. Jak również i to, jakim sposobem zostało zrobione...

— Przeczę.

— Które to przeczenie przyjmuję do wiadomości, ale nie traćmy teraz czasu. Pozwól, że ci raczej ujawnię swój własny domysł co do celu znalezienia się Teofila na pokładzie „Zgody Narodów”. Teofil pragnie ażeby Antymachos dokonał zamachu stanu i ma powody sądzić, że jego pragnienie jest bliskie przeistoczenia się w rzeczywistość. Bardzo jest prawdopodobne, że powodów tych dostarczył mu sam Antymachos. Teofil jednak równocześnie podejrzewa — a do tego też ma powody — że się sam myli, względnie że go Antymachos zwodzi. Jedzie więc do Tery, by na miejscu sprawdzić rzeczywistą wartość i nadziei swych i podejrzeń. Używam zwrotu „na miejscu” w odniesieniu do Tery jako celu podróży, w zestawieniu z resztą treści poprzedniego zdania dlatego że — jak chyba przyznasz mi słuszność — zamachu stanu Antymachos może próbować tylko w oparciu o flotę, która pod jego dowództwem odniosła przed piętnastu laty zwycięstwo, jedno z najświetniejszych w całych dziejach oręża greckiego. Czekaj, nie przerywaj mi... Lepiej odpowiedz: co może w Baktrii osiągnąć zbuntowana przeciw Królowi Wielkiemu wielka flota?

— Teraz, gdy większość wojska jest w Indiach? Wszystko — prócz może podporządkowania swej woli tych tubylczych możnowładców, dla których nie będzie obojętne, który z Eutydemidów nad nimi prawem podboju panuje... Ale czy takich będzie dużo?

— Takich, dla których nie będzie obojętne, który Eutydemida panuje?! nie, nie dużo. Ale — jak panuje? o, ta-

kich, dla których to właśnie nie będzie obojętne, znajdziesz bez liku...

— Teraz ty mi przerwałeś. Nie skończyłem wymieniać tych, którzy zechcą zapewne stawiać — i to skutecznie, po swojemu skutecznie — opór wielkiej flocie. Teodor, dowódca cytadeli...

— Jesteś jeszcze bardziej przenikliwy, synku, niż sądziłem. Byłem przygotowany, że powiesz: cytadela Tarmity.

— Na to za dobrze pamiętam rok... rok...

— Sto piąty, chcesz rzec — wiem. Ale czy naprawdę za dobrze? Czy w ogóle dobrze?

— Cokolwiek zapomniałem, zostało mi przypomniane napomknięciem na pomysł, stanowiący wyzwanie tezie Heraklita, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Ja już wiem, jaka jest zawartość zwoju, który trzymasz w ręku, Teodorze. Jest to rozkaz Króla Wielkiego dla ciebie, a za twoim pośrednictwem dla dowódcy okręgu ochrony pogranicza północnego byście na wypadek buntu któregośkolwiek z członków dynastii przeciw ustalonemu porządkowi rzeczy w czasie pobytu Króla Wielkiego w Indiach...

— O, Tajniaku nad Tajniakami tak mało zostaje twej przemyślności do przekształcenia się z ludzkiej w boską — przecież zawsze zostaje... To nie Król Wielki...

— ...nakazuje ci otworzyć granice barbarzyńcom północy na wypadek wielkiego buntu? Nie on?!... Jakże się cieszył! Zewsząd słyszy się wciąż i wciąż od dwu lat poszepty, że Demetrios tak się rozmyślał w rządach nad Indiami, że gdyby dla utrwalenia tych rządów potrzebna była zagłada Baktrii — chwili by się nie wahał... Ale jeśli nie on, to kto?

— Właśnie Baktrii samej król. Ten, który lada chwila może odejść spomiędzy żyjących — jeśli już nie odszedł... a to — jak znówuż głoszą poszepty, za twoją, Heliodorze, sprawą... Pamiętasz mój uśmiech wesoły sprzed godziny mniej więcej? w chwili, gdy ponad wszelką przekonał się wątpliwość, że ty pierwszy oto raz dobierasz się do wszystkich tych schowków, w których głębinie ukryłem był ten zwój? Nie rozumiałeś go, tego mego uśmiechu — prawda? Myślałeś: oszalał stary — przyznaj się... Wytłumaczę ci teraz: był to uśmiech ulgi. Gdy dotarły mnie

pierwsze plotki, że owo uderzenie w głowę królewską twojej może być ręki dziełem — uwierzyłem, mniemając, że znana ci już jest zawartość zwoju, i że za ten akt bądź obłędu, bądź zdrady, wymierzasz winnemu karę śmierci...

— Rzekłeś: akt bądź obłędu, bądź zdrady. Kto tak mówi, nie wykona takiego rozkazu.

— Teraz na mnie kolej rzec: przeczę.

— Najdziwniejszyś z wszystkich Greków, Teodorze.

— Najniewinniejszyś z wszystkich tajniaków, Heliodorze. Czy to ty uderzyłeś króla Eutydemosa w głowę?

— Nie.

— Jakże więc możesz się dziwić, że gotów taki nawet wykonać rozkaz?

— Bardziej jeszcze dziwię się czemuś innemu.

— Zapewne temu, że ci ten rozkaz pokazał. Właśnie tobie. Żem się nie bał, że mi go wydrzesz — może razem z resztkami życia — i uciekniesz. Ale dokądbyś z nim uciekł, synku? Nie do Indyj chyba?

— Tam, skąd przyszedłem.

— Świetnie się składa. Zdumiewająco zgodnie kroczą twe zamierzenia noga w nogę z moimi, o ile można rzec o zamierzeniach że mają nogi. Ale skoro się jest Grekiem — podobno można; tak przynajmniej mniemają o nas tu-byłcy.

— Chcesz — naprawdę chcesz, bym zabrał z sobą zwój na pokład „Zgody Narodów”? Dla okazania w Terze Menandrowi, na wypadek jeśli Antymachos w samej rzeczy się zbuntuje i pociągnie za sobą flotę?

— Nigdy nigdzie nie będziesz bóstwem opiekuńczym zrzeszenia tajniaków — a myślałem, że jeśli nie ja już sam, to przynajmniej dzieci Teodory będą kiedyś zarzyły tłuste cielce na ofiarę przed twym popiersiem, przez samego Orestesa wyrzeźbionym. Okazać ten rozkaz obłędny lub zdradziecki, a tak czy owak grecki bardzo z ducha, w razie potrzeby Menandrowi potrafiłby być godny zaufania głupiec, a wierzaj, takich mam wcale sporo wokół siebie. Nie, synku miły, ja ci daję ten zwój w tym celu, byś go właśnie nie okazywał.

— Przestaję rozumieć. Mam go mu nie okazać nawet jeśli bunt wybuchnie?

— W samej rzeczy przestajesz rozumieć. Będę więc do ciebie teraz mówił jak do godnego zaufania głupca: jeśli bunt wybuchnie, i flota się doń przyłączy, winienesz bezwzględnie okazać zwój Menandrowi.

— Jesteś pewien, że rozkazu tego usłucha?

— Jestem pewien, że nie usłucha, więcej: zaraz po zapoznaniu się z zawartością zwoju przyłączy się do buntu.

— Więc?

— Więc aby to się nie stało, Menander nigdy nie powinien z treścią rozkazu się zapoznać.

— Aleś rzekł...

— ...żeś głupi. Powtórzę raz jeszcze: nie chcę, by Menander do rąk swych zwój ten dostał.

— Musi zaś go do rąk swych dostać, jeśli bunt wybuchnie. Wniosek: dajesz mi ten zwój w tym celu, bym przeszkodził wybuchowi buntu.

— „Nareszcie wschodzi słońce”, miała rzec z ulgą Danae poczywszy Persejosa od Dzeusa w nocy, która trwała całą dobę...

— Po pierwsze, to Pazyfae była, nie Danae. Po drugie — zapewne raczej powiedziała: „Co za szkoda! Słońce jednak wschodzi”.

— Winszuję, tym niemniej wciąż jeszcze nie wiem, nie dlaczego, ale po co właśnie ty ożeniłeś się właśnie z Dioneją.

— Ja za to wiem już — nie dlaczego, ale po co mam z sobą wziąć ten zwój na pokład „Zgody Narodów”. Jeśli Antymachos zamyśla bunt, najlepszym sposobem, w jaki można przeszkodzić wybuchowi buntu, byłoby samego Antymacha nakłonić, by odstąpił od swego zamysłu.

— Nie jesteś jednak aż tak głupi, jak się przez dłuższą chwilę — poważnie wcale — obawiałem. Dobrych wiatrów, synku!

## IX

Heliodor długo się zastanawiał, gdzie by najbezpieczniej było ukryć na pokładzie „Zgody Narodów” puszkę z rozkazem straszliwym Eutydemosa Młodszego. Namysł to był tym powolniejszy, że Heliodor w drodze powrotnej z cytadeli do przystani powziął — wśród wielu postanowień — i to także, iż by zwój trafił do rąk króla Margiany niby przypadkowo przez niego samego odkryty. Czyli musiał puszkę w takim ukryć miejscu, co by dawało jak najwięcej pewności, że Antymachos ją znajdzie, ale nikt, poza nim. Owo „nikt” musiało obejmować i Dioneję także, i tu właśnie znajdowało się źródło największych trudności myślowych, których przewyciężenie wymagało znacznie więcej czasu, niż ten, jakim namysł Heliodora mógł swobodnie rozporządzać. Była wprawdzie taka chwila, iż się i nad tym także poważnie zastanawiał, czy by nie wtajemniczyć żony w sprawę powierzonego sobie przez Teodora zadania — byłoby bowiem nieporównanie łatwiejsze, gdyby nad wykonaniem go czuwały dwie osoby, a nie jedna. Pokusa to była tym silniejsza, iż naprawdę silne wrażenie wywarła na nim wzmianka Teodora dotycząca przenikliwości, ujawnionej w zwróceniu przez Dioneję uwagi — mniejsza o to, jak dalece świadomie — na dziwność niewykorzystania przez Antymacha sposobności odwiedzenia ciężko chorego, a ulubionego bratanka. Przenikliwość tego rodzaju wedle mniemania Heliodora była darem boskiego kaprysu, takim, jak zdolności rzeźbiarskie lub poetyckie; o Orestesie, synie Ores-



tesa, mówiono, że nigdy, przystępując do pracy, nie wie z góry, jaki ostateczny kształt przybierze ciało, jakiego ostatecznego wyrazu nabierze twarz postaci, którą zamierzał stworzyć lub odtworzyć w marmurze, gipsie czy metalu; gdy wołano wokół gotowej rzeźby „Co za pomysłowość!” albo „Jakie niezrównane uchwycenie rysu najbardziej istotnego!” Orestes zwykł był szczerze się dziwić; pomysły bowiem, z których tak był zadowolony, po których tyle sobie obiecywał, póki dzieło było zamierzeniem tylko, z reguły nigdy prawie nie dawały mu się przekształcić z zamierzenia w dokonanie, w jakim z rozpaczą, z pogardą dla siebie dostrzegał całkowity rozbrat z zamierzeniem, to zaś, co opinia określała mianem niezrównanego uchwycenia najbardziej istotnych rysów, bywało zazwyczaj owocem zasianego w jego myśli przez zniechęcenie rozdrażnienia, zdążającego do tego już tylko, by pracą, uznaną przez siebie samego za wielką przegraną, doprowadzić do końca byle jak. To wszystko mówiła mężowi o Orestesie Dioneja, a tak też właśnie myślał — wracając z cytadeli na okręt — o Dionei Heliodor: jej przenikliwość nie jest wcale sobie, swej siły świadoma; zawsze świadoma sobie, nigdy by się nie stała tym, czym jest; gdyby nagle teraz odkryła, rozpoznała siebie — przestałaby wkrótce być sobą. Ale nawet nieświadomej siebie zaczynał Heliodor — równocześnie ją podziwiając — trochę się obawiać, tak jak zachwyty i grozę zarazem budziły w nim zawsze silne burze piorunowe i wielkie wielkich rzek wylewy. Był dzieckiem czasów, gdy Grecy, jako tako choćby tylko wykształceni literacko, nie wierzyli już, i jeszcze też nie wierzyli, by poza zjawiskami takimi, jak burza czy wylew, stać miała świadoma wola bóstwa, z natury groźnego lub doraźnie rozgniewanego czy też mającego upodobanie w płataniu śmiertelnikom okrutnie złośliwych ligłów.

Inaczej jednak niż przeważająca większość Greków, sobie współczesnych, żywił przeświadczenie, że stokroć lżejsza do zniesienia byłaby śmierć od pioruna czy w wodach rozlewającej się gwałtownie rzeki, gdyby się miało tak ginąć, przekonanie, iż się pada ofiarą czyjejs świadomej groźnej woli, a nie ślepego, głuchej, bezmyślnego, bezdusznego i właściwie bezwolnego żywiołu. Nie dziwi więc, że gdy wpadł na trop jakiegoś — wciąż jeszcze bli-

żej dla siebie niezrozumiałego — porozumienia między Dioneją a Teodorem, ze Spitamenesem, jako ogniwem łączącym — i dostrzegł w tym porozumieniu coś jak gdyby spiszek przeciw sobie — doznał żalu na myśl, która wydawała mu się nie do odparcia — że oto żona spiskuje przeciw niemu, sama niewątpliwie nie wiedząc, nie tylko dlaczego tak postępuje, ale że w ogóle spiskuje.

Dla Dionei — zakładał — od schyłku minionej nocy wszystko, co z nią i wokół niej dzieje się i będzie się dziać, a i to także, co przedtem się działo, będzie ważne lub bez znaczenia, złe lub dobre, dozwolone lub niedopuszczalne pod kątem jedynie świeżo sobie uświadomionej, choć może i dawno już w niej drzemiącej żądz: posiadania z ukochanym mężczyzną dziecka. Bo że go kochała, i to bardzo, nie wątpił. Ale też w tym samym nie wątpił stopniu, że wcześniej czy później musiał nadejść taki moment, gdy ta jej miłość do niego nie będzie już mogła inaczej w pełni się wyrazić, niż tylko przez tęsknotę za przyjściem na świat takiej istoty ludzkiej, w czyich rysach tylko najpierw, potem w głosie, śmiechu, ruchach, upodobaniach, odczuciach i myślach będzie mogła odnajdywać łącznie i siebie i Heliadora.

Ale tej właśnie tęsknoty Dionei Heliodor ukoić nie mógł. Były wprawdzie takie chwile, gdy zapytywał siebie: „Naprawdę nie mogę, czy też tylko nie chcę?” — ale wystarczyło mu przypomnieć sobie co przeżył między siódmym a osiemnastym rokiem życia, by w lot rozwiała się wszelka wątpliwość. Przypominanie takie dodawało mu nawet sił do wychodzenia zaczepnie wątpliwości naprzeciw: może i naprawdę właśnie nie chce tylko, ale w jego wypadku nie chcieć to znaczy nie móc, bo czy może on wyrzucić krzywdę Dionei? Nie może. A krzywdą byłoby dla niej mieć z nim dziecko. Nie byłoby może krzywdą lub byłoby znacznie mniejszą, gdyby nie byli Grekami lub jeśliby inny ich cieleśnie łączył związek, niż prawny — ale tak jak jest, zgodzić się na jej prośbę o dziecko to by kolejno znaczyło: zawieść jej nadzieję, że dziecko ich będzie się nazywało tak, jak jego Heliadora ojciec; tłumaczyć się przed nią, czemu ta jej nadzieja spełniona być nie może; narazić się na to, że przenikliwości jej nie zwiodą ani urazy jej nie umniejszą tłumaczenia kłamne; skończyłyby się więc na nieuchronnej konieczności wyznania

prawdy. To by poskutkowało: Dioneja, prawdę poznawszy, nie chciałaby już mieć z nim dziecka, ale także nie chciałaby ani przez godzinę jedną dłużej być jego żoną. A czy można — mówił do targającej nim wątpliwości — mieć mu za złe, że nie chce jej stracić, skoro ona tak go kocha, a on ją? Nie mógłby już bez niej żyć, ani ona bez niego — nie chce więc mieć dziecka to w jego wypadku właśnie nie móc go mieć. I wątpliwość pokonana, wręcz zmiażdżona nienagannością wyводу umykała, rozwiewała się w nicłość — by długo, długo nie wrócić.

Wróciła, oczywiście, gdy Dioneja dojrzała do stanu, którego kroków zbliżających się Heliodor od dawna nasłuchiwał w niepokoju: do stanu pełnej świadomości, czego chce. Ale Heliodor był właśnie na tę chwilę powrotu wątpliwości także od dawna przygotowany: walka więc z nią, choć wyjątkowo zacięta, bardzo dlań bolesna, była krótka. Tym krótsza, iż walcząc, wiedział, że odtąd nie będzie to jego stanowczości wróg najniebezpieczniejszy. A wiedział od chwili, gdy skurcz, dotąd ~~nie~~ <sup>nie</sup> głębin kobiecości Dionei, odczuł nie tylko jako niepodejrzewaną dotąd rozkosz, ale też jako wyzwanie: mógł być dla żony bogiem, zbawcą, lecz zbyt dobrze był za lat szkolnych odczytany w Homerze, by nie pamiętać, że jedną z właściwości typowych narodu, do którego oboje należeli, jest tam i wtedy, kiedy i gdzie zawodzi prośba, zdobywać łaskę bożą przemyślnym i jakże często niezawodnym podstępem!

Więc choć bardzo a bardzo tego pragnął, nie mógł z żoną podzielić się tajemnicą puszeki, z cytadeli na okręt przeniesionej, ani odwołać się do jej przenikliwości przy swych poszukiwaniach najodpowiedniejszego schowka. Bo rzecz jasna, pierwszą — i odtąd już stale przodującą — reakcją myślową na zdobytą tajemnicę byłoby: jaki może ona z posiadania tajemnicy tej zrobić użytek dla zaspokojenia swej żądzy dania mężowi dziecka?!... Że zaś silna żądza — uważał — zawsze zaostrza w kobiecie przenikliwość, miał zadanie podwójnie utrudnione: oto nie tylko nie mógł tajemnicą się z żoną podzielić — musiał nadto i ją też — ją może w pierwszym rzędzie, ze względu na przenikliwość właśnie brać pod uwagę, jako wroga, przed którego zakusami groźnymi chronić najczujniej należy

skarb bezcenny a dla wroga, równie jak dla obrońcy, pożądanym.

Przez całą resztę dnia, odkąd wrócił z cytadeli, nie rozstawał się z puszką ani na chwilę, co było możliwe bez zwracania na siebie zbytnej uwagi tylko kosztem obciążenia się wielką sakwą podróżną, wypchaną byle czym, ale tak, by dodatkowe w sakwie przedmioty stanowić mogły niewzruszalną rękojmię, iż na miękkiej skórze worka nie zarysują się w pewnej chwili kształty niepowtarzalne puszki — dobrze znane Antymachowi, a może także i Teofilowi. Zapewne była to przesadna ostrożność, a szczególnie mogłaby się taką wydać, skoro się postanowiło, że Antymachos musi tak czy owak puszkę odnaleźć, i gdy poważne istniało podejrzenie, iż znalazłszy ją, odkryciem swym podzieli się z Teofilem. A przy tym choćby nawet w samej rzeczy — co wcale nie jest aż takie pewne — kształty puszki były jedyne w swoim rodzaju — czy nie jest to wyolbrzymianie sztuczne Antymacha, a tym samym i siebie, jego antagonisty, powiększanie: przypodobną taką zaiste wręcz boską moc zlanym w jedno doskonałą pamięci i spowolnioności, iżby władny był w mgnieniu oka rozpoznać przedmiot, który by się częściowo zarysował poza skórą worka, a którego nie widział zapewne od czasów dzieciństwa nigdy więcej lub co najwyżej raz lub dwa?

Co do Teofila zaś, albo Teodor dobrze zgadywał albo nie. Jeśli nie — jest jeszcze mniej prawdopodobieństwa niż w wypadku Antymacha, ażeby domyślił się on, co to właściwie na małą chwilę zarysowało się poza skórą torby; taki domysł byłby możliwy wtedy jedynie, gdyby Teofil miał powody podejrzewać, że puszka, właśnie ta, nie inna, przeszła w ręce Heliodora. Z drugiej zaś strony, jeżeli Teodor miał słuszość, przypuszczając, że Antymachos chce, względnie zgodził się przez czas możliwie najdłuższy trzymać w tajemnicy obecność Teofila na okręcie — w takim razie nie tylko worka, gorzej lub lepiej wypchanego, ale i Heliodora samego nie zobaczy Teofil, zanim puszka znajdzie się w schowku, dla Teofila niedostępnym, chyba że Heliodor zamiast koncentrować całą swą i pamięć i pomysłowość właśnie na poszukiwaniu odpowiedniego na schowek miejsca — będzie dzień i dwa i trzy rozpraszał je na usługach nadmiaru ostrożności.

Owemu jednak szyderczemu głosowi w sobie Heliodor umiał rzeczowo na wszystkie odpowiedzieć zarzuty, jakkolwiek w odwróconej kolejności. Szyderca w Heliodorze najwidoczniej o tym zapomniał, ale pamiętała ostrożność, że jeszcze poprzedni Król Wielki, założyciel dynastii, wykorzystując wiedzę i pomysłowość jakiegoś obieżyświata, podobno zbiegłego aż z Aleksandrii koło Egiptu skazańca — zaopatrzył jedną z komnat królewskich na pokładzie „Meandrii” w długą krętą rurę, u której nasady znajdował się przyrząd, sprawiający iż wszelkie dźwięki, rozlegające się w pobliżu wylotu rury, dochodziły do ucha, przyłożonego do nasady, kilkakrotnie wzmocnione. Heliodor stwierdził to kiedyś osobiście w czasie pierwszej swej wspólnej z Demetriosem, wówczas jeszcze nie Wielkim Królem, podróży po Oksosie tuż prawie po swych zaręczynach z niemowlęciem Dioneją. Ale wtajemniczony w to, gdzie się znajduje nasada rury, nawet Heliodor nie cieszył się jednak aż takim zaufaniem dynastii, by ujawnione przed nim zostało także i miejsce jej wylotu. Mogło być wszędzie, nie wyłączając ani baraku więziennego na dnie okrętu, gdzie sypiały kolejno zmiany włoślarzy — ani też komnaty o półkolistym kształcie, gdzie sypiali Dioneja i Heliodor. Właśnie ta druga możliwość kazała Heliodorowi, ku wielkiemu zdziwieniu żony, obić grubo obydwie ściany — łukowatą i prostą — ich sypialni nawodnej zaraz prawie po zaślubinach jakąś szczególną odmianą wołjoku, sprowadzoną skądś z daleka z północy i bardzo kosztowną ze względu na cła tranzytowe, pobierane za taką przesyłkę przez pięć szczepów, tworzących Związek Mosagecki. Rzekomo wyrobem takiego wołjoku trudnili się ci sami barbarzyńcy, na czyich ziemiach piaski nadbrzeżne i przybrzeżne a podwodne miały być pełne złota — ale Heliodor nie brał nigdy nazbyt poważnie tak dokładnych wiadomości, dotyczących miejsca pochodzenia takich czy innych przedmiotów przywozu z bardzo daleka; owszem, miał skłonność wiadomości takie traktować jako świadome zmyślenie, mające na celu łudzenie i zwodzenie Greków, a to by na zawsze już w sprawach wywozu i przywozu północnego zdani byli na łaskę obco-krajowców. „Weź na przykład” — tłumaczył Dionei, z zapalem choć i bez zrozumienia pomagającej mu obijać tym wołjokiem ściany — „sprawę umieszczania owych złotodaj-

nych równin nadrzecznych; dwa czy trzy razy już słyszałem, że to mają być wielkie rzeki, dłuższe jeszcze znacznie niż Oksos. I pomyśl — są wśród nas tacy, co takim bzdurcom dają wiarę! Właśnie bzdurcom! Bo jeśli płyną w kierunku północnym jakieś jeszcze rzeki, poza znanymi nam, muszą mieć swe źródła gdzieś jeszcze bardziej na północ, niż się znajduje basen wielkiego jeziora, stanowiącego północno-wschodnią granicę Parykeny. A jeśli tak — muszą też to być rzeki, znacznie krótsze niż nie tylko Oksos, ale i Jaksartes, bo o Jaksarcie wszyscy wiemy, że wpada do Okeanosu, choć zwodnicy i temu też niekiedy próbują przeczyć; więc i one też, te złotodajne rzeki, też tylko do Okeanosu mogą zdążać i to równolegle do dolnego, przez Greków niezbadanego biegu Jaksartu; gdy zaś trzy lub cztery rzeki równolegle płyną ku północy, a dwie czy trzy z nich mają swe źródła znacznie bardziej na północy umieszczone, niż jedna, to ta jedna musi być znacznie dłuższa od pozostałych — nieprawdaż?”

Dioneja zgadzała się, choć nie bez zastrzeżeń: oto i o południowym krańcu okręgu ziemi mówiono, gdy była dzieckiem, że odległy jest od Kapisy poza Parapamisem o dwadzieścia siedem dni drogi końmi, a teraz oto od żołnierzy z Indyj przychodzą listy z wiadomościami, że do największego miasta tamtej krainy, Palibotry, musi się od Kapisy wcale nie jedenaście dni końmi jechać, tylko dwadzieścia jeden, od Palibotry zaś do Okeanosu co najmniej drugie tyle, a nie sześć dni tylko!

Przy pracy nad obijaniem ścian wojłokiem zaszczylił ich swymi odwiedzinami Eutydemos Młodszy, a spostrzegłszy, co robią, uśmiechnął się jakoś dziwnie, ale nie powiedział nic. Dziwności tego uśmiechu Heliodor nie miał zapomnieć nigdy, ale też nigdy, choć bardzo się nad tym głowił, nie umiał go sobie wytłumaczyć tak, by było to już raz na zawsze jednoznaczne wytłumaczenie. Raz bowiem wydawało mu się, że uśmiech ów wyrażał podziw najwyższy dla jego przenikliwości i zaradności; kiedy indziej, że kpinę, która na słowa przełożona, brzmiałaby: „Tajniak poluje na zwierzynę, co mu się przyśniła tylko”; jeszcze kiedy indziej odgadywał, że zaraz po odejściu od nich Eutydemos z wyrazem twarzy, zawód zdradzającym, a może i zawstyżeniem, nakazał przeniesienie wylotu rury z miejsca poprzednio przez siebie wskazanego w nowe —

i tak w kółko. Ale żebyż to tak tylko! Jakoże uśmiech ów mógł jeszcze coś innego oznaczać — mianowicie towarzyzyć takiemu rozumowaniu: „Heliodor myśli, że ja, widząc jego przenikliwość i przezorność, poniecham zamiaru założenia rury tak, bym mógł jego rozmowy z żoną podsłuchiwać. Tak myśląc, zdejmie po jakimś czasie obicie wojłokowe, toteż niech rura zostaje tak założona jak była, choćbym nawet czas jakiś nie miał robić z niej użytku”.

Więc obicie nie zostało zdjęte, mimo wielokrotnych utyskiwań cichych Dionei nad tym, iż dni ich, a szczególnie zmierzchy o tyle są uboższe, niżby mogły być, we wrażenia wzrokowe — wojłok bowiem pozbawił ich możliwości przyglądania się płaskorzeźbie, zdobiącej ścianę łukowatą. Heliodor sam, zresztą, nigdy tej płaskorzeźby nie lubił — określał ją mianem tkniętego schorzeniem owocu przejażdżki Orestesa do Indyj jeszcze wówczas, gdy się nikomu możliwość wielkiej wyprawy greckiej na Indie ani nawet śniła. Dionei jednak płaskorzeźba od razu się spodobała, i był to chyba najwyższy sprawdzian stopnia udziału pokornej uległości w jej miłości do męża, iż nigdy nie zażądała wyjaśnień, jakie to powody skłoniły go do obicia ścian wojłokiem.

Co prawda, nie została całkowicie pozbawiona możliwości sycenia swych oczu tym właśnie dziełem Orestesa; kaprys bowiem bądź artysty samego, bądź jego pracodawcy umieścił kopię tej płaskorzeźby w innej komnacie, też półkolistej, na tym samym pokładzie. O kopii tej mówiono, że jest doskonale tożsama z oryginałem, i wedle Heliodora, prawdę mówiono. Dioneja jednak nie jeden raz dała wyraz swej wątpliwości, czy tak jest w istocie; wedle jej zdania, oryginał i kopia znacznie się między sobą różniły, choć i nie umiała dokładnie istoty tej różnicy wyjaśnić. „Umiałabym, gdybym znów mogła — raz przynajmniej — spojrzeć na oryginał”, zapewniała. Ale ten dowód był nie do przeprowadzenia — Heliodor nie uważał uzgodnienia różnicy zdań między nimi w tej sprawie za coś aż tak pożądanego, by warto było tracić czas i wysiłek na odarcie ścian z wojłoku i na ponowne ich potem obicie. Oczywiście, szyderca w nim i tu też znajdował sporo dla siebie pola do kpin z nadmiaru ostrożności, ale tu też napotykał na szczególnie silny opór, bo nie samej

ostrożności, ale także sprzymierzonej z nią tym razem wrażliwości Heliodora na to, aby cokolwiek się dzieje między nim a Dioneją, dobrze zabezpieczone zawsze było przed wszelką możliwą odmianą ciekawości osób trzecich; myśl, że takie czy inne objawy miłości ich wzajemnej dla siebie, mogłyby stać się przedmiotem nawet nie podglądania czyjegoś, ale choćby podsłuchiwania — była dla niego nie do zniesienia. Dioneja całkowicie podzielała tę jego wrażliwość, choć w Terze w dzieciństwie nieraz oglądała z dachu domu swych rodziców pary, splecione w uścisku miłosnym na dachach domów niższych; dziwiła się nawet temu, że mąż jej — jak twierdził — nie miał za sobą doświadczenia podobnych widowisk. I właśnie to jej zdumiewanie się kazało mu nieraz zastanawiać się nad tym, jak wiele jednak z przeszłości różni ich od siebie, bynajmniej nie tylko wiek; podejrzewał na przykład, że gdyby ujawnił przed żoną prawdziwy powód obicia ścian ich sypialni wołokiem, tęsknota za widokiem płaskorzeźby zapewne dlatego tylko nie byłaby w Dionei wzięła górę nad wymaganiami szczególnymi wstydlivosti, ponieważ z tymi sprzymierzyłoby się w jej świadomości przeświadczenie, iż żadne słowo tak odpowiedzialnego urzędnika służby bezpieczeństwa nie powinno być przez nikogo niepowołanego podsłuchane. A zresztą, najprawdopodobniej, dowiedziawszy się o istnieniu rury, Dioneja sprzymierzyłaby się przeciw ostrożności Heliodora z szydercą w nim samym; wyraziłaby wątpliwość, czy istotnie opłacałoby się temu albo owemu z członków dynastii i tracić sposobność podsłuchiwania rozmów między osobami, naprawdę podejrzanymi, zyskując wzamian tyle tylko, że o wypróbowanym agencie wiedziałoby się odrobinę więcej, niż przedtem, a i to prawie wyłącznie z dziedziny życia czysto osobistego. Dla chorobliwej wyobraźni erotycznej i te szczegóły mogłyby okazać się bardzo zajmujące — to prawda; najpewniej by jednak ktoś, taką wyobraźnię posiadający, a więc głęboko uprzednio sam w pragnieniach swych miłosnych zawiedziony — nie cieszyłby się nadto ze sposobności usłyszenia głosu Dionei, przemienionego sztuką mechaniczną z szeptu w wołanie, gdyby do ucha jego doszło raz chociażby: „Teraz tak mi dobrze z tobą, o miły, że chciałabym o tym na cały świat radośnie krzyzczeć...” Albo: „Jakie to szczęście, że niemowlęta odrzucane a dławione,



pojęcia nie mają, co tracą... Dobrze być żywą i być twoją!"

Podejrzewać zaś, że od wylotu rury doleci kiedyś do jej nasady jakieś spiskowanie małżonków przeciw dynastii — nie mogłaby nawet i najbardziej chorobliwa wyobraźnia. Jako że w sypialni półkolistej spędzali Dioneja i Heliodor nocę tylko, względnie jeszcze zmierzchy, a i to nie wszystkie, bo na przykład nie te najbardziej upalne, tych zaś na Oksosie bywało sporo. Tropiąc więc w nich spiskowców, należałoby raczej wsłuchiwać się w to, o czym z sobą mówią w ciągu dnia i w gorące noce na przestronnym tarasie, ale właśnie wobec przestronności tarasu i braku tam ścian i sufitu niepodobieństwem stawało się podsłuchiwanie ich za pomocą rury. Toteż w zasadzie Heliodor w tej sprawie przyznawał szyderstwu słuszność: raczej nie są z Dioneją przedmiotem ciągłego podsłuchu, ale owo „raczej” zawsze jednak zakreślało granice, poza które ostrożność Heliodora nie pozwalała się najostrejszym choćby wybuchem szyderstwa zepchnąć. Wylot rury nie musiał być ukryty gdzieś w ich małżeńskiej sypialni nadwodnej, ale mógł być, i owa to możliwość stanowiła jedną z przyczyn, dla których tak pożądanym byłaby żona sprzymierzeńcem w sprawie szukania schowka dla puszk. Bo oto wydostałby z worka puszkę przy niej i nim by zdołała wydać okrzyk zdziwienia byłby położył palec na ustach, jak stożkowatą uwieńczony czapką bóg-dziecię Harpokrates, dzieło wspaniałe jednego z uczniów Orestesa, przedmiot zazdrości samego mistrza. Tak uprzedzonej nie zdziwiłby już ruchami rąk i minami twarzy, co by zastąpiły słowne zalecenia, aby wzięła od niego puszkę, ukryła ją w fałdach zwierzchniej swej szaty i z taką ukrytą poszła spokojnie, jak gdyby nic się nie stało, ku schodom, potem schodami w dół, potem na prawo przez całą szerokość Pokładu Straży Królewskich, potem znów schodami...

Wpadł na kogoś i tego kogoś gwałtownie potrafił. Obyż nie puszką! Rzucił okiem na worek — nie, szczęśliwie zderzenie nie spowodowało przedarcia skóry worka przez ząbce z brązu w kształcie słoniowych trąb i kłów... Nie znał tego, kogo potrafił, był to niewątpliwie ktoś z towarzyszy Antymacha; przeproszał go za potrącenie z tą żarliwą a wolną od wszelkiej uniżoności szczerością, jaka właściwa jest chwilom, gdy się jest samemu opętanym

radością i właśnie w takiej chwili — niestety! — komus — komukolwiekbaż — wyrządziło się przykrość...

Heliodor był w mocy radości, bo znalazł to, czego szukał. Wiedział już, gdzie ukryje puszkę tak, by Antymachos znalazł ją, niby przypadkowo, ale właśnie tylko on, nikt inny. Umilkły wszelkie spory między szyderstwem a ostrożnością w Heliodorze samym. Wszystko przestawało być ważne — wszystko, poza tym, że puszkę należało ukryć pod posążkiem, wyobrażającym dziecię-boga milczenia. Postument posążku miał u spodu głębokie i wystarczająco szerokie wyżłobienie. Dar Filotasa, ucznia Orestesa, dla Króla Wielkiego, podobał się ów posążek Demetriusowi tak bardzo, że zamówił odlewy-kopie, tyle, ile miał dzieci. Ale nie wszyscy Eutydemidosi z młodego pokolenia podziwiali zachwyt ojca, i Eutydemos Młodszy zaraz potem jak został królem Baktrii w zastępstwie ojca, gdy ten wyprawił się do Indyj — pozornie aby okazać załodze „Zgody Narodów” swą szczególną troskę o należyte ozdabianie okrętu, w rzeczywistości zaś wprost ażeby się pozbyć tej rzeźby z pałacu w Baktrze — ozdobił nią dodatkowo ową półkolistą komnatę na pokładzie Pokojów Królewskich, która tak podobna była kształtem, urządzeniem i ozdobami do sypialni Dionei i Heliodora. Bóg milczenia przez kilka lat wpatrywał się z palcem przy ustach w dziwaczne a może nawet i niesmaczne jak się Heliodorowi zdawało, motywy płaskorzeźby, uważanej za tożsamą z tą, którą zakryło grube obicie z wołoku, aż nadszedł dzień, gdy miejsce Harpokratesa zajął inny bóg: Antymachos Eutydemida, dziecię zaś z palcem przy ustach powędrowało w ką. Stało się to rzekomo bez wiedzy i woli Antymacha, a nawet mówiono tak na okręcie — wbrew woli, i może tak też i było w rzeczywistości, albo Antymachos chciał, by tak myślano, bo zażądał od Heliodora, by dla popiersia nowego boga inne obmyślił odpowiednie miejsce. Harpokratesa zaś wstawił na dawne, przy czym ponowna ta zmiana miała się dokonać nie później niż o pierwszym brzasku nowego dnia po wieczorze odbicia od brzegu. Heliodor, oczywiście, przyjął rozkaz królewski do wiadomości, ale że otrzymał go drogą pośrednią, bo z ust osoby trzeciej — okoliczność tę, przez pół dnia rozpatrywaną jako wielkie dla niego a przy tym publiczne upokorzenie, uznał nagle za niezmiernie pomyślną.

wręcz za istne błogosławieństwo dla siebie, a to na skutek dostrzeżonej nagle możliwości zrobienia z niej użytku w ramach planu, na który się zdecydował. Oto żądał, by go postawiono przed obliczem królewskim, a gdy żądanie to zostało spełnione, zgłosił dodatkowe: rozmowa musi odbyć się bez świadków. Antymachos i na to przystał, zastrzegając się jednak, że uważałby za pożądane, wręcz konieczne, by rozmowie ich przysłuchiwał się, a nawet — jeżeli zechce — wziął w niej udział ktoś, czymi uwagami, a nawet rozkazami nie godziłoby się wzgardzić nie tylko Heliodorowi, ale i samemu królowi Margiany.

— Któż to może być? — zdumiał się Heliodor.

— Ten, na którym palcu połyskuje pierścień Króla Wielkiego — odpowiedział Margijczyk, pełniący doraźnie czynności Wielkiego Oddźwiernego i jak gdyby dla udowodnienia, że właśnie te czynności pełni bynajmniej nie symbolicznie tylko, uchylił przed Heliodorem złototkanej zasłony, pewny najwidoczniej, że zastrzeżenie jedyne króla Antymacha z żadnym nie spotka się sprzeciwem.

## X

W świetle dziennym Antymachos wydawał się Heliodorowi znacznie bardziej zmieniony przez lata, w ciągu których się nie widzieli, niż nocą w blasku latarni ręcznych, co wprawdzie zabezpieczone były całkowicie przed deszczem jako wodą, ale nie przed tymże deszczem, jako gęstą, ruchomą masą, umniejszającą zasięg promieniowania najsilniejszych choćby świateł. Przy tym w nocy król Margiany miał na głowie płaską makedońską „kauzję”, a tuż ponad nią, za nią, a nawet i przed nią spadzistości łukowate olbrzymiego parasola, pod który wprawdzie nieco później i Heliodora zaprosił, ale było to właśnie w chwili, kiedy obaj woleli nie patrzeć sobie nawzajem w oczy, ale mówić do siebie, stojąc do siebie bokiem, a spoglądając przed siebie. Toteż w nocy ani nawet podejrzewał Heliodor, że król Margiany jest łysy prawie zupełnie na szczycie głowy, i zupełnie też prawie siwy na skroniach. Stwierdzając to ze zdumieniem spróbował w lot obliczyć, ile Antymachos może mieć lat, i w wyniku tego obliczenia w lot też jego zdumienie zabarwiło się sporą domieszką przygnębienia, ten bowiem oto siwek i łysek, jakby powiedziała Dioneja, był od niego co najmniej o pięć lat młodszy, więc skoro on tak staro wygląda w oczach Heliodora — jakże musi sam Heliodor przedstawiać się oczom Dionei — właśnie oczom jej, a nie jej wdzięczności za świetny pomysł jakim się zatwierdziło jej noworodka, prawo do istnienia? Wprawdzie łysiny mąż jej wcale nie miał, a siwizny ledwie co — zbliżanie się jed-

nak starości nie musi tylko tak się objawiać, ale też i zmianami w barwie cery, zmarszczkami, zapadnięciem policzków, zaostreniem się nosa, wędnięciem warg. Tych jednak objawów, na odmianę, nie można było dostrzec na twarzy króla Margiany, i Heliodor nagle sobie przypomniał coś ze swego dzieciństwa. Oto był z wujem na jakimś wielkim zjeździe w krainie Aitolów, gdzie dużo mówiono o mocy wojennej barbarzyńców zachodnich, zowiących się Rzymianami. Zapytał wówczas wuja, czy ci Rzymianie mają też, jak i Grecy, podania o wielkich bohaterach, na wpół ludziach a na wpół bogach, jak Herakles na przykład, Persejos lub Achilles. Wuj nie umiał odpowiedzieć, ale ktoś inny, kto pytanie to chłopca słyszał, ciesząc się najwidoczniej ze sposobności wykazania się przed większym gronem większą niż u innych wiedzą o tym na wpół dzikim a coraz bardziej zaciekawiającym Greków narodzie — ze skwapliwością odpowiedział małemu Heliodorowi twierdząco, a jako przykład, wymienił niejakiego król Numę, o którym rzymskie podania miały mówić, że urodził się od razu z siwymi włosami, co miało być wieszczbą, iż mądrością przewyższy wszystkich ludzi na świecie. Może więc i Antymacha przedwczesna łysina i siwizna — podszeptało Heliodorowi skojarzenie myślnego tego, na co patrzył, z tym, co sobie nagle przypomniał — to objaw niezwyklej, nadludzkiej wręcz mądrości, szczególnie iż nie towarzyszą temu objawowi inne pospolite oznaki starzenia się? Bo że mądry niezwykle Antymachos był, tego dowiódł minionej nocy; czy jednak w samej rzeczy mogła to być nadludzka, więc boska mądrość, tego jeszcze Heliodor nie wiedział. Miał w ogóle dość niejasne wyobrażenie o warunkach przeistaczania się człowieka w boskość; cokolwiek zaś w wyobrażeniu tym było jasnego, i to także zamącone zostało przez sprawę ubóstwienia się Antymacha. Heliodor zawsze, oczywiście, przyznawał mocarzom, przekraczającym zwykłą miarę ludzką, prawo do odbierania czci, jaka bogów jest udziałem, a więc też i do postępowania, którego już nie władne są wiązać ludzkie prawa; zawsze też jednak zdawało mu się, że takie ubóstwienie powinno przyjść z zewnątrz — że to inni ludzie powinni orzekać, kto pozornie już jest tylko człowiekiem, a naprawdę więcej niż człowiekiem — nie zaś sam mocarz o sobie. Tymczasem król Margiany,

polecając wybić najnowsze swe drachmy i czwór-drachmy, wyraźnie zaznaczył, iż napis, oznajmiający, jakiego to władcy są monety, brzmieć powinien: „Antymacha króla Boga”. Było to zaskoczenie dla Heliodora, ale niewątpliwie nie tylko dla niego; z całego bowiem przebiegu minionej nocy, a raczej dwu nocy wynikało, że owo samo-ubóstwienie było aż dotąd trzymane w tajemnicy, tak dalece, iż ta nowa seria monet, wcale dawno już wybitych, puszczona została w obieg nie wcześniej niż w przeddzień odjazdu Antymacha z Antiochii Margijskiej do Tarmity z zamiarem dostania się jak najszybciej na pokład „Zgody Narodów”. I tu właśnie tkwiła jedna z najbardziej podniecających Heliodora zagadek: czy i jeśli tak, to jaka istniała głębsza współzależność między wyjazdem Antymacha do Tarmity, a wyborem właśnie tej, a nie innej daty, dla ujawnienia, iż ten król ogłosił się — właśnie sam siebie ogłosił! — istotą boską?! Zrazu Heliodor skłonny był sądzić, że związek tu jest bardzo prosty i bardzo też jasny: nie będąc pewien, jak ten akt samo-ubóstwienia zostanie przyjęty przez margijski dwór, wojsko i w ogóle ludność — Antymachos mógł uznać za rzecz pożądaną oddalenie się na czas jakiś poza granice swego małego królestwa, a to aby z daleka śledzić reakcję na swe tak doniosłe a niezwykle posunięcie. Wybór, co prawda, „Zgody Narodów” na takie miejsce oczekania był nie koniecznie najszcześniejszy, szczególnie iż Antymachos — jak to sam oświadczył Heliodorowi zaraz po nocnym powitaniu — doskonale był powiadomiony o mogącym lada chwila nastąpić odpłynięciu w daleką podróż i o celu rzeczywistym tej podróży. Jako źródło tych tak dokładnych wiadomości, podał bez wahania swego brata, Króla Wielkiego, co zaskoczyło nie tylko Heliodora samego, ale także Mankurasa i Spitamenesa. Wynikało bowiem z wypowiedzi Antymacha, że był w posiadaniu wieści z Indyj znacznie świeższych niż przywiezione przez nich; co zaś było jeszcze dziwniejsze a i ważniejsze też, iż zlecenia, jakie jemu bezpośrednio przekazać miał brat starszy, stały w sprzeczności z tym, z czym oni przyjechali — mianowicie, zdawały się uchylać poprzednie życzenie Króla Wielkiego, aby sprawa wzmocnienia składu osobowego ochrony pogranicza północnego, ponownie zagrożonego, powierzona została pomysłowości Heliodora, mającego swe po-

sunięcia uzgadniać z Menandrem tylko. „Masz je uzgadniać ze mną”, — oświadczył Antymachos, powołując się na Króla Wielkiego: — „jeśli w samej rzeczy do Tery jedziesz, a nie, jak myślałem, do Indyj”.

— Czy możemy zobaczyć ten list Króla Wielkiego? — zapytał Spitamenes.

— Nie możecie.

— Ale i ty, o panie, nie możesz wejść w porze nocnej na pokład „Zgody Narodów” — zdumiał Heliodor odważą szesnastoletni najwyżej Sogdyjczyk.

— Panie boże, chciałeś rzecz — nieprawdaż?

Stropili się, ale po ochłonięciu znów zażądali wyjaśnień. Antymachos chętnie ich udzielił — tym chętniej, że w świetle ich okazywało się, że doraźni jego antagoniści, w szczególności Heliodor, niepostrzeżenie dali się podejść w sposób zupełnie niezwykły a zdumiewająco subtelny. Oto poprzedniej nocy „Zgoda Narodów” przyjęła na swój pokład pakunki, których zawartość sprawdzał Heliodor osobiście i żadnych nie wysunął zastrzeżeń. Bo i jakież mógł wysunąć przeciw popiersiom bóstw, mających okręt ozdobić i uświęcić? Oczywiście, nie oglądał wszystkich z przesadną dokładnością: zadowolił się stwierdzeniem tożsamości Dzeusa i Artemidy Niepokalanej — w stosunku zaś do reszty ograniczył się do pobieżnego obejrzenia w nikłym świetle tylko głów, sponad których uchylał rozprute częściowo opakowania. I oto teraz — dokładnie w dobę po przepuszczeniu na pokład popiersi — Antymachos pytał, czy mogą jakiegokolwiek bądź ludzkie prawa wiązać boga, któremu publiczną oddaje cześć i składa ofiary załoga okrętu? „Meandria” stała się świątynią i ku mojej także czci. Któż może zakazać bóstwu wejścia do jednego z jego przybytków?

A ofiary w samej rzeczy zostały złożone. Wcześniej rano, w kilka godzin po przyjęciu na pokład bogów, zgłosił się do Heliodora pierwszy zastępca „nauarchy”, zapytując w imieniu swego zwierzchnika, czy pełnomocnik królewski do spraw bezpieczeństwa nie ma jakichś zastrzeżeń w stosunku do wyznaczonego na taką a taką porę dnia, a zwyczajem uświęconego nabożeństwa na pokładzie, mającego za cel uproszenie pomyslnej podróży u bogów, w których opiekę „Zgoda Narodów” się oddała. Pytającemu ze swej strony zadał Heliodor kilka pytań, by

się upewnić, że nie oddaje się na pokładzie czci żadnym zwierzętom ani potworom, po czym oświadczył że nie tylko żadnych nie ma zastrzeżeń, ale i sam też weźmie udział w nabożeństwie. Podziękowano mu gorąco, ale też, rzecz jasna, nie wymagano od tak wysokiego urzędnika, by z procesją pobożną obszedł więcej niż trzy ołtarze, a obejść miała ze trzydzieści.

— Co być zrobił, gdybyś jednak wytrwał w procesji i doszedł z nią do ołtarza, ku mojej czci wzniesionego? — zainteresował się Antymachos, gdy sprawa skutecznego podejścia Heliodora została całkowicie wyjaśniona.

— To samo, tylko znacznie wcześniej, co zamierzam zrobić teraz. Zbadać, jak to się stało, że „nauarcha” tak skwapliwie oddał okręt pod opiekę bóstwa, o którego istnieniu nic uprzednio nie wiedział?

— Wiedział i to od dawna. Może od pół roku już. Czy nie wiesz, że w każdą rocznicę wielkiego zwycięstwa nad Masagetami „nauarcha” „Meandrii” otrzymuje ze skarbcza królestwa margijskiego duży worek srebra do podziału między załogę? W tym jednak roku worek nadszedł z dopiskiem: „Wstrzymać rozdawnictwo aż do oddania się „Meandrii” pod opiekę boga, ku czci którego wybite są monety, worek wypełniające”.

— Czy Król Wielki wie o twym przebóstwieniu się, o panie? — wmieszał się znów do rozmowy Sogdyjczyk Spitamenes.

— Wie. Radzę, byś sobie zaoszczędził następnego pytania.

Rada była nie tylko rzeczowa, ale dowodziła nadto, że Antymachos nie zamierza — ponad konieczną potrzebę stawiać antagonistów w sytuacji dla siebie i bardzo może korzystnej, lecz dla nich bardzo niebezpiecznej. To budziło w Heliodorze podziw. Młody Eutydemos — myślał — a może i nie tylko on, bo i ojciec jego zapewne tak samo, bez wahania wykorzystaliby nieogłędność, z jaką Spitamenes zastawiał na siebie potrzask w postaci następnego pytania, które — było to jasne — nieuchronnie zawierałoby żądanie okazania dowodu, iż Demetrios wie o przebóstwieniu się brata, a tym samym robiłoby pytającego winnym nie tylko karygodnej nieufności względem członka dynastii, ale i wręcz świętokradztwa. Antymachos już poprzednio musiał się poczuć mocno dotknięty, gdy Spita-



menes zapytał, czy mogą oni — on sam, Heliodor, Man-  
kuras — zobaczyć list Króla Wielkiego, polecający bratu  
udanie się na pogranicze północne w charakterze nad-  
rzędnym w stosunku i do Heliodora i do Menandra; ale  
coś, co się staje pierwszy dopiero raz, zawsze może być  
wy tłumaczone jako przykre, ubolewania godne, przecież  
dopuszczalne nieporozumienie. Inaczej rzecz się ma z po-  
wtórzaniem, i oto Antymachos z nieoczekiwaną zupełnie  
wspaniałomyślnością upomniał na czas antagonistę, by się  
nie powtarzał.

Heliodor, zresztą, skłonny był wierzyć i bez dowodów  
w prawdziwość oświadczenia, że Demetrios wie o prze-  
bóstwieniu się brata. Jakkolwiek oszołomiony zaskocz-  
niem i zawstydzony, upokorzony, iż tak się dał podejść,  
nie pozwolił swej świadomości na luksus niewczesny po-  
grążania się w samooskarżaniu, ale wielkim wysiłkiem  
woli zmusił ją do natychmiastowego spojrzenia w oczy  
wytworzonej przez owo podejście nowej zupełnie sytuacji.  
Poprzez akt ubóstwienia się Antymachos nabył zupełnie  
wyjątkowe uprawnienia; „Zgoda Narodów” stała się na-  
prawdę jego przybytkiem i mowy już być nie mogło o tym,  
by mu dalej wzbraniać wstępu w porze nocnej na pokład.  
Bez zmiany jednak pozostawała dziwność tego jego po-  
śpiechu — samo bowiem objawienie się jego, jako boga,  
nie dawało jeszcze żadnego wytłumaczenia na to, czemu  
wolał moknąć pod deszczem na brzegu w oczekiwaniu tak  
długo aż dowiedzie swego prawa do wejścia na pokład  
w nocy, zamiast noc tę spędzić w cytadeli i bez żadnych  
przeszkód przenieść się na okręt rano. Co zaś szczególnie  
Heliodora zastanawiało — to sprzeczność między tym po-  
śpiechem a nie podlegającym wątpliwości przygotowaniem  
starannym skutecznego zamachu na przepisy okrętowe.  
Sprzeczność tę usunąć się dawało tylko w jeden sposób:  
poprzez wytłumaczenie jej obawą Antymacha samego,  
a może też i Króla Wielkiego, że czyjaś reakcja na akt  
przebóstwienia się mogłaby okazać się tak wroga, iż za-  
grożałaby życiu Antymacha, więc w przewidywaniu tego  
niebezpieczeństwa obmyślane z góry zostały środki ostro-  
żności na wypadek, gdyby się stało rzeczywistością. Prze-  
widywania się sprawdziły, możliwość niebezpieczeństwa  
stała się rzeczywistością, i Antymachos wykonał dokład-  
nie to, co sobie był zawczasu ułożył. Że ułożył wszystko

właśnie tak — również budziło w Heliodorze podziw, ale jednocześnie też budziła w nim sytuacja, jako taka, drwiącą wesołość: ostatecznie — myślał — za jedną z podstawowych cech boskości uważa się nieśmiertelność; bóg więc, uciekający przed nożem w świętokradczej ręce kogoś takiego, kto ze swej strony ten właśnie akt ubóstwienia się uważa za świętokradztwo, to widowisko wyjątkowo zabawne!...

Ale jeśliby w samej rzeczy przed nożem to była ucieczka, czy nie zapewniały mury cytadeli w Tarnicie tej samej ochrony, co pokład „Zgody Narodów”? Jeśli zaś wedle mniemania Antymacha nie zapewniały, czemu zwlekał dłużej niż dobę z przeniesieniem się z cytadeli na okręt i czemu nie nakazał, ledwie na pokład wszedł, natychmiastowego odpłynięcia? Oczywiście — rozumował Heliodor — ułożony zawczasu wcale skomplikowany plan mógł w istocie wymagać rozłożenia przenosin boga na dwie noce; w takim jednak razie niebezpieczeństwo nie musiało być aż tak bliskie, bo gdyby było, zagrożony śmiertelnie Antymachos nie mógłby sobie pozwolić na luksus przeczekania, iżby cała doba upłynęła między wysłaniem na okręt swego popiersia, a własnym na brzegu zjawieniem się. Chyba że — ale to wyglądało nazbyt już nieprawdopodobne — był dokładnie powiadomiony, iż niebezpieczeństwo, przeciw któremu tak skomplikowane przygotował zawczasu środki ostrożności, zagrozi mu nie wcześniej niż właśnie wtedy a wtedy. Ale kiedy się tak dokładnie zna wyznaczony termin zamachu na siebie, zazwyczaj gdy się jest władcą a przy tym członkiem potężnej dynastii, zdobywa się też sposoby obezwładnienia na czas zamachowców — i tu właśnie tkwiło nieprawdopodobieństwo całej tej interpretacji. Świadomość jednak przegranej i odczuwania jej jako upokorzenia, nie pozwoliły Heliodorowi na snucie innych domysłów przez resztę nocy. Ani nawet przez następne rano a to na skutek nowego uderzenia w postaci prośby Dionei o dziecko. Dopiero więc po rozmowie z Teodorem i odebraniu z jego rąk puszkę, zawierającą złowrogi rozkaz, zdolny był Heliodor do poddania dalszej krytyce swego poprzedniego domysłu. Okazało się jednak, że na samą krytykę szczegółów było już za późno; rozmowa bowiem z Teodorem podważyła wiarę Heliodora w zasadniczą słuszność jego domysłu

z nocy ubiegłej, że jednak domysł ów wywodził się z rozumowania, w którym wszystkie poszczególne człony bez zarzutu pasowały do siebie, i tak dopasowane, w niezmiernie harmonijną i logiczną układały się w miemaniu Heliodora całość, tworzyła się znów sprzeczność, z której wybrnąć można było z pomocą tylko jednego jedyne go przekonującego wniosku: poprzednie rozumowanie Heliodora było dokładnie takie, jak tego sobie życzył Antymachos.

Wiedział, że Antymachos bardzo go ceni, niemniej może niż sam Król Wielki. Domyślał się, że jeżeli podejrzenie Teodora jest słuszne, Antymachos, gotując się do zamachu stanu, musiał nieraz siebie zapytywać: „Czy Heliodor mych zamierzeń nie wytropi, nie przeszkodzi mi?“, z których to pytań nieuchronnie rodzić się musiały inne: „Co mam zrobić, by się nie dać Heliodorowi wytropić? Jak mam zapewnić sobie to, by Heliodor o moich poczynaniach myślał nie inaczej, niż tak tylko, jakby to dla mnie było dogodnie?“ A jak Heliodora Antymachos, tak też i Antymacha Heliodor cenił bardzo wysoko, więc uważał jego inteligencję za całkowicie zdolną do odtworzenia sobie omalże bezbłędnie biegu rozumowania Heliodora w obliczu takiej a takiej sytuacji na długo jeszcze zanim by sytuacja ta zaistniała. Równocześnie jednak starał się Heliodor nie przeceniać siebie jako zagrożenia dla planów Antymacha — przecenianie takie bowiem mogłoby go łatwo zaprowadzić na manowce: na przykład mógłby sobie wyobrazić, że to właśnie z myślą o nim, w obawie przed nim, wytworzyły się wszystkie szczegóły współzależności między ubóstwieniem się Antymacha a jego wolą dostania się na pokład „Zgody Narodów“ w porze nocnej. A tak nie było: współzależność ta wynikała z istoty głównego celu Antymacha, a nie bynajmniej tylko z trwogi przed przeszkodami, jakimi drogę do tego celu mógłby zatarasować Heliodor. Najprawdopodobniej gdyby Heliodor zmarł nagle czy to w przeddzień ostatniej wysyłki przez Antymacha dorocznego upominku dla załogi „Zgody Narodów“, czy też tuż zanim popiersie zostało skierowane z innymi rzeźbami na okręt, czy wreszcie na oczach Antymacha, gdy ten już stał w deszczu na brzegu, domagając się wpuszczenia na pokład, nic by taka jego nagła śmierć nie zmieniła w zakresie szczegółów, drobnych nawet, owej

współzależności. Z jakiego to przekonania z kolei jedynym logicznym wnioskiem musiało być całkowite odwrócenie porządku, w jaki ułożyły się były poszczególne elementy poprzedniego rozumowania Heliodora: cel musiał zostać uznany za przyczynę, przyczyna za cel. Zamiar znalezienia się w takim a takim czasie na pokładzie „Zgody Narodów” nie był jednym z następstw ubóstwienia się Antymacha, ale odwrotnie, celem, którego osiągnięcie — właśnie w tym, nie innym, a dawno wyznaczonym czy przewidzianym momencie — byłoby zapewne nieporównanie trudniejsze albo i w ogóle niemożliwe bez wyniesienia się uprzedniego do godności boskiej. Ale znowuż i tutaj wołał Heliodor nie przeceniać znaczenia poszczególnych momentów, zwłaszcza gdy stawiały Antymacha oko w oko z nim samym; ubóstwienie się królewskie było sprawą nazbyt poważną, ażeby wolno było jedynego motywu dopatrywać się w chęci czy potrzebie dostania się wtedy a wtedy na okręt. Nie! boskość Antymacha to drabina, za pomocą której wspina się jego woła czy wyobraźnia czy obie łącznie na szczyt jakiejś bardzo wysokiej, wielopiętrowej wieży, tak zbudowanej, że każde kolejne wyższe piętro węższe jest od poprzedniego czyli u podstawy każdego z poszczególnych pięter trzeba wciągniętą za sobą drabinę odpowiednio ustawiać, na każdym piętrze inaczej. Otóż podejście Heliodora, a i w ogóle samo dostanie się nocą na pokład to było tylko odpowiednie ustawienie drabiny dla przebycia jednego z pięter, może i szczególnie trudnego, by się na nie wspiąć — ale bynajmniej nie jedynego. Po tym wyczynie szczyt wieży wciąż jeszcze mógł pozostawać bardzo daleko. Co zaś szczytem tym być mogło? Nie zamach stanu, bo to też środek tylko, a nie cel. Poddanie sobie ukochanej floty? Możliwe — ale też nie nazbyt, jako cel ostateczny, bo flota, choćby i najukochańsza, ma wartość o tyle tylko, o ile przy pomocy jej chce się coś osiągnąć. Na przykład władzę znacznie większą od tej, jaką dotąd się posiadało. Szczególnie gdy los podsuwa przed oczy tak niezwykłą sposobność, jak ciężka choroba albo nawet i prawdopodobnie śmierć młodzieńczego bratanka, władającego krainami w każdym sensie godniejszymi zazdrości, niż królestwo Margiany. Los podsuwa? Heliodor, od cytadeli wolno idący, miał już przed oczyma przystań, a tuż za nią a zarazem jak gdyby też

i nad nią dumne i piękne zarysy najwspanialszego w sercu Azji okrętu. Przystanął nagle. Przypomniał sobie zwierzenie Teodora, iż na okręt wraz z Antymachem przedostał się także Teofil. I nagle to przypomnienieomalże w okamgnieniu nie zważyło w gruzy całego jego ostatniego domysłu. Oto wedle Teodora Teofil pragnie zamachu stanu Antymacha, ale w istnienie takiego zamiaru naprawdę nie wierzy, Antymachos zaś dla jakichś powodów chce, żeby Teofil w to wierzył. Ale czy warto aż tak się mozolić, wspinając się i coraz przestawiając drabinę, w tym jedynie celu, aby w kogoś wmówić, że się chce osiągnąć szczyt, na którym w rzeczywistości wspinającemu się wcale nie zależy?!

Poza tym jeśliby szczytem być miała zamiana Margiany na kraje, dotąd przez bratanka rządzone, cała nowa teoria Heliadora musiałaby się rozbić o sam w sobie niby drobny, a przecież nie do pominięcia szczegół: nocne wstąpienie na pokład „Zgody Narodów” na prawach boga przewidziane zostało co najmniej na pół roku przedtem zanim los podsunął stryjowi nęcącą sposobność w postaci nagłego obez władnienia rządzącego pożądanymi krainami bratanka; dowodem dopisek na worku z dorocznym upominkiem dla załogi — monety z napisem „Antymacha Króla Boga” zostały wybite na długo przed dniem, w którym niespodziane uderzenie w wyniku nieprzewidzianego zamieszania powaliło Eutydymosa Młodszego.

I nagle silnie, silnie poczęło Heliodorowi łomotać serce poza żebrami. Uderzenie, naprawdę niespodziane? Zamieszanie, w rzeczywistości nieprzewidziane? I los to w samej rzeczy podsunął Antymachowi tak niezwykłą sposobność?!

Do przystani dowlókł się zataczając się niby pijany.

Ale wstępował na okręt znów już całkowicie opanowany i do całkowitej zdolny koncentracji nad namysłem, gdzie by miał schować puszkę. I nie wcześniej aż dopiero gdy znalazł się ponownie — tym razem w dziennym świetle — oko w oko z królem Margiany — dał się ponownie ogarnąć fali wielkiego pragnienia istnej żądz, rzucenia w twarz Antymachowi: „Więc umyśliłeś, o panie, zawczasu, że Teofil namówi twego bratanka do posadzenia mnie na słońcu, co by się włamał do klatki z małpami? Godna to nagroda za długą wierną służbę dla dynastii: z góry upatrzeć sobie we mnie zwierzę ofiarne, na

które zręcznie zrzuci się winę za własny zamysł zbrodni, łączącej w sobie królobójstwo, bratobójstwo, synobójstwo?"

I gdyby nie łysina i siwizna Antymacha, gdyby nie skojarzenie ich widoku z wydobyciem się z tajników pamięci tego, co wiedział o królu barbarzyńców rzymskich, boskim Numie, nie byłby władny Heliodor zapanować nad tą swą żądzą rzucenia w twarz Eutydemidzie oskarżenia o zamach na życie innego Eutydemidy. Gdy go kiedyś, kiedy dawno już było po Wielkiej Przygodzie zapytała Dioneja, jak to się stało, że przecież nad owym gwałtownym pragnieniem był zapanował, odpowiedział z zawstydzeniem a i z pewnym smutkiem zarazem: „Pomyślałem wtedy, że może jednak bogom naprawdę wszystko wolno. Nawet takim, co sami siebie do godności boskiej wynieśli”

CZEŚĆ DRUGA





## I

Trzeci już dzień płynęła „Zgoda Narodów” od Tarmity do Tery, a nic nie wskazywało na to, iżby Antymachos miał już w swych rękach puszkę, ukrytą we wgłębieniu podstawy posążka, wyobrażającego bóstwo milczenia. Istniał wprawdzie bardzo prosty sposób sprawdzenia, czy puszka została przez króla-boga odnaleziona, Heliodor jednak wzdragał się po sposób ten sięgnąć, mógłby się bowiem narazić na zetknięcie się z Antymachem w tym jedynym momencie, kiedy zetknięcie się takie byłoby wedle niego jak najbardziej niepożądane: w momencie właśnie odnalezienia puszkę. Wolał więc się nie zbliżać wcale czas jakiś do pokoju, bliźniaczo podobnego do jego z Dioneją sypialni małżeńskiej, a i dopilnowywać, by nikt inny się tam nie zbliżał. Ze zaś było niepodobieństwem zdać się na siebie wyłącznie przy takim dopilnowywaniu, wziął sobie do pomocy Mankurasa, którego wprawdzie w plan swój nie wtajemniczył, ale z którym podzielił się był jeszcze poprzedniego dnia swą rzekomą obawą o bezpieczeństwo króla Margiany, niedwuznacznie zagrożone — jak to mówił Indowi — przez sprzysiężenie garstki zgorszonych aktem własnowolnego ubóstwienia się. To samo, zresztą, równocześnie podał był do wiadomości Spitamenesa; od czasu bowiem pierwszej swej dziennej rozmowy z Antymachem, w obecności Sogdyjczyka prowadzonej, nie był wcale tak pewien, jak przed nią, że oni trzej — on, Ind, Sogdyjczyk — stanowią zwarty front, broniący tej samej i jednakowo też rozumianej sprawy przeciw zagadkowym knowaniom brata Króla Wielkiego.

Odebrało mu tę dawną pewność ciągle przebywanie Spitamenesa z wspólnym wrogiem, przeważnie sam na sam. Oczywiście, pozornie można byłoby je tłumaczyć akcją obserwacyjną właśnie w ramach trójjedynego działania, ale też tylko pozornie; uderzające bowiem było nie to, że Spitamenes chciał być ciągle w pobliżu Antymacha, ale że tego samego — bodajże w sposób bardziej jeszcze rzucający się w oczy — chciał także i sam Antymachos. Można było wprawdzie założyć, że to z jego strony tylko czujne przeciwdziałanie — że domyślając się, iż jest śledzony, sam też śledził — podejrzewany, sam podejrzewał. Ale tej możliwości przeczyło jedno jedyne zdanie, stanowiące udział Spitamenesa w całej długiej rozmowie — owej pierwszej dziennej — między Antymachem a Heliodorem. Brzmiało ono: „Ja to zrobię” i samo w sobie było właściwie niewinne, bo stanowiło tylko zaofiarowanie czysto ręcznej pomocy majestatowi królewskiemu, ba, boskiemu — ale z wymiany spojrzeń między królem a Sogdyjczykiem w chwili, gdy właśnie te słowa padały — Heliodor odniósł niemiłe wrażenie, że tamci dwaj sygnalizują sobie nawzajem gotowość współdziałania przeciw pomysłowi, za pomocą którego puszka miała niby przypadkiem odkryta, znaleźć się w rękach Antymacha. Jako że „Ja to zrobię” Spitamenesa stanowiło reakcję na oświadczenia: najpierw Heliodora, że nie ma na okręcie istoty ludzkiej, która by się nie wzdragała przed wykonaniem zlecenia Antymacha, by jego popiersie zostało usunięte z dostojnego miejsca i postawione w ciemnym kącie; potem Antymacha samego, że jeśli w samej rzeczy wszyscy się tak wzdragają, bardzo go wzrusza ten zbiorowy objaw czci boskiej dla niego, ale zlecenie jego tak czy owak musi być wykonane, więc skoro nie podejmie się tego nikt z dwu tysięcy blisko osób na okręcie, zrobi to on sam — własnymi królewskimi rękoma, bez względu na to jak ciężkie mogą się okazać i jego własne popiersie i posążek boga milczenia, a w szczególności postumenty obu.

Na to oświadczenie Heliodor ogromnie liczył, niecierpliwie na nie czekał od samego początku rozmowy — więcej jeszcze: przecież cała rozmowa była przez niego pomyślana i prowadzona jako przygotowanie jedynie do wydarcia Antymachowi tego właśnie oświadczenia. Wieńczyło ono bowiem jego, Heliodora, plan co do puszki, wręcz dosko-

nałą w swej prostocie, przypadkowością rzekomą wykonania. Oto Antymachos, ustawivszy własnoręcznie swe popiersie w kącie, zabrałby się zaraz do przeniesienia powrotnego na dawne miejsce posążka boga milczenia i w czasie wykonywania tej to właśnie czynności musiałby nieuchronnie spostrzec puszkę, bądź ją strącając nieumyślnie na posadzkę w chwili gdy wgłębienie w podstawie posążka wysunie się poza brzeg stolika, bądź też spostrzegając ją na stoliku w wypadku, gdyby przenosiny powrotne rozpoczął nie od powolnego zsuwania postumentu, tylko od uniesienia od razu posążka w górę. Rozpoznałby od razu puszkę jako sobie z dawna znaną, czy nie — to by nie było ważne; raz rzuciwszy mu się w oczy, nieuchronnie musiałaby przykuć ku sobie jego ciekawość. Wziąłby ją w ręce. Dostrzegłszy odłamany przez siebie w dzieciństwie kiel jednego z malutkich słoni, pierścieniem opasujących nakrywę — na pewno by już ją rozpoznał. Ale gdyby nawet wciąż jeszcze pamięć jego nie reagowała należycie — wystarczyłaby normalna reakcja wciąż i wciąż potężniejszej niewątpliwie ciekawości. Było wprost niepodobieństwem, ażeby puszki nie otworzył. Jeszcze mniej możliwe było, iżby otworzywszy ją, nie rozwinął zwoju. A raz go rozwinąwszy i przebiegłszy zawartość oczyma, ani na chwilę by już nie zapomniał, że jeśli istotnie przygotowuje zamach stanu, musi się liczyć z tym, że przeciw łamiącemu ugodę ogólnorodzinną członkowi swemu dynastia nie zawaha się użyć broni straszliwej, przeciw niezawodnie skutecznej: otworzenia granic barbarzyńcom północy.

I oto cały ten, doskonały w prostocie swej pomysł, zagrożony został jednym jedynym odezwaniem się jednego z członków trójjedynego frontu przeciw Antymachowi. Była nawet taka chwila, że Heliodor uważał ten pomysł swój za nieodwołalnie już w gruzach leżący. Mylił się jednak, i jakże cieszył się z tej swojej pomyłki! Jakże czule wdzięczny był Antymachowi, gdy ten składając wargi w subtelny, trochę dziwny uśmiech, odparł:

„Dzięki gorące, ale czyż nie jesteśmy zjednoczeniem królestw, którego hasłem naczelnym: „Zgoda Narodów Serca Azji”? A byłoby sprzeniewierzeniem się temu hasłu, gdyby ktoś, nie uznający innych bóstw, jak samego tylko Ahura-Mazdę, powołany został do przykrej dla swych

przekonań czynności przydzielania świętych miejsc podobiznom istot, o których inni mówią — wedle jego zdania, zapewno bluźnierczo: to są bogowie”.

Sogdyjczyk nie odpowiedział nic, złożył tylko głęboki ukłon. Heliodor chwilę beznamiętnie zastanawiał się nad zagadką dziwności subtelnego uśmiechu, który towarzyszył niedwuznacznemu oświadczeniu się Antymacha za jedną z naczelnych zasad, na jakich jego ród opierał swe rządy nad sercem Azji — rządy, z dziesięciolecia na dziesięciolecie coraz to więcej zbierające poklasku od rządzących. Można zaś było zagadkę tego uśmiechu wielorako tłumaczyć, z wszystkich jednak możliwych tłumaczeń najbardziej przekonujące wydało się Heliodorowi podejrzenie, iż wypowiedź Antymacha to drwina, ale mniej z samej zasady równouprawnienia, niż osobiście ze Spitamenesa — jak gdyby uśmiechem mówił król Margiany: „Sprytnyś, ale jam ciebie przeniknął i nie ty ze mnie, ale ja z ciebie sobie zakpiłem”. Bo oto najprawdopodobniej gotowość Sogdyjczyka do zrobienia tego, czego żaden Grek na okręcie zrobić nie chciał, miała oznaczać: „Ty czy tamten chłopiec z palcem na ustach jednakowo nie jesteście bogami, cóż mi więc szkodzi przeniesienie ładnie wyrzeźbionych brył kamiennych? Zrobię zaś to z tym większą przyjemnością, że to nawet wcale zabawne zapchać własnoręcznie w ciemny kąt rzekomo świętą podobiznę obłąkańca lub kpiarza, co sam o sobie mówi: — „Jam bóg”. I właśnie to przeniknąwszy, odpowiadał zagadkowym uśmiechem Antymachos: „Nie sprawię ci tej przyjemności, byś się za moją zgodą miał zabawiać kosztem tego, co ogłosiłem jako przedmiot czci nabożnej dla Greków, ale oczywiście, nie chcę, byś wiedział, że ja wiem, co moja boskość jest dla siebie warta”. Ale nawet w świetle tego tłumaczenia — uznanego za najprawdopodobniejsze z możliwych — niepokojąca wciąż pozostawała dla Heliodora owa wymiana znaczących spojrzeń dokładnie w chwili, gdy z ust Spitamenesa padło: „Ja to zrobię”. Jak gdyby sobie mówili:

*Spitamenes:* Nie zapomniałeś, jak masz odpowiedzieć na moje „Ja to zrobię”?

*Antymachos:* Bądź spokojny. Nie zapomniałem.

Albo:

*Spitamenes*: Uważaj: Heliodor tego właśnie tylko chce, byś przesunął popiersie i posążek własnymi rękoma.

*Antymachos*: Wiem. (Albo: „Masz słusność”). Ale się nie przejmuj. Jest konieczne by miał mnie za większego tępaka, niż jestem. Niech myśli, że mnie złowił.

Mógł bezpodstawnie się niepokoić — to także brał pod uwagę. Ostatecznie osoba, wykazująca się pierścieniem Króla Wielkiego, może z ramienia swego mocodawcy porozumiewać się z jego bratem również i w jakichś takich sprawach, o których nie godzi się wiedzieć nikomu, kto nie jest członkiem dynastii, i wymiana spojrzeń mogła tylko pośrednio bardzo wiązać się ze sprawą przesunięcia boskich podobizn. Kiedyś przecież samemu Heliodorowi coś takiego się wydarzyło: nieraz w rozmowach z Dioneją omawiali otyłość Teofila, uważając, że jest w niej coś niesamowitego, i oto raz w ich obecności matka Dionei, mówiąc o jednym ze swych przodków, zaznaczyła, iż przechowało się podanie rodzinne, że na starość, a żył bardzo długo — roztył się wręcz niesamowicie; i oto ledwie te słowa padły z jej ust, córka i zięć wymienili z sobą znaczące spojrzenie. „Pomyślałeś wówczas o Teofilu — nieprawdaż?” — zapytała później Dioneja męża.

Ale i przełamując nawet swój niepokój, wolał Heliodor być na baczności. Mógł *Spitamenes* trwać — mimo pozory — nadal wiernie przy trójjedynym froncie, ale mógł się też z niego wyłamać, ba, pociągnąć za sobą *Inda*. Dlatego więc trzeba było *Indowi*, z myślą, że powtórzy to *Sogdyjczykowi*, mówić, iż on, Heliodor, wierzy w niebezpieczeństwo, grożące nawet na pokładzie „*Zgody Narodów*” królowi który własnowolnie wyniósł siebie do godności boskiej. Prawdopodobne było, że zostanie to powtórzone *Antymachowi*, ale o to też właśnie najbardziej Heliodorowi chodziło: skoro raz założył, że *Antymachos* chce, by on, Heliodor, myślał, że on, *Antymachos*, myśli, iż powodem jego znalezienia się na okręcie jest obawa przed świętokradczym zamachem obłąkańca, co jego, *Antymacha*, ma za świętokradcę — koniecznie pragnął Heliodor króla-boga utrzymać w mniemaniu, że jak chciał, tak się też i stało. A równocześnie drugiego rysia zabijał tą samą strzałą: uzyskiwał niezbędną sobie pewność, że nikt nie spłoszy *Antymacha* w chwili znalezienia puszkę; *Indowi* bowiem powiedział, że najprawdopodobniejsze miejsce,

gdzie zamach mógłby zostać dokonany, to właśnie pokój, bliźniaczo podobny do jego z Dioneją sypialni małżeńskiej.

— Dlaczego właśnie ten pokój?

W pytaniu brzmiało wyraźne — choć dla mniej wpraw nego ucha chyba zupełnie niedostrzegalne — niedowierza nie. Heliodor zdziwił się, wręcz się zgorszył, omalże obu rzył. Przechylał się, rzecz jasna, do zasady, iż w nad królestwie Eutydemidów wszystkie narody stanowią przedmiot jednakowego zatroskania ojcowskiego ze strony dy nastii, jako że od blisko trzydziestu lat widział i stwier dzał, jak powolne przekształcanie tej zasady z doraźnie użytecznego hasła w codzienną praktykę wzmacnia dynas tię i prowadzi ją od powodzenia do powodzenia. Ale prze cięż od uznania nieuchronności śmierci za coś doskonale zgodnego z przyrodzonym porządkiem rzeczy bardzo jesz cze jest daleko do zdolności wprowadzenia się w bez troski nastrój na widok konania ukochanej istoty. Więc też i Heliodorowi bardzo było niełatwo oswoić się z nie uchronnym następstwem naczelnej zasady politycznej Euty demidów: z koniecznością godzenia się z sytuacjami, w któ rych byłby traktowany przez barbarzyńców jak gdyby na prawdę przez równych sobie poddanych tego samego wład cy. Samemu traktować ich jako takich — to jeszcze było pół biedy; wszak wśród tak zwanych nieprzejednanych, czyli Greków, przeciwnych zasadzie równości, coraz bardziej zresztą nielicznych, jak sądził, krążyły o nim uszczypliwe gadki, że gdy zdarzało mu się znaleźć w towarzystwie ja kiegoś starszawego drobnego ziemianina tubylczego, i ten, kierowany wspomnieniami młodości, omalże odruchowo obnażał głowę — Heliodor na wpół z zakłopotaniem a na wpół z tchnącym wspaniałomyślnością wzruszeniem, prosił, wręcz błagał tubylca, by nakrył co prędzej głowę, bo prze cięż on, ten oto Grek, jest znacznie młodszy, więc nie godzi mu się być w taki sposób pozdrawianym — „w na szej wspólnej stolicy”... Albo też gdy ktoś z jego pod władnych, Grek, był w śledztwie pobłażliwym dla pobra tymca, niż tubylca, Heliodor gromił go bezlitośnie, woła jąc: „To ci nie Seleukia nad Tygrysem, ani Aleksandria koło Egiptu. Co się marszczysz? Nie podoba się? To wra caj, przyjacielu, na Zachód, skądś przybył. Nikt tu za tobą płakać nie będzie”. Przy czym tym bardziej bezli-

tosne było to gromienie, im więcej tubylców — niższych urzędników na przykład lub służby — mogło je z pobliza podsłuchać. Rozsiewacze jednak uszczypliwych gadek byli rozmyślnie niesprawiedliwi: mówili, że Heliodor udaje. Nie udawał: gdyby był setnikiem wojskowym, nie wzdragałby się przed posłaniem na śmierć ulubieńców ze swego oddziału, jeśli od tego miało zależeć zwycięstwo; gdyby był kapłanem a stwierdził konieczność złożenia ofiar z najpiękniejszych okazów ze stada, stanowiącego przedmiot największej jego dumy nie wahałby się ani chwili; więc też i jako sługa dynastii, widząc wspaniałe owoce posiewu politycznego Eutydemidów, szczerze pragnął, by owoce te następnego roku były jeszcze wspanialsze, a dla szkodników miał tylko pogardę i oburzenie: pogardę dla ich krótkowzroczności, oburzenie dla niekarności.

Ale co innego jest — stwierdzał to wielokrotnie — z czułością starszego mądrego brata upominać tubylca: „Tyś mi równy” — a co innego znowuż napotykać — i to jakże często, nie nastawiwszy się wcale na to uprzednio! — na objawy takiego tubylców względem siebie zachowania się, jak gdyby nigdy w głowie im nie powstało że mogliby nie być mu równi. Gdy zgał, że wnuczka Teodora poślubić ma Sogdyjczyka, zdziwił się bardzo, ale bynajmniej się nie zgorszył, a wiedział, że zgorszenie, ba, oburzenie na Teodora i całą jego rodzinę wśród Greków będzie ogromne. Sam w sobie odkrywał raczej podziw wielki dla tej rodziny — tym większy, że miał pełną świadomość, iż jeśli kiedy coś go w Dionei drażniło, to te prawie wyłącznie właściwości, których rozwinięcie się przypisywał temu, że mniej znacznie rodzona matka, a bardziej Sogdyjka zbawicielka kierowała jej wychowaniem w latach największej wrażliwości na wpływy i wzory. Toteż on by wprost nie miał odwagi z tubylczą kobietą się ożenić. Zrobiłby to, rzecz jasna, gdyby Król Wielki osobiście przekonał go niezbitcie o celowości takiego małżeństwa w kategoriach dobra publicznego — miałby jednakże pełną świadomość ogromu ofiary, jaką z siebie na rzecz owego dobra składa. Więc też stąd właśnie rodził się jego podziw dla starego Teodora i młodziutkiej Teodory; wiedząc, że oboje — mimo przynależności do odległych od siebie pokoleń — w jednakowym stopniu mało byli wraź-

liwi na nagrody czy zaszczyty — domyślał się, że o małżeństwie ze Spitamenesem musiało zadecydować coś z dziedziny wyższej polityki. Teodor sam, wprawdzie, raczej podsuwał mu domysł, że takie właśnie, ba, może tylko takie małżeństwo da jego wnuczce rękojmię, iż nie zagrozi jej wydawanie na świat dzieci, których nie wolno będzie jej zachować przy życiu, ale tego wyjaśnienia nie skłonny był Heliodor brać nazbyt poważnie. Ostatecznie wśród mężczyzn greckich w Baktrii z roku na rok coraz więcej było takich — a szczególnie od czasu tak głośnej sprawy odrzucenia i zbawienia Dionei — którzy się wzdragali przed korzystaniem z takiego uprawnienia; wielu, zresztą, z nich — a między nimi właśnie i on sam, Heliodor, znali i stosowali sposoby, co chroniąc przed poczęciem, stwarzały możliwość uniknięcia naraz i zwiększenia się niepożądanego rodziny, i okrucieństwa wobec niemowląt. Oczywiście, domysł, podsuwany przez Teodora, mógł być częściowo słuszny, ale właśnie tylko częściowo: dynastia mogła chcieć stworzyć wzór do naśladowania, kierując się zapewne mniej troską o niewyżyte instynkty macierzyńskie Greczynek baktryjskich, a bardziej potrzebą wzmocnienia swej siły zbrojnej na przyszłość, szczególnie jeśli prawdą być mogły gadki, przynieszone spoza Parapamisu, iż wedle Demetriosa — a podobno i wbrew jego własnym pierwotnym zamierzeniom — wyprawa pomyślna na Pięciorzeczce Indyjskie winna być rozpatrywana zarówno przez Greków i towarzyszących im Irańczyków jak i przez Indów samych, nie jako najazd, ale jako trwały podbój, przy czym — bo i o tym też już mówiono — na podbitych zamierzał rozciągnąć Król Wielki te same dobrodziejstwa, wypływające ze znalezienia się pod rządami Eutydemidów, nie zaś żadnych innych władców greckich, — jakie były dotąd udziałem wschodnich Irańczyków. Na co — dodawano nie bez szyderstwa — krzywią się poza Parapamisem nie sami już Grecy tylko, ale też współuczestnicy ich zwycięstw, ciężkozbrojni możnowładcy wschodnio-irańscy i dzierżawcy tychże, łucznicy konni. Mogło to być prawdą, i Heliodor — właśnie pomny owych szyderczych gadek — z wielkim zaciekawieniem śledził stosunki wzajemne między Mankurasem a Spitamenesem. Jak dotąd jednak, nie mógł w nich dopatrzeć się niczego, co by owe gadki potwierdziło, może poza jednym jedynym szczegółem, na który nie-



jednokrotnie zwracał uwagę Dionei: oto Sogdyjczyk, więc właściwie Irańczyk, obchodzi się z Indem trochę tak, jak on, Heliodor, z tubylcami północno-wschodniego Iranu: upominając go — nie słowami wprawdzie, ale całym swym zachowaniem się — że są sobie, w kategoriach uprawnień i obowiązków w stosunku do dynastii — równi. Oczywiście, mogło to być też i błędne spostrzeżenie, a raczej błędne rozumienie motywów; wyraźna bowiem uległość stale podkreślana podrzędność Mankurasa względem Sogdyjczyka mogła mieć jako motyw nie świadomość odczuwanej jako niższość, inności narodowej, ale szacunek, należny pierścieniowi Króla Wielkiego. Przecież zawsze pozostawało znamienne, iż pierścień ten powierzony został szesnastolatkowi, a nie znacznie starszemu i wyraźnie w każdym sensie dojrzalszemu Mankurasowi.

Heliodor, zresztą i to jeszcze nawet potem jak zaczął nieufnie spoglądać na dziwną a z dnia na dzień coraz to rosnącą zażyłość między królem Margiany a Sogdyjczykiem, nie miał najmniejszej wątpliwości, że i sam czuje się bardziej swojsko ze Spitamenesem, niż z jego towarzyszem. Oczywiście — mówił sobie i żonie — to tylko przyzwyczajenie: z Baktrami i Sogdyjczykami zżył się na przestrzeni trzydziestu blisko lat, Indowie zaś to dla niego świat najzupełniej nieznany. Zarazem jednak zaznaczał, że pamięć mu sygnalizuje, iż pewne szczegóły w powierzchowności czy w sposobie bycia Mankurasa rażą go, drażnią wręcz tak, jak nigdy nic go nie raziło w tubylcach Baktirii czy Sogdiany. Mniejsza już nawet o powłóczysty, babski zupełnie — jak to określał — strój, mniejsza nawet o dziwność uczesania i niesmak budzącą płaskość stóp, ale co było dlań najtrudniejsze do zniesienia, to nieruchomość, z jaką Mankuras potrafił cały dzień na deszczu lub na spiekocie siedzieć z podwiniętymi pod siebie nogami.

— Więc nie drażnią cię już spodnie Spitamenesa? — pytała Dioneja — ani to, że nikt nigdy nie może wiedzieć, czy ma on na nogach palce? Pamiętasz? Sam mi kiedyś mówiłeś, że trzeba z Sogdyjką czy Sogdyjczykiem koniecznie iść do łóżka, aby się upewnić, że stopy ich to rzeczywiście stopy, a nie jakaś wydłużona odmiana kopyt?

Pamiętał. A i wiedział też, że ona sobie z lekka pokpiwa z niego, tak mówiąc, bo choć Greczynka czystej krwi,

może nawet lepszej niż jego własna, na skutek opieki Aspionii, a bardziej jeszcze zdobytej, gdy miała jakieś trzy cztery lata, świadomości, iż nie byłaby w ogóle żyła, gdyby nie ta tubylcza kobieta; Dioneja — Greczynką w pełni pozostawała zawsze tylko w stosunku do tubylców własnie, ale względem swoich lubiła się zachowywać jako rzecznik uprawnień, ba, interesów ludności tubylczej. W pielęgnowaniu — świadomym zupełnie — tej postawy posuwała się nieraz do wystąpień, które Heliodor określał jako wyczyny nieodpowiedzialne czy też wprost niepoczytalne wybryki. Kiedyś na przykład na uczcie u króla Eutydemosa Młodszego, kiedy ten jeszcze był wielce łaskaw dla Heliodora, na uczcie, w której udział brali sami tylko Grecy, ktoś — bodajże późniejszy dowódca okręgu ochrony północnego pogranicza, Menander — zwrócił uwagę biesiadników na zdumiewający, wręcz niepokojący objaw coraz większego szerzenia się kultu Anaity wśród Greków z osad wojskowych, kobiet szczególnie. Ktoś inny z kolei, wielce uczony, wszczął obszerny wywód na temat istotnych różnic między osobowościami Anaity i Artemidy Łowczyni, i wówczas nagle Teofil, mocno już widocznie pijany, zawołał: — Ach, jeśli dusze boże naprawdę żyją w posągach, ileż razy patrząc na tłoczących się u jej stóp czcicieli, wzdychać musiała Niepokalana: — Czemu chcecie, bym koniecznie była panną czystą? Głupcy! Żeby ktoś z was miał odwagę ręką pożądliwą zerwać mi z głowy koronę ośmiu promieniami zdobioną, a drugą ręką — szatę złototkaną ze skór rysich!... Lub choćby tylko pod szatę sięgnąć...

— Do kogokolwiek by tak mówiła — przerwała gwałtownie Dioneja — to na pewno nie do ciebie, dostojny Teofilu. Jakoże ponieważ uczono nas, że wszechwiedza nie jest wcale niezbędną cechą boskości, wzięłaby cię niewątpliwie za rzezańca...

Był to, rzecz jasna, przytyk do otyłości niesamowitej Teofila. Co do tego nikt z biesiadników żadnej nie mógł mieć wątpliwości. Ale tłuszczoch ten był bądź co bądź powinowatym królewskim — biesiadnicy wiedzieli, że trzeba koniecznie stłumić śmiech i właśnie ponieważ wszyscy wiedzieli, nikt — poza Menandrem — śmiechu powstrzymać nie mógł, nawet młodziutki król. Teofil zniósł zadziwiająco dzielnie całe to upokorzenie: Zdjął z głowy wie-

niec różnany i ukoronował nim Dioneję, gdy zaś ta podniosła się i złożywszy pokłon królowi, szybko poszła ku wyjściu długim chodnikiem z rysich i tygryskich skór, Teofil niezwykle szybko — jak na swą tuszę — pochylił się ku obuwiu, o którym zapomniała, i wciskając je w ręce Heliodora, zawołał: — Prędko za nią! Jak najprędzej za nią! Jeśli szanujesz jedną z naczelných zasad, jakimi się rządzi...

Resztę zdania rozmyślnie utopił w nowej czarze wina. Mógł to zrobić ze spokojem, i tak wszyscy zrozumieli napomknięcie i tającą się za nim złośliwość. Niespodzianie jednak wystąpił w obronie Dionei Menander. Powiedział, że zdolność do błyskawicznego odcięcia się za dowcip dowcipem niewątpliwie przynosi Teofilowi zaszczyt, ale jeszcze większy przynosiłaby inna zdolność wmyślenia się w motywy istotne zaczepki. Oto wytknął chwilę temu Dionei odejście od greckości ku irańskości. Jakim prawem to zrobił? Że wystąpiła w obronie czci bogini? Zaprawdę, źle byłoby, gdyby w samej rzeczy w Baktrii już tylko Irańczycy zachować mieli wrażliwość na to, co się godzi a co nie, gdy mowa o bogach. Niechże mu łaskawie Teofil nie przerywa — on, Menander, wie: ważne to, że irańskiej broniła bogini — nieprawdaż? Otóż to nieprawda. Po pierwsze, Anaita nie jest bóstwem Irańczyków, tylko ludu, który Baktrię zamieszkiwał i czczył Niepokalaną, na długo jeszcze zanim kraj ten opanowali Irańczycy, tak jak nim w wieki i wieki później owładnęli Grecy. Irańczyk prawdziwy z ducha, niezarażony czarem, jaki Baktria rzuca na wszystkich swych kolejno zdobywców, raczej by przyklasnął bluźnierstwu, godzącemu w Anaitę, bo dla niego jedno tylko istnieje bóstwo: Ahura Mazda — Pan Mądry. Dioneja zaś, jako Greczynka, broniąc Anaity, Artemidy Łowczyni naprawdę broniła. Chwałaż więc niech będzie greckim kobietom, które zawsze jeszcze stać, choćby najdalej od Grecji się znajdowały, na odważne bronienie przed kpiną bluźnierczą tych przymiotów boskich, jakie sławiła lira ślepeca Homera. A czy to ważne, że w danym miejscu ziemi przymiot ten innej przypisują bogini?

— Której rosnący kult sam chwilę temu określiłeś jako zjawisko niepokojące? — odciął się Teofil.

— Niepokojące, bo Grecy, szczególnie ci z małych osad, zapominają, że czystość niepokalana nie jest przy-

miotem samej tylko Anaity. Gdyby stając przed posągiem w złotej koronie, ośmiu promieniami i stu gwiazdami ozdobionej, zachowywali świadomość, że dla nich to bóstwo ich ojców — Artemis — rzekłbym: pocieszające zjawisko.

— I Dioneja tę świadomość zachowała?

— Zachowała.

— Mimo...

— Nie kończ. Nie ma potrzeby. Powtarzam: zachowała, mimo to, że greckiej jej matce zabrakło odwagi, by bronić praw swego dziecka do życia, a nie zabrakło tubylczej niewolnicy.

— Dowód?

— Służę. Raz Irańczyk — właśnie z ducha także, nie tylko z krwi Irańczyk — podobnie zakpił sobie z Niepokalanej. Ale by prostaczków swej krwi nie gorszyć — bluźnił Artemidzie, nie Anaicie. Towarzystwo było czysto sogdyjskie, nie licząc Dionei — sama rodzina jej wychowawczyni. Dioneja była wówczas dzieckiem jeszcze prawie, ale bluźniercy dostało się niemniej niż tobie chwilę temu, Teofilu.

Podnosząc ponownie, przy drzwiach tym razem — obuwie, na które Dioneja, wychodząc z sali biesiadnej, nie spojrzała nawet — Heliodor słuchał uważnie i myślał: czy Menander wierzy sam w to co mówi? Na to bowiem za dobrze Dioneję zna. Każdy zaś, kto ją dobrze znał, wiedział: przed tubylcami broniła zacięcie wszystkiego, co greckie; przed Grekami nie wszystkiego wprawdzie, ale wiele z tego, co tubylcze. Było zupełnie jasne: Teofilowi dostało się nie za bluźnierstwo przeciw boskiemu przymiotowi, ale że przedmiot najwyższej czci tubylców znieważył w czysto greckim towarzystwie. Teofil może udać, że dał się teraz Menandrowi przekonać, ale w tym niesamowitym ciele przybytek sobie obrała bystra, przenikliwa inteligencja. W nic naprawdę nie uwierzy, w co wiarę teraz udaje; niczego nie zapomni, choć teraz ze śmiechem powiada: „Nie ma o czym pamiętać”.

Znalazł Dioneję zapłakaną na trawniku jednego z wewnętrznych dziedzińców pałacowych. Zdumiał się: palcami nóg i piętami wdzierała się poprzez rzadką trawę w pulchną, wilgotną wiosenną czarną ziemię. Zaraz jednak przestał się zdumiewać: takie to bowiem proste i jasne, choć dziecinne: ten bunt w niej przeciw duchowi Ira-

nu, którego chwilę temu tak dzielnie broniła. Aż nazbyt dzielnie. Za odważnie. W Teofilu teraz na zawsze już będzie miała wroga — przy tym większego jeszcze stokroć niż był nim dotąd. Nie musi jednakże szukać zaziębienia ani brudzić pięt tak, że przez miesiąc czarności, co się raz wżarła w skórę, nie odmyje. Niech zaraz włoży obuwie. Chciała pokazać — sobie samej czy też duchowi Iranu — że jest Greczynką — pokazała. Ale oto już już a pokaże coś wręcz przeciwnego. Skłonność do przesady we wszystkim to naczelną właściwość barbarzyńców. Grek zaś ceni nade wszystko umiar. Więc też i boso chodzi o tyle tylko, o ile tak mu jest wygodniej lub ma właśnie teraz na to ochotę, chyba że jest niewolnikiem.

— Powiedziałeś: naczelną właściwość barbarzyńców?

— Powiedziałem.

— To samo mówią Irańczycy o was.

— O nas?

— Niech będzie: o nas. I mają słuszość. Chcesz przykładów?

Nie chciał i gdy włożyła — z niezwykłą skwapliwością — obuwie, zaprowadził ją do domu. Zrobiło się gorąco, wręcz upalnie, ale po mile chłodzących tkaninach boso chodzić nie chciała. Zrozumiałe! była u siebie, więc w greckim domu. Nie zależało jej już na tym, by swoją greckość objawiać.

Gdy zaraz po powrocie z puszką, przez Teodora sobie wręczoną, z cytadeli na pokład „Zgody Narodów” powiadomił ją, że Teodora wychodzi zamąż za Spitamenesa — Dioneja, całując go czule — powiedziała:

— Przyznaj się. Całą drogę myślałeś o tym i to z dużym wcale zatroskaniem, czy w pełni uświadamiasz sobie Spitamenes, jakie to wielkie szczęście i zaszczyt go spotykają — prawda? Że nosi na palcu pierścień Króla Wielkiego — o tym zapomniałeś — a raczej nie chciałeś pamiętać — też prawda? Powiedz!

Całą drogę — nie, bo myśli miał pełne Antymacha i wartości puszki, ale jakąś chwilę w drodze właśnie tak myślał, najdokładniej tak.

Często robił jej uwagi, nawet wyrzuty, że takie postępowanie Greczynce nie przystoi, a nawet budzi w nim niepokój, przysparzając mu wrogów, których i bez tego

miał pod dostatkiem. Przesadzał jednakże, ale że była to rozmyślna przesada, nie pomniejszała — uważał — jego własnej greckości. Chwytał się zaś tej przesady jako środka mającego na celu bynajmniej nie całkowitą poprawę, którą zresztą uważał za nieosiągalną, ale tylko wprowadzenie umiaru w takie jej postępowanie; był bowiem skrycie z tej jej postawy nawet dumny — miło mu było stwierdzać, że Dioneja na swój sposób też się wydatnie, choć może i nie w pełni świadomie, przyczynia do utrwalenia jednej z głównych wytycznych, przyświecających polityce Eutydemidów. Dla osiągnięcia jednak owego uznanego za pożądany umiaru nie ujawniał nigdy przed nią tej swej z niej, dumy; przeciwnie, gromił ją, łagodnie, przecieź stanowczo, a za najlepszy sposób gromienia uważał właśnie napomykanie ciągle na niepokój, jaki w nim budzi perspektywa progresywnego pomnażania się jego wrogów. Jako że wiedział, że najskuteczniej działa na Dioneję — i to we wszystkim — wywoływanie w niej silnego zatroskania, ba, wręcz lęku o męża. „To mnie się bardzo nie podoba, dziecinko” słabo do niej przemawiało; mało co silniej „To mnie gniewa”; natomiast bardzo silnie „To mnie zaczyna niepokoić”.

Ale w rzeczywistości zaniepokoił się wówczas dopiero, gdy Dioneja zaczęła sobie niedwuznacznie podrwiwać z jego wynurzeń na temat odczuwania przezeń coraz silniejszej wspólnoty ze Spitamenesem, a to w zestawieniu z bezmiarem istnym uczucia obcości, doznawanego nawet na sam widok Mankurasa, a cóż dopiero gdy dochodziło do — urzędowej choćby tylko — wymiany myśli! Podrwiwanie to jej mógł dwojako tłumaczyć, a oba tłumaczenia były — każde na swój sposób — jednakowo niepokojące. Więc mogła Dioneja dostrzegać w tych jego wynurzeniach sygnał, zapowiadający znacznie bliższe w czasie niż sama sądziła, sprawdzenie się rzuconej publicznie kiedyś przez nią pół gniewnie, pół żartem a niezmiernie wrogo powitanej przepowiedni: „Jeszcze pół stulecia, a sami zburzycie swoje miasta, przeniesiecie się do zamków, z niewolników zrobicie pół-wolnych dzierżawców, włożycie wszyscy, jak jeden mąż — spodnie i będziecie się rumienili na sam dźwięk słów „chodzić boso po trawie”. Ba powiecie: „Jeden jest tylko bóg, gardzący kształtem wszelkim i imieniem dla siebie, Pan Mądry”.

Oczywiście, Heliodor nie wierzył w spełnienie się kiedykolwiek takiej przepowiedni, ani też sądził, by Dioneja sama w nią wierzyła, ale możliwy związek między pamięcią o przepowiedni a drwącym przyjmowaniem jego zwierzeń co do zmniejszania się uczucia obcości w stosunku do Irańczyka dowodziłby, iż Dioneja rozumuje tak: „Poza mną jedną, nikt nie dojrzał i nigdy nie dojrzeje do brania na serio hasła o możliwości zgodnego na równych prawach współżycia między Grekami a Irańczykami. I zapewne nie ja, ale oni mają słuszość: na dłuższą metę współżycie takie jest niemożliwe; jedna strona musi wchłoniąć w siebie drugą. Ale stroną wchłaniającą nie będą Grecy. Mego męża już nie razią szczelnie okryte nogi Spitamenesa, ale Spitamenesa, choć o tym — jako podbity — nie krzyczy, długo jeszcze będą raziły gołe nogi Heliodora. Tak długo, że zanim razić go przestaną, Heliodor sam zacznie ich się wstydzić”.

Gdyby zaś mąż próbował zapewniać ją, że nigdy się ich wstydzić nie zacznie, Dioneja nadal by mówiła, a wciąż drwiąco: „Sto czterdzieści osiem lat mija, odkąd po raz pierwszy wprowadził jako zdobywców Aleksander, syn Filipa, Makedończyków, a z nimi Greków, na posieczoną kanałami, równinę sogdyjską. Otóż, proszę cię, wskaż mi tubylca, który by — gdy nie musi — Ignął do ołtarza, wzniesionego ku czci któregośkolwiek z bogów, o których czytamy u Homera i tragików ateńskich. A z drugiej strony spróbuj zliczyć, ilu Greków docisnąć się co dzień nie może do spoczywających na półksiężycu stóp Niepokalanej! Dalej: który Grek na rynku Baktry, Marakandy lub Kapisy odmówi przyjęcia drachmy, mamrocząc nieufnie, że jest lżejsza niż przepisowy wzór atycki? A czyś sam nie wzywał do wyjaśnień dziesiątków i dziesiątków tubylców, co nie chcieli tknąć atyckiej drachmy, mówiąc, że jest podejrzenie ciężka? Wreszcie: widziałeś kiedy Sogdyjczyka, co by się nagi ćwiczył w gimnazjonie? A ja widziałam Greków, stojących do popisów zbrojnych na dziedzińcach zamkowych z nadzieją, że gdy postrąca z koni innych zawodników, zostanie mu z krążanka rzucona piękną ręką piękna róża! Ba! Gdy Spitamenes ożeni się z Teodorą, nadal na noc tylko będzie spodnie zdejmował, ale ona na dzień będzie szczelniej stopy okrywała, niż dotąd”.

— Jasne! zawsze żona ulega mężowi...

— Szczególnie innemu niż tacy, co nie chcąc odrobinki przyjemności się wyrzec, będą bez umiaru płodzić dzieci, by je zaraz po urodzeniu dławić...

— Przesada! Gdyby to siostra Spitamenesa wyszła za brata Teodory...

— ...tobyś go w miesiąc po ślubie zobaczył w spodniach. Złe rzekłam — w samej rzeczy, przesadziłam. Nie zobaczyłbyś, bo w spodniach chodziłby tylko po domu, cichaczem a z dala od swych pobratymców... Strasznie się wy, mężczyźni boicie ośmieszenia.

— A wy, kobiety, czego?

— Nade wszystko dławienia w niemowlęctwie naszych dzieci. Zaraz potem: słabości naszych mężów. Słabości bądź ramienia, bądź myśli.

— Nigdy nie miałem mocnego ramienia.

— Aleś miał mocną myśl. Miej ją nadal, bo uważaj, inaczej wydasz mi się śmieszny.

Z domniemanego tego — a przecież najzupełniej prawdopodobnego — dialogu wysnuwał Heliodor wniosek, że podrzwanie żony z jego wynurzeń to ostrzeżenie, by nie ujawniał osłabienia myśli, jakim byłoby wedle niej wzdraganie się przed wyciągnięciem po męsku jedynie bezbłędnych wniosków z treści tychże wynurzeń.

Co by, oczywiście, dowodziło, iż Dioneja z pozycyj, na których broniła Iranu przed greckością, greckości przed Iranem, zwolna, ale nieuchronnie, choć może i nie w pełni świadomie, przesuwiała się w kierunku przeświadczenia, że Grecy coraz bardziej są tego tylko warci, by z nich kpić, a coraz mniej, by ich bronić, bo się sami — naród zdobywców, naród panów — bronić nie umieją. Albo nie chcą — i to nawet nie przyznając się przed sobą, że nie chcą. Gdyby miało to — takie wytłumaczenie podrzwań Dionei — być prawdą, nie byle jakie miałby on, Heliodor, podstawy do odczuwania niepokoju.

Ale wcale nie mniejsze też, gdyby istotny sens podrzwań Dionei miał tkwić w jej skłonności czy gotowości do rozciągnięcia swej postawy opiekuńczo-obronnej z tubylców Baktrii i Sogdiany na wszystkich w ogóle barbarzyńców, jacy się znaleźli lub kiedykolwiek jeszcze mieli się znaleźć pod władzą Greków. A o to ją Heliodor zupełnie poważnie podejrzewał; kiedyś, gdy w jej obecności ode-



zwał się dość szorstko do Mankurasa, usiłowała szorstkość tę złagodzić najbardziej czarującym uśmiechem, a gdy zostali sam na sam, zawołała: „Zapomniałeś, że to do gońca Króla Wielkiego mówiłeś!”

W wołaniu tym mogła wprowadzić uzewnętrznąć się tylko troska o stanowisko męża, obawa, by przez lekkomyślność nie ściągnął na siebie urzędowych przykrości, ale Heliodor od dawna już umiał odróżniać intonacje w głosie żony i tym razem ucho jego sygnalizowało coś innego, aniżeli o niego niepokój — raczej niepokój o wszystkich tych, którzy różniąc się od Greków mową, wyglądem i obyczajem, znalazłszy się pod rządami greckimi, nie są przez naród zdobywców tak traktowani, jak na to w przekonaniu Dionei zasługują. A właśnie najbardziej niepokojące wydawało mu się być to jej przekonanie. Bo właściwie dlaczego — zapytał ją kiedyś — podbitym przez Greków ma się należeć szczególnie dobre traktowanie? Odparła pytaniem: A czemu Grecy domagają się dla siebie szczególnie dobrego traktowania od tych, którzy ich pod swe panowanie zagarniają: od Makedończyków na przykład czy na dalszym Zachodzie od zwycięskich barbarzyńców afrykańskich lub italskich? Heliodor ją wyśmiał: jak może porównywać!... Zresztą — dodał — albo greckie rządy, grecka mowa i grecki obyczaj są dobrodziejstwem dla ludów Azji, albo nie są. Jeśli są, czemu Mankuras nie spróbuje przeobrazić się całym swym sposobem bycia w Greka? Jeśli nie są, dlaczego nie poległ, walcząc do ostatniego tchu przeciw greckim najeźdźcom w obronie swego obyczaju? Ale on nie tylko wołał ulec, niż polec, lecz nadto w uległości swej stał się tak gorliwym sługą najeźdźców, że obdarzony przez nich został szczególnym zaufaniem i obsypany wielkimi łaskami. Czy Dioneja wie, co Heliodorowi opowiadano o Mankurasie? Oto gdy Grecy wtargnęli do miasta, które Indowie zowią Puszkalawati, wcale silny tubylczy oddział wojskowy odmówił poddania się i schronił w potężnej cytadeli na szczycie urwistego wzgórza. Odparli kilka szturmów, i trzeba było rozpocząć regularne oblężenie. Tymczasem od rzeki Indu nadciągała odsiecz. Król Wielki był w rozterce, czy wyjść naprzeciw nadciągającym, ryzykując, że obrońcy cytadeli uderzą na jego tyły, czy raczej, narażając się na ogromne straty w ludziach, spróbować jeszcze raz szturm i obezwładnić

cytadelę, zanim odsiecz nadciągnie? Gdy tak rozważał — zawiadomiono go, że oddziałek wywiadowczy, wysłany w stronę Indu, by przyjąć na się pierwsze natarcie nadciągającej odsieczy, przysłał mu schwytanego tubylca, który twierdził, że jeśli Król Wielki osłoni go własną powagą, podejmie się przeciągnąć obrońców cytadeli na stronę grecką nie tylko w tym sensie, że się poddadzą i wpuszczą najeźdźców na bronione przez siebie wzgórze, ale nadto zbrojnie się połączą z Grekami przeciw nadciągającej odsieczy. Niech go tylko wyśle Demetrios na układy z dowództwem cytadeli, jako swego pełnomocnika. Otoczenie Króla Wielkiego — Krewniacy, Przyjaciele, Towarzysze — ostrzegali go przed podstępem, ale Demetrios zaryzykował; dzień nie minął, a nie tylko zatknął swe znaki na cytadeli, lecz razem z jej obrońcami wyruszył w kierunku Indu przeciw wojsku, idącemu na odsiecz. Nazajutrz zadał mu duże straty w pierwszej potyczce, a do drugiej w ogóle nie doszło: ten sam jego tubylczy pełnomocnik znowuż przeprowadził rozmowy i znowuż przeciągnął na stronę Greków sporą część przeciwników; reszta, uzyskawszy rękojmię przeprawy bez przeszkód, wycofała się z powrotem za wielką rzekę. Pełnomocnikiem tym był nikt inny, jak właśnie Mankuras.

— Czy został przez Greków, którzy go schwytali, przekupiony? — dopytywała się Dioneja.

— Nie sądzę — odparł Heliodor — raczej samorzutnie zgłosił siebie, jako towar do nabycia.

— Tak jak tylu Greków na dalekim zachodzie siebie zgłaszało do nabycia dawniej Makedończykom, teraz podobno Rzymianom.

— Co za porównanie! — powtórzył. — Rzymianie podobno zaofiarowali swe tęgie barbarzyńskie ramię sprawie wolności, miłej sercu wszystkich ludów greckich, a Makedończycy? Czy bylibyśmy tu dziś z tobą, Dionejo? My, albo i Eutydemidzi, gdyby nie Makedończycy?!

— Cóż my tu z tobą, miły, możemy wiedzieć o tym, jakiej to sprawie, miłej sercu takich czy innych Indów, zaofiarował swe tęgie barbarzyńskie ramię Demetrios Eutydemida?

Oczywiście, żartowała, ale właśnie takich jej żartów Heliodor najbardziej nie lubił. Choć z drugiej strony miał

je za nieprzyjemny objaw przyjemnego raczej dla siebie zwrotu w jej myślach; niewątpliwie oziębził silnie zapal jej do ujmowania się za Mankurasem. Gdy Dioneja zwracała jego uwagę na jakiegoś Greka, fałszerza monet, był to dowód, że dała się uprzednio przekonać o słuszności zarzutu fałszerstwa, stawianego takiemu czy innemu barbarzyńcy. Wbrew pozorom więc Mankuras, nie byle jak upelnomocniony goniec Króla Wielkiego, budził w niej raczej uczucia mało dla siebie przychylne; stokroć przychylniejsze byłyby, gdyby go poznała jako kalekę, który dlatego tylko w ogóle jeszcze żyje, iż nieprzytomnego, okrytego ranami zabrali zwycięscy Grecy troskliwie z pola bitwy, by sobie go zachować — wbrew jego własnemu życzeniu — jako użytecznego dla siebie tłumacza. Prawdopodobnie najbardziej byłby jej miły wtedy dopiero, kiedy by — odmawiając przetłumaczenia jakiegoś tekstu, ułatwiającego Grekom podboje w Indiach — dał się zabić bezbronny, bezradny, bezsilny.

Sam Heliodor natomiast wolał go mieć zaradnym i silnym i dobrze uzbrojonym w zakresie działalności nie tyle politycznej, co policyjnej. Wiedział od Spitamenesa, że Mankuras miał sobie powierzone przez Króla Wielkiego przeorganizowanie całej służby bezpieczeństwa w Pięciorzeczcu Indyjskim, z czego z kolei dawał się wysnuwać domysł, iż posłowanie do Baktrii to był tylko pretekst, a naprawdę celem jego przyjazdu — przypatrzenie się metodom działalności takiego wytrawnego mistrza w dziedzinie służby bezpieczeństwa, jak Heliodor. I w samej rzeczy Mankuras często do niego się zwracał z najróżniejszymi pytaniami z tej właśnie dziedziny; wszystkie były rozsądne, często wnikliwie, ale wszystkie też zawierały w sobie coś, co budziło w Heliodorze rozdrażnienie równocześnie i politowanie: skłonność do umniejszania ważności związków przyczynowych. Najsilniej to wystąpiło przy dyskusowaniu sprawy uderzenia, które spowodowało ciężką chorobę Eutydemosa Młodszego, a dyskutowało się ją często i szczegółowo, od samegoomalże przyjazdu Mankurasa aż do chwili, gdy Heliodor dał się ogarnąć podejrzeniu, iż rzekomo przypadkowe nieprzewidziane zamieszanie ze złośliwie komicznym wstępem i groźnie tragicznym epilogiem to w rzeczywistości owoc z dawna upatrzony posiewu świadomej woli króla Antymacha. Ale

tym swym podejrzeniem z nikim nie zamierzał się dzielić aż do czasu przynajmniej kiedy by się przeobraziło w pewność, a z Mankurasem to chyba i w ogóle nigdy. Więc też zaraz, ledwie podejrzenie to w nim się zrodziło, zaniechał wszelkich dalszych dyskusji z nim na ten temat; bał się, że mógłby nieostrożnie zbyt blisko Inda dopuścić do znalezionej przez siebie a zazdrośnie strzeżonego tropu. Ale już i poprzednich na ten temat dyskusji wystarczyło w zupełności na to, aby stwierdzić, że Mankurasa mała zajmuje odkrywczą droga powrotna od uderzenia, jakie młodemu królowi zostało wymierzone, do utajonych przyczyn, mogących tajemnicę tego uderzenia rozświetlić. Co natomiast Inda nie tylko zajmowało, ale wręcz przejmowało, to zagadnienie, czy nie mogło być stać się inaczej, niż się było stało. To zaś zagadnienie na odmianę Heliodorowi wydawało się wręcz błahostką, niegodną zupełnie uwagi tropicieli. „Jasna rzecz, że mogło” — mówił właśnie z mieszaniną politowania, prawie pogardy i rozdrażnienia: — „Mógł młody król usłuchać bez żalu rozsądnych głosów, doradzających, by i w sprawie stworzenia zapory nawodnej czekać na opinię jego ojca. Mógł zrozumieć łatwo, że te rady nie ode mnie pochodziły, więc jeśli komuś w jego mniemaniu i należała się odpłata w postaci zrobienia zeń ofiary złośliwego, okrutnego żartu — to na pewno nie mnie. Mogłem i ja odmówić wejścia na grzbiet słonia. Mógł słoń nie włamać się do klatki z małpami. Mógł...

— Ależ właśnie — przerwał Mankuras — czy w samej rzeczy mógł słoń nie włamać się do małpiej klatki?

— Do klatki, z małp czy przez małpy zrobionej? — nie powstrzymał się, by sobie nie zakpić z greki Inda Heliodor.

— Jasne, że mógł.

— Mógł w tym sensie, że własnowolnie?

— I w tym też sensie. Ale mógł przewodnik też, widząc na co się zanosz, słonia powściągnąć, zmusić go do cofnięcia się lub skręcenia w bok.

— Może przewodnik nie chciał? Co się z nim stało?

— Znikł.

— I nie został odnaleziony?

— Został. Jako spuchnięte zwłoki, kołyszące się na jednym z bocznych kanałów Baktru.

Tu, oczywiście, jedynie rozsądne ze strony Mankurasa byłoby zapytać: „Utonął, utopił się czy został utopiony?” Tymczasem zaś pytanie jego brzmiało: „Gdyby nie był nastąpił ten pożałowania godny wypadek, co by się z nim stało? Czy zostałby ukarany tak, jak słoń?”

— Nie zostałby ukarany, tak, jak słoń! — z coraz rosnącym rozdrażnieniem zawołał Heliodor. — Był to jeden z najstarszych i najulubieńszych spośród sług dynastii. Jeszcze obecnego Króla Wielkiego jako małego chłopca, woził na grzbiecie słonia, jemu jednemu tylko skłonny był założyciel dynastii zwierzać bezpieczeństwo swego pierworodnego. Nawet w roku sto szóstym, gdy pierwszy Eutydemos musiał w wyniku układu pokojowego oddać Antiochowi Seleukidzie wszystkie swe słonie wraz z wszystkimi też przewodnikami i poganiaczami, zapewnił sobie zatrzymanie na swój własny i rodziny swej użytek jednego słonia z jednym przewodnikiem, tym właśnie, o którym mowa.

— W roku sto szóstym — zdziwił się Mankuras, i głos jego nagle zdumiewająco upodobił się do głosu Dionei. — Teraz mamy rok...

Nagle na twarzy jego odmalowało się wielkie rozpoznanie.

— Oczywiście — zawołał, a w głosie jego na odmianę brzmiało coś jak gdyby karcenie samego siebie. — Dwadzieścia siedem lat temu! Dziś mamy rok sto trzydziesty trzeci od wkroczenia pierwszego Seleukosu, Nikatorem zwanego, do wielkiego miasta Babilonu nad rzeką Eufrat. Zgadza się: trzydzieści trzy mniej dwadzieścia siedem...

Tym razem Heliodor odczuł już nie tylko samo rozdrażnienie, które zresztą jeszcze więcej urosło, ale i podziw, tak wielki, że ze zgrozą graniczący. „Nie dobrze to, pomyślał, że podbici i rządzeni przez nas barbarzyńcy zdolają tyle wiedzieć o nas, gdy my naprawdę tak mało wiemy o nich”.

— A wedle twego sposobu obliczania który teraz mamy rok? — zapytał na głos.

— Trzeci rok rządów Króla Wielkiego, Demetriosia, nad moją ojczystą krainą Swatyjską.

— A inaczej jeszcze?

— Dla mnie, odkąd służę Królowi Wielkiemu, nie ma żadnego inaczej.

— Ale, że użyję twej własnej metody — uśmiechnął się Heliodor — przecież gdyby Król Wielki nie był podobny do twej ojczystej krainy, to by...

— ...dla mnie też by nie było żadnego inaczej. Ale dla innych byłoby. Nie jedno — wiele rozmaitych. Na przykład dla wielu byłby to teraz rok też sto trzydziesty trzeci, ale z powodu trochę odmiennego niż dla ciebie.

— Tylko trochę odmiennego?

— Tylko trochę. Ale dlaczego, o panie, jeśli z taką stanowczością twierdzisz, że ów sędziwy przewodnik był nietykalny, nie wydaje ci się dziwne, iż równie nietykalny nie był słoń?

Które to „dlaczego” — był tego Heliodor pewien — w rzeczywistości musiało mieć dla Inda znaczenie, równoznaczne z pytaniem: „Co byliby się stało, gdyby i słoń równie został oszczędzony, jak i przewodnik?” Na co, oczywiście, nie trzeba było udzielać odpowiedzi, bo jedyna rozsądna brzmiałaby: „Nic by się nie stało. Słonie nie mówią”.

Więc też zamiast udzielenia odpowiedzi, Heliodor jął pouczać: przewodnik mógł zostać utopiony, ale prawdopodobniejsze jest, że sam się utopił z rozpacz, iż nie zdołał zapobiec ciosowi, jaki zadał królowi — wedle jego mniemania — właśnie słoń kłem lub trąbą. Może też nie był w stanie przeżyć kary śmierci, słońowi wymierzonej; uważał ją niewątpliwie za niesprawiedliwą, jako że słonia mieć musiał za istotę nierozumną, więc też nieodpowiedzialną.

— A gdyby uważał inaczej?

„To” — pomyślał Heliodor „robi się już zupełnie nie do zniesienia”.

Zmarszczeniem czoła dał wyraz swemu wielkiemu niezadowoleniu, ale Mankuras ciągnął spokojnie, jak gdyby nie miał wcale oczu:

— Gdyby przewodnik uważał słonia za istotę odpowiedzialną a więc i rozumną, mógłby podejrzewać, że słoń uderzył — jeśli on to istotnie uderzył — króla, mszcząc się krzywdy niezasłużonej, tobie, o panie, wyrządzonej. Ale tylko wyjątkowo rozwinięte umysłowo istoty mają tak wysoko też rozwinięte poczucie sprawiedliwości, iż mszczą się na osobach, znanych sobie od lat, krzywd, wyrządzanych przez nich komuś zupełnie obcemu. Byłeś zaś

wówczas na grzbiecie tego słońa pierwszy raz w swym i jego życiu, o panie. Czy należałoby więc — założywszy raz, że słoń to istota odpowiedzialna i rozumna — uznać jego inteligencję za szczególnie wysoko rozwiniętą? Można by, gdyby nie okoliczność, że szczególnie wysoko rozwinięta inteligencja powstrzymałaby słońa przed włamaniem się do klatki z małpami. Nawet przewodnik nic by na taki opór nie poradził. Spróbowałby go przełamać, bijąc słońa po oczach? Ależ wyjątkowo inteligentny słoń byłby go za to zaraz z siebie zrzucił! Czyli musimy przyznać mu mierną tylko inteligencję. Skoro zaś to przyznaliśmy, jak rozumieć ujęcie się jego za twoją krzywdą, o panie?

— Najpewniej ujął się własnej. Ostatecznie jemu się też nie byle jak od małp dostało.

— Czyli z kolei małpy przez niego zostały uznane za istoty nierozumne, więc nieodpowiedzialne?

— Prawdopodobnie.

— Ale on sam przez króla za rozumną i odpowiedzialną?

— Król dał się ponieść gniewowi, a gniew się rodził z bólu.

— Czemu jednak ani ból ani gniew nie były dość silne, by ukarać także i przewodnika?

— Jużem ci rzekł. Przywiązanie dynastii...

— ...niczego tu nie tłumaczy. Albo król z bólu i gniewu przestał nad sobą zupełnie panować, albo nie. W pierwszym wypadku powinien był ukarać także i przewodnika; w drugim powinien był także i słońa oszczędzić. Chyba że właśnie — inaczej niż słoń małpy — miał go za istotę rozumną, więc odpowiedzialną, więc winną, więc wreszcie godną kary śmierci.

— Ku czemu zdążasz?

— Ku temu, że cała tajemnica choroby królewskiej i śmierci przewodnika sprowadza się do tego, co naprawdę król o słońiu myślał, względnie co myślał przewodnik o tym, co król o słońiu myśli. Albo inaczej: przewodnik wiedział lub sądził, że wie o czymś, co wiedział o słońiu król.

— Na przykład: że jest wściekły?

— Albo w stan rozwścieczenia sztucznie wprowadzony. I podatny na takie wprowadzanie, ilekroć ktoś władny tego

dokonać, będzie chciał go w stan rozwścieczenia wprowadzić.

— Co za bzdura!

— Możesz swobodnie tak twierdzić, o panie, bo nigdy się już — skoro słoń nie żyje — nie przekonamy, że może to jednak nie być bzdura. Szczególnie odkąd nie żyje także przewodnik. Ale gdyby został przy życiu choć jeden z nich...

— ...wykrylibyśmy...

— ...wolę świadomą, władną wprowadzić — zapewne na odległość — słońca w stan rozwścieczenia wtedy, kiedy woli tej byłoby to wygodne.

— Zapewne na odległość — powiadasz?

— Ja tak powiadam. Ale ktoś mógłby się uprzeć, że tylko na grzbiecie słońca siedząc, dałoby się go w ten stan sztucznie wprowadzić.

— Siedziało nas dwu.

— I jeden z dwu nie żyje. Radzę ci: strzeż się, o panie...

Gdyby to ostrzeżenie wyrażone zostało tonem, do jakiego Heliodor z dawna był przyzwyczajony — jako że często ostrzegali go podwładni — może by się nad nim wcale poważnie zastanowił. Ale Mankuras — tak mu się to wydało — ostrzegał go niczym podwładnego zwierzchnik, ucznia nauczyciel, mimo doczepionego uderzająco sztucznie do ostrzeżenia, zwrotu: „O, panie...” Pozostawało więc albo głośno go za ten ton wyższości zgromić, albo myślnie wyśmiać. Heliodor wybrał to drugie. Następstwem zaś nieuchronnym dokonanego tak wyboru musiało być zlekceważenie zupełnie całego rozumowania, jakie do owego ostrzeżenia przywiodło. A skoro je zlekceważył, łatwo zapomniał. Wydobyło się jednak natychmiast z tajników pamięci, ledwie zarysowała się przed jego świadomością możliwość umieszczenia woli, też świadomej, Antymacha poza rzekomym zbiegiem okoliczności z nieprzewidywanym wynikiem tragicznym. Ale wówczas już nie uważał za możliwe dla siebie dalsze dyskusowanie tego rzekomego zbiegu okoliczności z kimkolwiek bądź, a szczególnie z Mankurasem. Chwilami nad tym wprost ubolewał, zawsze jednak mówił sobie: „Nie powinienem i nie będę”. Wyrwał. Ale gdy Mankuras zapytał go — i to znowuż tonem, właściwym nauczycielowi lub zwierzchnikowi, gdy



do podwładnego albo ucznia przemawia — czemu to właśnie w tym pokoju, owym bliźniaku sypialni małżeńskiej Heliadora i Dionei, największe miałyby grozić królowi Margiany niebezpieczeństwo ze strony skrytobójcy, Heliodor uczuł, że nie jest w stanie dłużej walczyć z pokusą, i że samo zlekceważenie Inda za pomocą myślniej kpiny już mu nie wystarczy. Że co najmniej trzeba oblec szyderczą myśl w słowa, a nawet i jeszcze może nie wystarczyć, i nadejdzie nieuchronnie chwila zwierzeń. Spróbował jednak. Na pytanie Mankurasa odpowiedział pytaniem, czy nie jest właściwie zbyt czyste to jego „Dlaczego”? Bo oto zapewne w rzeczywistości interesuje go najbardziej nie związek przyczynowy między poszczególnymi członami twierdzenia Heliadora, iż w tym właśnie pokoju największe grozi Antymachowi niebezpieczeństwo, ale: — Co byłoby, gdyby inny to był pokój?

— Albo też: co byłoby, gdyby w ogóle żadne nie groziło królowi Margiany niebezpieczeństwo?

— Co byłoby: z kim? z królem Margiany?

— Z pokojem. Czy też byś wówczas żądał, o panie, bym pilnował, czy ktoś niepowołany tam się nie kieruje?

Heliodor uczuł, że zalewa go fala zawstydzienia. Ind przy pomocy swej absurdalnej dlań metody rozumowania znalazł się już o krok tylko odległy od prawdy.

Mylił się. Ind miał już za sobą także i ten ostatni krok.

— Panie — zapytał z jakąś przedziwną mieszaniną wielkiego smutku i bezlitosnej drwiny — czemu nie ufasz komuś, kogo pełnią swego zaufania obdarza Król Wielki? Czemu lękasz się względnie wstydzisz mnie powiedzieć, że to króla Margiany podejrzewasz jako władnego urzekać swą wolą słonia na odległość? Oczywiście, jesteś w błędzie, i słonia nikt — ani na odległość ani z bliska — nie wprowadził w stan rozwścieczenia z zamiarem królobójczym. Ale musiałem myśl twą zepchnąć na ów trop, bo inaczej stokroć większe popełniłbyś błędy. Przyznaj się: pełen jesteś niepokoju, iż w wyniku choroby, prawdopodobnie śmiertelnej, młodego króla, na północy może wybuchnąć bunt? Głównie we flocie, nieprawdaż? Znów mi nie ufasz? A rzekłem: mnie sam Maharadża ufa. I ufając, zwierzył mi się ze swych obaw, tych samych, zupełnie tych samych, co tobą targają. Ale przedmiotem tych obaw nie jest król Margiany.

— Więc kto w takim razie? — wyszeptał Heliodor. Z trudem wydobywał z siebie głos, tak był oszołomiony.

— Za wcześniej sięgasz po sierp, o panie.

— Kiedyż nadejdzie czas żniwa?

— Na to pytanie dostałeś już odpowiedź. Udzielił ci jej sam Król Wielki.

— Nie dostałem jej. Nie dotarła do mnie. Musiał ją ktoś przechwycić.

— Nikt nie przechwycił. Najlepszy tego dowód: płyniemy „Zgodą Narodów”.

— Już wiem. Odpowiedź czeka na mnie u kresu podróży!

— Jak złote runo czekało na Jazona w Kolchidzie.

— Moc czytasz po grecku Swatyjczyku!

— Albo słucham. Niekiedy przez długą, krętą rurę.

— Wiesz, gdzie znajduje się jej wylot?

— Czy to takie ważne właśnie to wiedzieć?

— Mało co jest równie ważne.

— Żarty!

— Mankurasie, rozkazuję ci: ujawnij, dokąd ta rura prowadzi.

— Nikt nie ma prawa żądać ode mnie ujawnienia tajemnic, powierzonych mi przez Maharadzę.

— Więc nie żądam, nie rozkazuję. Proszę. Błagam.

— Prośba twoja zostanie spełniona, gdy stwierdzę, że na takim podwładnym w pełni mogę polegać.

— Podwładnym?

— Ależ oczywiście. Ja wiem, dokąd rura prowadzi — ty nie wiesz. Czy to nie tłumaczy w pełni istoty rzeczywistego stosunku służbowego między nami?

— Król Wielki nic mi o tym...

— Wiem. Król Wielki liczył na twą inteligencję i spostrzegawczość. Ja również. Zawiedliśmy się.. Szkoda. Lepiej, przyjemniej dla nas obu byłoby, gdybyś się samorzutnie zgłosił po rozkazy. Zdołałbym w taką oblec je formę, że nawet byś nie odczuł, że to są rozkazy. Ale teraz — niestety — musi być inaczej: polecam ci, Heliodorze, zbadanie i wykrycie, kim jest młodzieniec, z którym zamknął się od rana król Margiany.

— Ktoś z nas dwu oszalał, Swatyjczyku. Spitamenes, twój towarzysz czy raczej zwierzchnik, skoro na jego palcu...

— połyskuje pierścień Króla Wielkiego? Ale czy właśnie na palcu Spitamenesa, Greku? Osobiście podejrzewam, że Spitamenes został w Tarminie a może nawet jeszcze w Baktrze. Że nigdy nie był wszedł na pokład „Zgody Narodów”.

— Przyjechałeś z nim z Indyj...

— Ale czy z tym właśnie, który jest z nami na pokładzie?

— Czy masz kataraktę na oczach?

— Heliodorze — w jakim wieku sogdyjska dziewczyna najwcześniej może wyjść za mąż?

— Mając lat dwanaście. W wyjątkowych — ale to bardzo rzadkich — wypadkach o rok, dwa wcześniej.

— Rzekłeś. Życzę ci powodzenia. Staraj się aż do kresu podróży nie prowadzić już ze mną długich rozmów sam na sam. I jeszcze coś: jak się twojej małżonce podobają Spitamenes? Oniemiałeś?! Rozumiem cię, ale jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, gdzie się znajduje wylot rury, nie szczędź wysiłków, by dociec samej istoty najtajniejszych myśli i odczuwać twej małżonki, dotyczących osobnika, który mówi o sobie: — Jestem Spitamenes. Raz więc jeszcze: powodzenia! Obyż spłynęła na ciebie łaska oświecenia!

## II

Patrząc na śpiącą Dioneję, Heliodor usiłował stworzyć jakiś rozumny i uporządkowany świat przyczyn i skutków z bezkształtnego, bezcelowego, bezwładnego bezładu, jakie to określenie wydawało mu się jedynie stosowne dla stanu własnej jego świadomości od zakończenia długiej a przełomowej rozmowy z Mankurasem. Od rozmowy tej mijała właśnie godzina, ale gdyby nie świadectwo ściennego zegara wodnego, Heliodor przysięgłby, że w takim stanie jego świadomość trwa już rok, a może i dwadzieścia sześć lat. Bo poza wszystkim innym, zawodziła go także pamięć; miał mgliste przeświadczenie, że rozmowa bynajmniej nie skończyła się słowami Inda: „Obyż spłynęła na ciebie łaska oświecenia!”, że po słowach tych była między nimi jakaś dalsza jeszcze wymiana zdań, ale choć pewny, że nie mogłaby zająć, zapisana tak, jak teksty dramatów są zapisywane, więcej niż dwadzieścia wierszy, zupełnie nie był w stanie odtworzyć sobie jej treści. Porównanie z dramatem narzucało mu się tym silniej, że między trzecim a czwartym wierszem zakończenia wydawca sumienny tekstu zapisanego całej tej ich rozmowy musiałby wstawić uwagę: „Teraz muzyka”. Tego również był Heliodor najzupełniej pewny, ale znowuż nie umiał sobie przypomnieć ani melodii, ani nawet czasu jej trwania. Wszystko inne natomiast — najdosłowniej wszystko, co te końcowe dwadzieścia wierszy poprzedzało, odtworzyć był zdolny z łatwością ogromną, jak gdyby całą treść długiej rozmowy miał przed sobą utrwaloną niezmiernie jas-

nym pismem na olbrzymiej ciemnej tablicy. Ale jasności widzenia nie towarzyszyła jasność rozumienia tego, co się widziało; był jak ktoś, komu by urywek ze świętej księgi irańskiej pokazano napisany na tablicy greckimi literami, utrwalającymi dokładne brzmienie słów, z których urywek się składa; mógłby każde słowo, a więc i cały urywek przeczytać bezbłędnie — zapytany jednak o znaczenie odczytywanych słów, musiałby odpowiedzieć: „Nie wiem” przy każdym słowie, uprzednio nie znanym sobie skądinąd. Więc też i sobie samemu musiał raz po raz odpowiadać: „Nie wiem”, próbując dociekać, co naprawdę mogło znaczyć to czy owo czy tamto powiedzenie Mankurasa. Inaczej jednak niżby to było przy czytaniu urywka ze świętej księgi tubylczej — to drugie „Nie wiem” dotyczyło znaczenia nie dosłownego, ale utajonego. Dosłowne bowiem odgrywało tu rolę brzmienia: tak jak tam odczytując „Sraosza” albo „Urti” rozumiał, że należy wymawiać właśnie „Sraosza” lub „Urti”, tak i tu także rozumiał, dosłowne znaczenie na przykład wypowiedzi „I jeden z dwu nie żyje. Radzę ci: strzeż się, o panie”. Albo innej, jak: „Ale przedmiotem tych obaw nie jest król Margiany”. W równym jednak stopniu nie był zdolny wytłumaczyć, co ma na myśli Irańczyk, gdy wymawia „Urti” czy „Sraosza”, jak i tego także, czy ostrzeżenie przed losem przewodnika słoni było naprawdę ostrzeżeniem czy też pogrożką — albo czy stwierdzenie, że Król Wielki nie posądza swego brata o myśli buntownicze, zawiera w sobie zarazem przyznanie Królowi Wielkiemu słuszności, czy też odwrotnie ubolewanie, iż Król Wielki tak bardzo się mylił. Nie było — w przynębieniu, wręcz w rozpaczliwym uprzytamnianiu sobie Heliodor — chyba ani jednej wypowiedzi Mankurasa, takiej, którą by można było z poczuciem pełni bezpieczeństwa tłumaczyć jednoznacznie. Najdobitniej zaś występowało to w sprawie rady, zlecenia czy wręcz rozkazu, dotyczącego tożsamości osobnika, który mówi o sobie: — Jestem Spitamenes. Wypowiedź Swatyjczyka w tej sprawie po najkrótszym nad nią namyśle nasuwała wątpliwości wręcz bez liku co do tego, czego właściwie mógł Mankuras naprawdę chcieć, dając Heliodorowi takie zlecenie? Czy upodobnić go należało do wodza, wysyłającego przed bitwą oddział na zwiady, czy raczej do nauczyciela matematyki? Bo można przecież było rozumieć,

że Ind zna już prawdę o tożsamości Spitamenesa i chce tylko poddać próbie jakość zdolności wywiadowczych Heliadora.

Nagle na głos powtórzył: „Ind chce poddać próbie jakość zdolności wywiadowczych Heliadora”.

Zaśmiał się. Nie sam. Wtórowała mu Dioneja.

Mogła nie spać już od dawna, a tylko nie dawała poznać po sobie, że nie śpi. Ale mogła też obudzić się dopiero, gdy zaczął mówić do siebie na głos.

— Biedniśmy — powiedziała poprzez gorzki śmiech: — Pocośmy tu w ogóle przyszli?

A nim zdążył zrozumieć, dodała, poważniejąc: — Co prawda, przyszedłeś tylko ty. Ja się tu urodziłam.

Usiadła na posłaniu. Objęła obiema dłońmi swą jedną pierś.

— Chcę mi się wiele mówić. Jestem jak krowa, która rykiem nawołuje dojarzę. Czy to prawda, miły, że zaraz po ocaleniu mnie zacząłeś badać dzieje mojej rodziny? Mówiono mi o tym wielekroć, i nigdy nie mogłam ciebie w związku z tym zrozumieć. Bałam się jednak pytać.

— Mnie się bałaś? Mnie? W samej rzeczy, wciąż jeszcze jesteś małym dzieckiem. Bo któż poza dziećmi i to bardzo małymi dziećmi, boi się małych piesków...

— ...jakie byle Ind może wedle swego upodobania poddawać próbom.

— Rzekłaś.

Oderwała rękę od piersi, wyciągnęła ją ku niemu, zgięciem palców dopraszając się, by podał jej swoją. Gdy podał, zaczęła wskazującym palcem kreślić niewidzialne kółeczka i trójkąciki na wnętrzu jego dłoni.

— Czy jednak wedle swego upodobania? — podjęła. — Widziałam z daleka, mówiłeś długo z Mankurasem — nie słyszałam coście mówili, ale teraz zgaduję, że było to coś, co cię bardzo zabolalo. Zawsze gdy cię coś bardzo boli, zaczynasz myśleć na głos — nie świadomyś tego? A to takie greckie! Ilekroć przysłuchiwałam się czytaniu Platona, zawsze śmieszyły mnie te wszystkie: Agaton powiedział. Fajdros rzekł. Odezwał się Kryton. Albo Kalikles. Albo Polos. Na co to całe udawanie? Jeden człowiek cały czas rozmawia sam z sobą, myśli na głos, i już... A dlaczego? Bo coś go bardzo boli.

— Nigdy ni Platona ni Sokratesa nie mogło to samo boleć, co mnie.

— To prawda. Dlatego właśnie zagadnęłam cię o owo twe niezrozumiałe badania dziejów przodków narzeczonej w pieluszkach.

— Niezrozumiałe?

— Ależ tak! Mówiono mi, że Dion tak samo badał dzieje przodków dziewczyny, z którą później spłodził mnie. Robił to jednak, zanim jeszcze złożył władzom oświadczenie, że chce ją poślubić. Takie podejście można zrozumieć: gdyby coś się mu w dziejach dawnych jej rodziny nie spodobało, nie przyszedłoby wcale do złożenia przezeń oświadczenia, że właśnie z tą dziewczyną zamierza się ożenić. Ale ty najpierw złożyłeś takie oświadczenie i to w wyjątkowych zupełnie okolicznościach, a potem dopiero zabrałeś się do tych badań. Na cóż by ci się one były zdały? Mogłeś wytropić wśród mych przodków marnotrawców, skąpców, pijaków, tchórzów, głupców, szaleńców, złoczyńców, bezbożników, zdrajców — i cóż by ci było z tych odkryć przyszło? Czy mogłeś, dokonawszy ich, stanąć przed obliczem Króla Wielkiego lub jego pierworodnego syna i powiedzieć „Rozmyśliłem się”?!

— Nie mogłem, dziecinko. Ale oto chwilę temu cytowałaś imiona różnych postaci, z którymi dyskutować miał w mieście znakomitym twego pra-pradziada Sokrates. Nie wymieniłaś jednak wśród innych Faidona. Nie znasz dialogu, zatytułowanego tym imieniem?

— Znam.

— W takim razie pamiętasz, że Sokrates tam rozprawa na temat, czy i co czeka go po śmierci. Otóż wedle twego rozumowania sprzed chwili rozprawa taka miała by sens wówczas tylko, gdyby na wypadek dojścia poprzez nią do wniosków, co by go nie zadowolili, władny był Sokrates wycofać się ze swej gotowości pójścia na śmierć. Ale przypominasz sobie chyba, że na samym jeszcze początku rozprawy już nie mógł się wycofać — już stał w przedsiönku niebytu.

— Toteż w samej rzeczy zawsze się Sokratesowi właśnie z tego dialogu dziwiłam. I nigdy go nie lubiłam.

— Kogo? Sokratesa czy tego dialogu?

— Chcesz kpić sobie ze mnie — z greki dziewczęcia, wychowanego przez Sogdyjkę? Ale właśnie tu wcaleś

mnie nie złapał. Chyba że powinnam była rzec: ich nie lubiłam. Ani utworu pod tytułem „Faidon” ani Sokratesa, takiego, jaki w dialogu tym występuje. Dobrze się teraz wyraziłam?

— A który dialog podobał ci się najbardziej?

— „Gorgias”. Pamiętasz to miejsce? Filozofia to rzecz czarująca, jeśli ktoś zajmuje się nią umiarkowanie i póki jest młody; ale biada temu, kto poświęca jej za wiele uwagi i czasu. Nie jest to cytat dosłowny, ale sens — przysięgam ci — jest właśnie taki.

— Właśnie taki. Pamiętam. Tylko że to Kalikles mówi, dziecinko, nie zaś Sokrates.

— A czy ja powiedziałam, że Sokrates?

Zdziwił się.

— Więc dajesz poklask Kaliklesowi? — zapytał, przyciskając lekko jej palce swoimi.

— Muszę.

— Musisz?

— Jasne, że muszę. Co by się stało z bezpieczeństwem dynastii i całego władania greckiego w sercu Azji, gdyby mąż mój, zamiast tropić i ubezwładniać spiskowców czy zamachowców, wdawał się w rozprawy z nimi na temat, umiera czy nie umiera dusza wraz z ciałem?!

Uwolnił jej rękę. Podniósł się. Skierował się ku drzwiom.

— Dokąd? — zapytała, wyraźnie zawiedziona.

— Na taras.

— Tropić spiskowców?

— Nie.

— Tylko.

— Mówić ze spiskowcami o nieśmiertelności nie tylko duszy, ale i ciała.

Zerwała się z posłania i zapominając, nie chcąc pamiętać, że nie tylko jest naga, ale też że bosko stąpa po tygryziej skórze, podbiegła do niego, padła na kolana i obejmując go ciepłymi ramionami, wcierając się weń lekko wilgotnawymi włosami, zaczęła niby szeptać, ale szept ten był pełnym uniesienia wołaniem:

— Mój miły! mój mądry! mój wielki! wszechwiedzący! tak dobrze zrobisz, pytając Antymacha, czy ogłaszając się bogiem, pamiętał o tym, że naczelną cechą boskości jest nieśmiertelność ciała zarówno jak i duszy.



„Więc ona jednak ma Antymacha za spiskowca” — powiedział do siebie z niepokojem, bo wiary jego w jej szczególną, a nieświadomą siebie przenikliwość tysiąc nawet Mankurasów nie byłoby w stanie zachwiać.

— A właśnie teraz nie pójdę, odechciało mi się — powiedział, znów siadając, a tonem takim jak gdyby z dzieckiem się przekomarzał: — A raczej nie to że się odechciało, tylko przypominałem sobie, że nie pochwycił dotąd związku między tym, co mię bolało a nigdy by nie zabołało Sokratesa i Platona, a zagadnięciem twym mnie o badanie dziejów twych przodków już po naszych zaręczynach.

Gdy siadał, nie poruszyła się właściwie wcale, tylko rozluźniła lekko uścisk, jakim go obejmowała, więc siadając, jak gdyby prześlizgiwał się w dół poprzez ciepły, lekko rozedrgany pierścień. Potem — już siedząc znów — czuł ten pierścień na odmianę wysoko wokół pleców. Ale muskania wilgotnych lekko włosów już nie czuł — odrzuciła głowę tak daleko w tył, jak tylko mogła to zrobić, nie rozrywając pierścienia ze swych ramion na jego plecach i — patrząc z tej odległości wprost mu w oczy wzrokiem, w którym iskrzyły się naprzemian rozbawienie i gotowość na nie byle jaki wyczyn — zapytała nadzwyczaj poważnie:

— Czy ty nie masz za sobą jakichś rodzinnych tajemnic? choćby nawet daleko za sobą? kilka pokoleń wstecz?

Musiał zblednąć, a ona musiała to — mimo nikłego światła pory zmierzchu — dostrzec. Nie odrywając odeń oczu, nie przybliżając odrzuconej głowy, zacisnęła jeszcze silniej pierścień ciepłych ramion wokół jego pleców i szybko, a przecież z namysłem wyraźnym przechodząc z tonu poważnego na żartobliwy prawie, powiedziała:

— Nie przejmuj się, miły mój zbawicielu boże. To tylko w mieście skośnookich Psiogłowców, wytwórców jedwabiu i białej miedzi, gdy dziad co zawinił, giną za karę z nim razem i jego żonami i rodzeństwem także dzieci i małżonkowie dzieci i wnuki i wnuczki...

Zdziwił się. Tak bardzo, że na chwilę wymknął mu się zupełnie z pamięci obraz ojca, więc i bładość na twarzy musiała zniknąć. Skąd ona mogła takie szczegóły wiedzieć o tych, w samej rzeczy skośnookich podobno wytwórcach jedwabiu i białej miedzi, których kupcy z Argos Frynij-

skiego, powołując się, zresztą, na kupców też z dalej jeszcze na wschód położonego Isedonu, istotnie, choć właściwie nie wiadomo dlaczego, nazywali Psiogłowcami? Ktoś mu kiedyś tłumaczył, że to żart, gra słów, ale na czym miały polegać, nigdy nie mógł zrozumieć. Ktokolwiek jednak kiedykolwiek — z nim samym lub tak, by jemu to było wiadome — mówił o tych Psiogłowcach, nigdy nie napomykał na okrutne prawo odpowiedzialności, trzy pokolenia ogarniającej, znane oto — okazuje się — Dionei. Gdy jednak zaczął ją wypytywać o źródło tej wiedzy, potrząsnęła przecząco wciąż daleko w tył odrzuconą głową w sposób zadziwiająco stanowczy.

— Najmilszy — powiedziała, rozrywając wreszcie pierścień wokół jego pleców, by przerwyc lewą rękę ku chmurzącemu się jego czołu: — To jest właśnie jedna z moich tajemnic rodzinnych. Wszyscy mamy takie tajemnice, i nie należy ich się wstydzic, tak jak ty się wstydzisz swojej — tej, do której klucz tak łatwo byłoby odnaleźć, gdyby się zadało sobie trud zapytać starego Teodora: „Cóż to za taki rok sto piąty, w którym bezradne zupełnie się stały miotacze kamieni i strzał na szczycie cytadeli Tarmickiej?” Ale ja sobie nawet tak małego trudu nie zadam, bo klucze do twoich tajemnic mogą mnie nęcić tylko jako chętny dar miłości. Jeśli na dar taki jeszcze sobie nie zasłużyłam, będę dalej czekała, jak tyle już czekam. Może się przecież kiedyś i doczekam. A wówczas, rzecz jasna — ale dopiero wówczas — taką rozkoszą będzie podziękować ci za dar ten bezcenny opowieścią i o mojej własnej największej tajemnicy rodzinnej. Właśnie: największej — bo wszelkie inne, nawet ta, którą błędnie wszyscy moi od kilku pokoleń już za największą mają — w tej już chwili złożone być mogą u twych miłych stóp. Nie pozbawiajże mnie więc tej rozkoszy, na którą czas kiedyś przecież nadejdzie. Wierzę, wiem, że nadejdzie. Musi nadejść. Nie mów „nie”, ani słowami, ani chmurzeniem czoła; tak czy owak nie uwierzę tobie. A poza tym, zbawicielu boże wszechwiedzący i wszechmocny, czemu pozbawić chcesz swą czcicielkę korną możliwości doznania jednego z największych uniesień, nabożnym dostępnym: oglądania cię, uwielbiania cię w chwale raz jeszcze — a to najwspanialszej — objawiającej się wszechmocy i wszechwiedzy? Tak bym chciała, byś sam,

własnej tylko przemyślności mocą, o Tajniaku nad Tajniakami, wytropił ową moją największą tajemnicę rodzinną. Rzeczywiście największą, a nie tę o grubasie niesamowitym, której ujawnienia przez tyle już pokoleń boi się rodzina mej matki, niczym zarazy. Głupcy! książki nawet wykupywali — całe wydania — i cichaczem palili.

Heliodor nie byłby Heliodorem gdyby słuchając tej przemowy, raz po raz przerywanej pocałunkami bardzo czułymi a nawet takimi, jakie uchodzą za nieprzystojne, wręcz bezwstydné — nie byłby zapomniiał całkowicie o Mankurasié, Antymachu, Spitamenesie, nawet o własnym ojcu!... W samej rzeczy, Dioneja ma zupełną słuszność; niech mu nic, ale to nic! — nie mówi o swej największej tajemnicy rodzinnej, w jakiś sposób wiążącej się z dalekim, zagadkowym miastem Psiogłowców. On sam — o własnych siłach — tajemnicę tę wytropił! Nie teraz, rzecz jasna, dopiero gdy wrócą do Baktry, ale wytropi. Stanowczo wytropi. Niezawodnie. A i tę drugą także — tę, wedle niej, błędnie uważaną za największą. Dotyczy owego niesamowicie grubego pra-pradziada? To bardzo ciekawe! Skoro się weźmie pod uwagę sławę, jaka go okryła i z niego spływająca, blaskiem wielkim osnuwa tyle już pokoleń...

— Ale innym blaskiem, niż ten, jaki wszyscy widzą i sławią..

— Nie mów, nie mów. Ja sam...

Znów potrząsnęła przecząco głową.

— Tamto — ty sam. Ale to — nie. Zgadniesz — odkąd: nie? Nie — nawet Tajniak nad Tajniakami tego nie zgadnie. Powiem ci: od chwili, gdyś niedawno temu, tłumiąc z trudem łkanie, pomyślał na głos: „Ind chce poddać próbie jakość zdolności wywiadowczych Heliodora”.

— Łkania nie tłumilem. Nie potrzebowałem wcale tłumić.

Dioneja sięgnęła po jakąś sztukę tkaniny — owinęła się w nią szybko — dwa z czterech końców spięła sprzączką nad lewym ramieniem, tak by szata szczelnie osłaniała obie piersi, a nogi do kostek prawie.

— Wstydlivość to wielka cnota, nieprawdaż? — powiedziała, siadając tak daleko od męża, jak tylko na to pozwalały szczupłe rozmiary półkolistej sypialni. — Ale uczono mnie: wstyd to tylko tarcza przed wrogością czy

zazdrością świata. W towarzystwie sam na sam z kimś, kogo się kocha, tarcza ta staje się niepotrzebnym ciężarem. Nie chcąc się przyznać, że tłumieś łkanie, dajesz jedynie dowód, że mnie nie kochasz. I w samej rzeczy, za cóż właściwie miałbyś mnie kochać? Przecież nie za to chyba, że cię takiego kłopotu nabawiła siedemnaście lat temu. Ale mówmy już o czymś innym. Wspomniałeś o sławie, co opromieniała pradziada mej matki, a z niego spłynęła na nas wszystkich. Badając dzieje mych przodków, czegoś się właściwie o nim dowiedział?

Heliodorowi zazwyczaj sprawiało dużą przyjemność słuchać Dionei, gdy dużo mówiła. A dotąd nie zdarzało się to często — wyraźnie wołała sama go słuchać, niż mówić. Zawsze też była nieporównana w sztuce stawiania pytań, co skłonny był przypisywać jej nieprzeciętnemu odczytaniu w dialogach Platona. Odpowiadać na takie pytania — i to obszernie — było zwykle przyjemnością, wręcz rozkoszą, jedną z największych, jakie dawało mu małżeństwo. I to rozkoszą nie tylko świadomości, ale i zmysłów także: słuchając go, Dioneja przeobrażała się, stawała się piękna — tak prawie jak piękna była jej zbawicielka i wychowawczyni w czasach, gdy imię jej rozbrzmiewało od oazy Marakandyjskiej aż po Parapamisady, od granicy rzecznej z młodym królestwem Partów do Argos Frynijskiego. Mówiono, że to właśnie ona — Aspionia — nauczyła Dioneję tak silnie przeżywać wszystko, co pochodzi z ust mężczyzny, którego od najwcześniejszych lat znała jako przyszłego swego męża. Heliodor jednak umiejętność tę skłonny był również przypisywać i wrodzonej wrażliwości słuchaczki, a i temu także, iż sam musiał posiadać nie byle jaki dar słowa.

Daru tego — od kogokolwiekby miał pochodzić — nie lekceważył — owszem, pielęgnował go starannie aż spostrzegł ze zdziwieniem, nawet z pewnym zatroskaniem, iż zaczyna się upodobniać do szybkobiegacza, który w swym zawodzie nieprześcigniony, dyskiem czy oszczepem nie zdoła cisnąć dalej, niż dwunastoletni chłopiec. Oto bowiem — tuż mniej więcej przed pożałowania godnym zajściem, zakończonym groźną chorobą Eutydemosa Młodszego — odkrył w sobie pomniejszenie się wydatne zdolności do jasnego i prostolinijnego myślenia, o ile nie było to myślenie i wnioskowanie na głos, mające swój bezpośredni bo-

dziec w pytaniach żony. Z troską tym nie zamierzał z nikim się dzielić, a już najmniej z samą Dioneją — i stąd właśnie wynikło nieporozumienie, którego objawem widowym ze strony żony było pośpieszne obleczenie się w byle co, oraz towarzysząca temu gestowi gorzka tyrada o wstydlivości. Nieporozumieniu Heliodor mógł położyć kres w mgnieniu oka — wystarczyłoby powiedzieć: „Dziecinko, czy nie rozumiesz, że słowa, jakimi wypierałem się tłumionego z trudem łkania, to był tylko podstęp, mający na celu odwrócenie nie tyle nawet twojej, co własnej uwagi od czegoś znacznie bardziej wstydliwego niż łkanie, choćby nawet i nie tłumione wcale?”

Lecz nie powiedział tego. A byłby powiedział, gdyby mniej mówiła. Bo właśnie teraz żadnej mu nie sprawiało przyjemności to, iż tyle mówi. Więcej jeszcze: nie cieszyło, wręcz go nie zajmowało, że — jak zapowiedziała — o własnej zamierza mówić tajemnicy rodzinnej. W pierwszej chwili wprawdzie dał się być podniecić, wręcz porwać — miał jednak nie tylko instynkt wywiadowczy, ale i długoletnie doświadczenie. To zaś jak najpierw podpowiedziało mu, że przed powrotem do Baktry nie sposób kroku choćby zrobić na tropie niezwyklej wiedzy Dionei o Psiogłowcach — tak z kolei przeciwstawiło sobie wagę istotną zapowiadanych zwierzeń żony i odbytej rozmowy z Mankurasem i kazało z przeciwstawienia ten wyciągnąć wniosek, że przyszłość, kształtowaniu podległa, stokroć ważniejsza jest od przeszłości, której już zmienić się nie da. Czy przenikliwa Dioneja tego nie czuła? Ale gdyby czuła, może by gorzej jeszcze było: niech by zaczęła wypytywać go o szczegóły rozmowy z Mankurasem, uległby, i byłoby to chyba jedną z największych klęsk jego życia, bo przyznanie się — nade wszystko przed sobą samym — że samemu sobie pozostawiony, jest już bezradny myślowo wobec zagadnień, co wynikły z rozmowy ze Swatyjczykiem. W obliczu tej bezradności owo „coś”, które już raz był określił jako nie stanowiące jego świadomości, a przecież w jakiś dziwny sposób z nią się wiążące — szukało, niezależnie od świadomości, dróg ratunku, i właśnie wyrazem tych poszukiwań było powiedzenie na głos: „Ind chce poddać próbie jakość zdolności wywiadowczych Heliodora”. Świadomość, oczywiście, reagowała tak jak gdyby nie chciała ro-

zumieć sensu istotnego tej wypowiedzi, ale długo taki stan rozbieżności między nią a tym „czymś” trwać nie mógł: musiała ulec a wyrazem tego poddania się było jasne i proste sformułowanie myślowe: „Chcę, by Dioneja mówiła ze mną nie o swej tajemnicy rodzinnej, ale o mojej rozmowie z Mankurasem. Niech mnie o przebieg rozmowy tej pyta, bo inaczej nigdy nie dotrę do istotnego a utajonego sensu większości wypowiedzi Inda, tak jak bez jej pomocy — bez pomocy wiedzy, którą nabyła od Aspionii, nie zdołałbym dociec znaczenia słów „Sraosza” czy „Urti”, choćby nawet słowa te greckimi zostały napisane literami”.

Po każdym zaś poddaniu się każdy, kto uległ, tego się najbardziej boi, by wróg, któremu uległ, nie okazał się w rzeczywistości mniej potężny, niż to się wydawało przed poddaniem.

Więc i Heliodor bał się, czy nie przecenił jednak przenikliwości żony. Miał powody, aby się bać, bo Dioneja — nie czekając na jego odpowiedź na pytanie, co wie naprawdę o najsławniejszym z jej przodków — powiedziała:

— To jest jedno z najbardziej zdumiewających a i najzręczniejszych też oszustw, jakie kiedykolwiek się wśród Greków w sercu Azji przydarzyły. Wiesz, niewątpliwie o tym, że mówi się o tym moim przodku, iż był pierwszym Grekiem, który jako zdobywca znalazł się na prawym brzegu Oksosu. A jeśli wiesz, to powiedz mi, miły, jak to się stało, że tego wyczynu dokonał? W jakich okolicznościach? Jako kto?

— Jako bohaterski wywiadowca, badacz nieznanego terenu, wysłany przez Ptolemajosa Lagidę na życzenie samego Aleksandra. O tym wszyscy wiedzą.

Zaśmiała się. Długo się śmiała. Gdy wreszcie stłumiła śmiech, zapytała:

— Chcesz, bym coś ci wyrecytowała z pamięci? Trochę to przydługie, i długo też musiałam się tego na pamięć uczyć, ale warto było. Słuchaj.

Nim zdążył odpowiedzieć, że nie chce słuchać — zaczęła:

„Jestem już bardzo stary a im starszy, to inaczej niż normalnie z ludźmi bywa, nie więdnę, ale kwitnę, którymi to słowami chcę powiedzieć, że nie chudnę, ale tyję.

Lekarze powiadają, że chorobliwa to otyłość i z tego pochodzi, iż coś w moim organizmie musi bądź znajdować się, bądź zachodzić takiego, co obce jest normalnej naturze ludzkiej i przez to dla nich, mistrzów sztuki lekarskiej, niepojęte. Najprawdopodobniej takie tłumaczenie to tylko usprawiedliwianie własnego nieuctwa. Już wolę od tych lekarzy ciebie, wnuczko ukochana, z twoimi poszeptami, że moja otyłość to znak gniewu bożego. Wiem, zresztą, że naszeptujesz coś nad to jeszcze: iż znakiem gniewu bożego jest także moje nienormalne długie życie. Domyślam się, że tu na odmianę chodzi o gniew boży nie nade mną, tylko nad moim licznym potomstwem, jakkolwiek z mojej winy. Nie chce mi się przy takiej otyłości dyskutować tak zawilego problemu, jak to, czy i jeśli tak, to o ile istnieje odpowiedzialność potomków za winy przodków, zwrócę natomiast uwagę tobie, wnuczko miła, na istnienie wśród wielu bogów i takiego także, który nakazuje: „Czcij ojca twego i matkę swoją, aby ci się dobrze wiodło i abyś długo żył na ziemi”. Rozumiem, że ojciec i matka oznaczają tu przodków żyjących w ogóle, które to rozumienie bardzo powinno ci odpowiadać; swój bowiem stosunek do mnie możesz jeszcze zmienić na lepszy i w ten sposób zemście wspomnianego boga się wymknąć; w przeciwnym zaś razie nic ciebie już od gniewu tego wyratować nie może, rodzice bowiem twoi, syn mój i miła wcale Argijka rodem, jego żona, w grób przez ciebie przedwcześnie zapędzeni, nigdy już nie zmartwychwstaną. Powiesz zapewne, że nic nie wiadomo ci o tym, abym ja sam miał być nazbyt dobrym synem — ale cóż ty, smarkulo, wiedzieć możesz o sprawach, co się działy na długo, długo zanim ciebie — na swoje utrapienie — syn mój i Argijka spłodzili? Opowiadano ci? Baśnie ci opowiadano. Niedobry byłem dla ojca i matki? Byłem dobry dla matki matek i ojców, ojczyzny. Powiesz zapewne, że to się nie liczy, bo sama nie wiesz, co to jest ojczyzna. Ale dla owego boga ze skały urwistej gdzieś między Egiptem a Fenicją liczy się widocznie, skoro tak długo — na złość tobie, kochana — żyję. Więc łaska boża nade mną, nie gniew. Jak cię znam, powiesz, oczywiście, cóż to jest mieć nad sobą łaskę mało komu znanego boga z małej krainy, skoro się świętokradczymi zakusami naraziło bogu wielce potężnemu, władcy świata? Władcą świata to on może

i był, przyznając — ale bogiem? Czyż nie kpił sam, gdy był ranny, ze swej niby boskości, mówiąc: „Patrzcie, krew czerwona płynie, nie zielony ichor...” Więc ktoś go zranił, a jak zranił to mógł też i zabić. Szkoda że mnie nie udało się...”

— Zbuntował się kiedyś twój pra-pradziad przeciw Aleksandrowi? — przerwał Heliodor zdumiony.

„Nie udało się” — ciągnęła Dioneja, jak gdyby w ogóle jej nie przerwano — „choć całe życie od chłopięcych lat o tym tylko, jako o szczęściu największym, marzyłem. A marzyłem, bom był mądry. Moc narodu makedońskiego? Co za bzdura! Była to moc jednego człowieka. Zabić go — i trzasnęłoby wszystko! Próbowałem pod Granikiem, próbowałem pod Issos, próbowałem pod Gaugamelą. Wreszcie na tej tu ziemi sogdyjskiej, gdy — pierwszy Grek — Oksos w wątej łodzi przyplłynawszy, Spitamenesa przeciw rzekomemu bogu zbuntowałem...”

Heliodorowi przemknęło przez myśl, że któreś z nich dwojga oszalało. Albo przynajmniej silną ma gorączkę, bo albo on nie rozumie, co się do niego mówi, albo ona bredzi, nie wiedząc, co wychodzi z jej ust. Poza tym jednak trudno mu było w Dionei objawów gorączki się dopatrzeć: czy jej iskrzyły się rozbawieniem, takim, jakie się rodzi z umiejętności dostarczania sobie rozrywek ze źródeł, pospolicie niedostępnych lub niedocenianych.

„Gdy stłumiony został krwawo bunt Spitamenesa, i mnie też groziło nieuchronnie, iż dam szyję pod miecz lub zawisnę na drzewie. Ale gdy powiedziano Aleksandrowi, że jestem Ateńczykiem, darował mi życie. Kazał też mi powiedzieć, że albo udaję tylko wielką miłość do ojczyzny, albo jestem bardzo głupi. Słowa te zaniósł mi do więzienia Ptolemajos, który później został królem Egiptu i czyj syn — słyszę — dzisiaj jeszcze krainą tą rządzi. Byłem bardzo młody, bardzo zaś młodemu życie niesławne wydaje się nie do zniesienia, więc mówię do Ptolemajosa: „Wolę zginąć niżbym miał być znieważony”. Poszedł, potem wrócił, zabrał mnie. Postawiono mnie oko w oko z Aleksandrem. „Chciałeś mnie zabić, by przywrócić wolność Atenom?” — pyta. „A dlaczego, powiedz,



Ateny mają być wolne?" Odpowiadam, że wolność to stan przyrodzony społeczności. „Czy wszystkich społeczności na świecie?” — uśmiechnął się. „Jakoże uczono mnie z ksiąg wielce mądrych, że Ateny nie wzdragały się, gdy było to im potrzebne lub wygodne, a miały po temu siłę, pomiatać owym przyrodzonym prawem do wolności, kiedy o wolność innych chodziło, nie ateńską”. Zmieszałem się na chwilę, ale wnet odzyskałem pewność siebie. „Wolność” powiadam, „jest jak bogactwo. Oczywiście, wszyscy w zasadzie mają równe prawo do bogacenia się, ale ponieważ na wszystkich nie wystarczy, rozsądne jest, by bogacili się ci, którzy z tego, co będą posiadali, najlepszy zrobią użytek”. „I jakiż to najlepszy użytek zrobiły Ateny ze swej wolności?” „Kpisz sobie ze mnie, uczniu Arystotelesa Stagiryty”, zawołałem. „Wiedza bowiem twoja nie może być mniejsza od mojej. Równie dobrze jak ja, wiesz, co stworzyły wolne Ateny”. Zacząłem wymieniać w coraz rosnącym zapale nasze nieporównane budowle i rzeźby, naszych poetów i historyków, napomknąłem na dialogi Platona i na to, ile jego własny nauczyciel, Arystoteles, Atenom zawdzięczał. Słuchał uważnie, a przy tym życzliwie; gdym skończył zapytał: „I to wszystko jest użyteczne?” a nim zdążyłem odpowiedzieć, dorzucił: „Dla kogo? Bo czy powiesz, że najlepsze to zrobienie użytku z bogactwa nagromadzić wory złota czy srebra w piwnicy i przy blasku świec przyglądać się co drugą czy trzecią noc, jak monety połyskują?” „Wielkie dzieła wolnych Aten”, powiedziałem z mocą: „pożytek, a wraz z pożytkiem przyjemność, wręcz nawet upojenie, dać władne są wszystkim. Rzekłeś oto chwilę temu, królu Makedonii i zdobywco Azji i Egiptu: Ateny nie wzdragały się pomiatać wolnością innych. Ale czyją wolnością? Zaprawdę, tych tylko, co o własnych siłach nie byli zdolni zrobić z wolności użytku. Pod naszą zaś znalazłszy się władzą, zdobywali możność korzystania z wszystkich owych wielkich dóbr, któreśmy stworzyli”. „A może te dobra nie są wcale dla wszystkich dobrami?” „Dla wszystkich”. Znów się uśmiechnął. „Jeśli tak jest, jak twierdzisz, Ateńczyku, powiedz, dzięki komu stało się możliwe, by dobra te dotarły nad Nil, nad Tygrys, nad Oksos?” Oszołomiony, to prawda, przecież nie przekonany, zawołałem: „Ależ to nie są krainy Greków!” „Więc

dla Greków to tylko dobra?" „Jasne". „Więc nie są dobrami. Wielka tragedia, wielka rzeźba, wielki dialog filozoficzny albo mają w sobie coś, co porwać czy oświecić może lub musi każdą istotę ludzką — albo nie są wielkie. A któż z was Ateńczycy, zdolny byłby światom dalekim zanieść wielkość własnych waszych tworów? Czy jąkała, wielką pychą w mówcę wielkiego przeistoczony, Demostenes, który w boga żadnego nie wierząc, woła do tego czy owego z nich dzień w dzień, noc w noc, w nadziei, że go wyborcy, nie bóg, usłyszą: „Ojczyznę wolną racz nam zwrócić..." „Demostenes wierzy w bogów!", przerwałem. „A jakże! właśnie, wciąż o wyborców zatroskany, wyprzedził innych krzykaczy z rynku wnioskiem, by mnie do rządu bogów ateńskich podniesiono... Biedny Demostenes! biedny miłośnik wielki wielkiej ojczyzny! Gdyby zwyciężył on i jego miłość ojczyzny, a ja bym — czego tak gorąco pragnie — naprawdę między bogów odszedł kilka lat temu, za twojej ręki na przykład sprawą — czym byłyby nadal i na zawsze zostały Ateny? Piwnicą, w której bogacz przy blasku świec przerzuca z worka do worka co drugą lub trzecią noc złoto swoje i srebro... A teraz rzeknij: gdybyś władny był nadal mnie zabić, zabiłbyś?" Rzekłem, że zabiłbym. Więc mnie zesłał do osady karnej, która dziś jest kwitnącą, dumną, że Aleksandra jest dziełem, Terą. Zsyłając, powiedział: „Gdy zmienisz zdanie, daj mi znać".

„Nie żyje od dawna. Więc nie mam jak dać znać. Zresztą, nie jestem wcale pewien, czym istotnie zdanie zmienił. Ale wczoraj w Terze nad Oksosem przybyłe z Baktry stowarzyszenie Dionizyjskie grało „Króla Edypa". Zgroza i litość malowały się na wszystkich twarzach, a nie były to same tylko greckie twarze, o wnuczko. Tak mówią, bo mnie samemu, jak dobrze wiesz, otyłość niesamowita uniemożliwiła wzięcie udziału w tym wielkim przeżyciu zbiorowym naszej tak sławnej dziś osady".

— Wiesz teraz już, jak mój znakomity przodek dostał się do Sogdiany? — zapytała Dioneja, skończywszy recytację z pamięci. — Mówiono o nim: przepłynął Oksoś jeszcze przed Aleksandrem. Co miało znaczyć: w przedniej straży Aleksandra. Ale naprawdę zawsze i wszędzie — wszędzie, bo nie tylko tutaj, ale od Helespontu zaczy-

nając — było to tylko „przed” zamachowca, cofającego się przed zwycięstwami swej upatrzonej ofiary. I to jest właśnie nasza tajemnica rodzinna, błędnie uważana za największą, najwstydlivszą. A jeśli naprawdę i jest coś w niej wstydliwego, to nie pochodzenie bynajmniej od człowieka, co zamiast w służbie Aleksandra, zawędrował aż w samo serce Azji, cofającym się Persom, ojczyzny swej niegdyś najeżdźcom, przeciw Aleksandrowi służąc, tylko to, że w samej rzeczy, niestety, za długo żył.

— Jak to rozumiesz?

— A tak, że się dał jednak Aleksandrowi pośmiertnie oszukać, osłabić, złamać. Uwierzył oto wreszcie od dawna nieżyjącemu, że w samej rzeczy albo nie kochał Aten, ojczyzny swojej, albo był głupi, myśląc, jak Demostenes. Pisał nazajutrz po wystawieniu „Króla Edypa” w Terze, że nie jest wcale pewien, czy zdanie zmienił. Ależ zmienił!

— I to właśnie ma być rzecz wstydliva?

— O tyle, o ile wstydem jest dla Heliodora, aby Ind chciał poddawać próbie jego zdolności wywiadowcze.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, szybko przeobrażającym się w podziw. Ale jeszcze szybciej podziw przeistoczył się w zachwyty. Znow była prawie piękna, choć tym razem nie stawiała pytań, odpowiadała na nie. Już go nie drażniło, że tyle mówi. Już nie był skłonny — a tuż przed recytacją bardzo bliski już był tego, aby przyznać słuszność jej porównaniu siebie z krową, co rykiem przywołuje dojarkę. Jeszcze w pełni nie wiedział, ale już nieomylnie czuł, że dawno był się poddał nieodwracalnie mocy jej przenikliwości, i że nie doznaje lęków, iżby ulec miał komuś znacznie mniej potężnemu, niż to się zdawało przed poddaniem.

Poprosił, by odpięła sprzączkę nad ramieniem. Zamiast odpowiedzieć, spojrzała na niego z namysłem. A musiał to być namysł nad sprawami, którym dotąd widocznie zbyt wiele wysiłku świadomości nie poświęcała, choć — jak się miało niebawem okazać — odczuwała je równie nieomylnie, jak on swoje poddanie się.

— Demostenes miał słuszność — powiedziała po dłuższej dopiero chwili sięgając ręką ku sprzączce, ale wciąż jeszcze jej nie odpinając. — Aleksander zaś zbyt był wielki, by mógł tego nie wiedzieć, a skoro tak, świado-

mie mego pra-pradziada zwodził. Dla Aten to żaden zysk stracić wolność wzamian za sposobność z bogacenia świata — świata nad Nilem, Tygrysem, Oksosem — wielkimi swymi dziełami. Wiesz, dlaczego? Bo owe wielkie niby dzieła naprawdę są za małe na to, iżby świat ten mógł nimi się z bogacić. I Demostenes musiał to wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać. Owszem, za cenę wolności dostarczyły Ateny Artemidę, twór swej sztuki rzeźbiarskiej i poezji tragicznej, nad Oksos, i co? Czczą Baktrowie Artemidę? Nie, Grecy, Baktrii zdobywcy, czczą Anaitę Baktryjską! Mówiono memu pra-pradziadowi, że w czasie pierwszego przedstawienia „Króla Edypa” w Terze Sogdyjskiej zgroza i litość nie na samych tylko greckich malowały się twarzach? Wierzę. Wśród kilku setek Greków mogło się znaleźć na widowni kilku, a może nawet i kilkunastu Irańczyków z tych, którym szczególnie zależy na pielęgnowaniu dobrych stosunków z narodem zdobywców. A dwaj czy trzej mogli bezinteresownie być ciekawi, czym właściwie jest ta tak zachwalana przez Greków poezja dramatyczna; musieli też już wcale dobrze poznać język, by w rzeczywistości doznawać zgrozy i litości pod wpływem tego, co się działo w „Królu Edypie”. Ale myślę, że przedmiotem zgrozy i litości dla nich było coś zupełnie innego niż dla Greków: nie tyle akcja tragedii, co myśl przewodnia, spoza akcji wynurzająca się i narzucająca; i nie tyle bohater, co autor.

— Nie rozumiem ciebie.

Szybko odpięła sprzączkę i wyciągnęła do niego ramię. Do nągich już znów piersi przycisnęła jego głowę.

— Nareszcie! — zawołała, a wołanie to zaraz zaczęło przechodzić w miarowy szept, kołysankę nieco przypominający. — Pierwszy raz, odkąd jesteśmy poślubieni — nie, odkąd ciebie znam, a znam przecież całe życie — mówisz, że czegoś z tego, co z moich ust wychodzi, nie rozumiesz. Owszem, musiałeś wiele i z tego też nie rozumieć, com niegdyś bełkotała jako bardzo małe dziecko, ale to co innego. Są dwie odmiany postawy myślowej, wyrażanej zwrotem „Nie rozumiem”; pogardliwa względem bezradności w przekładaniu myśli na słowa, cechującej tego, który chce być zrozumiany — i druga, ujawniająca lub zdradzająca pokorę tego, który zrozumieć ma, a nie dorósł, by rozumiał. I oto właśnie teraz — pierwszy

raz, mój miły! pierwszy raz! — rozpoznaję drugą odmianę w tym twym „Nie rozumiem”.

Skłonny był przyznać jej słuszość. Z zastrzeżeniem jednakże, iż są rzeczy i sprawy, których nie musi się rozumieć — ba, których lepiej może nie rozumieć. Gdy zastrzeżenie to ujął w głośne słowa, Dioneja zaśmiała się: — Mówisz teraz, tak jak Azjaci zazwyczaj o Grekach, że wszystko by chcieli przeniknąć rozumieniem, a są rzeczy i sprawy, których bądź nie da się zrozumieć, bądź się nie godzi. Jeszcze raz zapytam cię: po coś tu — do serca Azji — przyszedł?

— By ciebie mieć.

Ucałowała go w usta. Potem powiedziała:

— Zauważ, zapamiętaj sobie, zem cię pytała: po coś tu przyszedł? Nie: dlaczego? Szanuję twoją tajemnicę.

A na to on:

— Czy każdą tajemnicę zechcesz uszanować?

— Twoją?

— Mówmy teraz o takich, co w tym sensie są moimi, iż zdradzenie ich wielkim groziłoby mi niebezpieczeństwem.

— Każdą taką tajemnicę będę chciała zawsze uszanować. A co ważniejsze jeszcze: zawsze będę umiała.

Heliodor przystąpił do dokładnego — omalże słowo w słowo — powtórzenia jej całego przebiegu swej rozmowy z Mankurasem. Gdy doszedł do słów Inda: „Niech na ciebie spłynie łaska oświecenia”, ukrył twarz w dłoniach. Oto wciąż jeszcze nie był w stanie przypomnieć sobie, co po tych słowach następowało.

„Zdaje się, że tracę pamięć” — powiedział głosem, pełnym przygnębienia, wręcz rozpaczy.

— Zazwyczaj nie pamiętamy tego, czego pamiętać nie chcemy. Piłeś wino, zanim tu wróciłeś?

— Piłem.

— Dużo?

— Zdaje się, że dużo.

— Sam?

— Z kimś spośród ludzi króla Margiany.

— Z jednym?

— Z dwoma. Nie, z trzema.

— Pamiętasz, co do nich mówiłeś?

— Nie pamiętam.

— To bardzo źle.

— Nigdy się przy winie nie zdradzam z tajemnicami służbowymi. Próbowano mnie nieraz w tym celu upijać, nikt nigdy nie potrafił.

— Nikt, nikt! Przypominasz mi Polifema, który gdy Odyseus Laertyda wybił mu jedyne oko, gdy go pytali inni Kiklopi, kto to uczynił, ryczał: Nikt! Nikt! Jak się nazywali ci trzej ludzie króla Margiany?

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— Właśnie. Imię ich również: Nikt! Chwaliłeś się, że nikt ciebie nigdy nie upił? Mylisz się: właśnie upił ciebie NIKT.

— Strasznie jesteś czytana, wykształcona, uczona, — powiedział na wpół ze szczerym podziwem, ale na wpół też i z przekąsem.

— Cóż miałam robić przez długie, długie lata narzeczeństwa? Rodzeństwa nie miałam, wiedziałam, to prawda, że mam brata, ale nigdy już ze służby w wojsku najpierw jednego Króla Wielkiego, potem drugiego, ni do Tery, ni do Baktry nie wrócił...

— Poległ na polu chwały.

— Tak mi mówiono. Rodzice? Sam wiesz dobrze, jak mało mną się zajmowali. Przyjaciółek nie miałam: nie uwierzysz, ale rówieśniczki zawsze mną trochę pogardzały, jako tą, co inaczej, niż one, została przy życiu, wbrew woli rodziców. Piękna nie byłam, więc się chłopcy mną nie interesowali, a gdyby nawet, to i tak dziewictwo moje twoją stanowiło własność: sięgnąć po nie byłoby okradzeniem wysokiego urzędnika królewskiego, któż by się odważył? Czas jakiś pętałam się trochę przy przybytku Niepokalanej, ale że nie mogłam zrozumieć, dlaczego ją, dziewicę wiekuiłą, czci się jako dawczynię płodności, a przy tym mdliło mnie na widok rzezańców-kapłanów — nie zostałam tam długo. Stroje? Poza obuwiem, jak wiesz, mało mnie bawiły, jako że władne są ozdobić, uwydatnić urodę przyrodzoną, ale nieistniejącej wbrew temu wszystkiemu co baby wszędzie i zawsze myślą — z niczego nigdy do życia nie powołają. Więc co miałam robić z drachmami, któreś mi przysyłał z dochodów wsi ojczystej mej zbawicielki? Uczyłam się, ściągałam do Tery nauczycieli z Baktry, z Aleksandrii Aryjskiej, nawet z Aleksandrii Proftazji — kupowałam książki, sprowadzałam je, nieraz

nawet z bardzo daleka. Z tak daleka, że więcej niż pół roku w drodze były, a niektóre to i rok prawie. Ale ty, mój opiekun i narzeczony, nic o tym nie wiedziałeś, a raczej nie! Wiedziałeś, tylko mało ciebie to obchodziło... Pamiętasz, jak się chciałam pochwalić przed tobą recytacją na pamięć „Argonautyki” Apoloniosa Rodyjczyka? Było to jesienią owego roku, gdy wiosną umarł poprzedni Król Wielki — zapłakałam przy wierszach o miłości Medeji do Jazona — tego samego Jazona, o którym, o dziwnie i Mankuras — a ty mi na to: „Dziecinko, mam dla ciebie obsypane turkusami sprzączki na trzewiki”. Jak ja ciebie wtedy nienawidziłam!

— Aleś mi zaraz przebaczyła. Sprzączki bardzo ci się podobały. Lecz cóż to za książki były, co aż rok wędrowały? skąd?

— Z Aleksandrii koło Egiptu. Miałam dziewięć lat, gdy staruszka babka moja — matka matki — kazała mi się uczyć na pamięć, tuż przed swą śmiercią, tego tekstu, jaki ci chwilę temu recytowałam. Nie chciało mi się, ale że — jak mi mówiła — to tylko nasza z nią tajemnica, i nikomu nie wolno nic o tym wiedzieć — zainteresowała mnie, więcej: wprost porwała. Szczególnie, że były tam przecież ustępy, dla niej samej ogromnie przykre: to na przykład, że swoich rodziców w grób wpędziła. Pytałam jej, czy to prawda? Przeczyła, ale nie wierzyłam jej, i zawsze — gdy sprawdzała, czy już to umiem na pamięć — największą przyjemność sprawiało mi ten właśnie, dla niej tak przykry, recytować ustęp. Potem zaczęłam się zastanawiać: dlaczego ona właściwie chce, bym ja tę tajemnicę rodzinną nie tylko poznała, ale na całe życie słowo w słowo sobie zapamiętała? Zadręczałam ją pytaniami o to — tu jednak była nieugięta; zawsze mówiła: „Nie dowiesz się aż będę umierała”. Ale umarła nagle, matka zaś moja zdaje się nic nie wiedzieć, że takie pismo kiedyś istniało, ani jaka była jego treść; chwilami myślę, że ona naprawdę wierzy w to, iż jej znakomity pra-dziad przekroczył Oksos jako wywiadowca Aleksandra. Po śmierci babki przestałam się tą sprawą zupełnie interesować, wprost o niej zapomniałam, ale gdzieś w tajnikach pamięci tkwiła, i po kilku latach którejś nocy bezsennej wyrecytowałam sobie całość, ze trzy albo i cztery razy. A recytując, dziwiłam się: jak jednak wiele z tego, co pra-pradziad

powiedzieć chciał, nie rozumiem! Pytać jednak kogoś, nauczycieli na przykład, to byłoby ściągać ich na trop tajemnicy; wolałam więc książki ściągać. I wierzaj mi, dzisiaj mogłabym, gdybym czuła potrzebę a miała odwagę, napisać komentarz do owej wypowiedzi mego prapradziada. Komentarz, co byłby z dziesięć albo i dwadzieścia razy dłuższy niż wypowiedź sama. Nic już nie ma w niej dla mnie niejasnego — to nawet, co było najtrudniejsze do zrozumienia — wzmianka o małym bogu, który przykazywał „Czcij ojca swego i matkę, by ci się dobrze wiodło i byś długo żył” — nawet to, powiadam, jest dla mnie zupełnie jasne. Ale właśnie, Heliodorze, panie mój i boże, spełnisz pewną moją prośbę i to zaraz, za świeżej pamięci? Obnaż się na chwilę, pozwól się dokładnie obejrzeć...

Odmówił, bo węszył w tej prośbie podstęp, wiedzący do spełnienia innej jej prośby: o dziecko. Daremnie usiłowała go przekonać, że kieruje nią tylko bezinteresowna badawcza dociekliwość, związana właśnie ze sprawami czci owego małego boga, o którym wspomniał w wypowiedzi swej, do wnuczki kierowanej, jej sławny prapradziad. Nie przekonała. Nawet płaczem. Nawet nagłą obietnicą, że pomoże mu wytropić nieomylnie sens ukryty wszystkich dwuznacznych wypowiedzi Mankurasa. Owszem, obietnica ta Heliodora tylko rozdrażniła, wprost rozgniewała. Doszło do przykrych słów, wzajem sobie rzuconych. Heliodor doznał ulgi, a sądził, że i Dioneja także jej doznała, gdy wezwano go niespodzianie przed oblicze króla Margiany. Gdy odchodził — Dioneja, wciąż niby jeszcze gniewnym głosem, powiedziała: „Zapytaj go wprost a bez przygotowania żadnego, czemu w drodze z Margu do Tarmity ominął Baktre”.

Zapytał. Ale choć stosując się do zalecenia żony, Antymacha pytaniem tym zaskoczył — sam siebie jednak starannie na chwilę tego zaskoczenia przygotował. Raz po raz mówił sobie ostrzegawczo: „Jeszcze nie teraz”. Równocześnie przecież czuwał nad tym, ażeby Antymachos nie zainteresował go tym, co doń mówił, aż do tego stopnia, iżby on, Heliodor, miał przeoczyć najlepszą chwilę do postawienia pytania. A zainteresować mógł, wezwał bowiem Heliodora, by z nim się naradzić co do środków obrony pogranicza północnego. Oto najdalej za trzy dni będą



w Terze — Menander, oczywiście, od razu zechce przystąpić do rzeczy — więc z czym właściwie oni dwaj do niego przyjeżdżają? Zlecenie Króla Wielkiego dla Heliodora dokładnie jest królowi Margiany znane i wydaje mu się być niewykonalne: jakikolwiek samorząd dla tubylczych chłopów pańszczyźnianych, a nawet dla wolnych dzierżawców, zrazi tylko ziemiaństwo sogdyjskie — bez przynęty jednak w postaci obietnicy samorządu żadna wieś nie odważy się posyłać młodzieży wprost do wojska królewskiego, a nie do pospolitego ruszenia rolników, dowodzonego przez tubylcze możnowładztwo. Chyba żeby się rzuciło hasło w formie groźby podziału przymusowego wielkich dóbr między drobnych rolników, ale to byłby przewrót, a raczej wojna domowa, na jaką dynastię nie stać, a przynajmniej na razie jeszcze nie stać. Może po ukończeniu podboju Indyj — ale na koniec ten wciąż jakoś się nie zanosi: Indie okazują się być znacznie większe, niż komukolwiek bądź mogło się marzyć. Toteż on, Antymachos, widzi jedną tylko drogę wyjścia: pobór przymusowy kilkunastu roczników w sprzymierzonych z nim ludnych miastach greckich, Antiochii Margijskiej i Aleksandrii Aryjskiej.

— Drogi tej nieraz już próbowano — uśmiechnął się Heliodor — ale zawsze bezskutecznie. Niepodległe miasta są tak zajęte bogaceniem się i troską o obronę tych bogactw, że choć władne najgroźniejszy odeprzeć najazd, jednego rocznika nawet nikomu do służby wojskowej poza murami nie dadzą.

— Wiem. Ale trzeba tak zrobić, żeby dały. Konieczne trzeba, bo innego wyjścia — powtarzam — nie ma, chyba tylko ostry zatarg z ziemiaństwem sogdyjskim. A jak koniecznie trzeba, to i można zrobić. Bo jak się nie robi, to zaprawdę, zamiast beznadziejnych chwytać się pomysłów, lepiej może byłoby bez strat wycofać się za Oksos, a Sogdianę uprzejmie podarować Masagetom i Chorazmijczykom. Z dziesięć lat przynajmniej będą tu mieli co łupić, czym się tuczyć i o co między sobą wściekle się gryźć, nas zaś za wielką rzeką zostawią na razie w spokoju. A co za dziesięć czy piętnaście lat się stanie, potem będzie czas, by tym się martwić — nieprawdaż? Szczególnie że panujemy przecież teraz i nad Indiami także, zawsze będzie dokąd się schronić w najgorszym razie.

— Czy to twój pomysł, o panie? Czy też może Spita-  
menesa Sogdyjczyka, z którym ostatnio całymi dniami taj-  
ne prowadzisz rozmowy? Chyba nie, bo nie byłoby mu —  
tak miemam — miło wydać swą własną ziemię na łup  
koczownikom. Więc może nie tyle pomysł to, co twój do-  
mysł, o królu, że ktoś z takimi może nosić się zamiarami...

— Ktoś! Ktoś! Wiem kto. Mój bratanek tak mi miły,  
w tej chwili konający, a może już i zmarły...

— Teraz właśnie czas — zasygnalizował sobie Helio-  
dor. I mrużąc oczy a zaciskając nerwowo ręce pod zwierz-  
chnią szatą, wykonał zlecenie Dionei. Mówił szybko, ale  
bardzo wyraźnie, szczególny nacisk kładąc na dziwność  
sprzeczności między ominięciem przez Antymacha Baktry,  
a dokonaniem chwilę temu sformułowaniem: „bratanek,  
tak mi miły”...

Jakkolwiek zaskoczony niewątpliwie, król Margiany jeśli  
czemuś się bardzo dziwił, to raczej chyba zuchwałości  
urzędnika, iż w ogóle takie pytanie odważył się mu posta-  
wić, niż samej treści pytania. Był wyraźnie rozgniewany,  
ale w gniewnym tonie, jakim na to pytanie odpowiadał,  
brzmiała zarazem nienaganna rzeczowość, cechująca wy-  
trawnych polityków, gdy zostają powołani przed sędziego  
śledczego, któremu ogromnie mają za złe to wezwanie, ale  
z którym nie zamierzają wdawać się w spór co do słusz-  
ności jego postępowania, odkładając na przyszłość rozra-  
chunki za dokonane przezeń — jak sądzą — nadużycie  
uprawnień.

— Mówią o tobie: Tajniak nad Tajniakami. Może i za-  
sługujesz na to miano, ale nie w moim przekonaniu. Dałeś  
się oto zwieść za pomocą sztucznego patosu, godnego  
trzeciorzędnych najwyżej aktorów tragicznych. Oczywiście,  
raczej dobrze się stało, żeś mi podsunął — najwidoczniej  
ażebym mnie ostrzec — puszkę ze zwojem, wypełnionym  
bzdurami; ostatecznie cieszysz się i nadal zaufaniem me-  
go Wielkiego brata, więc trzeba ci pomóc, gdy brniesz  
z głupia w bagno. Zechciej zrozumieć i przyjąć do wia-  
domości: zwój ten został wypełniony tą właśnie treścią,  
a nie żadną inną, wyłącznie z myślą o dalszym szkodze-  
niu nie komu innemu, tylko tobie samemu, w ramach  
akcji, której celem jest obarczenie ciebie winą za chorobę,  
a może i za śmierć też mego bratanka. Jużem ci rzekł: nie  
wiem, jesteś czy nie jesteś winien. Ze względu jednak na

zasługi twe wieloletnie w służbie dynastii skłonny byłbym cię bronić tak długo, póki nie zwątpię, czy na obronę tę z mej strony nadal zasługujesz. Ominąłem Baktre, bo mi pilno było znaleźć się tu, na tym pokładzie. A dla czego pilno, to do ciebie nie należy; nie płacimy tajemnicom za to, by nas samych, zamiast naszych wrogów, tropili. Jednego przecież możesz być pewien: gdybym chciał skorzystać z prawdopodobnego opróżnienia tronu Baktirii i Sogdiany — nie znajdowałbym się teraz w drodze do Tery, tylko do Indyj. Zaczynam się obawiać o ciebie, stary i — dodam — wiemy służyć. W samej rzeczy wierny, ale równie prawdziwie — stary. Może jednak nie powinno się, bliżej już będąc pięćdziesiątki niż czterdziestki — zażywać szczęścia w małżeństwie z dziewczyną, która by od biedy mogła być twoją wnuczką, nie wiem... Wiem natomiast, że skoro się jest zagrożonym a jesteś zagrożony poważnie, trzeba przede wszystkim całą swą pomysłowość skierować na zdobywanie skutecznych środków obrony. Czego ci naprawdę szczerze bardzo życzę. Bądź zdrow. Zawołaj do mnie Spitamenesa.

— Nie wierz mu — powiedziała w niedługą chwilę potem Dioneja.

Wsparł ręce łokciami na swych kolanach, a głowę na dłoniach. Zupełnie już nie wiedział, komu by miał wierzyć.

### III

Następnej nocy na wszystkich pokładach „Zgody Narodów” ogłoszono alarm. Katapelty zaczęły miotać ogniste pociski, by rozświetlić rzekę. Przygotowywano do miotania także kamienie i strzały. Z sześciu bowiem łodzi wywiadowczych, wysłanych daleko naprzód z prądem Okso-su, wróciły dwie tylko — z wiadomością, że reszta została zatopiona przez dwa okręty, płynące w zbrojnym pogotowiu w górę rzeki. Wywiadowcy nie umieli dokładnie określić przynależności napastników. Oba okręty były znacznie mniejsze i wolniejsze od „Zgody Narodów”, nie posiadały jednak żadnych uchwytnych dla oka, oznak rozpoznawczych. „Nauarcha” doprowadził ocalałych wywiadowców przed oblicze Antymacha, a ten ich przekazał do przesłuchania Heliodorowi, zaznaczając, że osobiście nie jest skłonny nazbyt im wierzyć. Między marynarzami — mówił — stałe ostre zatargi to rzecz zwyczajna; gdy przed laty z pokładu „Meandrii” dowodził całą flotą, stwierdził w granicach jednej wielkiej wyprawy wojennej ze dwadzieścia wypadków topienia na tle porachunków osobistych. Heliodor w zasadzie skłonny był przyznać mu słuszność: jeśli załogi dwu łodzi z sześciu są ze sobą w zмовie, bez wielkiego trudu zatopić mogą kolejno cztery pozostałe. Co mu jednak wydawało się mało prawdopodobne, to możliwość tak silnej nienawiści zgodnej ze strony dwunastu marynarzy względem liczby dwakroć większej. Oczywiście, i to się zdarza — nie byłyby to już jednak porachunki osobiste, tylko wro-

gość gromady mniejszej do większej,omalże mała wojna domowa, a jeśli tak — czemu tamci z czterech łodzi nie mieli się na bacności? A już szczególnie załogi trzech pozostałych po zatopieniu pierwszej? Przesłuchiwani marynarze uparcie jednak obstawali przy swoim oświadczeniu, i mimo kilkugodzinnego badania Heliodor nie był w stanie w zeznaniach ich wytropić najdrobniejszej sprzeczności. Pozostawało poddać ich torturom, ale był to — w mniemaniu Heliodora — czas jak najmniej sprzyjający, by chwytać się takiego środka; mógł istotnie nie rozumieć, co się naprawdę wokół niego dzieje, ale że coś niezwykłego i groźnego się dzieje, w to nie wątpił, więc się wzdragał przed posunięciem, które zawsze dość ryzykowne, gdy dotyczy osób wolnych Greków — tym razem pociągnąć za sobą mogło skutki wręcz nieobliczalne. Wprawdzie przekonanie jego o niebezpieczeństwie jakiegoś wielkiego buntu, jako o nieuchronnym następstwie prawdopodobnej śmierci Eutydemosa Młodszego, mocno już było zachwiane ostatnio, ale jednak nie zniweczone całkowicie, więc też na tym właśnie przekonaniu skłonny był oprzeć swój wniosek z wysłuchanych wspólnie z Mankurasem zeznań: marynarze mówią prawdę, ale Antymachowi ta prawda jest niewygodna, bo przygotowuje bunt, i okręty, przez które łodzie wywiadowcze zostały zatopione, a które płyną naprzeciw „Zgodzie Narodów”, nie są wcale pirackie, tylko wojenne greckie, zwiastuny przeistoczenia się buntu z zamierzenia w fakt dokonany. W ramach takiego — a tylko takiego domysłu pospiech Antymacha stawał się zupełnie zrozumiały: oto ze swoimi współpiskowcami w dowództwie floty dawno był ustalił datę wybuchu buntu i uzgodnił kolejność posunięć. Zaraz po dotarciu do Tery wiadomości, iż w Baktrze stało się to, co dawno było zamierzone, zbuntowana flota miała ruszyć w górę rzeki. Ponieważ zaś „Zgoda Narodów” była tak wybudowana i wyposażona że mogła zmierzyć się bezkarnie z kilkoma naraz okrętami zwykłego typu, Antymachos uplanował odciągnięcie jej od Tarmity, gdzie opór przeciw buntowi byłby najsilniejszy, oraz obezwładnienie na wypadek, gdyby załoga jej do buntu przystąpić nie chciała. Osiągnąć zaś to najłatwiej spodziewał się poprzez osobiste znalezienie się na jej pokładzie, więc się umówił zawczasu ze współpiskowcami, że

wyjedzie nią im naprzeciw i spotka się z przednią ich strażą dokładnie na tej a na tej wysokości biegu rzeki. W ramach takiego tłumaczenia, co prawda, niezbyt gładko mieściło się samo zatopienie łodzi wywiadowczych, ale ostatecznie i ono dałoby się do całości domysłu dopasować pod warunkiem przyjęcia tezy, iż czołówka zbuntowanej floty nie wykonała postawionego sobie zadania bezbłędnie, zadaniem zaś tym musiało być zatopienie wszystkich napotykanych łodzi wywiadowczych a to celem oskrzydlenia „Zgody Narodów”, nawet zajechania na jej tyły. Alarm, oczywiście, uniemożliwił nawet oskrzydlenie, choćby tylko szybkość, jaką „Zgoda Narodów” zdolna była rozwijać, pozwoliłaby jej na kolejne zaatakowanie zwycięskie obu okrętów zaraz potem jakby się zaczęły oddalać od siebie, by ją objeżdżać — jeden z lewej, drugi z prawej. Więc jeśli domysł Heliodora odpowiadał rzeczywistości, czołówka buntu albo świadoma, że nie wszystkie łodzie wywiadowcze zatopiła, dała się prądowi z powrotem odnosić ku reszcie nadciągających okrętów, albo też bezwiednie posuwała się naprzeciw zagładzie, chyba że Antymachos w tym tylko celu nakazał wszczęcie alarmu, aby swych współspiskowców na czas ostrzec.

Heliodor jednakże, tak rozumiejący, nie był już tym samym sobą, co na jakiś miesiąc jeszcze przed uderzeniem, wymierzonym młodemu królowi Baktirii i Sogdiany. A nawet i tym już nie był Heliodorem, co przed ostatnimi rozmowami z Mankurasem i Dioneją. Nie dziw więc, że sięgnął po tabliczkę, by utrwalić na piśmie wszystkie możliwe własne opory myślowe przeciw własnemu też domysłowi. Gdy ukończył pisanie, jasno widział jedno tylko: niemożliwość zupełną prowadzenia choć chwilę dłużej takiej walki z wielką zagadką w całkowitym osamotnieniu. Po krótkim więc wahaniu jął podsuwać kolejno tabliczkę po tabliczce Mankurasowi. W miarę jak poza lewym łokciem Inda rósł stos tabliczek już przeczytanych — Heliodor starał się odtwarzać zawczasu w myśli prawdopodobne uwagi barbarzyńcy, któremu oto całkowicie, bezgranicznie wręcz zaufał, bo inaczej już nie mógł. Ale — inaczej niż niezliczone razy dawniej — odtwarzanie takie teraz zupełnie mu się nie udawało. Tracił czas i wysilał myśl jedynie po to, by raz jeszcze albo i kilka powiedzieć znów sobie to, co chwilę temu sam był napisał. Więc:

„a„ : Nauarcha „Zgody Narodów” nie walczył pod rozkazami Antymacha w wielkiej bitwie zwycięskiej przeciw Masagetom. Jest więc mało prawdopodobne, aby należał do spisku. I nie więcej, ażeby dał się doń wciągnąć, czy to przekonany, czy nastraszony. Rok był z Królem Wielkim poza Parapamisem — pływał po wodach Pięciorzeczca — dokazywał cudów odwagi. Antymachos o tym wie i zapewne na „nauarchę” nie liczy. Jakżeby więc zdołał przyłączyć „Zgodę Narodów” do buntu? Ponad trupem „nauarchy”? Możliwe, choć naraziłby się bardzo poważnie, iż sam zginie. Nie wszczyna się zaś buntu, przewidując, że się padnie trupem na samym jego początku.

„β„ : Może Antymachos wierzy, iż boskość jego wzięta została przez załogę tak poważnie, że nikt — „nauarchy” także w tym wypadku nie wyłączając — nie będzie się sprzeciwiał jego woli? Ale w takim razie jaki sens miałby rozkaz, by wszcząć alarm? Przekonany o pełnej uległości, nie miałby powodu do obaw o los czołówki buntu, wystarczyłoby tylko rzec „Zbliżają się, bo ja tak chcę”.

„γ„ : Jeśli jednak się myślę — jakie są inne możliwości? Zasadniczo dwie: marynarze albo kłamią, albo nie. Jeśli nie kłamią — kto na nich napadł? Masageci? Chorazmijczycy? Jak ci czy tamci przedarli się poprzez posterunki nawodne na wysokości Tery? Może więc flota, owszem, i zbuntowała się, ale jak każe domyślać się Mankuras, bynajmniej nie w zмовie z Antymachem? W takim razie nakaz wszczęcia alarmu jakkolwiek inaczej, niż przedtem, ale też jest zrozumiały: Antymachos sam jest zaniepokojony. Ale znowuż jak w ramach takiego domysłu zmieścić jego przeświadczenie — mniejsza o to, szczere czy udane — że wywiadowcy kłamią?

„δ„ : Jeśli wywiadowcy kłamią, to czemu nie byłem w stanie nie tylko kłamstwa obnażyć i przygwoździć, ale choćby najmniejszą osiągnąć pewność, że to, co mówią, musi być kłamstwem? Doświadczenie moje podpowiada mi, że nie kłamią. Jeśli znów się myślę, tych sześciu to jeden z najznakomitszych zespołów aktorskich, jaki można sobie wyobrazić. Ale i najlepsze aktorstwo załamuje się pod torturami. Nic jednak sobie z tego, żem ich próbował torturami nastraszyć, nie robili. Dlaczego? Odpowiedź może być jedna: mojej groźby nie brali poważnie. Dla-

czego? Znow jedyną odpowiedzią musi być: ktoś potężny bardzo zapewnił ich, że torturowani nie będą. Muszą więc być z kimś bardzo potężnym w zмовie. I oto znow wracam do pierwotnego swego pomysłu: bunt już się zaczął i to w interesach Antymacha i w porozumieniu z nim.

„ε“ : Wywiadowcy w zмовie z Antymachem? Czemuż on to, co mówią, ma za kłamstwo?

„ζ“ : Jeśli jednak to kłamstwo, muszę wrócić do zagadnienia: jak cztery łodzie mogły zostać zniemacka a skutecznie zaskoczone przez dwie? Przychodzi mi teraz na myśl, że to mógł nie być skutek zatargu ostrego między dwiema gromadami marynarzy, ale wykonanie rozkazu. Albo zbrodnia, dokonana przy pomocy wielkiego przekupstwa. Komuś — temu nieznanemu, który przekupywał — zależeć mogło na usunięciu może jednej tylko osoby lub dwu. Inaczej jednak nie można było bezkarnie ich zabić, jak tylko śląc w ślad za nimi w niebyt świadków zbrodni. Czy też z nimi równocześnie. Ale w takim razie załogi dwu ocalałych łodzi są zbiorowo w całości winne udziału w zbrodni...

— Albo — powiedział Mankuras — rzeczywiście zbrodniarze musieli stanowić co najmniej większość, która pozostałych przekupiła. Lub też nastraszyła ich, iż też zostaną zatopieni. To nie jest nierozsądny domysł. Niestety, posiada jedną wadę: wciąż jeszcze nie tłumaczy, czemu król Margiany nakazał wszczęcie alarmu.

— Tłumaczy w ramach innego domysłu...

— Wiem, wiem... Antymachos zamyslił bunt, wciąż, postrzegam, trwasz przy tym podejrzeniu... Ale, o Heliodorze dostojny, nie wolno aż do tego stopnia dawać się opanowywać złudzeniu!

— Bunt nie grozi?

— Grozi. Jużem ci raz był to rzekł. Gdy dopłyniemy do Tery...

— Tłumaczy w ramach innego domysłu...

Siedzieli w tym samym pokoju, gdzie ukrył był Heliodor puszkę pod postumentem posążku, wyobrażającego dziecię-boga milczenia. Tak jak i bliźniaczo podobna sypialnia Dionei i Heliodora, pokój ten nie posiadał okien;



poprzez górny duży otwór jednak raz po raz padały na cały pokój rozbłyski, powodowane rzucanymi na wodę pociskami ognistymi. Paliły się też w pokoju lampy: jedna przed posążkiem Harpokratesa, inna tuż nad głową przeniesionego w kął popiersia Antymacha, dwie inne jeszcze na ścianie prostej, stanowiącej cięciwę łuku ściany przeciwległej — wreszcie jedna na półkolistym też stole, przy którym siedzieli naprzeciw siebie Heliodor i Mankuras. Światło lamp wystarczało do czytania, ale tylko przy silnych rozbłyskach z góry mogli wyraźnie widzieć nawzajem swe twarze, a i to najdosłowniej na oka mgnienie tylko. I właśnie wyjątkowo silny taki rozbłysk towarzyszył wołaniu Heliodora, że Tera oto — w postaci dwu zbuntowanych okrętów, topiących łodzie wywiadowcze, przynależne do „Zgody Narodów” — płynie naprzeciw nim. Zadowolony był bardzo z tego zestawienia efektów, świetlnego i słownego — zadowolenia tego wcale nie pomniejszała całkowita świadomość, iż zestawienie było właściwie dziełem przypadku; owszem, z dumą, nawet z radością przypominał sobie, jak jeszcze założyciel dynastii zwykł był mawiać: „Heliodor w lot chwyta i w lot też wykorzystuje urzędowo każde kichnięcie czy ziewnięcie bogini Przypadku”. Jeśli co tę radość pomniejszało, to krótkotrwałość silnego rozbłysku; Heliodor za krótko mógł się napawać wrażeniem, jakie słowa jego o idącej naprzeciw nim Terze odmalowały na twarzy, a szczególnie w spojrzeniu Inda. Wystarczająco przecież z wrażenia tego wzrokiem pochwycił i przekaz świadomości, iżby nadal miał prawo odczuwać dumę; oto — myślał — może to nawet i prawda, że Królowi Wielkiemu spodobało się zrobić go przelotnie podwładnym tego barbarzyńcy, niechże więc tak będzie: wraz z posiadaniem Dionei, wraz z miłością Dionei wraca oto cudownym sposobem jemu, Heliodorowi, młodość wraz z typowymi dla jego właśnie własnej młodości właściwościami; lata i lata był podwładnym, jako podwładny poddawał zwierzchników swej woli, a raczej sami się poddawali wyższości jego uzdolnień.

— Te dwa okręty — powiedział od łukowatej strony stołu Mankuras — w samej rzeczy zmieniają, widzę, plan działania, jaki wypełniając wolę Króla Wielkiego, nakreśliłem był sobie i tobie. Złe się stało, bardzo złe, ale tocząca się ze szczytu górskiego lawina często władna bywa

przerwać w najbardziej niewłaściwej chwili docierające już do oświecenia doskonałego rozmyślanie. Jakkolwiek więc bardzo tego nie chcę, muszę już teraz wtajemniczyć ciebie, Heliodorze, w to, o czym nie powinienś być się dowiedzieć przed kresem tej podróży. Ale zanim jeszcze to pożałowania godne odchylenie od jedynie rozsądnej drogi nastąpi, bądź łaskaw rzec mi: jak daleko postąpiłeś naprzód na tropie, wiodącym ku ustaleniu tożsamości osobnika, który mówi o sobie: Jam Spitamenes Sogdyjczyk?

— Ani kroku — odrzekł Heliodor tonem, tak samo nie dbałym a pewnym siebie, jakim przed dwudziestu dwoma laty uchylał sugestie ówczesnego swego zwierzchnika, ażeby doprowadził przed sąd znanych już sobie sprawców pierwszego pobicia pięknych chłopców, w których towarzystwie późniejszy król Margiany słuchał wykładów mistrza Menagenesa.

Nowy silny rozbłysk, któremu tym razem towarzyszył silny też a niedwuznaczny świst: „Zgoda Narodów” cisnęła już przed siebie z mechanicznych miotaczy nie tylko ogniste pociski, ale i setki kamieni. Spojrzenie jednak Mankurasa, w którym mieszały się ze skupionym a nieomylnie wiedzącym, ku czemu zdąża, namysłem, jak gdyby też wielki żal i wielka litość, trwało rozpoznawalne także i potem jeszcze jak rozbłysk zgasł. Poprzez górny otwór wdzierał się do półkolistego pokoju nowy dzień.

— Zaczyna się bitwa — mruknął Heliodor.

— A na pokładzie „Meandrii” — podobnie mruknięciem odparł Mankuras — choć inaczej zowiącej się — znów kobieta. Zresztą też inaczej i zowiąca się, i wyglądająca. Ale tak samo miła Heliodorowi, jak tamta, szpieg masagecki, którą w wyniku świetnego osiągnięcia przemyślności i gorliwości służbowej Heliodora wbito na pal, by zdobiła dziób czołowego okrętu greckiej floty.

Heliodor ukrył twarz w dłoniach. Duże palce oderwał od innych, wepchnął je głęboko sobie w uszy. Ale to było na nic: wyraźnie słyszał zupełnie poprawny sogdyjski masageckiej swej kochanki głos, jakim go żegnała, mówiąc: „Raduj się, nie będzie po tobie miał mnie żaden już nigdy mężczyzna. A że cię zdradzam z zaostrzonym dremnem, mój drogi, czy to moja wina?...”

„Twoja wina” — odpowiedział jej wówczas. Odpowiedział — jak mu się zdawało — z narażeniem życia bo przedarł się, wbrew wyraźnym zakazom Antymacha — na sam dziób „Meandrii”, poprzez tłum żołnierzy, by się nacznie przekonać, że stało się tak jak się spodziewał: że litościwe strzały swoich szybko położyły kres jej męce na palu. Ale nie stało się tak: Masageci, łucznicy niezrównani, niedwuznacznie dodatkowo karali tę, w której tak wielkie pokładali nadzieje, iż spowoduje zatonięcie szybkie „Meandrii” jeszcze przed początkiem bitwy. A zapewne nawet nie wiedzieli w pełni, jak dalece zasłużona to była kara; wielki swój zawód i zawodu tego skutek, wielkie dla siebie niebezpieczeństwo, przypisywali niewątpliwie jej niezaradności, niezręczności; choć może książęta — świadomi, jak bardzo na niej, właśnie na niej można było polegać — i domyślali się mgliście, że wbiło ją na pal, a więc ocaliło „Meandrię” coś innego, niż własna jej niezręczność lub niezaradność. Ale i oni nawet — ci, którzy tak w nią wierzyli — nie byłiby w stanie odgadnąć, że gdy raz jej się wyrwało w objęciach Heliodora „Cudownie z tobą”, wprawne ucho przyszłego Tajniaka nad Tajniakami pochwyciło w tym pół szepcie, pół westchnieniu drobną różnicę z zakresu słowotwórstwa, jedną z tych, co sprawiała, że choć pokrewny z sogdyjskim, masagecki był przecież językiem od tamtego odrębnym. Nastąpiło kilkudniowe śledztwo, które może gdyby nie było w dniu końcowym w obecności Antymacha prowadzone — inaczej by się skończyło, niż skazaniem kobiety-szpiega na pal. Zresztą, nawet Antymachos skłonny był do okazania skazanej tyle łaski, na ile mógł — jak mniemał — w chwili, gdy już wszczynana się bitwa, sobie pozwolić; ta, co chciała zatopić „Meandrię”, musiała zostać jak najsurowiej ukarana na oczach obu nadwodnych wojsk, ale mękę jej — spodziewał się — skrócą pierwsze strzały pobratymców.

Nie skróciły. Ale tym samym oszczędziły i Heliodora, gdy przedarł się na dziób okrętu w chwili, gdy ten skręcał ku lewej, by podpływając szybko do czołowej barki masageckiej prawym bokiem, zmiażdżyć jej lewy uderzeniem równoczesnym trzydziestu taranów. Żołnierz, przydzielony do pilnowania pala, by przez jakiś przypadek nieprzewidziany nie spadł z dziobu „Meandrii” do wody,

opowiadał, że nadziana zrazu krzyczała gestami do swoich: „Oszczędzajcie strzał”, ale szybko potem już jęła o te strzały błagać, najpierw skowytaniem, w jakim coraz to trudniej było rozpoznać człowieczeństwo — później zaś już tylko wyrzucaniem przed siebie rąk, wreszcie podrzutami nóg. Podrzutów tych wciąż jeszcze próbowała, choć wedle oprawcy, musiały to już być raczej odruchowe reakcje na coraz potężniejszy ból, niż kierowane przez świadomość sygnały; Heliodora, właśnie gdy dopiero stanął tuż za pałem, jeden z takich podrzutówomalże nie zwałił z nóg tak silnie został uderzony całą płaszczyzną stopy wprost w twarz. Nim poczuł toczącą się z dziąseł i warg swych krew, czuł przez ułamek chwili dwa palce między wargami. Nim się spostrzegł co się stało, zobaczył te palce — wszystkie pięć, nie tylko dwa, jak się szybko od jego twarzy oddalają, jego krwią czerwone, to kurczące się ku dołowi, to sztywniejące ku górze... Dziękował myślnie Masagetom, że przyjęli wyzwanie do bitwy; w przeciwnym bowiem razie wbita na pal byłaby twarzą odwrócona ku załodze greckiego okrętu, nade wszystko — jak mówił Antymachos — ku kryjącym się może wśród tej załogi innym jeszcze szpiegom masageckim. Obrócona ku swoim nie widziała, że Heliodor to tuż pod pałem stoi, ani więc też wiedzieć nie mogła, że silnym odrzutem nogi w tył jego tak silnie uderzyła... Zresztą — myślał — gdyby nawet i była ku niemu twarzą obrócona, na tym etapie meki może by świadomość jej już nie zdolna była odcyfrować sygnałów, słanych przez wzrok...

Nagle odczuł gwałtowną pokusę skoczenia do wody, odpłynięcia nieco od „Meandrii”, spojżenia skazanej w twarz. Nie wiedział jednak, czy to do skoku podniósł był ręce, uderzenie tym razem zwałilo go z nóg. A uderzył go tak tym razem żołnierz, pala pilnujący. Sam, zresztą, zaraz rzucił się dopomagać obalonemu przez siebie, by wstał. Przepraszał go kornymi słowami, w głosie jednak, co słowa te wypowiadał, brzmiała twarda stanowczość: „Chciałem ci tylko wytrącić sztylet z ręki, o panie; królewicz zaszczycił mnie osobistym ustnym nakazem, bym nikomu, a szczególnie tobie, o panie, nie dozwolił na skrócenie czasu trwania kary”.

Nim się przy pomocy żołnierza podniósł, otoczyli go tarczownicy i wprowadzili z pokładu do kasztelu. Strzały

masageckie sypały się już wcale gęsto. „Nie mogę narażać się na gniew ojca — powiedział wewnątrz kasztelu Antymachos — pozwalając, by dynastia przez głupie niedopatrzienie straciła taki skarb, jak ty, tajniaku. Jeśli zginiemy w tej bitwie, to nie inaczej jak ze mną razem”.

„Nie inaczej jak ze mną razem”, dosłownie to samo powiedziała była dzień przedtem kobieta masagecka, odpowiadając na jego oświadczenie, iż nie będzie miał dla niej litości, bo i czemuż miałby się litować nad tą, co na zimno gotowała się go utopić wraz z dwoma blisko tysiącami Greków na pokładzie „Meandrii”? Dodała do odpowiedzi, że go kocha, bo jeśli by nie kochała, nie byłaby się nigdy zdradziła; nigdy by nie rozluźniła swej czujności tak, aby wyrazić temu, jak cudownie jej jest z nim, dać w ojczywym swym języku. „Miłość jednak” — zakończyła — „nie chroni nas, ludzi — ni kochających ni kochanych — od śmierci; władna natomiast jest przedsmak śmierci zaprawić smakiem rozkoszy, dla zostających przy życiu nieosiągalny”.

Gdy brała w siebie pał, robiła to w sposób tak szczególny, że oprawcy — jak później zeznawali — omal że poszaleli z podniecenia zmysłów. „Powiedźcie Heliodorowi” — mówiła — „że tak bym nie drewno, ale jego żywe brała w siebie ciało w chwili nadejścia wspólnej śmierci”. Potem zaś zleciła, by mu powtórzono jej pożegnanie, kończące się wezwaniem, by jej nie brał za złe zdradzania go z drewnem zaostrzonym, bo czyż to jej jest wina?! Zlecenie to zostało mu powtórzone dosłownie. Właśnie powtórzone. Ale siedząc naprzeciw Mankurasa z zakrytą dłońmi twarzą, z dużymi palcami w uszach, wyraźnie słyszał Heliodor jej własny głos — ten sam, taki sam, jaki pamiętał najlepiej z szeptu „Cudownie z tobą”... I ten to właśnie głos, nie głos tamtego posłańca, przynosił mu z odległości dwudziestu dwu lat znów powtórzone pytanie: — czy ona temu że go z palem zdradza, jest winna? Ale po dwudziestu dwu latach ten głos o coś jeszcze poza tym zapytywał, o to, czy nadal tak, jak w czas tamtej wielkiej bitwy, władny jest Heliodor z pełnią przekonania odkrzyknąć dawno nie żyjącej: „Twoja to wina”?

— Nigdy nie dowiedziałem się — powiedział, odejmując ręce od twarzy i szukając oczyma oczu Mankurasa — jak i kiedy naprawdę umarła. Po bitwie okazało się, że

pal wraz z nadzianą znikł. I znikli też żołnierze z dziobu okrętu, poza tymi, co leżeli zabici.

— Musiał taran masagecki spaść na dziób i strącić do wody wszystko prawie, co tam się znajdowało.

— Ale kiedy? Na jakim etapie bitwy? Na początku czy dopiero przy końcu?

— Teraz to już nie jest ważne. A raczej: teraz nie to jest ważne, Heliodorze.

— Tylko to, że na tym samym pokładzie tuż przed bitwą znów jest kobieta, i to znów taka kobieta, która mnie kocha — nieprawdaż?

— O ile mnie dokładnie powiadomiono, nie wierzyłeś zapewnieniom tamtej, że cię kochała.

Heliodor podniósł się.

— Należałoby kazać — powiedział, ze zdumieniem stwierdzając, że ziewa — aby rozpostarto nad tą komnatą płachtę, zabezpieczającą od pocisków.

— W samej rzeczy — przytaknął Ind. — Ale czy sypialnia, gdzie w tej chwili przebywa Dioneja, nie posiada u góry dokładnie takiego samego otworu?

Heliodor w oka mgnieniu znalazł się przy drzwiach. Nim jednak zdążył je otworzyć, Mankuras powiedział:

— Nie masz dokąd się śpieszyć. Bitwa zaczęła się tylko w twojej wyobraźni, Heliodorze.

— Słyszałem świst kamieni, wyrzucanych przez miotacze.

— Słyszałeś też wyraźny głos kobiety, na pal wbitej dwadzieścia z górą lat temu. I to głos, wymawiający słowa, które wprost do ciebie nigdy nie zostały zwrócone. Siądź, Towarzyszu Króla Wielkiego, mamy czas, dużo czasu, porozmawiajmy. O tym na przykład, twierdzisz nadal czy już nie twierdzisz, że tamta twoja kochanka z własnej swej winy zdradziła ciebie z zaostrzonym dremnem.

— Ponieważ w myślach ludzkich czytać nie sposób, wszystko, co się teraz tu dzieje, to tylko mój sen — spokojnym, miarowym, wyraźnym głosem, jak gdyby oświadczenie urzędowe składał, powiedział Heliodor.

— Więc niechże ci się przyśni jeszcze coś, choć zawsze zdawało mi się, że śnią się zazwyczaj obrazy tylko, nie myśli. Ale niechże się stanie, jak chcesz. Uważaj więc: śni ci się, że masz dość Dionei i pragniesz jej śmierci.

ale nie masz odwagi nawet sam przed sobą do pragnienia tego się przyznać. Ten sen nazwijmy białym — barwa to zawsze coś z obrazu przecież, więc uprawdopodobnia twój domysł, iż to sen tylko. Ale śni ci się też połyskliwość olśniewająca, choć i ciemna zarazem, fioleto, już już wpadającego w purpurę. Czy jeśli wolisz, odwrotnie: purpury, przeobrażającej się w fiolet.

— Zawsze nienawidziłem Indyj.

— Jakże często, gdy się czegoś boimy bardzo, mówimy: tego czegoś nienawidzimy. Ale tym razem lęk twój nie jest uzasadniony, Heliodorze: ja, poza tobą samym, przed nikim się nie zdradzę, że Grekiem, który przemyśliwuje nad tym by wszcząć bunt godzący we władanie Eutydemidów nad sercem Azji, korzystając z ciężkiej choroby, a może i śmierci już Eutydemosa Młodszego, jest Heliodor, syn... To bardzo ciekawe! Jesteś jedynym Grekiem w służbie dynastii, którego imieniu nigdy nigdzie — w słowie pisanim czy ustnym, cudzym czy własnym — nie towarzyszy imię ojca. Kim był twój ojciec, Heliodorze?

— Zbrodniarzem.

— To dawno wiem. Ale tego dla mnie mało. Jeśli mężczy ci już twój sen, a po wyrazie oczu i drganiu ust poznaje, że mężczy okropnie, pomogę ci się obudzić. Ale pod warunkiem, pod takim kupieckim warunkiem, jak to u Greków: zysk za zysk. Czy twój ojciec był buntownikiem?

— Gorzej: zdrajcą. Tak, jak ty. Sprzedawczykiem.

— Rozmyśliłem się. Nie będę ci pomagał do budzenia się z rzekomego snu. Ani tłumaczył ci istoty twego snu prawdziwego. Ani nie jestem już ciekaw, jaką masz teraz odpowiedź dla whitej na pal. Ostrzegę cię jednak raz jeszcze: wiem, żeś zamyślił bunt. Dodam: bunt ten stłumiony zostanie w zarodku. A teraz w imieniu Króla Wielkiego nakazuję ci wyjść na taras i za pomocą zwyczajnych u was, Greków, sygnałów zapytać nadciągające okręty, z czym przybywają.

#### IV

„Z pokojem” — odpowiedział okręt, bliższy znacznie „Zgody Narodów” niż jego towarzysz, choć był mniejszy z dwu, a więc też i mniej niewątpliwie posiadając wiosłarzy, wolniejszy. Wyglądało na to, że tamten drugi używał mniejszego jako zasłony, nie będąc pewny przyjęcia, jakiego miałby doznać ze strony nadwodnego olbrzyma. Nie dziw, pociski ogniste, sypane przez „Zgodę Narodów” całą prawie noc, a z dala widzialne, nakazałyby nadmiar ostrożności najniewinniejszym. Nic zaś wcale jeszcze nie dowodziło, by na okrętach, co nadciągały przeciw prądowi rzeki, znajdować się mieli naprawdę najniewinniejsi. Wszelki sygnał może być podstępem, uczył Heliodora w jego latach dziecięcych ojciec. Poleciał sygnaliście wciągnąć na główny maszt chorągiewkę innej barwy, oznaczającą „Kim jesteście?...” Odpowiedzi nie było długo, tak długo, że Heliodor zaczął się zastanawiać, czy by nie należało jednak doradzić Antymachowi, by wydał rozkaz ataku. Aż wreszcie zatrzepotała odpowiedź dwubarwna, dość dziwna, bo zawierająca w sobie sprzeczność: oznajmiała poselstwo, ale zarazem i powrót. Czyje poselstwo? Czyj powrót? Tego, oczywiście, na wielką odległość nie sposób było nie tylko dowiedzieć się, ale nawet próbować się dowiedzieć: nie istniały sygnały barwami, za pomocą których można byłoby takie zadać pytania. Po namyśle Heliodor postanowił na własną odpowiedzialność dać tamtym, kimkolwiek byliby, znać za pomocą całego zestawienia barw, że mają spuścić na wodę łódź, której załoga



będzie mogła bezpiecznie wejść na pokład „Zgody Narodów”. Oczywiście, oznaczało to narazić życie kilkunastu osób, sobie podwładnych, wielkorzeczny bowiem zwyczaj wymagał w takich wypadkach wsparcia obietnicy bezpieczeństwa wysłaniem zakładników. Wyczucie jednak, co należy robić, i tym razem nie zawiodło Heliodora; król Margiany pochwalił jego samowolną decyzję i to wtedy, gdy nadpływające ku sobie z przeciwnych stron łodzie jeszcze się nie były znalazły na odległość strzału z łuku. Pochwała okazała się w pełni zasłużona, choć była taka jedna krótka chwila, gdy zdawać się mogło, że popełniony został błąd: oto gdy łodzie się mijały, z tarasu na pokładzie komnat królewskich można było zobaczyć, że wszyscy przybysze z dołu rzeki, którzy nie wiosłowali, mieli w ręku łuki, trzymane w sposób, że jeszcze mgnienie oka, a od cięciw oderwą się strzały.

W samej rzeczy oderwały się. Pomknęły — nie ku greckiej łodzi jednak — ku niebu. Było to typowe pozdrowienie przyjazne barbarzyńców północy. Z łodzi greckiej odpowiedziano na nie powitalnymi okrzykami. „To jednak są Masageci albo Chorazmijczycy — zawołał zdumiony Heliodor. Jak oni się przedarli poprzez posterunki pod Terą”.

— Zaraz się dowiemy — uśmiechnął się król Margiany.

Mylił się. Gdy łódź dobiła do burty „Zgody Narodów”, pierwsze słowa, jakie z niej padły w kierunku stłoczonego przy burcie tłumu marynarzy greckich były: „Czemu wasi nas przepuścili, nawet bez jednego okrzyknięcia?”

Zdumienie więc było obustronne. Heliodor, co prawda, skłonny był znowuż dopatrywać się podstępu: a nuż — wywodził — barbarzyńcy przerwali się przez granicę, zdobyli Terę, zatopili albo opanowali całą flotę? Ofiarowywał się natychmiast przystąpić do szczegółowego przesłuchiwania przybyłych w łodzi, którzy dali się poznać jako Chorazmijczycy, a z których dwu wcale biegle mówiło po grecku.

Trzeba było łącznego aż wysiłku siły perswazyjnej Mankurasa, Spitamenesa i kilku Towarzyszy z dowództwa okrętu, by ten jego nagły wybuch podejrzliwości i gorliwości służbowej pohamować. Chorazmijczycy powiadają — zwracali jego uwagę — że wiozą posła oraz jakiegoś Greka, który wraca skądś, z bardzo daleka; jedno i dru-

gie brzmi bardzo prawdopodobnie; ostatecznie w wyniku decyzji samego Heliodora ci z łodzi chorazmijskiej są gośćmi „Zgody Narodów”: należy się więc im przede wszystkim obfity stół, a jeśli zechcą, to i kąpiel bądź z męską, bądź z kobiecą obsługą. Dopiero gdy wypoczną można będzie podejść do nich z pytaniami. Zresztą — mówił Mankuras — najprostszą rzeczą byłoby zasygnalizować tamtym okrętom, by bezzwłocznie wysłały drugą łódź, a na niej tego wracającego z dalekich podróży Greka. Gdyby nawet miały się okazać straszną prawdą najgorsze podejrzenia Heliodora, Grek by tego przed swoimi nie zataił.

Heliodor odparł opryskliwie, że właśnie w tej chwili Chorazmijczycy biorą kąpiel, i szykuje się już dla nich poczęstunek, inaczej by nie był w ogóle właśnie teraz tej narady wszczynał. Grek na pokładzie barbarzyńskiego okrętu może być wymysłem, toż samo jakiś poseł. Cel tego wymysłu? Bardzo prosty: przespłegi na pokładzie „Zgody Narodów”, może nawet zatopienie jej w drodze ofiarnego poświęcenia się ze strony tych, którzy łodzią przybyli. Może właśnie w tej chwili, zamiast kąpać się, podkładają ogień.

— Nie są obsługiwani przy kąpeli? — zapytał ktoś.

— Przez niewolników. A znam takich, którzy zgodzą się sami dać się zabić, byle by razem z nimi zginęli ich panowie.

— Czy nie należało pomyśleć o tym nieco wcześniej? — na wpół żartem zapytał ktoś inny.

Heliodor potarł ręką czoło, potem osłonił nią rozchyłone przez ziewnięcie usta. Wydawało mu się, że nigdy w życiu nie chciało mu się spać tak bardzo, jak w tej chwili.

Wszedł Antymachos. Był świeżo wykąpany, ogolony, przebrany, na ustach jego igrał ledwie dostrzegalny, niewątpliwie przecież kpiący uśmiech. „Tajniak nad Tajniakami znów ma poważne powody do niepokoju?” — zapytał, a raczej stwierdził. I nie czekając na niczyją odpowiedź, wyraźnie zresztą ani żadnej odpowiedzi nie ciekaw, ani w ogóle przebiegu dotychczasowego narady, wydał rozkaz: „Wysłać drugą łódź. Niech zaraz wraca z posłem i z greckim podróżnikiem”.

— Dla kogo jest ten rozkaz? Czy dla dowódcy okrętu?

Heliodor nie wierzył własnym uszom: Spitamenes, do którego przez ostatnich kilka dni tyle żywił żalu i nieufności, przemawiał do Antymacha tonem nie tylko i uniżoności i przyjaźni nawet wyzbytym, ale wręcz karzącym i wyzywającym zarazem. I tak samo, jak chwilę temu Antymachos, nie czekając na odpowiedź, jak gdyby też wcale nie był jej ciekaw, dodał:

— Przeze mnie przemawia teraz Król Wielki Eutydemida, Demetrios Niezwyciężony. Słuchajcie wszyscy z wielką uwagą. Nie podoba mi się ton, jakim przemawia brat mój młodszy, Antymachos, do wiernego sługi naszego, Heliodora. Nie podoba mi się także lekceważenie rad i ostrzeżeń tegoż sługi naszego, Heliodora. Jestem wprawdzie też za natychmiastowym sprowadzeniem owego niby podróżnika greckiego na pokład „Zgody Narodów”, pod warunkiem jednak, że zanim wyciągniemy jakikolwiek wniosek z tego, co miałyby nam do powiedzenia o sytuacji na pograniczu, musimy zdobyć całkowitą pewność, że możemy mu ufać. Heliodorze, nakazuję ci szczegółowe wybadanie tego osobnika, podającego się za Greka, który wraca między swoich.

Wszyscy, nie wyłączając Heliodora, zdawali się być w posągi przemienieni, z wyjątkiem Antymacha, który wciąż się uśmiechając, chociaż i innym już, niż uprzednio, uśmiechem, powiedział:

— Zawsze mówiłem bratu, że nieślubne związki wielkich władców brzemiennie być mogą także i w bardzo kłopotliwe niespodzianki dla członków dynastii. Ale wierzaj mi, Agatoklesie, że gdyby Spitamenes stał tuż obok ciebie, bez trudu i bez omyłki byłbym was rozróżnił. Czy jestem jeszcze i nadal królem Margiany?

— Jesteś stryju. Ale też i nadal tylko Margiany królem. Margiany z Arią i Tapurią, rzecz jasna. Mylisz się jednak, sądząc, że tak łatwo rozróżniłbyś mnie i Spitamenesa. Ja sam, gdy swego sogdyjskiego brata przyrodniego widzę tuż obok Agatoklei, odróżniam ich tylko dzięki strojom. A wiesz, jak bardzo ja i siostra jesteśmy do siebie podobni.

— Wiem. I nawet podejrzewam, że ty, który teraz do mnie przemawiasz, wcale nie jesteś Agatoklesem, tylko Agatokleją.

— O! co do tego bardzo łatwo mógłbym cię przekonać... — zaśmiał się najmłodszy syn Demetriosa Euty-midy, ogarniając przyjaźnie Heliodora ramieniem.

— A czy wiecie — dodał — kim ma być ów Grek, do swoich wracający? Nigdybyście nie zgadli! Oto synem Orestesa, rzeźbiarza, imieniem Leptynes.

— Syn Orestesa dawno nie żyje! — zawołał Heliodor.

— I nawet nie wie o tym sam? To bardzo ciekawe! — rzekł lekko wydymając cienką dolną wargę Agatokles. — Myślę, Heliodorze, że ojcu memu przypadłaby do smaku rada, jakiej ci zaraz udzielę. Oto abyśmy wszyscy niepo-trzebnie nie tracili bezcennego zaiste czasu, zanim zaczniesz owemu młodzieniaszkowi po swojemu wytrząsać wnętrzności duszy, ostrzeż go przyjaźnie, że syn Orestesa dawno nie żyje.

— Rzekłeś, o panie.

— Godzi się, bym to raczej ja do ciebie mówił: o pa-nie — z prostotą odpowiedział Heliodorowi Agatokles.

Antymachos wciąż się uśmiechał, a uśmiech ten czynił go niezmiernie podobnym do siebie takiego, jakim go na długie, długie lata utrwalił Orestes w marmurze, a na wieki i wieki i wieki w srebrze i bronzie monet.

CZĘŚĆ TRZECIA



## I

— To nie jest prawda — powiedział Leptynes.

Heliodor przyglądał mu się z zainteresowaniem, które z trudem tylko dawało się utrzymać w ramach czysto zawodowej dociekliwości. Uwagę każdego przyciągnąłby strój badanego; w zasadzie podobny do sogdyjskiego, uderzał odmiennością szczegółów, takich jak obszerny na wpół stojący kołnierz z białych, niewątpliwie sztucznie usztywnionych koronek — długość luźnej bluzy jak również szerokość spodni, które nie były wpuszczone w wysokie buty, ale spadały swobodnie na płytke obuwie o wysokiej, płaskiej podeszwie. Obuwie to zdawało się być, poza podeszwą, sporządzone tak samo z jedwabiu, jak i ubranie. Różnica była tylko w gatunku, albo polegała może na tym, iż materiał, stopy okrywający, elastyczny, ale bynajmniej nie cienki ani obcisły, mógł się składać z kilku warstw jedwabiu, złączonych ze sobą przy pomocy lśniącego haftu, który na zewnątrz układał się w żywe, choć dyskretne zarazem ozdoby, inne ponad palcami, inne wokół pięty.

Uderzało też w stroju rzeczywistego, domniemanego czy rzekomego najpewniej Greka zestawienie barw: białość kołnierza wręcz srebrzyście połyskiwała ponad ciemną raczej szafirowością bluzy, ale nad piersią zwolna przechodziła w bladą różowość szaty spodniej, odciętej od szafirowych też nogawic szerokim pasem, soczyście czerwonym, a widzialnym między połami zwierzchniej bluzy tylko jako jaskrawy kwadrat, przecięty ukośnie doskonale

białym nieomalże, a przecież niewątpliwie metalowym łańcuchem. Błado różowy też jedwab okrywał ciało w miejscu, gdzie się kończyły spodnie, a nie była jeszcze się zaczęła nieporównanie ciemniejsza niż w pasie, wiśniowa właściwie, czerwień obuwia. Wszystkie zaś materiały zdawały się być najwyższej jakości; masageccy książęta nawet, przy najbardziej uroczystych okazjach, nie mogliby się popisać takim przepychem strojów, które to stwierdzenie pociągnęło za sobą w skupionej, jak już dawno nie była, myśli Heliodora, następujący bieg rozumowania: „Jeśli by barbarzyńcy w samej rzeczy przerwali granicę, widząc taki przepych strojów na Greku, byłiby go bez wahania zabili, albo przynajmniej obdarli do naga; skoro zaś tego nie zrobili, albo na granicy jednak nadal panuje spokój, chłopak zaś musiał zapłacić niesamowicie wysokie cło, albo odwrotnie: granica jest przerwana, Tera zdobyta, flota obezwładniona, a on tu dlatego znajduje się tak wystrojony, bym właśnie myślał to, co chwilę temu pomyślałem: że jeszcze jednak trwa pokój”.

W wyniku takiego rozumowania rzeczą najoczywistszą do zrobienia natychmiast byłoby zapytać: „Jak wysokie cło zapłaciłeś?” Odpowiedź bez względu na to, jaka by była, wielkie by otworzyła drogi działania dla badawczości i domyślności Heliodora; doświadczenie pouczyło go, że śledztwo najlepiej jest zaczynać od pytań na pozór najbardziej niewinnych; na dobre usypiają czujność przesłuchiwanego, dają mu złudzenie bezpieczeństwa, a przynajmniej rozpraszają jego uwagę. Toteż gdyby nie życzenie wyraźne królewicza Agatoklesa, Heliodor na znacznie później byłby przełożył zadanie ciosu, najsilniej uderzającego w domniemaną tożsamość Leptynesa. Cios taki bowiem jeśli trafia w słabego przeciwnika, przeistacza go natychmiast we własnej świadomości w skazańca, któremu jedno już tylko pozostaje: po zdemaskowaniu aż do szybkiej śmierci milczeć; jeśli zaś w silnego — to wywołuje opór przemyślności, a więc i pomysłowości, silniejszy jeszcze niż uprzednio. Gdy wbitej potem na pal kochance swej był powiedział, że zastąpiła w chwili uniesienia miłosnego słowo sogdyjskie masageckim, natychmiast bez zmruczenia powiek odparła: „Pierwszym moim kochankiem był masagecki niewolnik”.

Leptynesa, skoro cios równie szybko i również bez



zmruczenia powiek, odparł oświadczeniem, że nie jest to prawda, jakoby syn Orestesa dawno nie żył, skłonny był już Heliodor uznać także za przeciwnika silnego raczej. Był to wyraźnie dobry aktor, wręcz wytrawny, mimo młodego wieku. Chyba że zaprzeczał w dobrej wierze, ale to się wydawało Heliodorowi wręcz niepodobieństwem: Leptynes to imię niezmiernie rzadkie — jeszcze zaś radsze staje się w zestawieniu z imieniem Orestesa i to Orestesa rzeźbiarza, Orestesa, syna Orestesa; przyjęcie na się takiego imienia i w takich zestawieniach nie mogło dokonać się inaczej niż w wyniku decyzji dokładnie przemyślanej a poprzedzonej dokładnymi też dochodzeniami. Ktokolwiek zalecił temu młodzikowi podawanie się za Leptynesa, musiał nie tylko wiedzieć, że ten życie zakończył, ale nadto że zakończył je w okolicznościach, pozwalających na snucie domysłów, że zaszła pomyłka, a w rzeczywistości syn rzeźbiarza Orestesa ocalał.

— Zaszła tu jakaś pomyłka — dodał do stanowczego swego zaprzeczenia ubrany z dziwacznym przepychem młodzieniec. — Straszliwa zaiste pomyłka!

Heliodor z trudem się pohamował, by nie potrząsnąć głową z uznaniem — zarówno dla przeciwnika, jak i dla siebie. Głos Leptynesa rozbrzmiewał rozdrażnieniem, prawie już oburzeniem, ale zarazem już też i niepokojem, takim, jaki przystoi komuś, kto niespodzianie zaskoczony zostanie oskarżeniem, iż się podaje za kogoś, kim nie jest. Niepokój taki odczuwać muszą najbardziej niewinnie oskarżeni; że go udać tak doskonale zdoła winny, dowód to bardzo wysokich zdolności aktorskich. Chyba że zupełnie się nie liczył z możliwością zdemaskowania, wówczas i u winnego to byłby szczery zupełnie niepokój. Ale czy miałby dane bądź rzekomy Leptynes sam, bądź jego mocodawca na to, by oczekiwać, że zdemaskowanie okaże się niemożliwe? Heliodor nagle uczuł, że wcale już mu bez trudu przychodzi hamowanie się, by nie potrząsał głową z uznaniem — przynajmniej z uznaniem dla siebie; bo oto — zapytał nagle siebie z wcale nie wymagającym zdolności aktorskich niepokojem — cóż on właściwie wie o okolicznościach śmierci syna rzeźbiarza Orestesa?

Pospiesznie obrzucił całą postać chłopca uważnym bardzo spojrzeniem — znów najdłużej zatrzymał to swe spojrzenie na zarysie twarzy, oczach, włosach. I znowuż do

tego samego doszedł wniosku, co uprzednio, wówczas, gdy chwilę temu pierwszy raz rzucił był nań okiem: to mógłby być Grek — mógłby być tak, jak rzadko który inno-plemieniec — a jednak to nie jest Grek.

— Leptynes nie żyje — powtórzył, nie odrywając spoj-  
rzenia od oczu chłopca.

W oczach tych zaiskrzyły się łzy. „Czyżby już się zała-  
mywał?” — zdumiał się Heliodor.

Łzy też musiały dławić i gardło chłopca, jak poznać się dawało z tonu, jakim zapytał: „Jeśli z taką uporczy-  
wością, a z niezrozumiałych zupełnie dla mnie powodów,  
koniecznie chcesz mnie, mężu dostojny, mieć za zmarłego,  
czy nie byłbyś łaskaw powiedzieć mi, w jakich — wedle  
ciebie — okolicznościach, gdzie i kiedy miała moja rzeko-  
ma śmierć nastąpić?”

— Ani mi to w głowie! — uśmiechnął się Heliodor.  
omal że przyjaźnie. — Jest obowiązkiem mego urzędu wy-  
badywać przybyszów spoza granicy; jeśli z ich zeznań nie  
jestem zadowolony, ich to rzecz przekonać mnie, że nie-  
zadowolenie moje oparte jest na pomyłce.

— A ja obrywałem cięgi od Tocharów — z goryczą  
zawołał Leptynes — mówiąc, że nie istnieje pod plane-  
tami prawo, bardziej wspaniałomyślne od greckiego!  
U Tocharów bowiem rzeczą sędziego jest dowieść pod-  
sądnemu winy, nie odwrotnie.

— Któż to są ci Tocharowie?

— Wielkie zjednoczenie szczepów, koczujących na  
wschód od Isedonu.

„Prawda” — przemknęło przez myśl Heliodorowi: „To  
samo mówił w zeznaniach swych przed laty Teofil”.

I nagle ze zdumieniem uprzytomnił sobie, że aż do tej  
chwili przez kilka dni nie myślał wcale o tym, iż Teofil  
znajduje się na pokładzie „Zgody Narodów”, a niezmiernie  
pozostaje niewidzialny.

— Jak się między tych Tocharów dostałeś? — zapytał  
Leptynesa.

Chłopcu w oka mgnieniu rozpromieniła się twarz. Wła-  
ściwie — zaczął mówić bardzo szybko — dopiero ojcu  
chciał opowiedzieć o wszystkich przygodach, jakie go  
w czasie wędrówek po odejściu z domu spotykały, ale też  
nigdy nie przypuszczał, że ktoś, poza ojcem — a przy  
tym urzędowo i wyraźnie nieufnie — będzie go o to py-

tał. Jeśli więc dostojny mąż naprawdę jest przygod tyc  
ciekaw, to on z przyjemnością...

— Jak twój ojciec wygląda?

Opisał Orestesa bezbłędnie, o tyle przynajmniej, o ile  
sam Heliodor rysy i postać znakomitego rzeźbiarza sobie  
przypominał. A nie było to nazbyt wyraziste przypomnie-  
nie; Heliodor z pewnym zdziwieniem stwierdził, że chyba  
ze trzy lata już Orestesa na oczy nie widział.

— Kim była twoja matka?

Chłopiec znów już bez pośpiechu, a bardzo spokojnie,  
bardzo wyraźnie powiedział:

— Córką jednego z osadników wojskowych, przenie-  
sionych rozkazem Antiocha Seleukidy z Babilonii do  
Lidii.

Heliodor i o takiej też żonie Orestesa coś kiedyś słyszał.  
Dawno i mało i mgliście, ale słyszał niewątpliwie.

— Do Lidii? Lidia jest wcale wielka.

Chłopcu jak gdyby zadrżał trochę głos, gdy odparł, że  
nie pamięta, nie wie, matka dawno go odumarała, małemu  
zaś wiele o swych własnych latach dziecięcych nie opo-  
wiadała. Tyle mu tylko wiadomo, że rodzice jego pobrali  
się w wielkim mieście Sardach, i tam też on sam się uro-  
dził i spędził swe najwcześniejsze lata...

— Pamiętasz Sardy?

— A jakże! Mieszkaliśmy między teatrem a świątynią  
Słońca u stóp cytadeli. Na stokach skały, ku cytadeli wio-  
dących, raz omal nogi sobie nie złamałem. I uwierzysz,  
najdostojniejszy — zawołał z dziecinnym już zupełnie za-  
pałem — poślizgnąłem się i upadłem na tym samym po-  
dobno miejscu, gdzie czyhała ongiś zasadzka na króla sa-  
mozwańczego Achajosa! Ale ty, o panie — dodał z wy-  
rażnym zniechęceniem — nie możesz znać dziejów miast  
tak dalekich... Wam tu w Baktrii nic zapewne nie mówi  
nawet samo imię Achajosa. Ani chyba nawet i Bolisa  
Kretyńczyka, który go podstępem — właśnie przy pomocy  
tej zasadzki — wydał w ręce Antiocha... Ale dla nas,  
dzieci sardyjskich, każdy kamień na tamym stoku...

— Bolis był w zasadzce? — ledwie wydobył z siebie  
Heliodor, czując, że nie może już wprost złapać tchu.

— Znów podstępne pytanie, sędzio surowszy niż tocha-  
ryjscy?! — promieniejąc ponownie zawołał Leptynes, ale  
zaraz chmurząc się i znów mówiąc ze zniechęceniem,

wprost wzgardliwie: — Nie, nie... tym razem to tylko tu-  
tejsza niewiedza o ważnych sprawach świata naprawdę  
greckiego... Bolis zstępował ze szczytu cytadeli razem  
z Achajosem rzekomo jako jego przyjaciel i wybawca, ale  
naprawdę to był już zaprzedał swą przyjaźń potajemnie  
Antiochowi...

Heliodor klasnął w ręce, kazał przynieść wody. Pił  
dużo, długo, a wciąż mu było mało, wciąż nie mijało uczu-  
cie przerażającej duszności.

— Rzekłeś: niewiedza o ważnych sprawach świata  
greckiego — próbował mówić, a zęby mu szczękały o brzeg  
czary. — Sardy są w Grecji?

— Teraz to już naprawdę podstęp — zawołał Lepty-  
nes triumfująco a najzupełniej trafnie. — Sardy są w Azji,  
w tej jej zachodniej części, którą zwiemy Azją Małą. Aż  
do wyprawy Aleksandra, syna Filipowego, należały do  
królestwa perskiego Achemenidów, przez Aleksandra zdo-  
byte, przechodziły z rąk do rąk, aż się znalazły w związku  
pozornie przymierza, a w istocie zależności z pierwszym  
Seleukiem i jego potomkami. „Odkąd zaś Rzymianie roz-  
bili Antiocha, tego samego, któremu Bolis wydał Acha-  
josa...

„W samej rzeczy, mówiono coś o tym — przemknęło  
przez myśl Heliodorowi — że Rzymianie mieli rozbić An-  
tiocha, ale nigdy w to nie wierzyłem. Ten jednak samo-  
zwańczy Leptynes nie mówi po grecku aż tak dobrze, jak  
mi się zdawało”.

— Słucham uważnie — powiedział głośno — Rzymia-  
nie rozbili Antiocha, takeś rzekł?

— Pod Magnezją. Ale nie tą, skąd tutejszy ród kró-  
lewski się wywodzi, tylko pod inną — nad Sypilem. A ta  
nad Meandrem leży, prawda? I stąd ten okręt nazywał się  
dawniej „Meandrią” — dobrze mówię?

— Bardzo dobrze, jak na samozwańca i szpiega! —  
zagrzemiał Heliodor. — Chłopaczku, chcesz się znaleźć na  
torturach?

Drzwi się otworzyły, stanął w nich Mankuras.

— Chłopak ten nie będzie poddany żadnym torturom  
— powiedział.

— A to kto taki? — wyrwało się Leptynesowi. Musiał  
być zupełnie szczerze tak bardzo zdumiony, że wrażenie,

jakie wyrzucić na nim powinna była groźba użycia tortur, wcale się nie dawało odczuć w jego głosie.

— Jestem urzędnikiem bezpieczeństwa w służbie Króla Wielkiego, Demetriosa Eutydemidy.

— Sługą tego oto? — Leptynes wskazał palcem na Heliodora.

— Jego współpracownikiem.

Chłopiec zerwał się z krzesła. Łzy mu obficie lały się po twarzy. — Chcę do ojca! — zawołał — zaprowadźcie mnie do ojca. Słyszycie? Za co męczycie mnie? Co wam zrobiłem? Kim jesteście? Gdzie jestem? W jakim królestwie? Kto tu rządzi, Grecy czy nie Grecy? Kim ty jesteś?

— Indem.

— I współpracownikiem jesteś Greka?

— Z woli Króla Wielkiego, co najmniej tak dobrego i tak czystej krwi Greka, jak ty, chłopcze.

— Czy to sen, to wszystko?

— Mankurasie — powiedział Heliodor, zupełnie już panując w ogóle nad sobą, a nad swym głosem szczególnie dobrze: — Prowadzę tu dochodzenia na zlecenie osobiste syna Króla Wielkiego. Zechciej pamiętać, co zapowiedział Agatokles królewicz: nikomu nie wolno przeszkadzać mi w tym śledztwie.

— Ani mi w głowie przeszkadzać ci, Heliodorze. Upominam cię tylko: żadnych tortur. Takie jest niedwuznaczne życzenie obu Eutydemidów, znajdujących się na pokładzie „Zgody Narodów”. Słyszałem całą waszą rozmowę...

— Podśluchiwałaś za drzwiami?

— Za drzwiami? Nie. Przez rurę.

— Prowadzi do tego pokoju?

— Tak, ale śledztwo więcej tu nie będzie prowadzone, tylko w komnacie sąsiedniej, bo tamta bardziej przystoi komuś, kto mówi o sobie: — Jam syn Orestesa samego...

— I to jest rozkaz...

— ...znowuż łączny obydwu Eutydemidów. Jeśli nie wierzysz mi, pójdź, przekonaj się sam...

— A chłopiec tymczasem?

— Do rzeki nie skoczy, zapewniam cię. Zresztą zostaną tu, by go pilnować.

— Nie pozwalam mieszać się w moje śledztwo.

— Ja też i nie będę się mieszał. W czasie twej nieobecności Leptynes mnie, barbarzyńcy, czarnemu Indowi, opowie treść jakiejś pieśni z Iliady czy Odysei. Albo jeszcze lepiej: jeśli będzie to umiał, wyrecytuje mi dłuższy ustęp z którejś pieśni na pamięć. Na przykład o wyczynach Diomedesa Tydydy w pieśni...

— W której pieśni? — groźnie zapytał Heliodor.

— W piątej, też pytanie! — wręcz się oburzył chłopiec.

— I potrafisz to wyrecytować? — łagodnie zapytał Ind.

Chłopak wzruszył ramionami. — Mogłem recytować skośnookim, którym na tocharyjski zaraz trzeba było tłumaczyć, mogę i tobie...

— ...któremu tłumaczyć nie trzeba. Ale Tocharowie nie są skośnoocy, Leptynesie.

Heliodor, który już był w drzwiach, gwałtownie się cofnął, odwrócił.

— Ani skośno, ani czarnoocy, to jasne — znów rozdrażnienie, z pogardą przemieszane tym razem, brzmiało w głosie chłopca. — Oczy mają niebieskie, takie dokładnie, jak Keltowie w Galacji na południu Azji Mniejszej... Ale ze skośnooką królową nie mogłem mówić ani w jej języku, ani jej męża, że zaś znała tocharyjski...

— ...a i ty go znałeś...

— Raczej powiedz: poznałem. Łatwo to bardzo przychodzi, tak podobny jest do sogdyjskiego...

— Jak masagetki — wtrącił Heliodor.

— Prawie. Ale wśród Masagetów byłem kilkanaście dni tylko, w drodze powrotnej; rozumieli mnie jednak.

— A wśród Tocharów?

— Pół roku. Dwa zaś lata wśród Hunów.

— Funów? We Frynianie?

— Hunów. Daleko od Fryniany.

— Jakiś rzekł? Powtórz.

— Hunowie. Ich to właśnie król czy król królów miał skośnooką żonę, i tej...

— ...recytowałeś, tłumacząc zaraz na tocharyjski, ustępy z Iliady. Rozumiem.

— Ja zaś nic nie rozumiem — znów już grzmiał Heliodor — ale może tysiącokrotnie gorzej będzie jeszcze, gdy i ja też zacznę rozumieć.

— Gorzej, dla kogo? — zapytał Mankuras. Ale żadnej już nie dostał odpowiedzi.

## II

Heliodor z daleka zobaczył i rozpoznał Agatoklesa. Nie wierzył zrazu własnym oczom: królewicz rozmawiał z Dioneją. We mgle zapadającego znów zmierzchu wydawali się parą kochanków lub rodzeństwem — tak blisko siebie stali — nazbyt blisko, jak na pojęcia i wyczucie Heliodora. Oczywiście, czuł się zaszczycony także, przede wszystkim jednak zakłopotany; zbyt swobodne obcowanie z mężatkami gorszyło go, jako obyczaj barbarzyński; co uchodzi Masagetom, Sogdyjczykom, Keltom, Rzymianom — myślał — nie przystoi Grekowi, choćby i królewiczowi, szczególnie że i jedyny mogący się z Grekami jako tako równać kulturą naród, Chaldejczycy, równie potępiają ten objaw nadmiernej swobody obyczajów.

Niebawem przecież miało się okazać, że dobrze by jednak zrobił, gdyby zgorzenie swe zachował na późniejszą nieco chwilę. Skoro zaś je roztrwonil niebacznie zawczasu, już tylko zdumieniem bezgranicznym mógł reagować na wołanie, jakim nadchodzącego z daleka jeszcze powitał rzekomy Agatokles:

— Podobam ci się w tym stroju?

Podobała się. Bardzo. Dopiero teraz naprawdę odkrywał, jaka jest zgrabna, ale to chłopięco wprost zgrabna. Oczywiście, w dużej mierze — domyślał się — musiało to być złudzenie, powodowane bufiastością spodni ponad kolanami i rękawów nad łokciami, kobieca bowiem obfitość ramion, bioder, ud stawała się pod tą bufiastością zupełnie dla oka nieuchwytna. A że ponadto i włosy kry-

ły się częściowo pod kołnierzem, podobnym bardzo do tego, jaki zdobił rzekomego Leptynesa, a częściowo pod stożkowatym kołpakiem, chłopięcość nagle uwidoczniła Dionei natychmiast zmaleje znacznie, niech się tylko znów przebierze w zwykłe swe szaty.

— Postanowiłem — powiedział ze śmiechem prawdziwy Agatokles, w szaty Dionei przebrany, — cały ów strój, dar przyjaźni od jakiegoś dalekiego władcy Tocharów, podarować Agatoklei, z którą się często tak w przebieranie zabawiamy. Chyba nie weźmiesz tego ani jej, ani mnie też za złe, stary przyjacielu rodziny, że pozwoliłem sobie prosić uroczą twą małżonkę o tę uprzejmość? Chciałem dokonać próby, jak też będzie to na siostrze mej wyglądało. Będzie wspaniale — widzę — choć może i nie aż tak wspaniale, jak w tej chwili wygląda.

Stary przyjacielu! A przedtem: stary wierny sługo! Wieczór późno-październikowy zapadał dość szybko, więc Heliodor mógł się dowoli wyżywać w grymasach niezadowolonia. Zresztą, aby grymasy te uczynić pewniej jeszcze sprawą, jemu samemu tylko znaną, zaczął z zapałem mówić, iż za wielki zaszczyt tylko i dla siebie i dla żony poczytuje...

— Zaszczyt jak zaszczyt — przerwał, wciąż się śmiejąc, najmłodszy z wnuków męskich założyciela dynastii — ale przyjemność wielka, to pewne... Mój drogi — dodał, kładąc na ramieniu Heliodora rękę: — w Indiach z nami nie byłeś, ale masz tu wciąż na oczach to straszidło, Mankurasa... Przyznaj więc: gdy się pozna kraj, gdzie mężczyźni chodzą w szatach, których niesposób od bab-skich odróżnić, logiczna to tęsknota: przebrać wszystkie nasze kobiety w strój męski?!

— W barbarzyński strój?

— Barbarzyński, barbarzyński! Jak my, Grecy, lubimy szafować tym słowem! Dla mnie — barbarzyńskie jest to co złe, głupie, brzydkie. Indowie są dobrzy, mądrzy i brzydcy; Sogdyjczycy piękni, głupi i źli; Baktrowie — równie źli ale i równie piękni, przy tym jednak nie głupi; Frynowie — piękni, dobrzy, ale znowuż głupi; o skoń-nokich Kinach ze wschodu dalekiego słyszałem, że mądrzy są, źli i brzydcy; o Rzymianach z dalekiego zachodu — to samo. My zaś o sobie wiecznie powtarzamy: piękniśmy, i mądrzy, i dobrzy; więc wszyscy inni to dla nas barba-



rzyńcy, ale, mój stary, wierzaj — powtarzamy to, ale sami dawno już sobie — przynajmniej my tutaj, w sercu Azji nie wierzymy... Jesteśmy gorsi od Frynów, głupszy od Indów, brzydsi od Irańczyków, przynajmniej tutejszych Irańczyków, na wschód od wielkiej pustyni... Ale znowuż: od tych samych Irańczyków mało co lepsi; od Frynów mało co mądrzejsi; od Indów mało co piękniejsi... Powiedziałem o Mankurasi: straszydło. To samo myśli o mnie mój brat przyrodni, Spitamenes, ów prawdziwy. Nigdy się po grecku nie nosi — zauważyłeś? Powiada, że Magowie mu zakazują — łże! brzydzi się greckim strojem, i słusznie...

„A jakiś mały, nie tyle groźny, co huczny, bunt Greków przydałby się tym Eutydemidom”, przemknęło nagle Heliodorowi przez myśl.

— Więc się i ty, panie królewiczu, brzydzisz greckim strojem?

— Tak, jak swoim karkiem. Ale i kark mój, a raczej nasz — po dziadku — i strój nasz. Kark rodowy, strój narodowy.

— Trudno się w inny kark przystroić, nawet dla zabawy choćby tylko.

— Właśnie. Toż samo jednak ze strojem. Dokładnie to samo.

Na tarasie zaczęto zapalać latarnie. Duży krąg żółtego światła padł na wysuniętą w stronę męża, prawą nogę Dionei. Heliodor uczył nagle niezrozumiałą, a przecież gwałtowną potrzebę dokładnego odtworzenia sobie w pamięci kształtu jej stopy, takiego, jaki przecież dobrze z dawna powinien był znać — szczególnie kształtu wszystkich z kolei palców, bo właśnie ich ledwo domyślać się można było pod okryciem zgrabnego, a przecież jakoś niesamowicie obcego, więc i dziwnego, ba, omalże niepokojącego tocharyjskiego obuwia.

— Ci Tocharowie muszą mieć jakieś bardzo niekształtne ciała z przyrodzenia, stąd i taki strój — powiedział.

— Bardzo to być może, ale naszym kobietom wyraźnie w tym stroju ładnie.

— Kobietom z rodu Eutydemidów, o panie?

— Dziwaczajesz, stary. Masz mi coś do powiedzenia w sprawie Leptynesa?

— Jeśli pozwolisz, o panie, małżonce mojej oddalić się, by się przebrała...

— A i mnie byś doradzał przebranie się ponowne — nieprawdaż? Ale wyobraź sobie, że do Mankurasa mówisz...

Dioneja już się szybko oddalała, a w chodzie wyglądała jeszcze zgrabniej. Wiatr z rzeki wprawiał w ruch krótką opończę, spadającą na plecy od pół-stojącego kołnierza i na cieniach z latarni wyglądała chwilami jak gdyby skrzydlata. Na chwilę rozplynęła się zupełnie w mroku, potem jednak znów stała się widzialna: otwierała drzwi w prawej wieży nadbramnej kasztelu.

— Na tę noc przybijemy do brzegu — powiedział Agatokles — żołnierze będą wznosić obóz warowny, wioślarze niech wypoczną na bezruchu ziemi.

Heliodor drgnął. Więc jednak obawy jego są traktowane poważnie, podzielane? Wznoszenie warownego obozu to wyraźny objaw najwyższego stopnia ostrożności — obawy, że lądowa granica naprawdę mogła zostać przerwana.

Jak gdyby odgadując jego myśli, Agatokles zapytał:

— Co mówi Leptynes o tym, że okrętów chorazmijskich w Terze nie zatrzymano, nawet nie okrzyknięto?

Heliodor błogosławił wieczorowi za samo nadejście. Czuł, że się rumieni tak, jak już dawno się nie rumienił.

— Nie zapytałeś go jeszcze o to? Cóż? twoja sprawa, śledztwo ty prowadzisz, sam lepiej wiesz, kiedy, o co zapytać, co kiedy powiedzieć. Ale torturom — pamiętaj — nie poddawaj go. Toż to naprawdę może być syn mistrza, którego sztuce tyle świetność dynastii zawdzięcza...

— Nie jest Grekiem.

— Przekonaj nas, że nie jest.

— Niech raczej on przekona...

— Wiem już, wiem. Słyszałem wszystko przez rurę. Znadto się gorączkujesz, stary przyjacielu — to dziwne — z opowiadań ojca miałem cię za uosobienie chłodu i spokoju... Ale z tą wspaniałomyślnością prawa tocharyjskiego zajechał ci pod serce — przyznaj się!... I mnie zajechał, i Teofilowi, a i stryjowi też chyba, choć po tym nigdy nic nie poznać. Więc pamiętaj: żadnych tortur — nawet żadnego po twarzy bicia — a jeśli się da, to i bez krzyków — bardzo cię proszę. Masz jakieś pytania?

— Czy samozwańca na tę noc też na ląd wysadzić?

— Jakiego samozwańca? Wiem, wiem... o Leptynesie mówisz. Ależ nie! My wszyscy — cały kasztel — na miejscach zwykłych na noc zostajemy. Więc i ty z żoną także.

— Ja tę noc z Leptynesem wolę spędzić.

— Na Dzeusa, byka garbatego, którego też i Siwą zwać się godzi! Dajże chłopcu spać spokojnie przynajmniej.

— Bezsenność to najlepszy środek na osłabienie upor.

— Tajniaku, tajniaku. Chcesz się ze mną założyć: ten chłopak to naprawdę Leptynes!

— O co, panie królewiczu?

— Sprytnyś. Powiem, gdy wygram zakład. A i ty też wtedy dopiero powiesz, jeśli wygrasz.

— Bardzo niebezpieczne są takie zakłady. A gdybym powiedział: Chcę jednego z diademów białych, takich co dotąd wieńczą tylko skronie Eutydemidów?

— Z przydatkiem płaszcz fioletowy może? Zastanowię się, stary. Jedne dynastie mijają, nadchodzą drugie.

— Kpisz sobie ze mnie, o panie.

— Nie złośliwiej, niż Antiochos Seleukida z mego dziada, gdy ten w roku sto szóstym dał mu do wyboru: albo fioletowy płaszcz, albo wpuści Masagetów, Chorazmijczyków, Sakaurów i ilu ich tam jest, przez granicę...

— Pozwolisz jednak, panie, że noc spędzę przy Leptynesie?

— Może aby podsłuchiwać, co przez sen mówi? Niezła myśl.

### III

Myśl w zasadzie może i była nie zła, ale Leptynes nic przez sen nie mówił, przynajmniej aż do czasu, póki Heliodora nie odwołano z pokoju, gdzie chłopak spał, a on czuwał. Odwołano zaś go w wyniku niezmiernie ważnej wiadomości: oto Eutydemos Młodszy nie żył. Wojsko, wysadzone z pokładów „Zgody Narodów” na brzeg, odrazu nawiązało łączność za pomocą sygnałów świetlnych z najbliższym posterunkiem; zrazu stamtąd donoszono, że nic ważnego się nie dzieje, ale około północy mniej więcej świeżo powstający obóz odebrał sygnały, żadnej nie ulegające wątpliwości co do żałobnej swej treści. Wiadomości tej, co prawda, nie sposób było nazwać zaskoczeniem; tym niemniej dopiero teraz Agatokles okazał pismo ojca, polecające mu na wypadek śmiertelnego wyniku choroby najstarszego brata objęcie natychmiastowe władzy w Baktrze i władzy tej sprawowanie aż do przyjazdu tam spoza Parapamisu drugiego z synów i imiennika Króla Wielkiego. Zaraz też po okazaniu pisma Agatokles jął natychmiast się zbierać do podróży powrotnej końmi, nie spodzianie jednak wybuchła sprzeczka między nim a stryjem o osobę, przez Heliodora wciąż zapominaną: Teofila. Antymachos chciał grubasa zatrzymać przy sobie na rzece; Agatokles żądał, by mu towarzyszył do Baktry. Heliodor został wezwany jako rozjemca: stary sługa wierny dynastii — oświadczała obaj — najlepiej powinien wiedzieć, po stronie którego z Eutydemidów jest w tym wypadku słuszność. Sprawa była bardzo prosta i bardzo jasna: jednemu

z Eutydemidów musiał Heliodor nieodwracalnie a silnie się narazić.

— Jestem o trzy lata młodszy od Króla Wielkiego — próbował wykręcić się przy pomocy żartu i gry słów chociażby.

Nie udało się. Tyle tylko osiągnął, że Antymachos odwzajemnił mu się żartem na temat względności wszystkich rzeczy, rzekomo oczywistych, a więc i pojęć starości i młodości: gdyby Heliodor, zamiast z Dioneją — mówił — ożenił się z jej matką lub tak ponętą jeszcze i teraz wychowawczynią, może i w samej rzeczy dałoby się o nim myśleć: ten wierny sługa dynastii, drugi z przymiotników opuszczając. Agatokles zaś rzucił uwagę, że powyżej pewnego wieku albo się bywa starszym człowiekiem, albo królem, i to nie królem ogólnikowo, ale koniecznie — Wielkim.

Heliodor, dając za wygraną, oświadczył, że oczywiście, nie uchyli się od zaszczytnego obowiązku, jaki nań Eutydemidzi nakładają, więc prosi o podanie mu motywów, dla których każdy ze spierających się chce mieć Teofila przy sobie. Ponieważ zaś niekiedy bywa tak, że motyw, wcześniej wymieniony, wydaje się bardziej przekonywujący, kiedy indziej znów, że większe wrażenie wywiera słowo końcowe, szanse spierających się monarchów chce zdać na łaskę losu czy przypadku, tak bowiem będzie najsprawiedliwiej. Podrzuci więc monetę, Antymachos ma zapewne przy sobie jakąś z własną podobizną; otóż jeśli podobizna ta będzie widzialna, gdy moneta spadnie, Antymachos też pierwszy będzie miał głos.

Wysłuchali wywodu tego, nie przerywając, ale gdy skończył, Agatokles się zaśmiał, a Antymachos spojrział Heliodorowi w twarz z bezgraniczną pogardą, zaprawioną silnym niesmakiem. Któż mu powiedział, że zamierzają go w swoje motywy wtajemniczać — oni, którzy nawet przed sobą nawzajem nie zamierzają z motywów swych się zwierzać? Niepojęcie wielki prostak z niego się zrobił zaiste, jeśli choć przez chwilę myślał, że ma rozstrzygać, po czyjej stronie jest słusność motywów! Nie, oni chcą od niego osądu, który z nich dwu ma prawo drugiemu narzucić swą wolę, a który musi się podporządkować.

— Jestem dwakroć starszy albo i więcej jeszcze — jestem jego stryjem — jestem królem — powiedział Antyma-

chos — czy to mi nie daje praw do rozkazywania młodzikowi, bratankowi i zastępcy tylko króla i to takiego króla, który na razie w drodze jeszcze tylko jest do swej stolicy? — Zapomniałem dodać: jestem bogiem.

— I boga bym usłuchał, przysięgam, ale pierwszym i naczelnym sprawdzianem boskości jest nieśmiertelność. Pozwolisz, stryju, że cię przebije sztyłem? Nie żądam nawet, by ichor zielonkawy trysnął ci z rany, zamiast czerwonej krwi. Jeśli nie upadniesz względnie upadłszy, podniesiesz się zaraz bez niczyjej pomocy ze zwykłym swym — a raczej nie ze swym własnym, tylko przez Orestesa wymyślonym — uśmiechem, przysięgam: zaraz runę przed tobą na twarz, o boże.

— Agatoklesie, obaj Demetriosowie są daleko, a Grecy Baktry nie przepadają za chłopcami, którzy się chętnie w kobiece przebierają stroje...

— Bo zdaje im się tylko, iż są jeszcze Grekami, a naprawdę nie są, więc pod kobiecym strojem kobiece tylko spodziewają się znaleźć ciała...

— Nie będzie dobrze dla dynastii, jeśli grecka Baktra zacznie się nagle zastanawiać: czy nie jest najstarszym Eutydemidą tuż po dalekim Demetriosie król Margiany?

— Nie jest dobrze dla dynastii, gdy jej członkom przychodzi na myśl, iż Baktra grecka mogłaby nad tym nagle zacząć się zastanawiać...

— Agatoklesie, czekaj chwilkę... Heliodorze, kto to jest?

— Jakto, panie, kto to? to... to... królewicz Agatokles, syn najmłodszy...

— Skąd wiesz?

— Skąd wiem?! Sam, panie, raczyłeś...

— Właśnie. Sam raczyłem. Pamiętasz dobrze, nieprawdaż?

— Pamiętam dobrze. Powiedziałeś, że zawsze przestregające brata starszego, iż związki nieślubne wprawić mogą dynastię...

— Dosyć. Dobrze pamiętasz. Ale przecież mogłem żartować. Zakpić sobie z wszystkich obecnych, nade wszystko z ciebie, miły, wierny — uważasz, nie mówię: stary — sługo.

— Pierścień Króla Wielkiego...

— ...był na palcu Spitamenesa, wiedzieliśmy o tym wszyscy.

— Pismo, dopiero co odczytane...

— ...mogło... Ale niechże Spitamenes sam ci powie, jak mogło to pismo znaleźć się w jego ręku, albo raczej: w ogóle zaistnieć...

— Niech Teofil jedzie aż do Tery — powiedział młodzieniec, z którego tożsamości Heliodor zupełnie już nie zdawał sobie sprawy.

— O ile Tera jeszcze w ogóle istnieje. Ale tak czy owak, dzięki ci, bratanku miły. A i tobie, Heliodorze — nie tyle za wyrok, do którego nie doszło, ile za dobre chęci i uwagę. Teraz zaś wracaj do Leptynesa i jeśli śpi jeszcze, szepnij mu do ucha: — Nie jesteś Grekiem.

— Heliodor prowadzi śledztwo samodzielnie. Nie będzie nic badanemu mówił czy szeptał, czego sam nie uzna za wskazane.

— Rozkazałeś, o zastępcu króla Baktrii, Sogdiany, Parikeny i Frynii — uśmiechnął się Antymachos, i Heliodor teraz dopiero w pełni uprzytomnił sobie sens słów, tak niedawno wypowiedzianych przez Agatoklesa czy Spitamenesa: uśmiech rzekomo własny Antymacha to wymysł Orestesa rzeźbiarza.

Szybko podążył do pokoju, gdzie zostawił był Leptynesa pod doглядem Mankurasa. Młodzieniec już nie spał — opowiadał coś, a raczej recytował. Była to wciąż piąta pieśń Iliady.

Gdy Heliodor wszedł, Ind dał Leptynesowi znak, by przerwał recytację, po czym obracając się całym ciałem do wchodzącego, zapytał:

— Wciąż jeszcze nie spłynęła na ciebie łaska oświecenia?

A na to najnieoczekiwanej Leptynes, głosem, jak gdyby mu nagle potwornie zimno się zrobiło: — Czyja łaska?

— Rzekomo stwórcy świata. Ale właśnie rzekomo tylko — znów do niego całym obracając się ciałem — odpowiedział Ind.

#### IV

Tuż prawie przed świtem Heliodor wrócił do swej małżeńskiej sypialni. Dioneja leżała z szeroko otwartymi oczyma. Powiedziała:

— Musimy mieć dziecko.

— Nie będziemy mieli dziecka.

— Słyszysz?

— A tyś słyszała?

— Ja już nie o tym. Wsłuchaj się dobrze. Łańcuchy — nie rozpoznajesz?

— Wioślarze wracają na okręt.

— Co za głupcy!

— A cóż mieliby zrobić?

Wysoko uniosła się na łokciach. W bladym świetle brzasku, wdzierającego się poprzez górny otwór, Heliodor ze zdumieniem, wręcz już z jakimś dziwnym lękiem stwierdził, że nie jest naga. Nie jest nawet bosa, bo choć zrzuciła była dziwaczne tocharyjskie obuwie, nogawica elastyczna spodni obciągała nie tylko jej łydkę, ale i stopę.

— Co za dziwny krój — mruknął, byleby coś powiedzieć.

— Ładny krój.

— Ale to nie jest twoje. Dawnoś powinna była z tego się rozebrać.

— Gdybym zechciała, byłoby to moje. Miejmy dziecko, miły.

— Miły, panie, ojczy, opiekunie, zbawicielu, boże... już nie?...



— Bogowie tak chętnie płodzą dzieci ze śmiertelnymi kobietami...

— Płodzili. Gdy byli młodzi — przed tysiącami lat...

— Są wiekiście młodzi. Słyszysz?

— Co?

— Wciąż to samo. Łańcuchy głupców.

Heliodor czuł, że niepokój w nim coraz rośnie. By mu przeciwdziałać, poprosił żonę, ale tonem raczej rozkazu niż prośby, ażeby się obnażyła.

— Po co?

— Lubisz być ze mną, przede mną naga. Mówiłaś tak. Zapomniałaś?

— Nagość kobieca ma sens wtedy, gdy ma się otworzyć na przyjęcie mężczyzny. Mówiłaś tak. Zapomniałaś?

— Właśnie ponieważ nie zapomniałem, mówię ci, że-  
byś...

— Do czego służą hełmy?

— Do obrony głowy przed ciosami, dziecko.

— Więc nie do trzymania w nich wilgotnej ziemi pod kwiaty.

— Oszalałaś!

— Jeszcze nie. Najlepszy dowód, iż tu leżę, zamiast wybiec i krzyknąć z pokładu głupcom w łańcuchach, co mogą zrobić.

— Co?

— To tajemnica rodzinna, Tajniaku nad Tajniakami.

— Jeszcze jedna?

— Nowa. Świeża.

— Więc twoja, nie rodzinna. Nikogo z rodziny nie widziałas od dawna, niczego nowego nie mogłaś się teraz dowiedzieć.

— Przyjmij eparchiat Parykeny. Rozumiem, nie chcia-  
łaś z rąk Eutydemosa, ale Agatokles lubi cię i ceni.

— Nie jest królem, więc nie jest władny rozdawać urzę-  
dów.

— Jest zastępcą Króla Wielkiego.

— A ty jak o tym wiesz?

— Jeszcze jedna tajemnica rodzinna.

— Czy cię dotąd biłem kiedy, Dionejo?

— W moich snach tylko. I bardzo to były przyjemne  
sny. Ale uważaj: na każdy początek jest swój właściwy  
czas. Przeoczyłeś czas, gdy trzeba było mnie zacząć bić.

— Pokażę ci zaraz, że się mylisz.

— Masz jednak słusność: lepiej żebym się rozebrała. Bo jak nie — jeszcze się w sobie zakocham. W marzeniu o własnym a nieosiągalnym ni okiem ni dotykiem ciele.

Pomagał jej się rozbierać. Wydobywając pulchne prawie ramiona z bufiastych powyżej łokcia rękawów, szepnął: — Często mi się zdaje, że wszystko, co wokół się dzieje, to sen tylko.

— Odkąd?

— Nie wiem.

— Uprzytomnij to sobie. Przypomnij. To ważne. A pamiętasz? Rzekłem ci onegdaj: Po cośmy tu przychodzili? Właśnie my — wszyscy. Ci, co trzydzieści lat temu tu przyszli z Zachodu, i ci, co — sto trzydzieści albo i wcześniej jeszcze, za Aleksandra. Biedacy! Poza Aleksandrem samym, wszystkich głód tu przygnał...

— Głód ziemi?

— Ziemi, sławy, wolności, zemsty, sprawiedliwości, władzy, miłości...

— To i Aleksandra samego też: głód władzy, sławy...

— O, nie!

— Więc co?

— Bezsenność.

— Bzdury pleciesz, dziecinko. Ale gdybyś nawet miała słusność, to i ja też, bo bezsenność, to głód snu, czyż nie?

— Rzekłeś. A teraz...

— Ale nie tak, jak zawsze ostatnio.

— Toś ty dzieciak. Ja nie chcę innego dziecka, niż takie, którego byś i ty też chciał.

— Przyrzekasz?

— Przysięgam.

— Na co?

— Na swe bóstwo najwyższe: ciebie. Ale bogom nie składamy przysięg bez nadziei na jakąś wielką łaskę.

— Jakiej chcesz?

— Zobaczyć tego chłopaka, którego — powiadają — męczysz, jakby wiódł za sobą wszystkie plemiona koczownicze całej Azji.

— Zobaczysz. Ale też wzamian za łaskę.

— Jakiej chcesz?

— Przyjrzyj mu się sama przezeń nie widziana, wsłu-

chaj się w jego głos niepostrzeżona, i powiedz mi: Grek to czy nie Grek?

— To Grek i nie-Grek — powiedziała Dioneja w południe.

— Wielbię cię, dziecińko — zawołał Heliodor, w uniesieniu całując ją w skronie, w oczy, w usta. — Błogosławiona niech będzie chwila, gdy mi los powierzył tropienie ciebie, niemowlęcia, wbrew rodzicom ocalonego! Już go mam! To syn Greczynki, uprowadzonej w niewolę przy jednym z nalotów barbarzyńskich na pogranicze północne przed dwudziestu laty.

— Rzekłeś — rzucił się w chwilę później na Leptynesa — że matka twoja była córką osadnika wojskowego. Mówiąc tak, nie kłamałeś. Ale kim był twój ojciec?

— Mój ojciec to rzeźbiarz Orestes. Czy nie byłoby rzeczą najprostszą do niego się zwrócić, by to, co oświadczam, potwierdził?

— Czy rzeźbiarz Orestes jest teraz w twojej Antiochii, o panie? — zapytał pod wieczór Heliodor Antymacha. W głosie jego silne rozbrzmiewało znużenie.

— Nie.

— Więc z powrotem w Baktrze?

— Nie.

— Więc gdzie?

— To jest tajemnica rodzinna, Tajniaku nad Tajniakami.

I na tę też noc „Zgoda Narodów” przybijała do brzegu. I znów żołnierze obwarowywać mieli swe miejsce postoju.

## V

Tego wieczora Heliodor czuł się tak znudzony jak chyba nigdy dopokąd sięgała jego pamięć. Zmęczył też co prawda i Leptynesa, ale uporczywość jego nie zmiażdżył, nawet nie zrobił w nim znaczącego włomu: bezczelny młokos, jak go zwykle Heliodor w myślach nazywał, wprawdzie niedwuznacznie zdradzał silne zdenerwowanie, ilekroć śledztwo zacieśniało się wokół zagadnienia, kim była jego matka, nieugięte jednak trwał przy swym początkowym a wciąż najważniejszym oświadczeniu, iż jest synem Orestesa rzeźbiarza. Heliodor, sam znając dość dobrze drogę od Sardów do Baktrii, sądził, że na tej właśnie drodze opór Leptynesa załamie się lub przynajmniej potknie, i całe popołudnie było głównie na tej drodze spędzone z tym jedynym wynikiem, że Heliodor musiał uwierzyć, iż została ona naprawdę przez przesłuchiwanego, gdy miał dziewięć albo dziesięć lat, przebyta. Szczegóły niektóre, przez Leptynesa podawane, a Heliodorowi bądź osobiście bądź ze słyszenia dobrze znane, nie mogły być owocem niczych opowiadań; Seleukia nad Tygrysem czy inna, zwana też Suzą, nad Eulajosem, żyły w słowach Leptynesa tak, jak żyć mogłyby jedynie w sprawozdaniu bywalca. Co prawda, Suzy Heliodor osobiście nie znał, ale na jego życzenie obecny był czas jakiś przy przesłuchiwanym ktoś z dowództwa okrętu, kto nie posunąwszy się nigdy przez całe życie dalej na zachód, niż do Suzy właśnie znał przecież dobrze ten właśnie szlak z zachodu do Baktry, poprzez wielkie jezioro w Drangianie, którego He-

liodor osobiście nie przebył, a którym podróżować miał w kilku etapach na przestrzeni kilku lat rzeźbiarz Orestes z rodziną. I ten ktoś potwierdził: chłopak przesłuchiwany ponad wszelką wątpliwość szlak ten przebył osobiście; opis zamku na wyspie pośrodku wielkiego jeziora był błędny, ale właśnie ta błędność decyduje o wiarygodności: każdemu kto na zamek ów patrzył nie od ujścia rzeki Eurymantos, tylko od przystani w Aleksandrii Proftazji, zarysy zamku musiały się przedstawiać właśnie tak, jak wyglądały w zeznaniu Leptynesa. Także i to, co mówił o Rzymianach, których na własne oczy miał widzieć, jako dziecko, w Sardach w kilka dni po zwycięstwie ich nad Antiochem Seleukidą, brzmiało bardzo przekonująco, choć sam Heliodor tych niezwykłych — jak się oto okazywało — barbarzyńców z dalekiego zachodu nie oglądał nigdy, a i wciąż nie chciał wierzyć, by oni naprawdę byli w stanie rozgromić Antiocha. Wszystko to jednak nie przekonywało Heliodora: cokolwiek z zeznań Leptynesa musiało zostać przezeń przyjęte, jako niewątpliwie wiarygodne, pogłębiało tylko tajemnicę tożsamości badanego, nie czyniło jednak go bynajmniej w świadomości śledczego tym, za kogo się podawał. W miarę, zresztą, jak przesłuchiwanie trwało, w świadomości tej coraz wyraziściej zarysowywała się możliwość uzgodnienia wszystkich tak wiarygodnie brzmiących zeznań z ponętą teorią, iż rzekomy Leptynes to syn Greczynki, porwanej przy którymś z nalotów barbarzyńskich na pogranicze północne: oto — mówił sobie Heliodor — świetny, co zawsze przyznawał, tajny wywiad masagecki mógł przed dziesięciu mniej więcej laty wyprawić najlepszego swego agenta w wyjątkowo daleką podróż rozpoznawczą, ten zaś wziął z sobą w podróż żonę czy nałożnicę i syna, jakiego z nią miał. Mógł dostać zlecenie: przemierzyć wszystkie krainy, Grekom podwładne, więc jechał i jechał, dziwiąc się, że krainom tym końca nie ma; dotarłszy do Sardów, z przerażeniem, z rozpaczą dowiedział się, że to wcale jeszcze nie koniec, ale przeciwnie, nawet jeszcze nie początek tego, co naprawdę jest Grecją, więc w rozpaczę też powiedział sobie: „Dalej nie jadę” i ruszył w drogę powrotną. A mogło być jeszcze inaczej: mógł zawrzeć lub próbować zawrzeć z barbarzyńcami zachodu, Rzymianami, układ w imieniu barbarzyńców północy, przeciw światu greckie-

mu skierowany; mógł Publiosa, czy Lukiosa, zowiącego się barbarzyńskim zwyczajem jeszcze inaczej jakoś i to dwójako, widzieć właśnie w Sardach po bitwie pod Magnezją — rozmówić się z nim, dojść lub nie dojść do porozumienia, ale mieć zadanie sobie powierzone już za sobą i ze spokojnym sumieniem ruszyć w drogę powrotną. W drodze tej, gdy znalazł się znów już na ziemiach, Eutydemidom podległych, musiał w jakiś zagadkowy sposób otrzeć się o rzeźbiarza Orestesa; coś tych dwu z sobą związało i owocem tego związku był pomysł wyszkolenia syna Greczynki z Masagety na szpiega, jak i ojciec, i to takiego szpiega, co do którego zawczasu powzięto decyzję, iż przedostanie się między Greków, jako rzekomo zaginiony tylko, nie zaś zmarły, syn Orestesa.

— Podejrzewasz więc Orestesa, że działa — i to od dawna — na rzecz wrogiego wywiadu? — zapytała Dioneja, gdy mąż w kąpielii naszkicował jej całą tę swoją teorię.

— Nie koniecznie. Mówiąc o związku między nim a szpiegiem-podróżnikiem, brałem pod uwagę inną możliwość, wręcz przeciwną: Orestes mógł temu szpiegowi czymś bardzo się narazić, i ten połączył rozkosz zemsty z pożytkiem dla swego narodu. Ale, owszem, tamtej możliwości też całkowicie nie odrzucam.

— Dlatego, że wydawało ci się jakiś czas, że Orestes mi się podobał? Ale to nie on — jego rzeźby mi się podobały.

— Wydaje mi się, że podoba ci się Agatokles czy Spitamenes, bo ja wiem, kim ten młodzik z twarzą, tak podobną do założyciela dynastii, naprawdę jest... Nie posądzam go jednak o żadne występne związki z Masagetami.

— Ale, wracając do drugiej z tych możliwości, na czym miałyby polegać zemsta tamtego Masagety na Orestesie? Czy Orestesowi naprawdę może bardzo zaszkodzić, iż szpieg — o ile to szpieg — podaje się za jego syna? Wyobraź sobie, że ja zacznę nagle twierdzić, iż jestem córką nie Diona, tylko Teofila; stałoby się zaś wiadome, że należą do spisku przeciw dynastii — czy to by Teofilowi zaszkodziło?

— Nie lubię, gdy tak nieostrożnie żartujesz — powiedział Heliodor, wychodząc z sadzawki.

Dioneja, śmiejąc się, zaczęła go wycierać wielką sztuką

włochatej tkaniny. Lubiła go niekiedy taką tkaniną łaskotać, więc myślała, że to aby łaskotaniu umknąć, odtrącił ją nagle od siebie. Ale myliła się. Heliodor patrzył na nią, odtrąciwszy, przez chwilę, jakby w ogóle jej nie widział i nagle zawołał:

— Ten bezczelny młokos ani razu nie poprosił, aby go zaprowadzono do sadzawki. Ani aby pozwolono mu poćwiczyć w gimnazjonie. Każdy grecki chłopak od dawna by się już dopraszał o jedno i drugie.

— To prawda. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

— Odpowiedź jest prosta, ale dopiero teraz, gdy żadnej już nie mam wątpliwości, iż chłopak nie jest Grekiem, staje się dla mnie także i zupełnie jasna zemsta: polegała na zabiciu syna Orestesa i na podsunięciu szpiega na jego miejsce.

— Ale przecież nie tak dawno jeszcze Orestesa samego właśnie nazywałeś synobójcą.

— Dziecko drogie — zawołał radośnie, tuląc ją najtkliwiej do wciąż mokrej jeszcze piersi. — Jesteś nieoceniona! Jesteś wprost boska. To ty, nie ja, powinnaś pełnić urząd, jaki zleciła mi była dynastia. Miał słuszność Platon: kobietom należy się taki sam udział w rządach nad społecznościami, jak mężczyznom.

— Za cóż te wszystkie pochwały?

— I ty jeszcze pytasz? Przecież to twoje dzieło — dzieło sprzed chwili — wskazanie mi światła. Oto, że użyję dziwnego zwrotu Mankurasa, spłynęła przecież na mnie łaska oświecenia. Orestes posłał syna na śmierć, żeby Masageci mieli możliwość na miejsce zabitego wstawić samozwańca.

— W takim razie jednak posądzasz go znowu o współdziałanie z wrogim wywiadem?

— Znowu, nie koniecznie. Wszystkie gadki — moje, a i czyjekolwiekby — o wysłaniu syna na śmierć to zawsze trochę były zjadliwe żarty tylko. Wcale nie jest pewne, że wysyłając chłopca z domu, mówił sobie: „Chcę, by zginął”. Nie, pewne jest to tylko: posłał go w takie warunki, gdzie chłopiec musiał zginąć.

— Dlaczego posłał?

— Tego — wyobraź sobie — nigdy nie mogłem wytropić. Orestes nazbyt pięknie rzeźbi Eutydemidów w marmurze, bronzie i srebrze, bym nawet ja mógł zająć się nim

tak, jakbym chciał a jak zapewne w pełni na to sobie zasługuje. Pewnych ludzi nawet tajny wywiad tknąć nie może.

— Z czego wniosek, że warto być wielkim artystą. Szkoda, żeś się nie zgodził, bym uczęszczała jednak dłużej na naukę do Orestesa. Pamiętasz? Czas jakiś tak silnie pociągała mnie sztuka rzeźbiarska.

— Chciałażbyś stać się nietykalna dla tajnego wywiadu? I to wtedy, gdy wywiad — to ja?

— Chciałabym stać się razem z tobą nietykalna. Na wszelki wypadek. Bo, mój drogi! jest wywiad, co śledzi wrogów zewnętrznych i wewnętrznych dynastii w sercu Azji — tym wywiadem jesteś ty. Ale czy nie przyszło nigdy ci na myśl, że jest, musi być inny jeszcze wywiad: taki, co śledzi ciebie?

— Teraz znów bzdury dziecięce pleciesz. Ale gdyby nawet, co niemożliwe, i było tak — na cóż by mi się przydało stawać się nietykalnym dla tamtego wywiadu? Niczego nie knuję — ni sam, ni z tobą...

— Niczego? Na pewno?...

Wówczas to przyszło mu na myśl zapytać Antymacha o miejsce pobytu Orestesa. Konfrontacja bezczelnego młokosa z tym, za czyjego syna się podawał, nagle wydała mu się co najmniej bardzo użyteczna. Szczególnie że i godna najwyższego podziwu przenikliwość Dionei miała jednak wyraźnie swoje granice, więc nie mógł na niej nazbyt — a żałował coraz bardziej, że nie może — polegać; oto gdy z nią podzielił się swą myślą o celowości konfrontacji, klasnęła w dłonie — zawołała: „Ty jednak zaczynasz wierzyć, że to, co chłopiec o sobie mówi, może być prawdą!”

Uznał to za dziecięco niemądrą uwagę, nie zaczyna wcale młokosowi bezczelnemu wierzyć, wręcz odwrotnie: coraz bardziej wierzy we własną teorię i tylko w świetle tej teorii uważa konfrontację za pożądaną. Oczywiście, Antymachowi nie powie na razie nic o istotnym motywie, dla którego pragnie konfrontacji; owszem, na jego użytek posłuży się jako pozorem, domysłem Dionei: niech król Margiany sądzi, że on, Heliodor, zaczyna domniemanemu Leptynesowi wierzyć. Tak bowiem wygląda, iż zarówno Agatokles, prawdziwy czy fałszywy, jak też i jego stryj woleliby, aby śledztwo wykazało, że badany naprawdę



jest synem Orestesa. Do tego więc czy tamtego z nich bardzo by powinien był przemówić argument: najlepszy sposób dotarcia szybko do prawdy jest skonfrontować badanego z domniemanym jego ojcem.

Ale oto — okazało się — argument ten nie przemówił do Antymacha. Ponad wszelką wątpliwość wie, gdzie Orestes się znajduje, ale równie niewątpliwie nie chce tą wiedzą dzielić się z Heliodorem. Tajemnica rodzinna? Czyja? Rozgoryczony jak rzadko kiedy, Heliodor wrócił do komnaty, gdzie więził Leptynesa, i z zawziętością zabrał się do niego na dalszych kilka godzin. „Powiadasz, że zostałeś porwany koło Argos przez koczowniczy odłam Frynów, potem byłeś w niewoli u Tocharów, a jeszcze potem u Hunów. Bardzo dziwnie to wszystko brzmi, ale jak się znalazłeś w Argos czy za Argos?”

— Na życzenie ojca.

— Dlaczego?

— Daruj, mężu dostojny, ale nie wiem, czy ojciec mój życzyłby sobie, bym o tym opowiadał. Postaw mnie przed jego oblicze — niech ci sam powie albo mnie rozkaże, bym powiedział. Wówczas powiem.

Heliodor łamał go do późnej nocy. Wreszcie nadłamał nieco: beczelny młokos, cały już we łzach, wymamrotał, że pozbyć się go z domu chciała ukochana nałożnica ojca.

— Jak się nazywa?

— Tego mi też nie wolno powiedzieć, skoro nie jestem pewien, czy ojciec by sobie tego życzył.

— A jakże! Nie wiesz, jak ona się nazywa — nie możesz wiedzieć, bo nie jesteś synem Orestesa, tylko samozwańcem — nie znasz jego stosunków domowych — tę okoliczność przeoczyli ci, którzy ciebie nasłali — i oto wpadłeś! Przyznaj się, żeś wpadł. Już z tej toni nie wypłyniesz; po cóż byś więc miał głębiej brnąć? Powiedz prawdę: ktoś ty?

— Leptynes, syn Orestesa, wnuk także Orestesa.

— Tak powiadasz? Więc opowiedz dokładnie, jak twój ojciec wygląda.

— Jużem opowiedział.

— Jeśli zechcę — huknął Heliodor pięścią w poręcz krzesła — sto razy a i tysiąc będziesz mi to samo opowiadał.

Nie chodziło mu jednak tym razem o „to samo”. Oczywiście, gdyby pochwycił jakąś rozbieżność między ponownym opisem a poprzednim, cieszyłby się bardzo, ale właściwie na to nie liczył. Na czym mu natomiast tym razem zależało, to na uprzytomnieniu sobie, jakiego mianowicie Orestesa rzekomy jego syn opisuje: tego sprzed czterechpięciu lat, kiedy to wedle zapodań badanego, miał się z ojcem rozstać; czy też innego, młodszego znacznie, takiego, jakim go Heliodor w ogóle nie znał? Kazał sobie opis kilka razy powtórzyć — doświadczenie jednak nie dało spodziewanego wyniku: z opisu wyłaniał się dokładnie taki Orestes, jakiego Heliodor znał: przedwcześnie siwiejący, z opaską na oku, uszkodzonym w nie tak dawnym wypadku — dumnie się noszący, wyraźnie zepsuty przez sławę i przez kobiety... Z kolei należałoby przejść do okoliczności życia codziennego w domu rzekomo ojcowskim. Ale tu przed podejrzanym szerokie bezgranicznie otwierało się pole do popisu wyobraźni, Heliodor bowiem nic nie wiedział o stosunkach, panujących w domu Orestesa. Ani też nic właściwie o jego życiu osobistym, poza tym, że — jak mówiono — nie mógł się wprost kobietom opędzić.

Znużenie stawało się już nie do pokonania. Zwierzyszy młodzieńca strażom nocnym, Heliodor udał się na spoczynek. „Zgoda Narodów” już stała przy brzegu — nigdzie jednak w pobliżu nie majaczyły zarysy dwu małych okrętów chorazmijskich. Dziwił się, ale zbyt się czuł znużony, by jeszcze i w tej sprawie wszczynać dochodzenia. Mogła wiedzieć coś Dioneja, ale gdy wrócił do siebie, już spała, i nie chciał jej budzić, szczególnie iż przecież poprzednią noc spędziła zupełnie bezsennie. Lecz kładąc się, z pewnym żalem pomyślał, że gdyby tamte dwa okręty były wciąż w pobliżu, lub choćby jeden z nich, i gdyby Antymachos dał się jednak przekonać co do celowości skonfrontowania samozwańca z Orestesem, najlepiej byłoby, nie zwlekając ani chwili, przesiąść się na mały okręt z Dioneją, z bezczelnym młokosem i z silną grecką strażą, a bez Mankurasa, i wrócić do Tarmity, a potem końmi udać się tam, gdziekolwiekbądź Orestes teraz się znajduje.

## VI

Śniło mu się, że Dioneja w męskim tocharyjskim stroju, ale boso, idzie brzegiem, rozglądając się, czy nie jest śledzona, i wyraźnie kogoś wypatrując, albo oczekując. Więc i Heliodor jął wypatrywać i czekać. Gdy jednak z krzaków przybrzeżnych we mgle ni to brzasku, ni zmierzchu wynurzyła się jakaś postać, i Dioneja szybko poszła jej naprzeciw, Heliodor zaśmiał się: tylko we śnie można oddzielić bufiastą część górną spodni tocharyjskich od dolnej obcisłej i jeśli się ma iść boso, trzeba te spodnie zdjąć w ogóle.

Obudzony własnym śmiechem i niezmiernie z tego, że się obudził, zadowolony, wyciągnął w ciemności rękę, by przygarnąć Dioneję do siebie. Ręka jednak zagarniała tylko powietrze, a potem wygrzaną ciałem, ale zwolna już stygnącą pościel. Zerwał się — wybiegł do przedsionka, którego posadzka stanowiła na tym piętrze wieży przybramnej kasztelu drugą połowę koła, symetryczną w stosunku do posadzki ich sypialni; w słabo, przecież wystarczająco oświetlonym dwiema lampami przedsionku nie było nikogo. Drzwi jednak były uchylone, ale nie te, przez które — jak spodziewał się — Dioneja wyszła na taras, tylko inne, wiodące ku schodom, prowadzącym w dół ku kwaterom straży królewskich, oraz w górę na najwyższe piętro wieży, skąd jedno już tylko było wyjście: na pomost, z którego Antymachos dowodził ongiś wielką bitwą z flotą masagecką, a na którym i teraz spędzał wiele czasu, zarówno w dzień, jak i nocą. Poprzez plecy Heliodora

przebiegł ostry chłód: czyżby Dioneja była na górze z królem Margiany? Pchnął gwałtownie uchylone drzwi i zamarł ze zdumienia: schodów na górę w ogóle nie było.

— Wyciągnąłem je za sobą — doleciał go z góry głos Antymacha — aby mi nie przeszkadzano w chwili rozkoszy. Jesteś jednak w błędzie: twojej żony tu nie ma.

— Gdzie więc jest?

— Pójdź przed siebie: krzaki nadbrzeżne ogrodzone są dość gęstą palisadą, ale na palisadzie suszy się wyprany przez Leptynesa księżyc. Poproś go, by ci się zwierzył; księżyc wie, gdzie i z kim jest teraz Dioneja.

— Ale przecież nie mogę iść przed siebie: tu klatka schodowa, dalej kolista ściana wieży.

— Dziwaczejesz, stary.

Zawstydził się i poszedł jednak przed siebie. Szedł bardzo długo, jak się okazywało, przedsionkiem malachitowym fioletowej sali pałacu w Baktrze. Przedstonek był znacznie dłuższy i szerszy i wyższy niż jakim go znał; większe też znacznie były odstępki między posterunkami nocnych straży pałacowych. Idąc — tak, jak zwykle, nie patrzył wartownikom w twarze — w pewnej jednak chwili zdziwił się, że nie widzi kątem oka wcale ich nóg, tylko same włócznie, jak gdyby w powietrzu zawieszane. Zatrzymał się, odwrócił, znów zamarł: to, co brał za włócznie, było palem.

— Uważaj — powiedziała skądś z bardzo wysoka jego masagecka kochanka: — Tym razem uderzę się stopą w twarz od przodu i w pełnej świadomości.

Zamknął oczy.

— To ci nic nie pomoże — zaśmiała się — w każdym razie nie potem jak stracę resztki przyzwoitości, a do tego ostrzegam cię, bardzo już niedaleko... Ale na razie w samej rzeczy możesz mnie nie widzieć, jeśli nie chcesz; wówczas, pamiętasz, gdym cię tak kochała, nie miłoby mi było, jeśliby ktoś nam się przyglądał. A że pał to też kochanek, może najdroższy, bo ostatni, więc...

— Nie czujesz bólu?

— Takis tego ciekaw? Dobrze, otwórz oczy, spojrzij mi w twarz, poznasz, co znaczy być wbitym przez ciebie na pał...

— To nie ja ciebie wbiłem...

Znów się zaśmiała. Ale to nie był już jej śmiech, tylko Dionei.

Szybko pobiegł przed siebie. Wciąż mijał pale, a na nich ze straszliwymi twarzami okropnie, jakoś ohydnie wręcz, wiły się jej pomnożenia, bez liku było tych pomnożeń. Dopadł wreszcie jakichś drzwi. Nie otworzył ich jednak, bo usłyszał głos Dionei, mówiący ze zdziwieniem: — Powiadasz, że to opis Bolisa Kreteńczyka, ale naprawdę opisałeś mego męża.

Na to Leptynes z właściwym sobie uporem:

— Bolis to był, Bolis. Podjął się ocalić Achajosa, a zdradził go, sprzedał. Chcesz wiedzieć jak?

— Nie chcę, żebyś chciała, Dionejo — powiedział Heliodor i tym razem na dobre się obudził. Bez żadnego zdziwienia stwierdził, że ręka jego napotyka na samo powietrze, a potem na pościel, wygrzaną ciałem, ale już zwolna stygnącą. Zerwał się, przemierzył szybko półkolisty przedsionek, dwiema lampami słabo oświetlony — zbiegł szybko ku kwaterom straży. Jeden ze strażników go zatrzymał: „Królewicz Agatokles”, powiedział, „musiał wrócić tej nocy: przesłuchuje właśnie twego więźnia”. Heliodor, nie odpowiadając, szybko poszedł dalej. Gdy się zbliżał do pokoju, w którym więził Leptynesa, usłyszał bardzo wyraźnie, jak beczelny młokos z właściwym sobie uporem mówił:

— Jestem Grekiem, synem Greka, wnukiem Greka, i jako taki, nie pozwolę się przesłuchiwać barbarzyńcom. Najpierw straszyciło z fryzurą z koszmaru i w sukni, niby dzwon, do pięt; teraz dzieciak w spodniach i w cudacznym kołpaku... Nie pozwolę, nie chcę — nie pozwolę — nie chcę...

— Ale przecież ja wcale nie chcę ciebie przesłuchiwać — łagodnie odpowiedziała Dioneja — chcę tylko, byś mi po przyjacielsku opowiadał o swej greckiej matce. Kochałaś ją? Chyba zasługiwała na to? Najlepszy dowód, że żyjesz. Przecież gdyby nie ona, nie jej prośby...

— Skąd o tym wiesz? — krzyknął Leptynes z przerażeniem. Przerażenie też wciąż jeszcze malowało się na jego twarzy, gdy Heliodor nieśpiesznie otworzył drzwi i wolno wszedł do pokoju. Zobaczył przecież coś, co go przejęło nieporównanie bardziej niż nietajone przerażenie w głosie i w wyrazie twarzy badanego: oto sen jego mógł

być jednak jawą — obcisłą dolną część spodni tocharyjskich można było jednak oddzielić od bufiastej górnej — Dioneja, rozparta w jego służbowym krześle, siedziała bosy, palcami swej lewej, założonej na prawą, nogi prawie dotykając cieniutkiej bladuróżowej tkaniny między trzewikiem a nogawicą długich szafirowych spodni chłopca.

Zdawała się nie widzieć lub nie chcieć widzieć męża. Oczu, w których zwolna zaczynały wzbierać łzy, nie odrywała od przekrzywionej przerażeniem twarzy więźnia.

— Toś szczęśliwszy ode mnie — mówiła, jak gdyby wiersze recytowała: — Gdy ojciec postanowił mnie, noworodka, odesłać na wyspę odrzucanych niemowląt, matka moja chętnie mu przytaknęła. Bardzo chętnie. Ale z drugiej strony, jesteś przecież chłopcem... Wam znacznie łatwiej zostać przy życiu... Chyba że...

I nagle, zwracając ku mężowi twarz, dziwnie odmienioną, wręcz wypiękniałą, powiedziała z rzeczowością, omalże zawodową:

— A może to też tylko przebranie? Może to dziewczyna, nie chłopiec? Powiadasz, że cenisz wielce moją przenikliwość, więc usłuchaj teraz mej rady: każ mu się rozebrać.

— Nie rozbiorę się — z niesamowitym wręcz, jakąś grozą tchnącym spokojem, powiedział Leptynes.

— Rozbierz go — rzuciła oschle Dioneja. — Jeśli będzie się szarpał, pomogę ci...

Wówczas Leptynes zerwał się na równe nogi i jakimś zupełnie nieludzkim głosem, rykiem rannego boga z pieśni Homera, zaczął krzyżeć:

— Chcą mnie poddać torturom! Chcą mnie poddać torturom!

Skądś, z bardzo wysoka, a przecież bardzo wyraźny, doleciał spokojny ale rozdrażnieniem tchnący głos Antymacha:

— Dziwaczysz, stary?! Poszedłbyś spać i chłopcu też dał się przespać. Żadnych tortur — raz ci się rzekło; powtarzam: ani mi go palcem nie tknij.

— Dzięki ci najgorętsze, opiekunie najdostojniejszy ojca! — w uniesieniu zawołał Leptynes.

Antymachos nic już nie odpowiedział. Heliodor rzucił ku żonie zakłopotane, bezradne wręcz spojrzenie.

— Przed nikim się nie obnażysz? — zapytała Leptynesa Dioneja.

— Wielki Platon ustami większego jeszcze Sokratesa poucza: ciało to więzienie duszy, ciałem trzeba pogardzać, trzeba go się wstydzić... Wiem — zwrócił się z zapalem do Heliodora: — Dawno już spostrzegłeś, że stronię od gimnazjonu, od sadzawki, więc sobie myślisz: to nie Grek... A jam lepszy Grek od ciebie. O, żebyż przemówić mogli spoza grobu uczestnicy boskich dialogów sokratycznych: jakże by wydrwili ciasnotę twych pojęć o tym, co jest greckie, a co nie jest...

— Przed nikim się nie obnażysz? — powtórzył za Dioneją Heliodor, mocno niepewnym już jednak głosem.

— Przed nie-Grekiem, owszem, obnażę się... Barbarzyńca to tyle, co zwierzę bezrozumne... Ale z daleka, niech nie śmie mnie dotknąć...

— Wystarczy z daleka — z pewną ulgą uśmiechnął się Heliodor — nawet z bardzo daleka... Tylko ślepiec nie zdoła odróżnić na znaczną choćby nawet odległość mężczyzny od kobiety...

— Więc jestem gotów — w wyraźnym napięciu nerwów, przecież równie wyraźnie świetnie je opanowując, powiedział Leptynes. — Ty wyjdź, a ten... ten... Sogdyczyk w tocharyjskim stroju niech zostanie... Ale — czekaj — chcę ci powinszować: mocną jednak garścią nauczyliście się trzymać barbarzyńców — umyślnie każesz mu boso chodzić, nieprawdaż? Sam ze siebie nigdy by tego nie zrobił — znam dobrze wszystkich ich — takich w spodniach, lepiej niż ktokolwiek z was ich zna...

— Ale ty też nosisz spodnie — bez cienia drwiny zwróciła mu uwagę Dioneja.

— Dotrzymuję obietnicy, danej osobie, która mi strój ten podarowała. Przyrzekłem nosić go aż do chwili, gdy padnę w ojcowskie objęcia, bo też dopiero wówczas naprawdę w pełni odczuję, żem wreszcie wśród swoich...

— Idź! — powiedziała Dioneja do męża.

Heliodor zgromił ją pełnym surowości spojrzeniem.

— Trochę przesadziłeś w swej sztucznej greckości, chłopczku — zwrócił się do Leptynesa również bez cienia drwiny — i to w dodatku głupio. Nam tu, pod rządami Eutydemidów, ani się nawet śni mocną garścią trzymać tych innoplemieńców, co z nami na jednej współlżyją zie-

mi; owszem, domagamy się od nich wierności dla dynastii i współdziałania z nami, Grekami, a poza tym szanujemy ich obyczaj... Przed tym zaś dzieciakiem, jakieś się wyraził, nie obnażysz się, raz bo byś sam nie chciał, a po drugie bo i nie bardzo przystoi. Powiesz może: ulegamy barbarzyńskim zwyczajom, ale tak to już jest: nie widzimy miłym okiem, gdy przy naszych żonach, a przy tym pod naszą nieobecność obnażają się w nocy młodzi obcy mężczyźni... Żebyż to jeszcze w sadzawce albo gimnazjonie, ale tu — to nie... Przyślę więc owo, jak powiadasz, straszdyło indyjskie: niech cię obejrzy, a że ślepcem nie jest, ustaw go tak daleko od siebie, jak ci będzie miło... Nie padnij tylko teraz trupem ze zdziwienia, proszę cię, bo by król Margiany gotów jeszcze pomyśleć, żem cię jednak wziął na tortury. Nie myśl też, że cię zwodzę: ten dzieciak w tocharyjskim stroju to moja żona, Dioneja, córka Diona z Tery, wolna Greczynka, jak i ja. A że właśnie jest wolna, ubiera się tak, jak jej się podoba — i wtedy też, gdy jej się tak podoba, chodzi boso. I jeszcze co do jednego chcę cię ostrzec: Indowi, którego zaraz ci tu posyłam, powiem, oczywiście, jak go przeżywasz; za łagodny dotąd był dla ciebie, jak na mój smak, nam nadzieję, że teraz mu coś niecoś przynajmniej z tej łagodności odejdzie. Po oględzinach prześpij się. Jutro znów ze sobą obszernie będziemy rozmawiać. Śpij spokojnie, palcem cię nikt nie tknie ani tej nocy ani nigdy pokąd ci prawdy nie wydrę. Słyszałeś przecież nakaz króla Margiany? Wcale sprytnie aż zadziwiająco szybko obmyśliłeś podziękowanie. Niechże więc zejda na cię miłe sny, choćby nawet najmilszy: że naprawdę jesteś synem Orestesa.

W drodze powrotnej schodami do sypialni Heliodor zapytał:

— Czemuś to zrobiła?

— By cię znużonego wyręczyć. Nie mówiłeś sam: miał słusność Platon, powierzając i kobietom też czujność i troskę o dobro Rzeczypospolitej? Chciałam go rozkleić mówiąc z nim o jego matce... I już już się rozklejał, a tyś wszystko popsuł...

— Nieprawda. Toś ty sama popsowała, dawszy się żalowi do własnej matki ponieść. Czemuś się w ten strój ubrała?

— By osiągnąć, com osiągnęła: by mnie wziął za mężczyznę, tubylczego urzędnika, twego podwładnego...



— Czemuś boso przyszła?

— By klekotaniem podeszew nie zwrócić na się uwagi wart.

— Zwróciłaś uwagę. Wzięli cię za Agatoklesa.

— Świetnie! Po coś się zdradził z tym, kim jestem? Mogłabym cię i dalej wyręczać, a teraz wszystko już na nic.

— O czym z nim mówiłaś, zanim przyszedł?

— O rzeźbach Orestesa. Złóścisz się na mnie?

— Podziwiam ciebie. I cóż?

— Wie o nich stokroć więcej niż ja, z wyjątkiem tych, co powstały przez ostatnie pięć lat.

Z przedsionka na swym piętrze skręcili na taras. Czas jakiś w milczeniu wpatrywali się w ogień strażnicze robitego na brzegu obozu.

— Dziecko — podjął nagle w pewnej chwili Heliodor — coś ci niezmiernie ważnego powiem.

Wzięła go pod ramię, przycisnęła je mocno do swej, szczelnie okrytej obcym strojem, piersi.

— Zgaduję — powiedziała miękko — ale nie daj się. Dobrze wyczułam: to może i jest Grek, ale zarazem i nie jest. I tyś dobrze był rzekł: to mieszaniec.

— I jako taki, wróg Greków?

— Drogą — szepnęła z uśmiechem, którego się w ciemności raczej domyślał, niż go widział. — Czy gdy mówisz Grek, myślisz niekiedy także: Makedończyk?

— Tak dawno właściwie zatarły się wszelkie różnice!

— Tom właśnie chciała rzec. Więc słuchaj: Ptolemajos to wróg Antygonidy czy Seleukidy, Seleukida wróg Eutydemidy, Aitolczyk wrogiem Achajowi, Achaj Lakedomończykowi, Lakedomończyk Argejczykowi, i tak w kółko bez końca... O którym z nich powiesz: i jako taki, wróg Greków? Wszyscy są Grekami.

W uchylonych drzwiach z przedsionku na taras zamaczyło coś białego.

— I cóż, Mankurasie? — zapytał na odległość Heliodor. — To mężczyzna?

— Mężczyzna.

— Nie kaleka? — rzuciła przez ramię Dioneja.

— Jeśli i kaleka, to w sposób dla lekarza tylko rozpoznawalny.

— Może rzezaniec?

— Mam powody, by co najmniej w to wątpić.

— Dajesz mi szkołę za to, że cię znieważa? ? podjął Heliodor.

— Jeszcze jaką! Zmusiłem go do wysłuchania długiego początku księgi szóstej poematu o wielkiej bitwie, a na dodatek zanudziłem go tłumaczeniem...

— Cóż to za poemat? — zdziwili się naraz oboje małżonkowie.

— To coś, o czym można by rzec, choć i nie zupełnie poprawnie: indyjska Iliada...

— Podobało mu się? — zaciekała się Dioneja.

— Jużem rzekł, dostojna pani: tłumaczenie go znudziło.

— Ale podziękował przynajmniej?

— Jeszcze jak! Wyrecytował mi swoje własne tłumaczenie wierszem z jakiegoś innego, a dziwnego bardzo, jak mówi, języka...

— Dobrze?

— Nie śmiem sądzić wartości tego wiersza w kategoriach wymagań greckiej sztuki poetyckiej, ale jedno jest pewne: ten chłopak otrzymał tak staranne wykształcenie, jakiego właśnie można się spodziewać od syna znakomitego greckiego rzeźbiarza.

— Jutro i my wysłuchamy tego wiersza, nieprawdaż? — zwróciła się Dioneja do męża. — A teraz chodźmy spać.

Gdy już leżeli znów obok siebie, Heliodor zapytał: — Jak długo trwała z nim rozmowa, zanim przyszedłem?

— Nie wiem. Ale jedno ci wyznam: może bym i nie zdecydowała się pójść, gdybyś nie krzyknął przez sen: „Uderzę cię stopą w twarz od przodu i w pełnej świadomości”. Wprost się wtedy ciebie złąkłam, a ten lęk dodał mi odwagi, by tam pójść.

— Mówiłem we śnie coś jeszcze?

— Nie słyszałam. Miły, ja chcę dziecka.

Heliodor nie odpowiedział. Odwrócił się do żony plecami. Zaraz zasnął, i znów miał ten sen, co uprzednio: Dioneja szła boso brzegiem Oksosu, rozglądając się czy nie jest śledzona, i wypatrując zarazem kogoś, z kim niewątpliwie umówione miała tajne spotkanie. Ale tym razem nim spoza krzaków wyłoniła się postać osoby przez nią oczekiwanej, obudził go jej śmiech.

— Przyszło mi coś na myśl — zawołała. — Pamiętasz, com ci mówiła, że są dwa tajne wywiady: jeden z nich

śledzi społeczność, a sam jest śledzony przez ten drugi. Otóż pomyśl: może Leptynes jest z tego drugiego wywiadu? I on to dla mnie wytropi — nie zaś ty sam mi wyznasz — twoją tajemnicę! Bardzo by to było zabawne...

— Dla kogo zabawne, dziecinko?

— Dla Leptynesa, rzecz jasna. A i dla mnie także.

Miał zwyczaj co rana wypytywać, co się jej śniło. I zawsze miała zajmujące a barwne sny. Nim więc znów zasnął, a tym razem długo zasnąć nie mógł, wsłuchując się w oddech śpiącej, żałował, iż świt wciąż jeszcze nie nadciąga; był tak ciekaw jej snów, jak nigdy. Więc też wielkiego doznał zawodu, gdy zapytana jak zwyczajnie zaraz po obudzeniu, odpowiedziała: — Nic mi się nie śniło.

Długo jednak nie mógł tym swym zawodem przejmować się, gdyż zawiadomiono go, że od Tery nadpływa, sygnalizując, grecki okręt wojenny. Z sygnałów wynikało, że Menander wie już o obecności króla Margiany na pokładzie „Zgody Narodów” i przysłała eskortę honorową. Gdy okręty zbliżyły się do siebie na odległość wołania, z pokładu „Zgody Narodów” zapytano: „Czemuście przepuścili dwie barki chorazmijskie? Czemuście ich nawet nie okrzyknęli?”

— Taki był rozkaz.

— Czyj?

— Z Baktry.

— Kto go dostał?

— Menander.

— Od kogo?

— Od króla.

— Którego.

Z kolei tamci się dziwili. W Baktrze jest jeden król: Eutydemos, syn pierworodny Demetriosa.

— Król Eutydemos nie żyje

Tamci nie chcieli wierzyć. Ale, oczywiście, nie mogli jeszcze mieć najświeższych wiadomości, odebranych drogą sygnałów przez dowództwo „Zgody Narodów” półtora doby temu.

Menandrowi nie można było nic zarzucić. Tym niemniej Heliodor znów się zaniepokoił. „Co się stało z tamtymi dwiema barkami?” — zapytał Antymacha.

— Zatopiłem je. Nie rób takich oczu. Na dno poszło

samo drewno, załogi zaś końmi albo pieszo ruszyły do Baktry.

— Kiedy?

— Zaiste — zaśmiał się Antymachos — takie pytanie nie przystoi Tajniakowi nad Tajniakami.

I zaraz dodał:

— Przemęczony jesteś sprawą Leptynesa. Wcale ci się nie dziwię.

— Każesz mi, o panie, poniechać dalszych dochodzeń? Mamy go urzędowo uznać jako tego, za kogo się podaje, i odesłać do rzekomego ojca?

— To jest twoja sprawa, nie moja. Pamiętajsz zalecenie mego bratanka: to śledztwo Heliodor ma prowadzić samodzielnie?

— Ale ty, o panie, gdybyś chciał, mógłbyś znieść to zlecenie.

— Ale ja nie chcę.

— Czegóż więc chcesz, o panie?

— Chcę, by Heliodor dociekł — właśnie i tylko Heliodor — kim naprawdę jest ten chłopak.

— Więc sam nie masz go za tego, za kogo się podaje?

— Stary, stary! Jużem ci rzekł: ja się w to śledztwo nie mieszam. Co ja tu myślę, nie jest ważne.

— Owszem, o panie, mieszasz się...

— Żem zakazał ci tknąć go choćby palcem? Człowieku! na torturach ludzie nie mówią prawdy, tylko to, co oprawca chciałby jako prawdę mieć... Mówimy, Grecy, o sobie: jesteśmy najinteligentniejszym narodem świata. Jesteś Grekiem, masz świetną sposobność sprawdzić, czy nie przeceniamy siebie.

— Czyli w sprawie Leptynesa nie chodzi już wcale o bezpieczeństwo zjednoczenia królestw i dynastii?

— Już?! Nigdy o to nie chodziło.

— A jeśli zdołam dowieść czegoś wręcz przeciwnego, nie pogniewasz się na mnie za to, o panie?

— Będę tylko pełen podziwu dla ciebie. Dokładnie tak jakbym był, gdybyś sięgnął teraz z baśniowej wyspy dalekiej Ajola miły chłodny wietrzyk.

Rozstali się. Końcowe jednak porównanie wydało się Heliodorowi dwuznaczne, więc dające znowu sporo do myślenia. Mogło ono wprawdzie nie być niczym więcej, niż tylko silnym zaakcentowaniem niewiary całkowitej

Antymacha w to, aby Leptynes był kimś innym niż tym, za kogo się podawał, względnie aby — jeśli i mógł kimś innym być — udało się to Heliodorowi ponad wszelką ustalić wątpliwość. Ale z drugiej strony Antymachos, taki, jakim go Heliodor znał, nie lubował się na ogół w przepłataniu mowy potocznej mniej czy więcej świadomymi popisami wykształcenia literackiego; owszem, zwykł był mawiać, że gdyby doszedł kiedyś do godności Króla Wielkiego, za wzór naczelny dla siebie przyjąłby pewnego, znanego sobie z opowiadań, tyrana z Miasta Psio-głowców na najdalszym wschodzie, któremu to tyranowi opowieści obieżyświatów, zazwyczaj blagierów co prawda, przypisywały okrutne prześladowanie nie tyle wrogów politycznych, co ludzi, szczególnie rozmiłowanych w literaturze. Także gdy Heliodor powtórzył mu to, co mówił Leptynes, jakoby barbarzyńcy zachodni z dalekiej Italii mieli przywędrować aż do Azji Mniejszej i rozgromić pod Magnezją nad Sypilem Antiocha Seleukidę, Antymachos rzuci drwiąco zdumione: „Nie wiedziałeś o tym, dotąd?” Po czym dodał:

„Te sztuczne łyse łby całą kolebkę Greków mają już od dwudziestu blisko lat pod piętą, a jeśli zechcą, to i Egipt gołą ręką zagarną, ale i na nich przyjdzie czas: słyszałem, że jakiś niewolnik przełożył na ich kanciasty język Odyseję, i udają, że rozkoszują się. Wierzaj mi, starzy: póki udają tylko, jeszcze pół biedy; ale jak naprawdę zaczną się rozkoszować, będzie to początek końca. Wiesz, czemu bezkresne Indie tak łatwo dają się memu bratu podbijać? Oto dlatego, iż Iliada indyjska jest pięć razy, a bodajże i dziesięć razy dłuższa od naszej”.

Oczywiście, mawiając tak, sam w dużej mierze udawał, ale właśnie w kategoriach tego udawania trudno było tłumaczyć jako przypadek, sięgnięcie przezeń po porównanie do tejże Odysei, gdy z łatwością mógł użyć jakiegokolwiek innego, na przykład że ściągnięcie przez Heliodora pioruna z bezchmurnego nieba lub utopienie „Zgody Narodów” za pomocą kichnięcia nie większym napełniłoby go podziwem, niż udowodnienie, że Leptynes jest jednak niebezpiecznym szpiegiem. Lecz zarówno uderzenie pioruna, jak nagłe zatonięcie, ludzką zachcianką spowodowane, to cuda, dające się właśnie podziwiać tylko, ale nie pragnąć, czy więc nie słusznie postąpiłby, on, Heliodor,

upatrując w zaczerpniętym z Homera porównaniu sygnał, oznajmiający, iż oto król Margiany — mniejsza o to, świadomie czy bezwiednie — zdradził się przed nim ze swym pragnieniem, iżby jednak — wbrew wszelkiemu spodziewaniu — udało się jemu, Heliodorowi, dowieść, że co do Leptynesa to on ma słuszość, a nie Antymachos? Z którego to domysłu nieuchronnie, rzecz jasna, musiało się rodzić dociekliwe pytanie: dlaczego miałby Antymachos — właśnie on — właśnie tego, wbrew wszystkiemu, co w sprawie Leptynesa mówi i robi, pragnąć?

— Naprawdę, nie domyślasz się, dlaczego? — usłyszał nagle trochę drwiące, ale i szczerze też zatroskane pytanie, postawione głosem dobrze mu właściwie znanym, a przecież nie dającym się od razu rozpoznać aż do stopnia, na jakim się żywi już powątpiewania co do tożsamości mówiącego.

Obejrzał się na wszystkie strony, zdumiał się, zaniepokoił. Stał na tarasie pokładu komnat królewskich, odległy o jakieś kilkanaście kroków od gromady Margijczyków, przeważnie Towarzyszy królewskich, którym Antymachos, udając się sam na najwyższy pomost, zlecił powitanie w swym imieniu dowództwa eskorty honorowej, przysłanej z Tery przez Menandra. Było niepodobieństwem, by pytanie, dopiero co przez Heliodora zasłyszane, mogło od kogoś z tej gromady pochodzić, już choćby dlatego, że odkąd przetrzymał był tak długo ich króla pod silnym deszczem, broniąc mu tak długo też, jak mógł, wstępu nocą na okręt, Margijczycy, zarówno wielmoże tubylczego pochodzenia, jak Grecy, zachowywali się niezmiennie w stosunku do Heliodora tak, jak gdyby miejsce, gdzie się znajdował, było puste; jeśli który z nich kiedy do niego się odezwał lub choćby tylko odpowiedział zagadnięty, to nie inaczej jak wyłącznie na wyraźne zlecenie swego króla. A przy tym pytanie postawione zostało cicho, nazbyt cicho, ażeby mogło zostać usłyszane na taką odległość, szczególnie iż wszyscy Margijczycy odwróceniem twarzą do ukwieconej a rozbrzmiewającej muzyką fletów galery. Wreszcie, nawoływanie się marynarzy z dolnych pokładów „Zgody Narodów” i z pokładu jedyne „Oksji” zagłuszyłyby taki głos gdyby z tego jedyne pochodził miejsca, skąd w ogóle w granicach tego, co oczywiste,

pochoǳić mógl. „Czyli — odpowiedział głosowi temu Heliodor — przychodzisz skądinąd, niż z dziedziny zjawisk oczywistych”.

Takiemu ujęciu od razu głos zaprzeczył i to żarliwie, wręcz namiętnie. Określił siebie jako zjawisko równie oczywiste, co rządy Greków w sercu Azji, z jedną jedyną tylko, a i to nieistotną, mało istotną — jak zapewniał — różnicą.

— Cóż to za różnica?

— Zaiste — powiedział bezcielesny głos, znakomicie, choć i z rozmyślną przesadą, naśladowując głos Antymacha — pytanie takie nie przystoi Tajniakowi Tajniaków.

— Już ciebie rozpoznałem i to dopiero teraz, gdyś się sztucznie odmienił. Jesteś moim ojcem.

— Który dawno nie żyje?

— Nigdy nie dotarła do mnie wiadomość o jego śmierci.

— Rzekłeś: „o jego śmierci” — nie: „o twojej”. Czyli jednak nie jesteś pewien słuszności swego rozpoznania.

— Jestem coraz pewniejszy.

— Toś pełen sprzeczności w sobie. Gdybym naprawdę był twym ojcem, musiałbym teraz ubolewać nad tym, żem cię noworodka uznał był, pozwolił ci żyć i wychował.

— Ileż razy ja sam nad tym właśnie ubolewałem!

— Naprawdę? Zawsze mi się wydawało, że udajesz tylko sam przed sobą to ubolewanie.

— Gdybyś miał słuszność, nie byłbym dziś tutaj.

— Co jednak robi z Greków serce Azji! Gdzie twe zdolności rozumowania, ziomku Sokratesa? Przystawiasz, mieszasz człony najprostszego wywodu. Bo prawda wygląda tak: to, że jesteś dziś tutaj, tego właśnie dowodzi, że miałem chwilę temu słuszność.

— Czyli że to nie wstyd, iż takiego mam ojca, zaprowadził mnie tutaj?

— Jeśliś twym ojcem, powinienem być bardzo urażony teraz.

— Dawnoś powinien być być.

— Nigdy jednak tak jak teraz. Nic bowiem tak nie boli, jak zniewagi, od kaleki pochodzące.

— Jestem kaleką?

— Jeszcze jakim! Najwyższe budzącym politowanie i najwyższą też odrazę. Bo żebyś przynajmniej nie miał

ręki albo nogi, albo i dwu nóg nawet. Ale nie mieć odbicia

— Odbicia? Widzisz sadzawkę gimnazjonu żołnierzy tu na dole? Patrz dobrze: nachyliłem się, widzisz w wodzie moją głowę?

— Znów zawołam: co serce Azji zrobiło z Greków? Jestem samym tylko głosem, więc nie mam oczu, jakżebyłem mógł zobaczyć sadzawkę czy cokolwiekbądź?

— Jakże więc możesz twierdzić, że nie mam odbicia?

— To już lepiej. Ale ja nie o ciała odbiciu mówiłem.

— Tylko duszy?

— Też jesteś platonik, jak Leptynes? Czy tylko brakuje ci słów, i o milionach milionów płatków śniegu, topniejącego przez wieki i wieki i wieki na szczytach wielkich gór, powiadasz: rzeka Oksos?

— To nie ty mówisz i nie teraz. Słyszałem to od kogo innego i kiedy indziej.

— Od kogo? Kiedy?

— Nie wiem. Nie pamiętam.

— Rozumiem, a rozumiejąc, przestaję ci się dziwić, że nie wiesz także czy może raczej nie pamiętasz, dlaczego by miał Antymachos pragnąć skrycie, byś dowiódł, że Leptynes nie jest Leptynesem.

— A jest czy nie jest?

— Zapytaj go.

— Tyle razy pytałem.

— Kłamiesz. A raczej nie: mówisz tak właśnie, jak przystoi, gdy się nie ma odbicia. Tyś nigdy nie zapytał Leptynesa, kim jest. Tyś wciąż dochodził tylko, jest czy nie jest tym, kim ty go chcesz mieć.

Flety rozbrzmiewały już na pokładzie „Zgody Narodów”, nie „Oksji”. Z mniejszego okrętu na większy przezucono girlandy. Eskorta honorowa szła już schodami ku pokładowi komnat królewskich z wielkim chrzęstem długich zbroić siatczanych i blaszanych proporczyków. „Sami Sogdyjczycy!” — zdumiał się Heliodor. I nagle zrozumiał: Menander go uprzedził; zwołał samorzutnie do obrony pogranicza tubylczych wielmożów.

— Żebyż jeszcze wyręczył ciebie, obsadzając zapórę nawodną ochotnikami spośród pańszczyźnianych! — odezwał się znów bezcielesny głos.

Lecz nim Heliodor zdążył odpowiedzieć, usłyszał inny



głos, wołający go po imieniu, tym razem nie bezcielesny, ale jak najbardziej przeciwstawnie obleczone w cały ogrom tuszy Teofila. Największy jego wróg, jak to kiedyś był powiedział Dionei, zbliżał się z uśmiechem, tak przyjaznym, że wypadło pożałować, iż się nie ma przy sobie żadnej broni.

Okazało się jednak, że Teofil nadchodził, a raczej nadciągał, niczym okręt, przeciw prądowi płynący, nie ze zdradzieckim ciosem, tylko z gorącą prośbą: oto chciałby brać udział — choćby najbardziej nawet bierny — w przesłuchiowaniach młodzika, co się podaje za syna mistrza Orestesa. Mógłby, oczywiście — zaznaczył — starać się o prawo do takiego udziału poprzez króla Margiany, ale woli teraz zaciągnąć dług wdzięczności u wielce znakomitego i tak wielce też zasłużonego Towarzysza głowy dynastii.

— Teraz? — powtórzył Heliódor.

A po chwili, nie nadto długiej, ale też i nie nazbyt krótkiej, dodał:

— Dawnośmy się nie widzieli, nieprawdaż?

Na co Teofil:

— Daruj, ale nie wolno mi było ciebie widzieć tak długo, pókim nie wykrył rzeczywistego zabójcy króla Eutydemosa.

— Wykryłeś? Ty?

— Bardzo niechętnie tym się zajmowałem — potrząsnął Teofil głową ze smutkiem, jeśli udanym, to wprost znakomicie — bo gdy się jest na jednym pokładzie z samym Tajniakiem nad Tajniakami... rozumiesz?... Ale cóż mogłem zrobić? Był taki rozkaz, musiałem go wykonać.

— Czyj rozkaz?

— Kobiety, którą kocham.

Heliódor z trudem pohamował cisnący mu się na usta śmiech. Teofil kocha jakąś kobietę? Z takim wyglądem? Może jeszcze oczekuje wzajemności?!

— Któż to jest? — zapytał, wysilając się, by głosowi swemu nadać jak najwięcej powagi.

— Ta kobieta?

— Nie, ten zabójca.

Teofil westchnął, wzniosł ku bezchmurnemu niebu smętne spojrzenie.

— Tajemnica stanu — szepnął.

— Przede mną tajemnica?

— Do czasu.

— Z czyjej woli?

— Króla Wielkiego — odparł raczej posępnie grubas i błysnął Heliodorowi w oczy pierścieniem, który dłuższy czas zdobił palec młodzieńca, co raz był Agatoklesem, kiedy indziej Spitamenesem.

Heliodor uczuł, że blednie. Oto znajduje się już całkowicie na łasce swego zaciętego wieloletniego wroga.

Opuścił spojrzenie ku deskom pokładu i starając się nie widzieć odrażających raczej palców nóg Teofila, zapytał:

— Czy jestem jeszcze kierownikiem służby bezpieczeństwa na okręcie?

— Póki taka jest wola boża — odpowiedział, znów z westchnieniem tamten.

Heliodorowi nic innego nie pozostawało, jak zaproponować wspólne udanie się natychmiastowe do Leptynesa. Teofil przystał. W drodze zapytał:

— Czy jest może rzezańcem?

Domyślając się, że pyta o Leptynesa, Heliodor powołał się na orzeczenie zaprzeczające Inda.

— To dziwne — mruknął grubas.

— Aż dziwne?

Teofil zmienił nagle przedmiot rozmowy. Powtórzył swe życzenie nie mieszania się czynnie w przebieg dochodzeń, prosiłby jednak uprzejmie — jak to z naciskiem sformułował — kierownika służby bezpieczeństwa o przysługę: podobno Leptynes przetłumaczył jakiś wiersz z któregoś z barbarzyńskich języków. Otóż on, Teofil, chciałby dostać na piśmie tekst tego tłumaczenia, z tym jednakże, iżby Leptynes nie wiedział, że tekst ten został zapisany.

— Czy zaraz?

— Nie, dopiero potem jak się dobrze młokosowi przyjrę.

— Jak wszedł on w posiadanie pierścienia Króla Wielkiego? — zapytał Heliodora ten sam bezcielesny głos, z którym rozmawiał przedtem.

Nie odpowiedział, ale gdy znów potwornie zmęczony kilkugodzinnym przesłuchiowaniem Leptynesa, rzucił się po południu na posłanie obok Dionei, pierwszy raz, odkąd

go namawiała, by przyjął eparchiat Parykeny, odpierał jej wywód wymijająco, nie zaś stanowczym sprzeciwem.

Z miłych — miłszych niż przez wszystkie ostatnie dni — objąć snu popołudniowego wyrwało go przedwcześnie głośne dobijanie się do drzwi. Była to Dioneja.

Nie wierzył własnym oczom.

— Dlaczegoś zamknął za mną drzwi na klucz? — zapytała.

— Nie zamykałem za tobą. W ogóle nie podnosiłem się. Nie widziałem, jakeś odeszła. Gdzieś była?

— Przesłuchiwałam Leptynesa.

— Sam na sam?

— Pod pewną ochroną — uśmiechnęła się — straszdyło, niczym smok Andromedy strzegący, oraz tusza odrażająca Teofila. Czyżbyś się stawał zazdrosny? O kogo teraz? O syna, czy wciąż jeszcze o ojca?

Rozgniewał się na nią. Tak jak chyba nigdy, odkąd wyszła z lat dziecięcych. Powiedziała onegdaj, że czas czyniania bicia minął? Czy chce się przekonać, jak bardzo była w błędzie, tak mówiąc? Kobieta się rozzuchwała, gdy nie jest bita, tak go uczono, tak się wszystkich młodzieńców poucza, i słusznie. Czy on jej pozwolił pójść przesłuchiwać bezczelnego młokosa? Czy zgodził się, aby w ogóle, gdy on śpi, oddalała się? A wreszcie to kpiące powątpiewanie, malujące się teraz na jej twarzy, a dowodzące, że nie wierzy jego zapewnieniom, iż to nie on za nią drzwi na klucz zamknął! Albo może nawet ten jej wyraz twarzy to jeszcze bardziej karygodna odmiana kpiny: bawi ją niesamowicie, może tragiczne wręcz, wydarzenie tajemnicze, którego padł ofiarą? Bo czy ona w ogóle rozumie, co się stało? Ktoś pod jej nieobecność a w czasie jego snu zamknął drzwi na klucz, ale klucz w zamkniętych drzwiach tkwił od wewnątrz, czyli ten ktoś musiał ukradkiem wślizgnąć się do ich sypialni niewiadomą drogą, ale wydostać się mógł jedną tylko: poprzez górny otwór znajdujący się na wysokości dwakroć prawie takiej co jego, Heliodora, wzrost. Jak mógł to zrobić? Tylko z pomocą tylko drabinki linowej, którą ktoś inny musiał na górze przytrzymywać. Toż to nowych tysiąc zagadek, nie byle jak zapewne groźnych, a ona się zabawia, pokpiwa: a czy jest zazdrosny? a czy o ojca, czy syna? Gdyby nie była wyszła, gdyby sobie nie ubrdała, że na coś

jej udział w dochodzeniach może naprawdę się przydać, nie byłoby to się stało, co stało się Dla niego jest jasne: tamci dwaj — co najmniej dwaj — widzieli, jak wychodziła, i sposobność tę wykorzystali, by jeden z nich zakradł się do ich sypialni...

— Niemożliwe. Baliby się obudzić ciebie...

— Zapewne by mnie zabili, gdybym się obudził.

— Więc tak samo zabiliby nas oboje, gdybym nie była wyszła.

— Nie. Dwojga osób w takich okolicznościach, w takim miejscu i o tym czasie zabić niepostrzeżenie nie sposób. Tak mi się odwdzięczasz, Dionejo, za życie swe, przeze mnie ocalone? Narażając lekkomyślnie moje?

Zbladła. Splotła na piersiach ręce tak gwałtownie, że aż stawy w palcach zachrzęściły. Ale na pobladłej twarzy nie odmalowała się skrucha, tylko jakaś zupełnie obca jej dotąd zaciętość.

— Czemuś minionej nocy — zapytała, a głos jej też był niepojęcie odmieniony — nie rzucił mi w twarz podobnego oskarżenia? Też zostawiłam cię samego i śpiącego, noc zaś to jeszcze dogodniejszy czas do zabijania.

— Bo się nic nie było stało, więc czemuś miałbym?...

— Zupełnie tak byłaby mówiła w podobnych okolicznościach moja babka. Ale wielkiemu tajniakowi, ba Tajniakowi Wielkiemu, Tajniakowi nad Tajniakami nie przystoi oceniać grozy sytuacji w świetle li-tylko bezpośrednich oczywistych następstw...

— Dionejo!

— Uderzysz?

— Uderzę.

— To pozwól mi przedtem coś powiedzieć. Nie będę się broniła ani wymykała, przysięgam na Niepokalaną! Ale — uważasz? — skoro masz mnie bić, warto, by naprawdę było za co, bo inaczej później — za późno! Zamęczysz siebie zgrzyotą, iżeś podniósł na mnie rękę o byle co... Niechże więc to nie będzie byle co, dobrze? Poczekasz? Heliodorze, pamiętasz, nocą onegdaj rzuciłam ci pytanie: do czego służą hełmy? Kpiąc czy wydziwiając, raczyłeś mi wyjaśnić i to w sposób dla mnie ogromnie pożądanym. Pamiętasz też, com ci była odrzekła? Więc zechciej zrozumieć: ja się tym różnię od hełmu, żem władna czuć i to, co czuję, wyrazić; gdyby hełm też był władny, w pewnej

chwili tak jak ja teraz tobie, byłby krzyknął: nie chcę więcej, nie mogę więcej służyć za garnek na wilgotną ziemię pod kwiaty. Rozumiesz mnie? Nie? Ty, taki mądry?!...

Z trudem łowiąc oddech, a używając najbardziej ordynarnego słowa na określenie czegoś, co było przecież istotną częścią jej samej, mówiła porywczo a zarazem z wyraźnym, bolesnym wręcz wysiłkiem przełamywania w sobie ogromnego oporu: — „.... nie służy do tego tylko, com ci dawała z sobą robić, a jeszcze częściej sama z tobą robiłam przez dwa lata... A, przyznasz, że robiłam wiele, a zawsze tylko z myślą, by tobie było dobrze, by dać ci poprzez tę tak zwaną rozkosz wyraz bezmiaru wdzięczności, jaką ci jestem winna. Nie ukryję: dawanie ci tego wszystkiego dla mnie samej stanowiło rozkosz. Nigdy nie była to z mojej strony żadna ofiara, wzrok twój i słuch musiały cię na przestrzeni dwu lat pouczyć o tym równie dokładnie, jak mnie — własne odczucie. Cieszyłam się właśnie tak, jak cieszyłby się, gdyby mógł czuć, hełm, za garnek służący, jeśli by uwielbiał kwiaty tak, jak ja ciebie. Ale wcześniej czy później hełmowi z samego przyrodzenia jego tęskno by się — nie do wytrzymania tęskno — zrobiło za czułą wdzięcznością głów, które by w bojach chronił od ciosów. Tak samo, małżonku mój, i mnie też tęskno nie do wytrzymania jest za dzieckiem. Tym tęsknij, że im dłużej będzie trwało tak jak dotąd jest, boję się, iż cię znienawidzę, ba, nie tylko ciebie, nie tylko twoje, ale i swoje ciało, rozkosz i dawaną i braną, właśnie jak hełm po roku służenia za wazon pod najbardziej choćby uwielbiane kwiaty znienawidziłby i siebie, i ziemię wilgotną, i kwiaty same. Jasne? A teraz — uderz.

Nie uderzył. Zresztą, może nawet nie słyszał końcowego wezwania do uderzenia, a jeśli i słyszał, to nie bardzo rozumiał istotny jego sens. Cała bowiem jego świadomość utożsamiała się z tą odmianą pamięci, co służy za wzrok do widzenia i za słuch do słyszenia rzeczy minionych. Gnał tam i z powrotem, tam i z powrotem poprzez dwa lata, poprzez całą przeżytą rozkosz dawaną i braną — rozkosz oczu, i uszu, i skóry, i krwi, i soków z siebie, i nerwów w sobie. A im dłużej trwała ta gonitwa pamięci, tym większy ogarniał go niepokój, wręcz strach; jeśli ona tak woła o dziecko — biła na alarm jego świadomość — owszem, może to znaczyć że mówi, co myśli, ale nie ko-

niecznie wcale iż myśli tak, jak czuje. Bo czuć może coś innego zupełnie: nienasycenie. Oczywiście, powie mu: nienasycenie to natury, stworzonej do rodzenia. Zapewne mówiąc tak, powie prawdę, ale czy całą prawdę? Czy nie zatai tego, z czego zresztą może nawet własna jej świadomość sprawy sobie nie zdaje, ale co tętni potężnie w jej odczuciu, jako następstwo zawsze dawania rozkoszy tylko, nigdy naprawdę brania? Ale jeśli jest tak, czy nie brała, bo nie chciała? To byłoby jeszcze do zniesienia, ale Heliodor, czytając w jej twarzy tak, jak się czyta ze zwoju, który sam nigdy się nie dowie, co na nim jest wypisane, odkrywał jeszcze mniej znacznie dla siebie, dla swej miłości własnej, pocieszającą prawdę, niż przyznanie się do nierozbudzenia, bo prawdę o tym, że on rozkosz brał tylko, ale choć chciał dać, nie dawał.

— Co odczuwasz, gdy bierzesz mnie w siebie? — pytam o czasy ostatnie.

— Tęsknotę za dzieckiem, jużem rzekła.

— A może tęsknotę tę udajesz tylko? — zapytał takim tonem, jak gdyby w śledztwie.

— Czy kiedykolwiek w takich chwilach dałam jej wyraz?

Zmarszczył brwi, wykrzywił usta. Powiedział, że wiele rzeczy można przed samym sobą udawać. Po co, gdy źle jest, pije się wino? By sztuczną wesołością okryć niby pancerzem smutek lub lęk.

— To prawda — powiedziała, wyciągając ku niemu obie ręce — ale nawet boski Platon często mieszał z sobą przyczynę i skutek.

— Mówimy teraz o twych odczuciach, a nie o filozofii. Może czy nie może być — wedle ciebie — twa tęsknota za dzieckiem w takich właśnie chwilach pancerzem tylko?

— Może, ale...

— Bez ale. Pancerzem, co okrywającym?

Wzięła go ręką pod brodę. Cała pochyliła się naprzód, oparła głowę o jego ramię, ale tak że oczy miała ku jego oczom zwrócone. Oczy, pełne już łez. Ale usta jej nie drgały, prawie ich nie rozchyliła, gdy odpowiadała na natarczywe jego pytanie cicho, przecież wyraźnie, jednym słowem:

— Nudę.

I w lot ogarniając go rękoma wokół szyi, dodała żywo, porywczo:

— Ale ty tak samo. Tylko ja wiem, a ty nie wiesz. Więc bierzesz mnie i bierzesz albo każesz mi się brać wciąż i wciąż i wciąż w nadziei, że nuda minie. A ona rośnie. Co zaś słabnie natomiast — w tobie, miły — to moc świadomości i władza rozpoznawania. Nie krzyw się. Czy wiesz, że Mankuras nigdy dotąd nie miał kobiety?

— Nie dziw: takie straszydło! Ale...

— Bez ale. W kraju pokrak pokracznym kobietom straszydła muszą wydawać się Apolinami. Zresztą, wcale on nie jest żadną pokraką. To wprost my, Grecy, mamy ciasne bardzo pojęcie piękna. Więc nie, miły: on nie miał kobiety, bo nie chciał osłabiać mocy swej świadomości i władzy rozeznania.

— Czyli ja, wedle ciebie...

— Wedle mnie? Wedle wszystkich, nie jesteś już dawnym Heliodorem...

Pochylił głowę. Podniósł do ust jej dłoń — ucałował wewnętrzną stronę ręki.

— Nie jestem — szepnął.

— Ale ja chcę, byś był sobą dawnym.

— I na to rada? Stać się rzezańcem?

— Może. Ale ja tego nie życzę — tobie ani sobie.

— Więc?

— Zniszczyć nudę, o której była mowa.

— Jak?

— Nie pozwoliłeś mi mówić o mieszanii częstym, przez wielkich nawet mędrców, przyczyny i skutku. Nasza nuda płynie stąd, że robimy coś, co ma rodzić życie, życie to w zarodku zabijając.

— Co za mędrzec!

— Śmiejesz się ze mnie?

— Z dziecka, w tobie.

— Chcesz zobaczyć dziecko, przeistoczone w naprawdę dojrzałą kobietę?

— Znów to samo.

— I zawsze już będzie to samo, miły. Chcesz wiedzieć, kto może wytropić tajemnicę naszych drzwi, od wewnątrz nie przez nas na klucz zamkniętych?

— Kto?

— Heliodor ojciec. Albo przynajmniej Heliodor, mają-

cy zostać ojcem... kogo? Miły — to dziwne, że ja dotąd tego nie wiem — ale jak się twój ojciec nazywał?

Skierował się ku drzwiom. Uchylając je, powiedział:

— Nigdy nie będziemy mieli dziecka, Dionejo.

Uniosła się lekko na palcach. Założyła obie ręce poza głowę.

— Nie odchodź — poprosiła. — Jak zamkniesz teraz za sobą drzwi, będzie to sygnał wypowiedzenia wojny.

— Z kim?

— Między nami. Uczciwie ci oznajmiam: jeśli nie zapłodnisz mnie teraz, zaraz, ja ciebie, panie mój, zbawicielu, boże — zdradzę. Nie bo chcę, ale muszę.

— By mieć dziecko?

— Dziecko chcę — słyszysz? Chcę — mieć tylko z tobą.

— Ale nie chcąc, mogłabyś mieć je z kim innym?

— Mogłabym. Lecz nie muszę.

— Ale ze mną musisz?

— Rzekłeś.

— I z kimże to zamierzasz mnie zdradzić?

— Zapowiedziałam ci wypowiedzenie wojny. Któż zdradza przed nieprzyjacielem miejsce zasadzki, mającej rozstrzygnąć o zwycięstwie?

— Prawo pozwala zabić omalże bezkarnie niewierną żonę, Dionejo. Szczególnie zaś względne byłoby dla mnie, z czyjej łaski w ogóle żyjesz. Ostrzegam ciebie.

— Ja ciebie już ostrzegłam. Wierzę, ba, wiem: zabijesz mnie. Ale mylisz się, mniemając, że właśnie tobie ujdzie to bezkarnie, bo właśnie tobie nie ujdzie: zabiwszy mnie, wnet zabijesz siebie. Bo poza mną, twoje życie dawno już żadnego nie ma dla ciebie sensu. Obowiązki służbowe? Udajesz sam przed sobą, że coś jeszcze naprawdę dla ciebie znaczą. Znaczą coś — wiele, bardzo nawet wiele — dla Mankurasa i dla Teofila, ale dla ciebie dawno już tyle tylko, iż władnyś czymś wciąż budzić we mnie podziw dla siebie. Gdy mnie stracisz, one — te obowiązki — ciebie przy życiu nie zatrzymają. Więc też cię tak błagam: nie odchodź. Ratuj nas oboje od zguby.

— Teraz ja ci powiem, Dionejo, co serce Azji z Greków zrobiło!

— Myślę, że kto inny mówi to twymi ustami, ale to nie ważne. Zostaniesz?



— Pod pewnym warunkiem.

— Panie mój boże! — zawołała w uniesieniu. Usiadła szybko na posłaniu, ściągać zaczęła przodem lewego trzewika prawy z pięty. Równocześnie odpinała obu rękoma kłamerę nad ramieniem.

— Dziecko nasze, o ile to będzie syn... — zaczął Heliodor, ale przerwała mu znowuż w uniesieniu:

— Na pewno będzie syn. Taki, zupełnie taki jak ty, ale trochę troszeczkę i do mnie też podobny... Pomyśl! Ty i ja w doskonałej jedności...

— ...będzie się nazywał Dion, Dionejo.

Zerwała się z posłania. Przytrzymując kurczowo na ramieniu opadającą już szatę, tupnęła gwałtownie nogą, tą, która była już bosa.

— Nigdy! — zawołała.

Wnet jednak rozkładając bezradne ręce i przez to — poza jedną nogą w trzewiku — obnażając się zupełnie, powiedziała głosem, nabrzmiałym łzami:

— ...Chyba... chyba że mi zwierzysz swoją tajemnicę...

Odwracając oczy od jej nagości, a może bardziej jeszcze od jej bezradnie a prosząco rozrzuconych rąk, odrzekł: — Nie mogę, droga. Prawdę rzekłeś: życie, poza tobą, żadnego już nie ma dla mnie nie tylko uroku, ale właśnie sensu. Więc nie władnym pozwolę sobie na ryzyko utracenia ciebie.

— Heliodorze, łaski! Ja prawie już kocham innego mężczyznę.

— Póki tylko „prawie”, mam z czym i o co walczyć. Będę walczył — powiedział, nieodwołalnie już kierując się ku drzwiom. Zamykając je za sobą, dodał raz jeszcze:

— Co serce Azji robi z Greków!

— Nieprawdaż? — odezwał się znów ten sam, co przed południem, bezcielesny głos. — A starałem się ciebie, głupcze, od wyprawienia się do Azji powstrzymać.

— Teraz już na pewno nie zaprzeczysz, że jesteś moim ojcem.

— Jeśli tak bardzo tego chcesz, nie zaprzeczę.

— Czy musimy z sobą mówić? Mam tyle pilnych spraw...

— Ależ ja mówię tylko wtedy, gdy ty sam tego chcesz.

— Mogę więc nie słyszeć ciebie, gdy nie zechcę?

— Mógłbyś, ale nie jestem pewien, czyś władny nie chcieć.

— Czyli słyszę ciebie, bo chcę?

— Tak to wygląda.

— Ale czy muszę chcieć?

— Chyba tak.

— Dlaczego?

— Najprawdopodobniej z nudy. Tej, o której żona ci tyle chwilę temu mówiła.

— Podśłuchiwałeś?

— Wyczuwam wyrzut w twym pytaniu, ba, oburzenie. Jużes zapomniał, żeś życzył sobie, bym był twym ojcem?

— Istotnie, musiałem zapomnieć. W samej rzeczy, taki łądak nad łądakami...

— A syn — tajniak nad tajniakami. Naprawdę wierzysz, że jest między nami jakaś różnica?

— Nie zdradziłem nigdy za złoto tych, którzy mi zaufali.

— Takiś pewny? Dioneja niekiedy chodzi boso, to prawda, ale niezmiernie rzadko, na ogół zaś ma na nogach coraz to inne obuwie a zawsze kosztowne bardzo. I to przez wiele, wiele już lat. Czy to wciąż podarunki szewców?

— Nie, to wciąż zakupy robione za to, com uczciwie zarabiał.

— Jak dalece uczciwie, o tym też można by wiele mówić, ale to na razie zostawmy. W tej chwili ciekawi mnie co innego: cośkolwiek zarobił, było ci wypłacane na przestrzni wielu lat ze skarbcza Eutydemidów, nieprawdaż? Lat zaś tych mija blisko trzydzieści. Czy nie myślisz, że gdyby wszystko to jednorazowo ci zostało wręczone, nie byłoby tego wcale mniej, niż to, co mi Antiochos Seleukida dał...

— ...za wydanie zdradziecko w jego ręce na mękę i to haniebną mękę Achajosa.

— A toś ty, synku, nie zdradził z kolei tegoż Antiocha Seleukidy na rzecz Eutydemidów?

— Też porównanie

— Czy aż takie złe, racz sam osądzić. Wgryź się tylko dobrze pamięcią w czas, gdy tenże Antiochos oblegał Baktre. Byłeś jego rękodajnym...

— Płacił ci także i łaskami dla mnie za ohydną zdra-

dę, za wydanie Achajosa. Nie mogłem tego znieść — zbiegłem.

— Tym samym popełniając również zradę. Antiochos ufał swemu młodziutkiemu rękodajnemu.

— Czy wydałem go w ręce wroga?

— Żadnych szczegółów o tym, co w obozie Antiocha się działo, nie zwierzyłeś Teodorowi?

— Już wtedy było zawarte zawieszenie broni.

— Ale tyś o tym nie wiedział, z obozu Antiocha uciekając.

— A jednak to nie to samo! Nie może być to samo! Czy przez moją — jak to bzdurnie nazywasz — zradę poszedł Antiochos na mękę? Zawarł korzystny dla siebie i zaszczytny układ z Eutydemosem; odszedł spod murów Baktry jako wspaniałomyślny zwycięzca.

— A tak. Antiochos odszedł spod murów Baktry.

— Rzekłeś.

— Ale czy odszedł też ów strażnik, który cię przytrzymał w pobliżu przedniego okopu, ale rozpoznawszy, puścił wolno? Nawet rozpoznanego jednak nie byłby tak łatwo puścić, gdybyś mu nie był nabajał, z jakim to poleceniem wysłał ciebie w stronę przedniego okopu Antiochos. Uwierzył, biedaczyna, rękodajnemu królewskiemu, i wiesz, co się z nim stało? Lamentujesz wciąż nad męką okrutną a haniebną Achajosa, a myślisz, synku, że lęk i ból strażnika, któregoś zwiódł, był mniejszy niż Achajosa?

— Nie obiecywałem strażnikowi, zamierzając go zwieść, żem przybył go ocalić.

— To, oczywiście, wciąż jeszcze nie czyniło lęku czy bólu strażnika mniejszym. Ale zgódźmy się, żeś oto wskazał na istotną różnicę między swoją ofiarą a moją. Pozwól, że ci się odplacę wskazaniem innej jeszcze różnicy.

— Jakiej?

— Strażnik to był żołnierz karny, a wierny, a przy tym skromny. Tak skromny, że nie ośmielił się wątpić w to, co mówił rękodajny królewski; tak karny, że się bał przeszkodzić wykonaniu rozkazu, z którym rzekomo zostałeś wysłany; tak wierny iż nie byłby zdolny niewierności podejrzewać w kimś z najbliższego otoczenia królewskiego. Achajos zaś, nim ja go zdradziłem, zdradził był tegoż samego Antiocha.

- Nie dla pieniędzy.
- Dla sławy, dla sławy.
- To jednak nie to samo.
- Ale dlaczego ty bierzesz od Eutydemidów pieniądze, wydając w ich ręce szpiegów i zdrajców?
- Dynastia wynagradza mnie za wierną służbę.
- Za wierną również służbę wynagrodził mnie Antiochos.
- Ja nie mówię szpiegom masageckim, jak ty Achajowski: „Jestem wasz przyjaciół”.
- Nie powiedziałaś „Kocham” tej, która potem drgała na palu?
- Mówiłem, zanim się dowiedziałem...
- Nieprawda. Właśnie tuż potem, jakieś ją pochwytił na użyciu masageckiego zwrotu w sogdyjskim niby szepcie miłosnym, zapytała cię: czy ją kochasz? Coś jej odpowiedział?
- Jeśli o tym wiesz, nie jesteś moim ojcem, jesteś mną samym. I z sobą to ja — z nikim innym — cały czas tu teraz rozmawiam.
- Nie mówię: tak. Ale i nie przeczę.
- Czemuż jednak miałbym sam do siebie mówić?
- Zapewne, ponieważ nikomu, poza sobą, nie ufasz. Taki już los Tajniaków nad Tajniakami. A poza tym może wciąż właśnie z nudy. Tej, o której Dioneja mówiła.
- Jeśli tak, to wielka to szkoda. Bo właśnie miałbym chęć na dłuższą rozmowę z ojcem.
- Ze zdrajcą, sprzedawczykiem? Winszuję: zaczynasz odzyskiwać odbicie. Mówże z nim, ile ci się tylko zapragnie, wszak nosisz go w sobie, tak jak ciebie nosiłby w sobie syn Dionei, którego jej tak lekkomyślnie odmawiasz.
- Lekkomysłnie?
- Jasne. Syna tak czy owak mieć będzie. Jak nie z tobą, to...
- Z kim?
- Zaiste — zaśmiał się bezcielesny głos i znów się upodobił, choć i z przesadą też ponowną, do głosu króla Margiany — pytanie takie nie przystoi Tajniakowi Tajniaków. Choćby nawet — dorzucił bez śmiechu już, posępnie,omalże ze smutkiem — byłemu już tylko.
- To się pokaże jeszcze, czym tylko były już — z zawziętością odparł Heliodor i skierował się ku drzwiom,

spoza których rozlegał się głos Mankurasa, mówiący właśnie: — I zawołał Diomedes do Ateny, stojącej przy nim na wozie bojowym: „Jak mogę ciskać groty śmiercionośne w pierś Hektora czy Ajneosa, którzy godni są, bym boską oddawał im cześć? Zamiast zabijać ich, czy nie lepiej by było dla mnie stać się żebrakiem choćby nawet, bo gdy ich zabiję, wszelka rozkosz i dostatek wszelki okupione będą krwią...”

— Tego nie ma w piątej pieśni — na odmianę to już był głos Leptynesa, zdumiony a zarazem rozdrażniony — ani w ogóle w Iliadzie. Ani w żadnym greckim poemacie...

— Ale może powinno by tam być? — to był znów głos Inda.

— Ja powinienem być teraz w objęciach ojca, a tymczasem — tym razem był to już głos opryskliwy — zamęczają mnie tu jakimś niby śledztwem, a w istocie głupawą a tchórzliwą troską starczą, by mię pod pozorem zmyślonych zbrodni stanu głęboko pod wodą ukryć od głodnych spojrzeń młodej a pięknej kobiety. Niechże się stary nadaremnie nie trzęsie: należą wszystkimi myślami i uczuciami do innej kobiety. Na całe życie, na zawsze.

Zamiast wejść, Heliodor zawrócił i odszukawszy Dioneję na tarasie, powtórzył jej, co dopiero usłyszał. Zaśmiała się, ale w sposób, który mu się nie nazbyt spodobał, więc nalegał: „Nic na to nie powiesz?”

Powiedziała, choć nie od razu: „Nikt mnie nigdy dotąd nie nazwał piękną. Nawet ty. Ten dzieciuch może i w samej rzeczy nie jest rzezańcem, ale za to na pewno — ma kataraktę na oczach”.

— Błądzisz. Wielokrotnie cię piękną nazywałem i to szczerze.

— Ale w takich chwilach tylko, w jakich on mnie nigdy nie widział. Może to strój tocharyjski tyle uroku mi dodaje? Ale widział mnie już też i w zwykłym. Więc?

Heliodor nic nie odpowiedział. Uporczywie wpatrywał się przed siebie, nagle drgnął. Daleko, daleko — ale nie na brzegu lewym czy prawym, tylko tuż na wprost błysnęło jedno światelko, potem drugie, trzecie, czwarte, cały rząd.

— Zapora nawodna — szepnął.

— Twoja zapera nawodna — poprawiła Dioneja głosem w którym silne rozbrzmiewało wzruszenie. Wzięła jego rękę i przycisnęła mocno do swej piersi.

— Więc wojna jednak nie jest wypowiedziana? — zapytał.

— Jest. To był tylko hołd, złożony wielkości myśli przeciwnika.

Światła zbliżały się, rosły. Było ich coraz więcej. Zdawało się, że całe pogranicze wodne od chorazmijskiego brzegu po masagecki zaryglowane jest olbrzymią sztabą jednolitą rozżarzonego w kuźni bogów żelaza.

Menander wykonał, co Heliodor doradził. Nie musiało więc jeszcze być aż tak źle z mocą świadomości męża Dionei. Ale dumne, radosne te myśli nie znajdowały oddźwięku w jego odczuciach. Przeciwnie: przyszłość najbliższa, nadciągająca w postaci linii świetlistej, łączącej dalekie a oba poza nią wrogie już brzegi, napawała go niepokojem. Większym nawet — ze zdziwieniem to stwierdzał — niż wypowiedzenie wojny przez Dioneję. Po latach, gdy było już po wszystkim, przypomniał sobie, a zaraz też i jej: „Dobre miałem wtedy przeczucie, przyznasz, znawczyni bożych dziwactw?”

— Czy aby na pewno bożych? — odparła czule się uśmiechając i tuląc do jego piersi. — Wiesz, czemu Magowie taką rozmaitością piekieł za chodzenie boso grożą?

— Wiem. By to, co gniciu podatne, nie kalało łona nieśmiertelnego ziemi.

— Sama tak kiedyś myślałam, tylko odwracałam rozumowanie. Ale dziś myślę inaczej: zakaz ten zrodził się z lęku przed węzami.

— Ciekawym, co będziesz na ten temat myślała za dziesięć lat od dziś.

— To samo, co teraz. Ale Diona, bojąc się by go wąż w piętę nie ugryzł, będąc pouczana o różnicy między naturą ziemi a ludzką.

— Tak jak magowie, czy w myśl odwróconego rozumowania? Odpowiedz teraz, bo za dziesięć lat mnie już nie będzie.

— Będziesz. Wiesz, że będziesz.

— Wiem. Tak jak Bolis jest teraz we mnie.

— A starszy Dion we mnie. W młodszym zaś Dionie jesteśmy z tobą oboje.

— A jak niewiele brakowało, by nie było! Bardzo niewiele. Więc się też nie dziw, że tak sławię wielką twą wiedzę boskich dziwactw.

— Tylko ją?

— A i to też, że jesteś piękna.

— Ale na to trzeba było ci otworzyć oczy?

— Na to trzeba było przede wszystkim zapłonąć uprzednio miłością do córki rzekomej króla — jak się on nazywał?

— Kao Tsu.

— Nie.. Liu Ki...

— Kao Tsu, mówię.

— A ja mówię: Liu Ki. Albo Liu Tsi czy coś w tym rodzaju. Mam dobrą pamięć.

— Ja też. I ona mi podpowiada: Kao Tsu. Cóż to za Dzeusowe marszczenie brwi? Czy mam znów, jak tak dawno już temu, rzec ci: przeoczyłeś czas właściwy zachyznania bicia żony?

— Liu Tsi...

— Kao Tsu...

Zapomnieli, że mieli słuszność oboje. Że gdy Teofil oszałamiającym wyznaniem wprowadził do świadomości dwojga Greków i jednego Inda osobę, zowiącą się Liu Ci, znaną sobie jako pogwałcony i ledwie z życiem uchodzący, przegrany w wielkiej rozgrywce awanturnik, ta sama to była osoba, co znany Leptynesowi z pośmiertnego już tylko imienia Kao Tsu, władca potężny a szczęśliwy, pogromca tych, co go na oczach Teofila byli owszem i pogwałcili, ale nie zniszczyli: z nadmiaru pychy — mówił Teofil; z bezmiaru wspaniałomyślności — unosił się Leptynes. Ci, którzy ich sporowi się przysłuchiwali, skłonni byli w jednakowym stopniu wierzyć lub nie wierzyć jednemu i drugiemu. Był to bowiem dla Heliodora, Dionei i Mankurasa spór trochę jak gdyby za przejrzystym a grubym murem prowadzony: śledzić go da się doskonale w każdym najdrobniejszym szczególe, ale nie sposób dociec, o co właściwie się toczy. I jak pokłóceni za takim murem, tak też łącznie Teofil i Leptynes wydawali się świadkom sporu istotami z jakiegoś zupełnie innego świata; równie dobrze mogliby i z równym żarem wysuwać — jeden karygodną, z pychy wielkopańskiej zrodzoną po-

błażliwość; drugi chwalebna rycerskość, do samozaparcia się, ba, do ofiary z siebie gotową — jako motywy istotne zachowania się w takich a takich okolicznościach takich a takich spośród mieszkańców księżycy czy innej jakiejś planety; kto by zaś raz w takim świecie nadniebnym znalazł się a wrócił — z nikim by już nigdy pobratać się nie mógł, chyba tylko z takim, kto tę samą odbył kiedyś podróż: choćby nawet był to przedtem wróg jego czy prześladowca, czuliiby się z sobą lepiej, niż każdy z nich z matką rodzoną. Heliodor później dopiero się dowiedział, że ledwie Leptynes znalazł się na pokładzie „Zgody Narodów” Teofil od razu gorąco doradzał Antymachowi poniechanie przewlekłego śledztwa, pośpieszne wydanie wyroku i wbicie szpiega na pal lub co najmniej utopienie; obstawał też przy tych swych radach uporczywie dzień w dzień, aż się zwąchali, przypadkiem właściwie, prześladowca i ofiara, jako tych samych baśniowych światów bywalcy, i w oka mgnieniu wszystko się odmieniło: okaziciel kolejny pierścienia Króla Wielkiego obstawił młodzika, którego jeszcze tak niedawno najchętniej by widział rzucającym się w drgawkach przedśmiertnych na palu, wygodami, wręcz przepychem. Gdy Heliodor podnosił nazbyt niekiedy głos w czasie śledztwa, Teofil, zawsze już teraz obecny, przypominał mu rozkaz królewski: „Żadnych tortur”, a kiedy śledczy rzucał na niego wzrok gniewny, w którym malowało się niedwuznacznie: „Czy oszalałeś?” — tamten nie raczył mu nawet spojrzeniem podobnym się odpłacić, ale słał je — wymowne, porozumiewawcze — ku podsądnemu, jak gdyby chciał mu powiedzieć: „Cóż ktoś tu poza nami, którzyśmy tam — właśnie tam! — byli, zdoła wiedzieć o rzeczach tak subtelnych, jak to na przykład, że i głos podniesiony stanowić może torturę nie do zniesienia?!” Spierali się, to prawda, ale już to samo, że władni byli — tylko oni dwaj byli — różnić się, choćby ostro nawet, w poglądach na motywy postępowania istot, mogących nosić takie imiona jak Siang Ju albo Siang Po, zbliżało ich do siebie tak bardzo, iż Heliodor wyprawił się do Antymacha na skargę, wzmocnioną oświadczeniem, że nie może dłużej dźwigać na sobie brzemia odpowiedzialności za osiągalność podsądnego, przeciwnie, wcale się nie zdziwi, jeśli się nagle okaże, iż rzekomy Leptynes pod ochroną błysków pierś-



cienia Króla Wielkiego odbija barką, może ukwieconą, od „Zgody Narodów” bezpiecznie i beztrzesko, ba, w towarzystwie nawet eskorty honorowej. Na które to oświadczenie odpowiedzią znów było: „W to śledztwo ja się nie mieszam”.

Tym razem jednak po uderzeniu nastąpiło pocieszenie. „Czemuś nie zagroził Teofilowi pociągnięciem do odpowiedzialności za fałszywe zeznania, złożone ci kilkanaście lat temu?”

Rada ta była iście królewskim darem, ale bardzo też Heliadora przygnębiła. Czyżby w samej rzeczy był już tylko wspomnieniem, cieniem siebie dawnego? Czyżby naprawdę miało dziać się z nim wedle słów Dionei, iżby marnotrawstwo cielesnych soków życiodajnych w walce nieustannej z nudą zbliżeń miłosnych, sobie samym służących, a nie płodzeniu, spowodowało w nim upadek mocy świadomości i władz rozpoznawczych? Antymachos miał zupełną słuszność, ale Heliador powinien był sam na to wpaść, iż zdumiewające wyznanie Teofila było zarazem przyznaniem się do popełnionego przed laty krzywoprzysięstwa.

Co prawda — próbował z kolei jednak usprawiedliwiać siebie — może by i sam był na to wpadł w chwili właściwej, gdyby chwila ta przypadła kiedy indziej a nie tuż zaraz prawie potem jak dał się być, wpatrzony w linię światła na wodzie przy Terze, ogarnąć przecuciu tak złowieszczemu, że — mało rzec: prosić — błagać ją Dioneję, by cofnęła swe wypowiedzenie wojny, by nie gubiła ni jego, ni siebie. Błaganie tyleż osiągnął, co poprzednio próbami zastraszenia jej: albo niech dziecko ich, powiedziała, nosi imię, jak to każdemu wolnourodzonemu Grekowi przystoi, takie jak jego, Heliadora, ojciec, albo też, niech zwierzy się przed nią Heliador ze swej tajemnicy. Zresztą — dodała, odwracając znów od niego twarz ku światłom na rzece — musi go uczciwie ostrzec: nie jest jeszcze to dla niej samej zupełnie pewne, ale boi się, że może teraz już to i nawet na spełnienie przezeń któregoś z tych warunków byłoby za późno! Prosi ją, błaga? Czy nie prosiła go, nie błagała popołudniu, by nie wychodził? Czy go nie ostrzegęła wówczas, że jeśli teraz, zaraz zatrzaśnie za sobą drzwi, wojna między nimi będzie nieodwracalna?

Zaśmiał się, choć i z wielkim przyszło mu to trudem. Śmiejąc się, powiedział, że może to szkoda, iż takich ostrzeżeń, równie uczciwych, nie była władna skierować doń wówczas gdy niemowlę przy piersi Aspionii, kryła się za świeżym murem wsi królewskich pańszczyźnianych.

— Albo też — wyraźnie starała się wpaść dokładnie w jego ton — przynajmniej przed wysłuchaniem pierwszego z wykładów na temat, co godzi się wiedzieć przyszłej żonie Heliodora, których to wykładów przypomina mu — udzielała jej jego ówczesna, a poprzednio króla Antymacha nałożnica.

— Zaczynam żałować, żem ci pozwalał czytać Platona bez wyboru. Bzdury o równości płci w księdze piątej „Rzeczypospolitej”...

— Czy nie unosisz się nad tymi samymi bzdurami z zachwytem jeszcze onegdaj gdy ci rzekła, przyjrząwszy się pierwszy raz Leptynesowi, że to i Grek i nie-Grek zarazem? Źle z twoją pamięcią, o miła.

— I z twoją, o miła. Jeszcześ tak niedawno nazywała mnie panem, władcą, zbawcą, bogiem, a siebie — moim dziełem...

— Czytałam o takim bogu, który stwarzał a przeciw któremu jedno z jego stworzeń — bodajże najwspanialsze — zbuntowało się, wołając „Nie będę służyć!” Komentatorzy księgi świętej, w której zostało to opisane, wciąż się spierają, na kogo spada właściwie za bunt ten wina: na stworzenie czy stwórcę?

— A ty sama, co uważasz?

— Powiem ci, gdy skończy się nasza wojna.

— Może wtedy już nie zdążysz?

— Na kilka słów, choćby nawet już przedśmiertnych, zawsze jest czas. Ale czy masz już jakiś domysł co do tego, kto mógł od wnętrza zamknąć na klucz naszą sypialnię?

— Na szczęście, jeszcze nie mam.

— Na szczęście?

— Bardzo się tego domysłu boję.

— Nie rozumiem. Czego się boisz? Tego, aby się domysł nie okazał słuszny?

— Nie może okazać się słuszne coś, czego jeszcze nie ma.

— Ale się też nie można tego, czego jeszcze nie ma, bać.

— Nigdyś się nie bała nadciągającej burzy?

— Więc twój domysł to coś, co dopiero nadciąga?

— Już nadciąga.

— Skąd?

— Obawiam się, że stamtąd — mruknął, wskazując prawą ręką ku zbliżającej się linii świetlnej, a lewą biorąc żonę pod ramię: — Mogę, wrogu? — zapytał.

Zamiast odpowiedzieć, położyła na tej jego ręce swoją też lewą.

Po dłuższym milczeniu powiedziała: — To jednak źle, że stało się między nami tak, jak się musiało stać.

— Musiało?

Oderwała rękę, wyrwała mu ramię, odwróciła od światła na rzece twarz, spojrzała mu wprost w oczy. Tonem drwiny a zarazem wyrzutu zapowiedziała mu, że jednak pozna jego tajemnicę, choć — niestety — stanie się to za późno.

Wypomniał jej, iż nie za długo przed alarmem, spowodowanym przez wiadomość o nadciąganiu Leptynesa, zapewniała go, iż nie chciałyby poznać jego tajemnicy inaczej, niż tylko otrzymując ją w darze od niego samego.

— Ależ ja o tym właśnie mówię — zawołała, znów odwracając ku rzece oczy, w których ponownie już lśniły łzy: — Dar ten otrzymam, jestem tego pewna, ale powtarzam: za późno, niestety.

— Chodźmy posłuchać Leptynesa.

Poszli. Tuż przed drzwiami prowizorycznego więzienia natknęli się w półmroku na Teofila, który głośno wołał:

— Wielki szaleje wiatr i lecą po niebie chmury. Kiedy uległo mej władzy wszystko w granicach czterech mórz, otom wrócił do wsi swej rodzinnej. Jakbym zapewnić miał sobie walecznych, by bronili ...?...

— Czy granicy północnej? — przerwała mu Dioneja. — Tylko powołując pod broń tubylców. Ale to ja, nie ty, Teofilu, wracam do wsi swej rodzinnej. Chmury jednak po niebie nie lecą, a jeśli co szaleje, to nie niebo, tylko...

— Ja? — krzyknął grubas. — Rzekłaś: szaleję!... Ten wiersz, ten wiersz...

— Jest raczej zdecydowanie zły.

— Jako grecki wiersz, być może. Ale czy to ważne? Wiesz, kto go wymyślił?

— Domyślam się. Jakiś barbarzyński pieśniarz, któremu jakieś barbarzyńskie też książątko w nagrodę za te wypociny dało barana i pół wiadra kobyłego mleka...

— Książątko barbarzyńskie! Król wielki, król królów! Leptynesie — zawołał, uchylając drzwi — jacy władcy podlegali temu, czyj wiersz przetłumaczyłeś?

— Władcy królestw Han i innego jeszcze Han i Czou, i Czhu, i Tsin, i Nan Ju, i Tsu, i Huai Nan, i Jen, i...

— Co to za zabawa? — zapytała Dioneja męża.

— Zapomniałeś o Liang, i o Tai, i o Czaó — triumfując zawołał Teofil. — Jak się ten król królów nazywał?

— Kao Tsu albo też Kao Ti...

— Ti to nie imię, to tytuł — ogromnie zadowolone z siebie poczucie wyższości brzmiało w tonie Teofila. — A i Kao Tsu też mi na imię własne nie wygląda... Czy on się w rzeczywistości nie nazywał Siang Ju?

— Nie — zawołał Leptynes w najwyższym podnieceniu. — Odwrotnie, Siang Ju mu uległ po wielu latach zaciętych bojów, a gdy on uległ, nikt już ani mógł ani chciał tamtemu się opierać... Ale ty skąd możesz o tym wiedzieć? Znać samo imię Siang Ju?

— Imię? Znałem go osobiście.

— Gdzie, Teofilu? — wtrąciła jakoś dziwnie nieśmiało tym razem Dioneja.

— Tam, skąd dostajemy białą miedź i jedwab.

— W mieście Psiogłowców? — wyrwało się obojgu małżonkom naraz.

— Psiogłowcy? — zdumiał się Leptynes. — To by musieli być ci, co zamieszkują Psie Głowy, ale miejscowość o tej nazwie na zachodzie dalekim, nie zaś na wschodzie się znajduje. Tam to rozgromili Rzymianie Filipa Antygonidę, króla Makedonii, w tym samym dokładnie dniu, gdy...

— Już cię mam! — krzyknął — nie — wrzasnął Heliodor, rzucając się ku Leptynesowi z jakąś młodzieńczą iście pasją, chwytając go za ramiona i potrzącając nim jak gdyby był wielką kukielką z teatrzyku, trocinami wypchaną. — Już mam! Nareszcie! Wciąż myślałem: przyłapać go raz na kłamstwie, na sprzeczności... Wciąż liczyłem, że przecież kiedyś zawiedzie go pamięć... zapomni, że mó-

wił co innego... Więc to Filipa Antygonidę, nie Antiocha Seleukidę rozgromili Rzymianie? I to pod Psimi Głowami, nie pod Magnezją?

— Mówię prawdę — szarpał się w jego uchwycie Leptynes. — Świętą prawdę... Wcale sobie nie przeczę, nie zawiodła mnie pamięć... Rzymianie pobili obu, i Filipa, i Antiocha... Nie tylko kłamać, mylić się tu nie mogę: przyszedłem bowiem na świat właśnie w dniu bitwy pod Psimi Głowami, wielokrotnie ojciec mi to powiadał... Takiej rzeczy się nie zapomina, nie sposób zapomnieć...

— Wszystkich na świecie Rzymianie biją? — szydził Heliodor, ale z coraz malejącym już przekonaniem. Nie trząsał już Leptynesem, ale wciąż jeszcze wpijał mu się palcami w ramiona poprzez jedwab kosztowny dwu szat.

— Biją — przytakując Leptynesowi, wtrącił Teofil. — Daj pokój chłopakowi, nie kłamie. Rzymianie w Europie pobili Filipa, poszli do Libii i pobili Hanibala, poszli do Azji Mniejszej i pobili Antiocha. A wszystko ze strachu. Gdy strach ten jeszcze się zwiększy, przyjdą tutaj i nas też pobiją. A jak wszelkie przejdzie już normalne ludzkie ów strach granice, to zajdą aż pod Sien Jang, ale co myślisz, chłopcze, to już nie jest takie pewne, prawda, że pobiliby tak łatwo jak wszystkich innych, i takie też wojska, jak te, co stały z Siang Ju w obozie w Hung-Men?

Któremu to pytaniu towarzyszyło prawie już przyjazne porozumiewawcze spojrzenie — pierwsze z tych jakich od-tąd miało być bez liku, a jakie Heliodor nazywał sygnałem bratania się bywalców na księżycu. Żeby jednak stało się wystarczająco do bratania się ciepłym, spojrzenie takie musiało pierwiej zjednoczyć się z tym, ku któremu było kierowane, we wspólnocie drwiny z tych, co na księżycu nie bywali. A to nie zaraz nastąpiło, dopiero gdy Dioneja bezwiednie siebie, a wraz z sobą i męża i w ogóle świat swój na drwinę dobrowolnie wystawiając, zapytała ze zdziwieniem:

— Czemuż więc mówimy o owym mieście, które obaj, widzę, znacie, a skąd właśnie i miedź biała i jedwab przychodzi — Psiogłowców miasto?

— Miasto? — zarechotał Teofil, wprost już Leptynesa do wspólnoty w szyderstwie zapraszając. — Co oni wiedzą?... Zasłyszał ktoś kiedyś w Iledonie o królestwie Tsín,

a zapewne i o dynastii, co się z tego królestwa była wywiodła i inne sobie poddała... Naszym miłym a głupawym greckim sposobem z Tsín zrobiło się Kinos. Ze zaś twarze poddanych dynastii Tsín — przyznasz? — jak na nasz grecki smak, w samej rzeczy nie nazbyt są urocze, stąd i cały dowcip, pierwszy raz zapewne przez kogoś takiego zrobiony, o czyje uszy musiała się obić nazwa miejsca, gdzie — w innej zupełnie stronie świata — Rzymianie rozgromili Filipa Makedończyka...

— Nie wszystkie wcale twarze — odciął ostro Leptynes. — Lu Wan wcale godnie wygląda, a i kobieta, która nauczyła mnie — co prawda w tocharyjskim już, niestety, przekładzie tylko — tego oto wiersza...

— Lu Wan, Lu Wan? — Teofil zmarszczył czoło, do czoła przyłożył rękę — z bezczelnym awanturnikiem Liu Ci był jakiś jego ziomek, śmierdzący chłopak z urodzenia, jak i on sam...

— A jakże — teraz już i Leptynes braterskim odwzajemniał się Teofilowi spojrzeniem — i tego swego ziomka Kao Tsu zrobił później królem w Jen, ale jeszcze później...

— To niemożliwe, to zupełnie niemożliwe! — mamrotał i wzdychał na przemian Teofil. — Więc miałże by naprawdę ten bezczelny awanturnik!... Siang Ju dał mu się jednak w końcu pobić, powiadasz? Bogowie! Była przecież taka chwila...

— Była — zawołał z zapalem Leptynes. — Wiem, opowiadano mi. Mógł Siang Ju, w mocy swej mając swego przyszłego zwycięzcę...

— Opowiadano ci? — z pogardą niewysłowioną przerwał mu Teofil. — Ja byłem przy tym obecny... Gdy Siang Czuang wznosił toast i zaczął wykonywać taniec miecza...

— Jak mogłeś być obecny? — nareszcie zdobył się na wmieszanie się Heliodor — Znamy dzieje twych podróży, a pierwszy oto raz...

— Bo oto pierwszy raz — przerwał z kolei i Heliodorowi też, ale zimno, opryskliwie, Teofil — podoba mi się przyznać do tego, że Tocharowie sprzedali mnie jako niewolnika do królestwa Tsín.

Oczywiście, całkowitą miał słuszność Antymachos, uszczypliwie a szyderczo wypominając Heliodorowi, że

nie był odparł natychmiast równie zimno a opryskliwie: „Zostałeś wezwany do złożenia zeznań ze swych podróży. Zeznałeś, żeś przebywał kilka lat wśród koczowniczej odmiany Frynów i wśród dalej jeszcze na wschód koczujących Tocharów. Pytałem cię: czy to wszystko? Potwierdziłeś i wiarygodność zeznań zaprzysiągłeś na bogów. Ale oto nicś nie był wówczas zeznał o swym pobycie w królestwie Kinos, czy też Tsin, jak ty to po barbarzyńsku wymawiasz dziwacznie. Winienes więc wprowadzenia w błąd służby bezpieczeństwa, więc też i dynastii, a ponadto krzywoprzysięstwa”.

Byłby to zaiste najlepszy, ba, jedyny sposób, za pomocą którego mógł być jeśli nawet i nie całkowicie obezwładnić, to przecież zrównoważyć ciężarem takiego oskarżenia moc Teofila, nabytą w wyniku znalezienia się zagadkowego na jego palcu pierścienia Króla Wielkiego. Ale żebyż właśnie wyznanie to przyszło o innym czasie — nie wtedy, kiedy w wyniku i tajemniczego zamknięcia drzwi na klucz od wnętrza, i tego, co nazywała Dioneja wypowiedzeniem wojny, i wreszcie, przeczuć złowieszczych a niepojętych, powstałych na widok świetlnej zapory nawodnej — przygnębienie Heliodora, wręcz już prawie lęk, osiągnęły największe swe nasilenie. Bał się wracać do sypialni, być tam sam na sam z Dioneją, nie chciał też, by ona tam sama była, więc poszedł i ją też pociągnął do Leptynesa. Ale poza przelotnym odczuciem nadziei w wyniku błędnego, jak się okazało, mniemania, że przyłapał bezczelnego młokosa na kłamstwie, na sprzeczności — przez cały czas pobytu tym razem w zaimprovizowanym więzieniu, czuł jedno tylko pragnienie: mieć już wszystko — właśnie wszystko, włączając i to, co Dioneja wojną nazywała — za sobą. Jak by owo „po wszystkim” miało czy musiało wyglądać, nie zastanawiał się, nie chciał się zastanawiać, przynajmniej w owej chwili. Jakkolwiek by wyglądało — mówił sobie — byłby, wiedział o tym, inny, niż teraz, a znowuż czuł, że jest mu obojętne, jaką innością, byle by właśnie nastąpiła już co prędzej ta w nim, czy z nim odmiana. Nie chciał być taki, jaki jest, to wydawało mu się jedynie ważne, tak ważne, że gdy spostrzegł w pewnej chwili, iż z kolei Teofil zdawał się przyłapywać Leptynesa na sprzeczności, dotyczącej czegoś, co się było stało na księżycu czy w jakimś Hung

Men, nie tylko się nie zerwał znów czy choćby tylko poruszył, ale nawet nie otworzył znużonych oczu, klejących się tym silniej, im gęściej a namiętniej sypały się pod podłogą komnat greckiego przecież — choć i w sercu Azji — króla księżycowo zupełnie brzmiące imiona: jeszcze jeden Siang, tym razem Po, a ponadto Fan Khuai i Fan Tseng i zupełnie jak z najdziwaczniejszego snu, Sja Hou Jing...

— Właśnie on, niby ten sam Sja Hou Jing — dorozumiewał się jakby poprzez pakuły w uszach Heliodor — doradził mi, bym jeśli chcę wolności, pokazał im najkrótszą drogę na przełaj...

— I poszedłeś za bezczelnym awanturnikiem, śmierzdzącym chłopkiem? — szydził już na odmianę Leptynes.

— Pamiętasz, com ci mówiła, że Mankuras nie miał nigdy kobiety? — szepnęła do ucha mężowi Dioneja. — Spójrz na niego...

Otworzył oczy, spojrzął. Ind stał przy drzwiach ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma. Na twarzy jego nie malowała się senność, czy najmniejsza choćby oznaka znużenia. Wsłuchiwał się w sprzeczkę, za grubym szklanym murem toczoną, nie tylko uważnie, ale z takim zaciekawieniem, jak gdyby muru wcale nie było.

Nie to jednak najbardziej zdumiało, oszołomiło wręcz Heliodora, tylko uprzytomnienie nagle sobie samemu, że Mankuras to jednak wcale przystojny mężczyzna, a nie żadne straszdyło. Gdy tym swym spostrzeżeniem podzielił się potem z żoną, zaśmiała się: — Wciąż naprzód idziemy, wciąż naprzód. Razili nas kiedyś Irańczycy — przestali razić, gdyśmy poznali Indów, a z kolei i ci razić przestają, ledwieśmy zasłyszeli o tych z Tsin.

— Gdzież kres tej wędrówce?

— Na brzegach Okeanosu, powiadają.

Byli już znów w swej sypialni. Dioneja rozbierała się zwyczajnie, tak jak gdyby żadna nie została wypowiedziana wojna.

— Chwilami myślę — rzekł Heliodor, dziwiąc się równocześnie, jak mógł jednak Leptynes nazwać ją piękną — że Okeanos to tylko wymysł poetów.



— Ojciec mój — odpowiedziała, już znów nie krępując się przed nim zupełnie swojej nagości — padł przy zajmowaniu Gedrozji, jedyny trup grecki w tamtej wojnie, a padł o sto stadiów od brzegu Okeanosu...

— Wymysł to poetów — powtórzył Heliodor, nie myśląc wcale tym razem, że należy zalecić jej okrycie się — maska, włożona wstydliwie a sprytnie na tchórzostwo ludzkie i ludzką bezradność.

— Nie rozumiem — odrzekła. I zaraz dodała: — Panie mój, zbawco, stwórco, czy masz tylko jedną przede mną tajemnicę, czy więcej? Jeśli jedną tylko, mógłbyś mi zdradzić, czemu zawsze w podróży wodnej obchodzić się muszę bez służby sypialnianej?

— Wielkie są morza — odpowiedział — na południu, właśnie, o sto stadiów od miejsca, gdzie padł chwalebnie twój ojciec. Na zachodzie dalekim takż — za Kartaginą i jeszcze dalej, za Słupami Heraklesa. Niewątpliwie też na wschodzie i na północy. Podejrzewam jednak coraz bardziej, że są to morza zamknięte, że po drugiej stronie drugi rozciąga się ich brzeg. Ale właśnie, że są tak wielkie, boimy się, ludzie, ich ogromu ani nie umiemy okrętów takich budować, co by tak olbrzymie przemierzały przestworza wodne. I właśnie tej to bezradności i temu lękowi, jakem rzekł, zamiast je gromić czy wykpiwać, schlebiają poeci, gdy piszą o Okeanosie.

— Boże wszechwiedzący — rzekła — a i wszechmocny też, skoroś mię zbawił a więc wbrew ojcu i matce stworzył, czy zdołasz też być wspaniałomyślny, tak jak umiał — nie zawsze co prawda — być nim względem wrogów swych wojennych poprzednik twój w dziwacznej, bo śmierci podwładnej boskości, Aleksander?

— Nie mówmy, dziecko, o tej wojnie.

— Skoro nie mówimy, o stwórco dziecka, o tajemnicy braku służby sypialnianej, musimy mówić o wojnie. Noc jest gorąca, wręcz duszna, mnie, osadniczce z Tery z dziadów pradziadów, to nie szkodzi, ale tobie, skądkolwiek byś pochodził, byle nie z Indyj, a z tych — o dziwo! — wiem, nie pochodzisz, dobrze by zrobiło spędzić tę noc nie w dusznym pokoiku, ale na tarasie.

— Mamy otwór nad głowami, poprzez który tyleż chłodu nocy, co na tarasie...

— Wchodzi tu, to prawda, ale że nie tylko sam chłód, lecz ponadto i ktoś, zamykający drzwi na klucz od wnętrza...

— Zostanę.

— Zostań więc. Jesteś jak pewien inny bóg, któremu wielu przypisuje wszechmoc, niektórzy wszechwiedzę, ale nikt — wspaniałomyślności. Ten sam, któremu jedno z jego stworzeń, rzuciło: „Nie będę służyć”. Kto wie, może i ono też się zrazu łudziło, że w parze z wszechmocą iść musi wspaniałomyślność...

— Zostanę, Dionejo. I mało tego, lecz nadto...

— Wiem, wiem. Ależ najchętniej! Nareszcie oboje z pełną świadomością zlejemy się z sobą w nudzie, która...

— Dokończ. Która co?

— Z wielkich tajniaków robi pośmiewisko tych, co ongiś przed nimi drżeli. W dziewczętach zaś, pozostałych przy życiu wbrew woli rodziców, budzi dreszcz tęsknoty do miłości rzezańców.

— Jedna z tych licznych tęsknot dziewczęcych, co się nigdy nie dają ukoić.

— Nie należy ci się przymiot wszechwiedzy, mój boże.

— Już mi brak dwu. A może i trzech? Bo, wiesz? Gdybym był wszechmocny, przemieniłbym cię w chłopca. Odkąd włożyłaś na się strój tocharyjski...

— Biedni ci Grecy! Miażdży ich Azja, miażdży, osłabia, ogłupia, a oni, w samej rzeczy niezrównani aktorzy, wciąż wołają: „Myśmy sobą zawsze i wszędzie! Tacyśmy tu, jak praojcowie w Koryncie, w starym Argos czy w Atenach”...

— Ale i wyście równie biedne, Greczynki! Nie mogąc współzawodniczyć — twoje to własne słowa, Dionejo! — z urokami kobiet Azji, a licząc na owo nasze, jakieś rzekła, aktorstwo — przebieracie się za chłopców w nadziei, iż może choćby taki młokos jak Leptynes powie o was, żeście piękne...

— Zrobiłeś teraz dwa doniosłe wyznania, miły. Jedno: żeś przegrał sprawę Leptynesa. Drugie: że i ty nudę bezpłodnej miłości cielesnej odczuwasz i szukasz dróg wyzwolenia się z niej. Nudźmy się więc! I litujmy się wzajem nad swymi przegranymi. Chodź!

Na wszystkich pokładach równocześnie rozległy się sy-

gnały, zapowiadające alarm. Znow posypały się na wodę ogniste pociski.

— Tak wygląda, że się omyliłam — powiedziała Dioneja. — Tej nocy chyba nie będziemy się nudzić.

— Ale litować się wzajem nad sobą — tak czy owak?

— Czy aby na pewno wzajem?

Znow się dobijano do drzwi ich sypialni. Niebawem głos, który z trudem rozpoznali, jako do Teofila należący, tak był zmieniony z podniecenia, zawołał z półkolistego przedśionka: — Heliodorze, nie waż się wychodzić aż po ciebie przyjdę. Stawiam przy drzwiach sypialni straż.

— A ja mogę wyjść? — zapytała Dioneja, szybko się ubierając.

— Jeśli chcesz — odparł spoza drzwi ten sam głos, tchnący już zdziwieniem też, nie tylko podnieceniem.

— Chcę.

— Dionejo, nie chcę, żebyś wychodziła — zawołał Heliodor.

— Wojna została wypowiedziana — odrzekła i na wpół zaledwie ubrana, z dużym tobołem w ręce, skierowała się ku drzwiom.

Skoczył za nią. Wymknęła mu się, wyszła. W drzwiach między nią a nim znalazły się nagle dwie skrzyżowane włócznie.

— Nie wrócisz? — krzyknął za nią.

— Jeśli sobie na to zasłużysz, wrócę...

— To lepiej nie wracaj.

— Nie dałeś mi skończyć. Nawet gdybyś sobie na powrót mój zasłużył, nie wróciłabym inaczej niż tylko gdy mnie zawołasz.

— Dokąd idziesz?

— Do siebie. Jestem pełnoletnia, i wieś, wiano z łaski dynastii, przez ciebie tyle lat zarządzana, do mnie należy.

— Sama idziesz?

— Nie wiem jeszcze.

Znikła w mroku. Heliodor usiadł na posłaniu, ukrył twarz w dłoniach.

— Nie płacz — powiedział Mankuras. — Cena lekko-myślności i pychy nie jest aż tak wysoka, jak ci się zdaje.

Heliodor oderwał dłonie od twarzy. Był sam, a za drzwiami tylko strażnicy.

— To nie ty mówisz, to znów ten drugi głos we mnie, którym miał czas jakiś za głos swego ojca.

— Ale i wtedy też to byłem ja — przyjaźnie oświadczył niewidzialny Ind.

— Niemożliwe! Nie znasz mojej tajemnicy, nie wiesz, nic nie możesz wiedzieć o tym, jak mój ojciec sprzedał podle Achajosa...

— Dziecko z ciebie, Greku. Ani się nawet domyślasz, jak wiele musi wiedzieć naród podbity, gdy się przeobraża we współzrządcę swego najeźdźcy...

— To znów mój sen tylko.

— A to także sen?

Heliodor usłyszał nagle przeciągłe dźwięczne brzęknięcie, jak gdyby podrzuconej a toczącej się czas jakiś monety. I nagle też odnalazł zgubę: owe — jak to przed kilkoma dniami był w myśli nazwał — końcowe wiersze długiej rozmowy swej z Mankurasem, tej po której pił na umór w towarzystwie jakichś Margijczyków, a która w przypomnieniu późniejszym stale mu się urywała na słowach Inda: „Obyż spłynęła na ciebie łaska oświecenia”. Pamiętał, owszem, jeszcze tyle, że gdzieś między zagubione wiersze końcowe wstawić by należało w tekście, na piśmie utrwalonym: „Tu muzyka”, ale znowuż nie wiedział po upicciu się, co za muzyka. Teraz wiedział: było to tylko przeciągłe dźwięczne brzęknięcie monety, którą wówczas wydarł Indowi z ręki i sam rozdrażniony, oburzony, cisnął, lekko podzuczając, na podłogę. Ale żebyż to Ind tylko przedmiotem był wówczas jego rozdrażnienia, oburzenia! Nie, ośmielił się unieść gniewem na swego najdostojniejszego mocodawcę, Króla Wielkiego! Gdy bowiem — i to właśnie był początek zapomnianego końca rozmowy — rzucił drwiąco, że jednak wątpi w to, aby Król Wielki, Greków przecież król, Indów najeźdźca zwycięski, mógł chcieć swego współplemieńca, agenta najzauważniejszego do spraw szczególnej wagi, poddać rozkazom członka narodu ujarzmionego, choćby nawet i tego swego narodu zdrajcy, Mankuras wy dostał z zanadru nieznaną Heliodorowi z wyglądu monetę i rzekł:

— Spójrz.

Spojrzał. Zobaczył wybitą w srebrze młodziutką twarz drugiego z synów Króla Wielkiego — duży nos, lekko

wzgardliwe wydęcie warg, gruby — choć i pod chustą — kark wszystkich Eutydemidów, a pod makedońską „kauzją”, z natury kędzierzawe, a nadto i sztucznie też w dodatku utrefione, gęste, nisko na czoło opadające, przecież nie zakrywające mięsistego ucha włosy. Rzucił okiem na okalający podobiznę napis — zdumiał się — słowa „Króla Demetriosia” opatrzone były zawrotnie dumnym przymiotnikiem, na jakiego użycie publiczne nigdy dotąd żaden grecki czy makedoński nie odważył się władca, nawet sam Aleksander.

— Odwrót — rozkazał barbarzyńca, członek zwycięsko najechanego, podbitego narodu.

Odwrócił. Zobaczył dobrze sobie znajomą postać Dzeusa z berłem w jednej ręce, z piorunem w drugiej. „Ale cóż to?” — pomyślał. „Popili się pracownicy mennicy przy rzeźbieniu wzoru, czy też dopiero przy wybijaniu”? Zamiast liter napisu, stojącą postać naczelnego boga Greków okalały jakieś niezrozumiałe zakrętasy.

— Przeczytam ci — powiedział beznamiętnie Mankuras. I wybełkotał: „Maharadzasa aparazitasa Demetrijasa”.

— Kpisz sobie? — krzyknął Heliodor. — Czy to mój sen tylko? To nie jest błąd mennicy?

— Nie większy, niż na odwrocie.

— Więc to napis? Łiesz! To w najlepszym razie fałszykat a jaki przy tym beznadziejny! Żaden władca grecki nie umieścił nigdy i nigdzie, słyszysz, potworze? Nigdy i nigdzie — ni w Egipcie, ni w Babilonie, ni tu w Iranie — na swojej monecie napisu w innym, niż grecki, języku. Nie umieścił, nie umieściłby, nie umieści — jasne?

— Nie tylko nie jesteś jasnowidzem, ale nie władnyś nawet nadażać za dniem, co już przecież minął, bo monetę tę pierwiej trzeba było wybić, niżby się w moim znalazła ręku — nieprawdaż. Że żaden nigdy nigdzie — aż dotąd, do niedawna — nie umieścił, zgodzę się. Ale tylko na to. Bo znalazł się taki, co zrobił inaczej, niż wszyscy zawsze wszędzie. A zrobił nie gdzie indziej, tylko w Indiach.

— By Indom, zmiażdżonym przez Greków, czym zwycięstwom przewodzi, schlebiać? — spróbował sztydzić Heliodor.

— By Indów, rzekomo zmiażdżonych przez Greków, którym przewodzi, z Grekami pod władzą swą zrównać.

— I cóż ten bełkot z księżycą ma oznaczać?

— To samo, co napis grecki na odwrocie: Króla, a raczej Króla Wielkiego Demetriosa Niezwyciężonego.

— Więc dosłowne z greckiego tłumaczenie?

— Raczej odwrotnie. Bo to, wyznam, ja doradziłem Demetriosowi Młodszemu, by na monecie, przez siebie wybitej ku chwale ojca, sławionego nazwał Niezwyciężonym.

— Żaden grecki władca...

— Naprzód płyną nie tylko rzeki. A i jak płyną?! Czy to nie któryś wasz grecki filozof powiedział: „Nikt nigdy nie wstępuje dwa razy do tej samej rzeki”!

— Nikt nigdy nie powinien rzec o sobie czy o swym ojcu „Niezwyciężony”, gdy Grekiem będąc, innego, niż grecki tylko, używa jako urzędowy, języka — rzekł Heliodor i lekko podrzucając, cisnął monetę na deski pokładu.

— Czy jestem za to właśnie uwięziony? — zapytał wsłuchując się w ponowny taki sam brzęk niewidzialnej jednak tym razem monety.

— Ileż razy do ciebie było takie pytanie kierowane, Heliodorze, a czyż zawsze na nie odpowiadałeś? Prawie nigdy. Więc i ja ci nie odpowiem. Ale jesteś moim podwładnym — choć i lekkomyślnie krnąbrnym — biada zaś zwierzchnikom, którzy nie wyciągają pomocnej ręki swym podwładnym w chwilach, dla nich trudnych. Więc ci powiem, jak masz odzyskać wolność, a i nie tylko wolność. Rzeknij: jaki jest wynik twych dochodzeń: kim jest Lepytyn?

— Mieszkańcem.

— Pół krwi Grekiem?

— Tak mniemam.

— A innej pół krwi, kim?

— Nie wiem.

— Działa na rzecz wrogiego wywiadu?

— Nie wiem.

— Jest synem Orestesa?

— Nie wiem.

— Ale chcesz wiedzieć, za co jesteś uwięziony! Dziecko z ciebie! Złe jednak w takim razie z tobą, w samej rzeczy.

— Więc jest jakiś związek między bezowocnością, jak dotąd, mego śledztwa przeciw Leptynesowi, a mym uwięzieniem?

— Wszystko z wszystkim zawsze ma związek.

— Więc może gdybym się zrzekł prowadzenia tych dochodzeń?

— Nie wolno ci. I to podwójnie, a nawet potrójnie, nie wolno.

— Ale ja... ja...

— Mów. Nie daj się znów ogarnąć lekkomyślnej pysze.

— Ja nie widzę dalszych dróg tego śledztwa. Mam mur naprzeciw siebie, szczególnie odkąd brata się Teofil z tym bezczelnym młokosem. Może to i przejrzysty mur, ale gruby. Potwornie gruby.

— Chcesz, by został przebity?

— Da się przebić?

— Przez Greka — nie.

— Więc przez ciebie?

— Zgodziłbyś się?

— Na cóż ci zgoda podwładnego, o przy tym więźnia, zwierzchniku?

— Osobnik, zowiący się raz Spitamenesem, kiedy indziej Agatoklesem, mając pierścień Króla Wielkiego na palcu, zlecił: „Heliodor ma to śledztwo prowadzić samodzielnie”. Takie zlecenie może być zmienione tylko przez ciebie samego. Przelewasz je na mnie — i już. Jako na swego podwładnego — rzecz jasna — bo pamiętaj: nikt poza tobą samym, nie wie, że Król Wielki w sprawach bezpieczeństwa poddał cię memu zwierzchnictwu.

— Co mam zrobić?

— Wręczyć strażnikom odnośne zlecenie dla mnie na piśmie.

— Czy odzyskam wówczas wolność.

— Możliwe.

— Dioneje?

— Jeśli będziesz rozsądniejszy, niż dotąd.

— Będę.

— To się dopiero okaże.

— Czy toczy się jakaś bitwa?

— Bitwa? Nie! Tylko Antymachos i Menander wyraźnie nie żywią wzajem do siebie zaufania.

— Wzajem podejrzewają się o bunt?

— Który naprawdę ni temu, ni tamtemu w głowie, tylko tobie? Zabawne to, nieprawdaż?

Heliodor znowu ukrył twarz w dłoniach. Nawet nie zapytał, skąd i jakim sposobem rozmawia z nim Mankuras na odległość.

Gdy ręce znów od twarzy odjął, to po to aby sięgnąć jedną po obwieszony pieczęciami a żadnym jeszcze tekstem nie wypełniony zwój, drugą po pióro. Westchnął, nim zanurzył pióro w atramencie.



## VII

Było jeszcze ciemno, gdy opieczętowany zwój wręczył strażnikom: dniało już, kiedy drzwi sypialni znów się otworzyły, i w progu stanął Teofil, spoza tuszy którego wynurzała się zwolna na tle mgły szarawej brzasku beznamiętna twarz Mankurasa.

— Ind powiada — głos Teofila brzmiał oschle, ale nie szczególnie wrogo, że za konieczne uważa, byś przy dochodzeniach, któreś mu przekazał, był stale obecny. Ponieważ jednak nadal nie wolno ci stąd się ruszyć, czy się zgodzisz, by Leptynesa tutaj na przesłuchania doprowadzano?

— A czy mógłbym się nie zgodzić?

Teofil zrobił ruch, który u ludzi mniej grubych zazwyczaj bez trudności żadnej daje się rozpoznawać, jako wzruszenie ramionami.

— Jakiekolwiek by były twe przewinienia — powiedział jak i przedtem oschle, starając się jednak równocześnie ściągnąć w coś niby miły uśmiech, zmarszczki koło oczu: — tyloletnie twe zasługi dla dynastii stworzyły ci prawo do pewnych szczególnych względów ze strony wszystkich innych tejże dynastii sług, tych nawet, którzy by skłonni byli dostrzegać w twej działalności groźne niebezpieczeństwo dla tego albo owego królestwa czy też dla całego zjednoczenia królestw w nad-królestwo. W tej sypialni, nawet z przedsionkiem łącznie, a w pewnych porach doby to i z całym tarasem, twoje „Chcę” lub „Nie chcę” pozostanie prawem najwyższym, tak długo przynajmniej, póki o twoim losie ja mam decydować.

— Dzięki ci, o Teofilu. Ale czemuż by w takim razie nie miało się dochodzić przeciw Leptynesowi prowadzić odtąd na tarasie właśnie?

— Bo, jakem dopiero co rzekł, taras nie o każdej porze doby będzie dla ciebie dostępny. Poza tym Leptynes jest młody, a więc zapewne i zwinny, zręczny, zbyt więc wielkie by mogło być ryzyko ucieczki.

— Rzekłeś. Co jednak stałoby się z całym śledztwem, gdybym w samej rzeczy powiedział: „Nie życzę sobie przesłuchań w mojej sypialni?”

— Wówczas albo Ind musiałby obejść się bez twojej obecności przy przesłuchaniach, albo zrzec się zadania, które mu zleciłeś...

— I śledztwo zostałoby umorzone względnie przesunięte na inny czas?

— Ani jedno, ani drugie. Prowadziłby je ktoś trzeci.

— Kto?

— Ktoś, kogo bym ja wyznaczył.

— Bez mojej zgody?

— Spójrz na przedni maszt, Heliodorze. Widzisz tę małpę... o, tam, tam... Otóż, zapewniam cię, że gdybym oszalał nagle i zapragnął tej małpie powierzyć dalsze prowadzenie śledztwa przeciw Leptynesowi, znalazłbym sposoby uzyskania twojej zgody na tę moją zachciankę...

— Jestem blisko trzydzieści lat w służbie bezpieczeństwa, Teofilu. Mam sporo doświadczenia. Więc też, mimo iż dzieją się teraz wokół mnie i ze mną rzeczy niepojęte, jedno dobrze wiem niezmiennie: urzędnikowi bezpieczeństwa, który sam znalazł się pod zarzutami, mniejsza o to, słusznymi czy nie, tak długo, póki sprawa słuszności zarzutów nie zostanie wyjaśniona, odbiera się natychmiast wszelkie uprawnienia służbowe. Czemużes więc, uwięziwszy mnie jako winnego czy choćby tylko podejrzanego, nie odebrał mi równocześnie moich uprawnień służbowych?

— Może nie mam na to dość pełnomocnictw.

— W takim razie nie byłeś również dość na to upełnomocniony, by mnie uwięzić.

— Widocznie byłem, skoro jesteś uwięziony.

— To nie jest żaden dowód na stopień posiadanych pełnomocnictw, tylko stwierdzenie faktu dokonanego, mogącego być bezprawiem.

— Zgodziłbym się tu może z tobą. Jakkolwiek nie bez zastrzeżeń. Ale gdyby nawet i całkowicie, cóżby stąd wynikało?

— Najwyższy brak logiki — w pierwszym rzędzie. Co za sens ma, popełniwszy większe bezprawie, wzdragać się przed mniejszym?

— Nigdyś mnie nie lubił, Heliodorze, ale ja ciebie — zawsze. Nawet wówczas, gdy zamiast po męsku zbić żonę, taką przecież smarkulę, kiedy mnie znieważała, pobłażałeś jej, więc tym samym stawałeś się za te jej zniewagi osobiście odpowiedzialny. A że cię lubię, mimo nowej zniewagi i to takiej, co wprost z twoich ust wyszła, na pytanie twe odpowiem ujawnieniem całej prawdy, równie jasnej a prostej, jak to, że żona twoja od ciebie odeszła: cokolwiek z tobą się teraz dzieje, cokolwiek ciebie jeszcze spotka, — ty — właśnie ty, tylko ty, masz być służbowo odpowiedzialny — wedle wszelkich wymagań przepisów i zwyczajów prawa — za to, aby śledztwo, przeciw Leptynesowi prowadzone, dało wynik, dla dynastii pożądany. Ale, wracając tam, skądęśmy zaczęli, godzisz się czy nie godzisz, ażeby Ind przesłuchiwał Leptynasa w twojej sypialni?

— Godzę się — odpowiedział Heliodor, daremnie wypatrując wrażenia tej swej zgody na niezmiennie beznamietnej, a w pełni już w słońcu kąpiącej się twarzy Mankurasa.

— To go zaraz tu nakażę przyprowadzić. Ale pierwej jeszcze coś... Czyż uważnie słuchał, co ci przed chwilą mówiłem?

— Bardzo uważnie.

— I dobrze to sobie zapamiętasz? Zdołałbyś powtórzyć mój wywód na temat całej prawdy, jakem był to nazwał, słowo w słowo?

— Słowo w słowo. Oto cokolwiek ze mną teraz się dzieje, cokolwiek mnie jeszcze...

— Zachowaj to dla siebie. Tobie to bardziej się przyda, niż mnie.

Gdy przyprowadzono Leptynasa i oświadczone mu, że teraz Mankurasowi, nie Heliodorowi, ma na wszelkie szczerze odpowiadać pytania, wybuchnął gniewem. O tym oto — wołał, wskazując rękoma na Heliodora — wie

przynajmniej, kto to taki, i choć zachodzi tu straszliwa a śmieszna zarazem pomyłka, nie zaprzecza w zasadzie prawu wysokiego urzędnika królewskiego do poddawania przybywających spoza granicy podróżnych, badaniu, skąd mianowicie przybywają, kim są, co w krajach obcych robili. Jeśli ma żal do Heliodora, to o to tylko, że ten w ramach tych uzasadnionych zupełnie dochodzeń zeznaniom jego nie wierzy, a nade wszystko iż się wymyka rozwiązaniu najuczciwшему a najprostszemu zarazem: odesłać Leptynesa — choćby nawet, jeśli inaczej na skutek bolesnej a śmiesznej pomyłki nie można, pod strażą — tam, gdzie się znajduje jego, Leptynesa, ojciec; wszystko by się od razu całkowicie wyjaśniło... Że tego Heliodor nie zrobił, a sposobności było kilka — tyleż, ile postojów nocnych przy brzegu — świadczy to o jednym tylko: Heliodor chce nad nim się pastwić, chce go zadręczać, chce rozmyślnie przewlekać dłużej jeszcze i dłużej i dłużej i bez tego przecież potwornie wprost długotrwałą, bo sześćioletnią blisko, rozłąkę młodzieńca z ojcem, którego był uściskał ostatni raz jakoomalże dziecko jeszcze. Jakie ma prawo Heliodor pozbawiać kogoś radości, jakie daje szczęście domowe, i to w dodatku kogoś takiego, kto tak długo radości tych był pozbawiony? Czyżby więc może Heliodor, o czym Leptynes, wędrując tak daleko od domu, a tak długo, nie mógł wiedzieć, ale zaczyna się domyślać — miał jakąś urazę nie do Leptynesa, bo go dotąd nie znał, nigdy na oczy nie widział, ale do Orestesa rzeźbiarza, i stąd cała zwłoka i skutek zwłoki, udreka? Ale czy wolno Heliodorowi przy pełnieniu czynności urzędowych kierować się urazami osobistymi? Czy zapomniał, że takie nadużycie władzy pociągnąć może za sobą skargę ze strony ofiary czy ofiary ojca przed tron króla, a to i pod stopy Króla Wielkiego? Jeszcze zaś pewniejsze wydaje się być Leptynesowi, że źródłem udreki, jakiej go Heliodor rozmyślnie a bezprawnie poddawał, jest starcza zazdrość o żonę, całkowicie już bezmyślna, bo przecież rzekł był Leptynes nie raz i nie dwa przez czas trwania dochodzeń: uczucia jego do innej niepodzielnie należą kobiety.

— Rzekłeś to raz tylko — wtrącił Mankuras.

I zaraz dodał: — A czy odwaga, z którą w tej chwili narażasz się dodatkowo na gniew mego zwierzchnika, nie jest bezmyślna?

Na to Leptynes, obracając się twarzą wprost już do Heliodora:

— Wolałbyś, bym to mówił za twoimi plecami?

— Wolałbym, abyś w ogóle mniej mówił o tym, co do sprawy podejrzeń, przeciw tobie wysuniętych, nie należy.

— Podejrzeń, z których najmniejsze jest zniewagą dla mego znakomitego ojca, tak bardzo a od tak dawna zasłużonego dla dynastii...

— Mianowicie, od jak dawna? — zapytał Mankuras.

— Od pierwszej chwili, gdy usługi mistrza nad mistrzami w sztuce rzeźbiarskiej zaofiarował Eutydemidom.

— Dopiero Eutydemidom? Oglądałem monetę, wyobrażającą samego założyciela dynastii, dzieło Orestesa. Czyżby to pośmiertna była podobizna?

Leptynes znów się odwrócił do Heliodora.

— Czy naprawdę muszę temu... temu barba... temu osobnikowi, o którym nie wiem właściwie, kim jest, odpowiadać?

Nim Heliodor zdołał coś odrzec, odezwał się znów Mankuras:

— Mogę ci powiedzieć, kim jestem. Urzędnikiem bezpieczeństwa w służbie Króla Wielkiego. I to — zapewniam się — wysokim bardzo urzędnikiem.

— To jużem słyszał — wielokrotnie. Nie wynika jednak z tego w tej chwili ani odrobinę bardziej niż uprzednio, bym rozumiał, czemu mnie, Greka, przesłuchiwać ma nie Grek, tylko... kim jesteś właściwie? Indem, jeśli dobrze pamiętam, nieprawdaż? Więc właśnie: czemu Ind, a nie Grek? Czemu chociażby nie dalej ty? — znów się zwrócił do Heliodora.

— Zawsze wolno mi zdać się na zastępcę.

— Zastępcą? — zawołał Leptynes drwiąco i gniewnie znów zarazem. — Cóż on może wiedzieć o nas, Grekach? Bądźcie łaskawi dobrze mnie zrozumieć; nie miejcie mnie za bardziej tępego czy niedojrzałego, niż jestem. Rozumiem: Król Wielki podbił czy podbija Indie; rządzi nimi zasadniczo za pośrednictwem Greków, ale nie wystarczająca jeszcze, wstępna dopiero znajomość zwyczajów kraju, świeżo podbitego, każe zdobywcom korzystać także i z usług tubylców. Więc gdybym był Indem, to by uchodziło, wręcz byłoby rozsądne: bada mnie ziomek, któremu naród zdobywców ma takie czy inne powody szczególnie

ufać. Ale jestem Grekiem, tyle razy wam mówiłem: Grekiem! Cóż więc tu robi ten obcy? Co on może wiedzieć o istocie nie powiem już: najtajniejszych mych myśli, ale o znaczeniu głębszym słów, które tak pilno mi z ojcem wymienić przy powitaniu?

— Skończyłeś? — wcale przyjaźnie uśmiechnął się do niego Mankuras, znowu zanim jeszcze Heliodor namyślił się, co ma odpowiedzieć — Jeśli tak, to bądź łaskaw odrzec na postawione sobie chwilę temu pytanie: czy w samej rzeczy świetna jako dzieło sztuki rzeźbiarskiej, moneta, wyobrażająca Króla Wielkiego Eutydemosa, to podobna pośmiertna?

— Nie będę tobie odpowiadał.

Heliodor zrobił ruch, jak gdyby chciał się podnieść, ale Mankuras, wstrzymując go lekkim skinieniem głowy, uśmiechnął się do Leptynesa jeszcze przyjaźniej:

— Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj mi na to pytanie.

— Na żadne.

— Nawet na to, czy prawdą jest, że — wbrew temu, o czym nas zapewniasz — wcale nie jesteś pewien przyjęcia, jakie ci zgotuje nieoglądany tyle lat ojciec?

Leptynes wyraźnie przybladł, poruszył się na krześle, otworzył usta, ale pohamował się i po dłuższej dopiero chwili niedwuznacznie wyzywającego milczenia, odpowiedział drwiąco:

— Nawet na to.

— Ani też na to, czy wierzysz, iż po śmierci, którą zresztą wcale lekkomyślnie, postrzegam, przyśpieszasz, żyć będziesz, wyzwolony z ciała-więzienia, jako osobowość, siebie, więc i swej przeszłości cielesnej świadoma, czy też zlejesz się w jedność z duszą jakiegoś bóstwa czy w ogóle wszechświata?

Heliodor zaniepokoił się. Aż do tej chwili niczego właściwie nie miał Mankurasowi do zarzucenia, najwyżej pewną nieostrożność w sformułowaniu pytania poprzedniego, jako że choć w zasadzie dobrze obmyślane by przez cios w miłość własną podciąć siłę uporu, zawierało zarazem zgodzenie się jak gdyby na to, iż Leptynes w rzeczywistości do ojca zdążał, przekraczając granicę północną nad-królestwa. Jeszcze bodajże lepsze było pytanie o monetę z podobizną założyciela dynastii — aż za dobre może nawet! Zdążało bowiem w sposób o wiele bardziej celo-

wy, niż wszystko, o co w tym przedmiocie wypytywał był Leptynesa on sam, do ustalenia, jak dalece znany jest przesłuchiwanemu dokładny termin początku świetnej kariery Orestesa jako czołowego rzeźbiarza nadwornego Eutydemidów. Odpowiedź na to pytanie oczywiście, pociągnęłaby za sobą cofnięcie się w dalszą jeszcze przeszłość: w mgliste i dla Heliodora samego dzieje Orestesa, zanim był mistrzostwo swe oddał dynastii na usługi. Jeśli na mgłę tę zdołałby Leptynes rzucić jakieś uderzająco silne światło, przemawiałaby to bądź na korzyść jego własnego zapodania się, kim jest, bądź teorii Heliodora, że wrogi wywiad posiada jakieś związki z osobą Orestesa od bardzo dawnych już czasów. Oczywiście, w tym drugim wypadku Leptynes mógłby zmyślać, łącać wprost do woli, ale nawet i to byłoby cenną zdobyczą: dowodziłoby, że jest pewien, iż dla Heliodora tamten okres życia Orestesa to świat za mgłą. Ale właśnie przy takim poczuciu pewności najłatwiej jest zmyślającego przyłapać na jakiejś niedokładności, oczywiście już zupełnie, i to byłby wyłom, który dla szturmujących bardzo ponętne mógłby otworzyć perspektywy. Heliodor ogromnie żałował, iż Leptynes właśnie na to pytanie nie odpowiedział.

Natomiast nonsensem zupełnym wydało mu się pytanie ostatnie. Cóż nawet dałoby Mankurasowi odpowiedź na nie, gdyby się jednak jej i doczekał? Ale jasne było, że się nie doczeka; cokolwiek mogłoby wytrącić Leptynesa z demonstracyjnej postawy uporczywego milczenia, na pewno nie byłoby to pytanie z zakresu filozofii; owszem, spowoduje tyle tylko, że przesłuchiwany będzie bardziej jeszcze, niż dotąd, lekcewałby przesłuchującego. Odpowiedziałby mu, gdyby chciał w ogóle odpowiedzieć, że nie przystoi obcemu dochodzić czyjejs greckości, sięgając w dziedzinę, najmniej dostępną umysłom nie-greckim: filozofii. I miałby zupełną słusność: Mankuras przeceniał siebie — wstępował na cienki lód, który po kilku krokach następnych łatwo bardzo mógłby się pod nim załamać. Ze zdziwieniem Heliodor nagle dostrzegł w sobie jak gdyby błysk najpierw zrozumienia, a zaraz potem i pewnej wyrozumiałości dla wzdorliwej względem nowego śledczego, postawy Leptynesa. Oczywiście, bezczelny — i to jak bezczelny! — młokos gra komedię, ale jak świetnie ją gra! Lepiej w tej chwili niż kiedykolwiek dotąd, w czym

mu zresztą dopomaga niezręczność jawna — a przy tym właściwie też objawami bezczelności zabarwiona — Inda; aż dotąd zazwyczaj przejawiał przesłuchiwany zawsze swą greckość; w jego okrzykach i gestach bądź to oburzenia, bądź pogardy, że oto członek narodu panów rzucony został na pastwę barbarzyńcy, było dotąd wiele sztuczności; ale spojrzenie pogardliwe, ostatnim wywołane pytaniem, było wręcz bez zarzutu: każdy, ale to każdy jako tako wykształcony filozoficznie młodzieniec grecki dokładnie byłby tak samo teraz na miejscu Leptynesa śmiał się Indowi w twarz bezgłośnie, bo uważa poniżej swej godności głos wydać.

— Przepraszam cię najmocniej, Leptynesie — powiedział Mankuras — daruj mi. Nie doceniłem ciebie, tego, jak bardzo jesteś inteligentny. A zarazem dziękuję ci gorąco za to, że jednak, wbrew pozorom, gdyby było z tobą inaczej niż jest, odpowiadałbyś mnie mimo że nie-Grekowi. Jakoże dopiero teraz jest dla mnie jasne, że musiałeś odmawiać odpowiedzi na każde moje pytanie, jakiegokolwiek by było, pozorując odmowę pogardą Greka dla barbarzyńcy. W rzeczywistości zaś wcale mną nie pogardzasz. Ani w ogóle tymi, którzy Grekami nie są. Raz jeszcze — w swoim i ich wszystkich imieniu najgoręcej ci dziękuję.

Leptynes nadal milczał. Natomiast Heliodor mruknął:

— Czemuż jeśliby tej, jak mówisz, pogardy nie czuł, miałby ją pozorować? Po cóż by miał ciebie do siebie, przy tym bez przekonania, zrażać?

— A nie zrażał ciebie? Jest dość odważny, nie nazbyt, ale właśnie dość. Szczególnie gdy nie widzi żadnego lepszego dla siebie wyjścia w danej chwili, niż właśnie się narazić tym, w czyjej mocy jest. Nieprawdaż, Leptynesie?

— Nie odpowiada — ciągnął. — Nie może odpowiedzieć, na nic. Bo przewidując oto moje pytanie o tym, co myśli o losach pośmiertnych swej duszy, w pełni zdawał sobie sprawę z tego, jak to od razu uderzy nas obu z tobą, iż na inne pytania odpowiadając, na to właśnie odpowieździ odmówi. Więc lepiej, rzecz jasna, na żadne nie odpowiadać. A jak to wykonać, skoro się jest w śledztwie, skoro milczeć wciąż byłoby przyznawać się do winy? Wybłął z tej trudności właśnie w sposób, wysoką znamionujący inteligencję: pozorował swój lęk przed jednym je-



dynym pytaniem pogardą Greka dla wszelkich pytań, jakie by stawiał nie-Grek.

— To nieprawda — zawołał Leptynes.

„Poślizgnął się”, pomyślał Heliodor z pewną odrobiną żalu, prawie współczucia.

— Ależ prawda! Skoro to ja właśnie nagim cię oglądałem, jasne jest, żeś się tego pytania obawiał. Jak też i jego nieuchronności.

— Nieuchronności? Wcale go — pytania tego — nie przewidywałem.

— Czemu siebie pomniejszasz? A przecież zaszczyt ci tylko przynosi, iż się wzdragasz przed lekkomyślnym powzięciem na całe życie decyzji, stoikiem masz przez nie przejść czy platonikiem.

— Nie rozumiem. Nie dziw! Belkot o filozofii greckiej w ustach...

— Barbarzyńcy? Ale przecież sam mnie do tego zmuszasz. Dawno już był zmusił. Wówczas gdyś się na moich oczach zgodził obnażyć, a na greckich — nie.

— Najwstydlivsi obnażają się przed niewolnikami. A myślałem wówczas...

— Myślałeś coś innego zupełnie. Ale omyliłeś się. W Indiach też znane są sposoby, za pomocą których rzeźniczek może nie tylko upozorować dowód naoczny, że nim nie jest, ale nawet zlać się w jedność cielesną z kobietą, jakkolwiek i żadnej z tego nie czerpiąc dla siebie rozkoszy. Jej przecież rozkosz dać może. Niekiedy, rzadko, ale może.

Heliodor w lot przypomniał sobie słowa, jakie wypowiedziała Dioneja nie na długo przed odejściem. Słowa, z których pobłażliwie się wyśmiewał, o tym, że nuda bezpłodnych zbliżeń cielesnych budzi w dziewczętach, pozostałych wbrew woli rodziców przy życiu, dreszcz tęsknoty do miłości rzeźniczków.

Czy ona zgadła? Wyczuła? Czy może wprost wie? Od niego samego — wiel!

Ale kiedy mogła się dowiedzieć? Była z Leptynesem sam na sam, gdy się wymknęła nocą w stroju tocharyjskim a boso; wtedy właśnie mogła wiele od więźnia się dowiedzieć; mężowi zaś powiedziała potem, że cała rozmowa od początku była z jej strony tylko próbą sprawdzenia, o ile słuszny mógł być jego domysł, że Leptynesa

zrodziła uprowadzona do niewoli Greczynka. Wnet jednak pamięć zaprzeczyła stanowczo temu jego domysłowi: przecież to Dionei był pomysł, aby Leptynesa obnażyć — pomysł, zrodzony znacznie później już, niż pozostawała z nim sam na sam; a że Heliodor znał — jak sądził — Dioneję tak dobrze, jak rzadko kto kiedy zna kogo, i znając ją tak, wiedział, iż nie byłaby zdolna do pastwienia się szyderczo i okrutnie nad kimś, kto był jej dopiero zwierzył wstydliwą swą i bolesną tajemnicę, czuł, że zaczyna gubić się w domysłach, bo jedyne wytłumaczenie, jakie by jeszcze mu pozostawało, musiałoby się oprzeć na posądzeniu Dionei o oszukanie go i to oszukanie w sposób głupawy; jakoże jeśli nieprawdą miało być to, że gdy wymknęła się po raz drugi jemu śpiącemu, by przesłuchiwać Leptynesa, towarzyszyli jej Teofil i Mankuras, kłamstwo takie z największą łatwością dałoby się wytropić, z czego musiała w pełni zdawać sobie sprawę. Ale czy w takim razie — próbował bronić się domysł poprzedni — nie należy jednak zrewidować sądu o niezdolności Dionei do pastwienia się nad nieszczęściem co dobrowolnie było się w ręce jej wydało? Czy do rewizji takiego sądu nie upoważnia choćby to, że poprzez swe odejście właśnie w chwili, gdy na męża jej, niczym grom, spadło nieszczęście w postaci uwięzienia przez Teofila, dała dowód, iż władna jest popełnić szyderstwem tchnące okrucieństwo i to nawet w stosunku do kogoś z czyją wrażliwością tysiąc razy bardziej powinnyby się była liczyć niż z poczuciem wstydu czy cierpienia u kogoś zupełnie sobie obcego? Argument był silny, a ponadto efektowny, Heliodor jednak pokonał go w sobie natychmiast, a to poprzez proste przypomnienie sobie: tak, odeszła, ale to już dopiero po formalnym wypowiedzeniu mu wojny...

— Mogła więc — wciąż jeszcze próbował się bronić pierwszy domysł — wypowiedzieć również wojnę Leptynesowi?

— Kiedy? — skierował szyderstwo przeciw samemu sobie. — Przed jego wyznaniem, czy po wyznaniu? Gdy się zna Dioneję, nie sposób wątpić, że takie wyznanie, choćby nawet i niesmakiem ją napełniając, musiało ją zarazem głęboko wzruszyć, wzbudzić w niej bezmiar litości dla nieszczęśliwego. I litość ta sprawiłaby, że wojna, poprzednio wypowiedziana, zostałaby poniekąd, wypowiedzenie zaś

jej późniejsze w ogóle by uniemożliwiała. Kto rzuca wyzwanie kalece i to takiemu jeszcze, który musi kalectwo swe odczuwać jako poniżenie, jako hańbę? Jeśli nawet są i tacy, nie może do nich należeć córa rodu bohaterskich osadników kresowych, w dodatku wychowana przez córę szczerpu tubylczego, który ponad wszystkie cnoty przedkłada rycerskość nienaganną względem każdego obcego tak długo póki nie odkryje w tym obcym zachłannego najeźdźcy... A cóż dopiero gdy obcy ten przez kalectwo przestaje być godzien, by się z nim zmierzyć!

— Spitamenes — odciął się pierwszy domysł — nie ten, goniec Króla Wielkiego, narzeczony Teodory, zdolny do przemieniania się w swego brata przyrodniego i z powrotem znów w siebie, ale ów dawny, z czasów Aleksandra — chorych i rannych, właśnie wyróżniał był bezlitości Makedończyków, gdy ci wyszli bezbronni z Marakandy...

— Byli dlań zachłannymi najeźdźcami, którym poprzednio był wypowiedział wojnę bez litości...

— Dobrze jednak Dioneja prorokowała, mówiąc ongiś, że Iran podbity zmięknie, a potem ugnie swych zdobywców — zadzwiał pierwszy domysł samobójczo, jako że drwiąc tak, przestawał już być sobą, przeistaczał się z logicznego argumentu w czysto uczuciową reakcję.

Ale popełniając tak samobójstwo, odnosił zwycięstwo; rozprawiwszy się bowiem ostatecznie z pierwszym domysłem Heliodor nie był zdolny wyrzesać z siebie już żadnego innego. Znów widział się przed grubym murem, który tym razem w dodatku nie był nawet przejrzysty. Nie pozostawało więc mu nic innego, jak zrobić krok w tył: powiedzieć sobie, że wcale to nie jest pewne, że Dioneja wie o kalectwie Leptynesa. Skoro zaś pierwszy się postawiło krok w tył, bez trudu już wcale przychodzi odwrót jeszcze dalej: śledząc przebieg kolejnych odruchów, jakimi Leptynes reagował na revelację Mankurasa, Heliodor skłonny był dać się ogarnąć wątpliwości, czy Ind w samej rzeczy na właściwym jest tropie. W miarę bowiem jak Mankuras formułował coraz wyraźniej istotę tajemniczego motywu, który wedle niego zrozumiałymi czynił i odmowę udzielania mu odpowiedzi i chronienie się wstydlivości Leptynesa poza pozory filozoficznego pochodzenia, bezczelny młokos znów już się stawał bezczelny tylko, nie zaś także,

jak to się mogło przez chwilę wydawać, głęboko nieszczęśliwy. Jeśli bowiem wtedy, gdy Mankuras wytykał mu udawanie tylko pogardy dla nie-Greków, jakiej naprawdę wcale nie czuje, wyraz twarzy Leptynesa przypominać mógł człowieka, który zoczył niespodzianie tygrysa; jeśli wywód na temat przekonania, jakie Leptynes musiał żywić co do nieuchronności pytania o jego pogląd na losy pośmiertne duszy, z kolei ubrał tę twarz w zgrozę świadomości, iż się od tygrysa nie ucieknie: to sama rewelacja ujawniająca Leptynesa jako rzezańca, wkładała zwolna na tę twarz wcale nie maskę Laokoona, tylko przeciwnie Odyseusa, z chwili, gdy jemu, mimo iż nierozpoznanemu, a zarazem też i dlatego właśnie, wręcza się łuk, z którego zdoła zrobić — on jeden — należyty a nieoczekiwany wcale użytek.

Była chwila, gdy tym swym wrażeniem z przemian, zachodzących w wyrazie twarzy Leptynesa, chciał Heliodor podzielić się natychmiast z Mankurasem, ale przypomniawszy sobie ton, jakim rzucone mu były skądś do pustej sypialni słowa zapewnienia, iż tylko nie-Grek zdoła tożsamość Leptynesa ustalić, szybko w sobie ten odruch zahamował. Odwrotnie, życzył sobie, a i nie tylko sobie, bo i Leptynesowi także, jak to nagle w sobie odkrył, by jego własne rozumienie kolejności reakcyj ofiary na skok tygrysa nie było błędne, by się naprawdę okazało, że w skoku tygrys ugodzony został strzałą, zesłaną przez zbawczą rękę, której bliskości ofiara w ogóle się nie domyślała. Słyszając, że go się demaskuje jako rzezańca, Leptynes był zdumiony, tak zdumiony jak może chyba nigdy jeszcze w życiu, ale wyraźnie nie będąc przyjemne, nie było to też i bolesne zdumienie. Raczej zdumienie skazańca, któremu już u stóp krzyża ogłasza się, iż ma zostać zesłany na wyspę, znaną jako siedlisko groźnych chorób, ale przy tym taką, skąd — o czym ni sędziowie, ni oprawcy nie wiedzą, tylko skazany — uciec, choć i trudno, nie jest wcale niepodobieństwem.

Heliodor życzył — a znowuż ze zdziwieniem to w sobie stwierdzał — Leptynesowi powodzenia w ucieczce. Więc też z życzliwym zainteresowaniem nastawił się na śledzenie przebiegu ucieczki. Doznał silnego zawodu: ułaskawiony na ślepo płynął z powrotem ku brzegowi, na którym zostawił był za sobą krzyż. Jakoże Leptynes, gdy zdołał

wreszcie zmusić się do wydobycia z siebie głosu, najnieoczekiwanej powiedział:

— I ja ciebie też gorąco przepraszam, cudzoziemcze. Bo i ja również nie doceniłem twojej inteligencji. Chwała Królowi Wielkiemu, iż ma takie nieomyślne oko w doborze tych, komu zawiera bezpieczeństwo własne, swego rodu i rządzonych przez siebie krain. Zaiste, gdybyś już nie był takim nieocenionym nabytkiem dla Greków w wywiadzie, chętnie bym doradził dynastii, by cię skierowała pod Portyk aż do Aten samych albo i do Akademii; nie przyniósłbyś jej tam wstydu. Rozumowanie twoje co do motywów istotnych mego uporczywego dotąd milczenia jest bez zarzutu; tylko, o niezrównany! była to wspaniale obmyślana i najstaranniej przygotowana wyprawa dla zajęcia wyspy, która wedle obliczeń mędrców miała wyłonić się z morza, ale w rzeczywistości ledwie zaczęła wynurzać się z fal, zaraz znów zatonąła. Byłem bardzo bliski tego, by zostać rzezańcem, nie zostałem nim jednak. Mało ci moich słów? Przyślij tu ładną kobietę, niech mi się odda na twoich oczach, jakkolwiek bowiem w samej rzeczy, a nie tylko pozornie, gardzę powłoką cielesną i wszelkimi jej rozkoszami, jeśli to konieczne dla przekonania, by mi wierzone, nie uchylę się od takiej próby.

— Jużem był rzekł: rzezańcy mogą przy użyciu pewnych sposobów zlewać się w jedność z kobietą...

— Aleś rzekł też, że sami nie mogą odczuwać rozkoszy cielesnej. Ktoś, tak wnikliwy, jak ty, od razu będzie wiedział, władnym ją odczuwać czy nie, byleby miał oczy.

— Coś tu nie jest w porządku — wtrącił Heliodor, znów już raczej wrogo względem Leptynesa nastrojony. — Rzekłeś, że rozumowanie mego zastępcy było bez zarzutu, aleś rzekł też, że w samej rzeczy gardzisz powłoką cielesną i jej rozkoszami, czyli zaprzeczasz jednemu z podstawowych członów rozumowania, o jakim mowa.

— Czy Król Wielki, o panie — odparł Leptynes bez najmniejszego zakłopotania — nie mógłby cię przerzucić, gdyby chciał, przez Parapamisus na urząd do Indyj?

— Móc by mógł — zachnął się Heliodor, — ale ufam wszystkim boginiom i bogom greckim, sogdyjskim, baktryjskim i indyjskim, że nie sprawią, ażeby zechciał...

— I bogu Antymachowi także? — zainteresował się, jakkolwiek z beznamiętną doskonale twarzą, Mankuras.

— Cóż to za bóg? — zdziwił się Leptynes.

— Stajesz się nieostrożny — sucho rzucił mu Ind. — Nie pomyślałeś, iż przeciw tobie obrócone być może w śledztwie stwierdzenie, że podając się za Greka, greckich nie znasz bogów. Ale tym razem udało ci się: stokroć bardziej podejrzanę byłoby, gdybyś wiedział o bogu Antymachu, bo to — wiesz? — ostatnia nowość w dziedzinie teologii.

— Widzę, że teologia staje się coraz mniej pomysłowa. Brakuje imion dla bogów, więc się nowych nazywa tak jak ludzi i to ludzi żyjących — skrzywił się Leptynes, i zwracając się ponownie do Heliodora, znów na niego natarł z tym samym co uprzednio pomysłem: że przecież jednak może i Król Wielki, a i jakiś bóg też, zechcieć, mimo wszystkich nadziei Heliodora, posłać go na urząd do Indyj. Wówczas, oczywiście, zaczęłyby się uczyć tubylczego języka...

— Nie urażając mojego dostojnego zwierzch... dostojnego zastępcy — nigdy! Raczej utrata urzędu, niełaska Króla Wielkiego nawet...

Leptynes rzucił lekko drwiące porozumiewawcze spojrzenie Mankurasowi, takie dokładnie, jakie jemu rzucał onegdaj, gdy mówił o królestwie Tsin, Teofil, ale Ind nie odwzajemnił się, tylko rzekł, znowuż z beznamiętnym doskonale wyrazem twarzy:

— Bardzo słusznie powiada, bo to nie Indowie podbijają Greków, ale odwrotnie...

— Więc i ja też odwrócę swój przykład. W służbie Króla Wielkiego, dostojny mój pogromco, musiałeś się nauczyć po grecku i widzę — znakomicie się nauczyłeś. Ucząc się, czytałeś Platona i Sofoklesa — jakieś mi rzekł z korzyścią wielką dla siebie czytałeś, ale też i z wielkim zaciekawieniem, niekiedy wręcz z przejęciem. Ale gdyś sięgnął był dopiero po dzieła tych autorów, czy nie przyświecał ci cel praktyczny nade wszystko a może i w ogóle tylko wydoskonalić swą grekę, tak ci niezbędną w służbie Króla Wielkiego?

— Poniekąd masz słuszność.

— A więc wyobraź sobie teraz, wy obaj sobie wyobraźcie — ożywiał się coraz bardziej Leptynes — że dostoj-

ny mój pogromca sprzed chwili z pewnym wzdraganiem się obejmował urząd w służbie greckich zdobywców; dalej, że mogło się stać, iżby jednak urzędu tego nie objął w końcu. Skoro jednak świadomość jego i wrażliwość raz już były uległy czarowi bądź Platona, bądź Sofoklesa, bądź obu, czy nie można przypuścić, że gdyby nawet greka przestała mieć dla niego znaczenie praktyczne, nadal cieszyłby się, że ją posiadał i obcowałby z nią dla niej samej, dla dzieł wielkich, w języku tym pisanych; nadal by dziełami tymi się rozkoszował i rozkosz ta byłaby nagrodą sama w sobie za cały jego wysiłek, by grekę opanować?

— Rzekłeś — zawołali naraz Heliodor i Mankuras, obaj pod silnym wrażeniem wyvodu Leptynesa. Ten zaś ciągnął:

— To samo więc stało się ze mną. Miałem zostać rzeźnikiem i przewidując upokorzenia, jakie mnie czekały, uczepiłem się jak tonący deski, nauki o pogardzie czciocieli duszy dla ciała-więzienia. Otom myślał sobie: głosząc swe do nauki tej przystąpienie, zawsze umknę przed koniecznością obnażania się publicznego, wybronię się gimnazjowni, sadzawce...

— Lekarzowi też? — wtrącił Mankuras.

— Też, przy wielkiej pomysłowości a przezorności.

— Grabarzom?

— Nawet tym. Choć może wtedy już staje się obojętne, szydzi kto czy nie szydzi...

— Tylko może?

— Tylko. Ale pozwólcie: takem więc przygotowywał sobie obronę przed jeśli nie losem samym, co mnie czekał, to przed pewnymi następstwami... Tymczasem los mój się odmienił, a raczej sam go — inaczej niż Edyp — odmieniłem. Nauka jednak o duszy, marzącej, by się wyzwolić z więzienia-ciała, potężnie mną już była zawładnęła: praktyczne swe znaczenie — to, które mię zrazu było ku niej pociągnęło, popchnęło — straciła, ale urok trwał.

— I naprawdę swym ciałem pogardzasz? — przyłapał się Heliodor na szczerym zupełnie zdziwieniu. — Wcale przystojny z ciebie...

Chciał powiedzieć „Młodzian”, na czas się pohamował, powiedział: „Młokos”.

— Może nie pogardzam nim tak, jakbym chciał. Ra-

czej odczuwam je, tak, jak pierwszy Demetrios, Antyгона jednookiego syn, czuć się musiał w wykwincie niewoli swej u pierwszego też Seleukosa...

— Jak niezwykle wykształconą Greczynką musiała być twoja matka — wyrwało się Heliodorowi.

Leptynes nagle zbladł, ręce zaczęły mu drżeć.

— Nie wiem... nie umiem powiedzieć... — wymamrotał.

— Byłem bardzo mały, gdy umarła...

— Jak bardzo? — zapytał niespodzianie Mankuras tak natarczywie a ostro, że wręcz groźnie, aż się Heliodor zdumiał. Zdumieniu zaś temu towarzyszyło już znów rozdrażnienie: Ind może być bardzo przenikliwy, to prawda — tym niemniej raz po raz się zgrywa i przeważnie wtedy gdy nie potrzeba.

— Miałem nieco więcej niż pięć lat, a mniej niż dziesięć...

— To bardzo mgliste oświadczenie! Jak się ma tylko nieco więcej iż pięć lat, to do dziesięciu daleko... Więc ile dokładnie? Sześć, siedem, osiem?

— Osiem.

— Toś może i wrażliwy na filozofię, ale zły z ciebie matematyk. Osiem to raczej nieco mniej niż dziesięć, niż nieco więcej niż pięć...

— Ale ja — nie mógł już dłużej wytrzymać Heliodor — chciałbym bardzo się dowiedzieć, jak to się stało, że losem twym miało być zostać rzezańcem, wymknąłeś się mu jednak.

— Nie wymknął się, sam go sobie odmienił, to jeszcze ciekawsze — poprawił Mankuras. — Jabym też chciał o tym jak najbardziej dokładnie posłyszeć. Ale w tym samym prawie stopniu interesuje mnie co innego: oto młodzian bez przesady o niezwyklej zupełnie inteligencji i to pierwszorzędnie wyćwiczonej poprzez wprawianie się w literaturze, historii, nawet filozofii. Inteligencji tej dorównuje, a nawet przewyższa ją — rzekłbym — jego pamięć... Ile masz teraz lat?

— Tylem razy był rzekł: nieco ponad osiemnaście...

— Nie szkodzi, jeśli jeszcze raz to powtórzysz — powiedział Mankuras tak szorstko, że Heliodor nie przemógł się już i rzucił mu pełne niesmaku spojrzenie. Ind jednak, jak gdyby wcale spojrzenia tego nie dostrzegł, ciągnął bar-



dziej jeszcze szorstko, nie odrywając oczu od twarzy przesłuchiwanego:

— Mało powiedzieć: poślizgnąłeś się. Upadłeś, i wierzej: nie będzie łatwo ci się podnieść. A żałuj, bo teraz ja ci coś na odmianę wyznam: jużem wierzył, żeś synem Orestesa rzeźbiarza... Jużem miał rzec swemu znakomitemu, a obecnemu tu zwierzchnikowi: ten młodzian cały czas mówi prawdę — wierzę mu — jest tym, za kogo się podaje. Ale oto przestałem ci wierzyć, bo jakże bym mógł uwierzyć, by ktoś o tak ukształconej inteligencji i tak świetnej pamięci, mając osiemnaście lat, nie umiał powiedzieć, czy matka, którą stracił, mając osiem, była bardzo wykształcona, czy nie była?...

— A jednak ja jestem synem Orestesa rzeźbiarza — zawołał Leptynes głosem, pełnym łez i rozpaczy tak rozdzielającej, że Heliodor nie pomyślał już: „To świetny aktor”, tylko: „Coś tu musi być bardzo dziwnego...”

— Coś tu musi być bardzo dziwnego — powiedział Mankuras. — Zrozumże, chłopcze, ja ci źle nie życzę, ja ciebie nie chcę prześladować ni szykanować. Ja tylko wiem kiedy ty przeczysz prawdzie, i mówię ci to...

— Zawsze? — wyrwało się Leptynesowi.

— Mówimy z sobą dłużej pierwszy raz dopiero — odparł Mankuras, i Heliodorowi przemknęło przez myśl, że jednak greka Inda daleko nie nadąża za rzeczywiście dobrą, choćby nawet i taką, jaką się posługuje przesłuchiwany.

— Jeśli mi źle nie życzysz, czemu nie uzyskasz od swego tu oto zwierzchnika tego, o co ja go tak gorąco a daremnie błagam: odeślijcie mnie do ojca, choćby pod strażą nawet, czy to tak trudno może zrobić?

— Bardzo trudno.

— Dla tajnego wywiadu Króla Wielkiego? — znów niedwuznacznie zakpił Leptynes i znów Heliodor pożałował, że przekazał śledztwo Indowi.

— Słyszałem o pewnym bogu — wolno słowo po słowie jął cedzić Mankuras — który stworzył człowieka, ale gdy stworzenie, zbroiwszy coś, ukryło się w krzakach, stwórca, rzekomo wszechmocny i wszechwiedzący, wołał: — Gdzie jesteś?

— Słyszałeś o takim bogu? — zawołał Leptynes z niedowierzaniem, ale jakimś ogromnie a dziwnie podnieco-

nym głosem. Bez podniecenia, ale równie z niedowierzaniem spojrzął na Inda Heliodor: o wielu bogach słyszał, ale o takim — nie.

— O wielu bogach słyszałem — też ogromnie dziwnie podniecony, odparł Mankuras.

I natychmiast dodał:

— Mimo jednak że bardzo trudno byłoby nawet wywiadowi Króla Wielkiego odesłać ciebie teraz do ojca, może by ostatecznie i dało się to zrobić, pod jednym przecież warunkiem. Oto mój dostojny zwierzchnik ciekaw jest ogromnie, jak odmieniłeś los, co ci wyznaczył był dolę rzeźnia. Otom i ja ciekaw tego samego, ale nadto wielu innych jeszcze rzeczy. Więc ci proponuję umowę: przekonaj mnie ponad wszelką wątpliwość — sam mnie przekonaj, swymi słowami — żeś synem Orestesa, a ja wzamian postaram się — ale dopiero wówczas, nie wcześniej — stworzyć takie warunki, byś został odesłany do ojca.

— Jakże mam cię przekonać? Mówię to wciąż i wciąż, a wy mi nie wierzycie...

— Byłeś blisko bardzo tego, bym ci wierzył, zachwiałeś jednak moją wiarę...

— Zaćmienie pamięci... Jestem znużony, znękanym przez was, czy wy tego nie widzicie, nie rozumiecie?

— Widzę i rozumiem — powiedział Mankuras łagodnie, ale zarazem takim też tonem, jak gdyby Heliodor w ogóle przestał istnieć — więc powtarzam: zawrzyjmy ugodę. Zaraz będziesz mógł odejść i wypoczywać całą resztę dnia i noc całą — wypoczywając, odświeżaj i wysylaj swą pamięć, bo jutro — zgadzasz się? — opowiesz nam całą prawdę o całym swoim życiu. Gdy opowiadanie twe dobiegnie końca będę ostatecznie a nieodwołalnie wiedział: jesteś czy nie jesteś synem Orestesa rzeźbiarza.

— Tyle razy już wam wszystko, wszystko, o sobie opowiadałem! — znów z rozpaczą prawie wołał Leptynes, a zarazem i w szczerym niedwuznacznie gniewie. — Rzekłeś, że rozumiesz, wiesz, iż mnie męczycie — takim tonem, jakbyś sam zadrzeć mnie nie chciał. Ale oto chcesz! Wiecie wszystko — o dzieciństwie mym w Sardach i w Seleukii, i w Aleksandrii, Proftazją zwanej. O tym, że ojciec odesłał mnie do Argos — ba, wiecie, dlaczego odesłał... o tym, że byłem w niewoli u Tocharów, a potem u Hunów...

— Ale jak wiemy to wszystko? Życie twoje, Leptynesie, jest — dla mnie przynajmniej — jako rozebrana płyta po płycie, płyta po płycie — posadzka mozaikowa. Widzę na płytach ułamki obrazu — tu ludzkie ucho, tam piętę, tam znów ogon jakiegoś zwierzęcia, jeszcze gdzie indziej strzęp włosów lub obłoku strzep, umiem ocenić wartość rysunku, barwy, nawet i układu niekiedy, ale zapytaj mnie, co ta mozaika jako całość przedstawia? Odpowiem ci: nie wiem. Niech jej twórca mówi mi, że to odszukanie Achillea wśród dziewcząt czy znakomite czyny założyciela dynastii, której służę, skąd mogę wiedzieć, że prawdę mówi? Niech z powrotem ułoży płytę po płycie, płytę po płycie na właściwe każdej z nich miejsce, gdy wszystkie na miejscach swych już będą, ogarnę całość wzrokiem i będę wiedział: mówił prawdę czy nie. Ale nie wcześniej.

— Opowiem — westchnął Leptynes.

Po czym niespodzianie zupełnie zapytał Heliodora:

— A gdzie jest twoja dostojna i piękna małżonka, o panie?

Nim Heliodor w ogóle w pełni zrozumiał, o co jest zapytywany, Mankuras szybko odparł:

— W Terze u matki.

— Więc stoimy w Terze — mruknął Leptynes — zamiast naprzód podążać, wracam.

— Tak zawsze jest — powiedział Ind.

— Jest, czy musi być?

— Czy bywa coś, co być nie musi?

— Bywa.

— Czy to wynik doświadczeń twego życia, młodzieńcze? Tym bardziej jesteśmy ciekawi jutrzejszej twej opowieści.

Heliodora zupełnie już z równowagi to „jesteśmy ciekawi” wytrąciło. Ind to zaraz spostrzegł i zawoławszy straż, odprawił Leptynesa. Gdy został z Heliodorem sam na sam, rzekł:

— Jest synem Orestesa.

— Jest tym, za kogo się podaje? Pewnyś? Ale w takim razie po cóż mamy wysłuchiwać jutro tego opowiadania?

— By wiedzieć, kim jest naprawdę.

— Daruj, ale czyś oszalał? Przecież dopiero...

— ...rzekłem, że jest synem Orestesa rzeźbiarza. Nic ponadto.

- Czy ja długo jeszcze będę więziony?
- Co najmniej do jutra.
- Ale dlaczego?
- Dlaczego tak długo? Chcesz, żebym przyspieszył opowiadanie Leptynesa? Wolałbym tego nie robić, ale jeśli tak nierozsądnie rwiesz się naprzeciw niebezpieczeństwu...
- Jakiż związek ma opowiadanie Leptynesa z tym, że Teofil bezprawnie mnie tutaj więzi?...
- Wytrop ten związek, że pozwolę sobie za innymi powtórzyć: o Tajniaku nad Tajniakami...
- I ty drwisz ze mnie?
- O, nie — Heliodorze! Jestem twym zwierchnikiem, więc szczerym twym przyjacielem. To, co zowiesz drwiną, jest tylko przyjaznym wołaniem: obudź się ze snu!
- Bardzo nie na czasie wołanie — wysilił się na uśmiech Heliodor. — Właśnie teraz ogromnie mi się chce spać.
- Więc śpij. Nikt ci nie przeszkodzi.
- Czy Dioneja naprawdę jest u matki?
- Ja nawet przesłuchiwanym, podsądnym, bez potrzeby nie oszukuję, Heliodorze.
- Dom jej matki jest najwyższy w zachodniej dzielnicy osady. Gdyby wyszła na dach, z tarasu mógłbym ją zobaczyć...
- Gdy wyjdzie na dach, przyrzekam ci, uzyskam od Teofila, że wypuszczą cię na taras...
- Ale możebyś mógł ją uprzedzić? Gotowa przecież w ogóle na dach nie wyjść.
- Wyjdzie.
- Heliodor, nagłą tknięty myślą, zapytał: — Mankurasie, jak mogłeś mówić ze mną na odległość?
- Czy pytanie takie przystoi Tajniakowi Tajniaków?
- Znów powtórzę: i ty drwisz sobie ze mnie.
- Powtórzę i ja: tylko ciebie budzę. A z coraz większym niepokojem, synu.
- Mógłbym być twoim ojcem.
- Mógłbyś? Niczym nie byłeś, niczym nie jesteś.
- I ty mi ten wyrzut też robisz, ty? Ty, któremu znana się stała — nie wiedzieć jak — moja tajemnica...
- Synu, obudź się.
- Do czego? — zapytał cicho Heliodor i odczuł, już

potem jak był zapytał, wielki smutek. Tak wielki, że gdyby to nie stał przed nim Ind, tylko Grek, padłby mu w ramiona z głośnym wyzbytym wszelkiego już wstydu szlochaniem.

— Do wielkiej — największej chyba — przygody swego życia. Całego jak dotąd, życia...

— Zbliża się?

— Już dawno jesteś w niej zanurzony, jak pływak w wartkim wirze.

— Dawno? Od chwili, gdym uwięziony?

— Znacznie dawniej.

— Odkąd?

— Zaiste, takie pytanie...

— ...nie przystoi tajniakowi. Wiem.

## VIII

Zostawszy sam Heliodor położył się i zamknąwszy oczy, starał się, mówił sobie, zrozumieć coś nie coś choćby z tego, co z nim i wokół niego się działo. Oto on, agent zaufany i Towarzysz Króla Wielkiego, sługa dynastii wiernej od tylu, tylu lat, został pozbawiony wolności, a co najmniej swobody ruchów. Oto Dioneja, jego żona i zarazem wręcz twór jego, odeszła, i choć prawo, obyczaj, a i czysto fizyczna siła — były po jego stronie, nie przeszkodził jej. Nie mógł zaś czy nie chciał przeszkodzić? Skłonny był raczej sądzić, że nie chciał, że nie zatrzymując jej, dał wyraz bezgranicznej swej pogardzie dla jej również nie mającej granic niewdzięczności. Wnet jednak przypomniał sobie, że przecież oto przez chwilę próbował ją przemocą zatrzymać, gonił aż do drzwi, a chciał i dalej jeszcze — poza drzwi, ale mu się nadzwyczaj zręcznie wymknęła, dalej zaś gonić jej nie dały mu strażę, przez Teofila przy drzwiach sypialni postawione. Czyli więc jednak nie to że nie chciał, ale nie mógł jej przy sobie zatrzymać; odejście więc jej musiał rozpatrywać ściśle w związku ze swym uwięzieniem. Ale właśnie to też najbardziej miał żonie za złe: opuszczenie go w chwili dla niego najcięższej, najgorszej, odkąd się pobrali, nie, odkąd go w ogóle znała, a znała przez całe swe życie! I tu nagle Heliodor uprzytomnił sobie coś innego jeszcze: oto jeśli jak dopiero co stwierdził, była to najcięższa, najgorsza dla niego chwila na przestrzeni całego życia Dionei, więc lat osiemnastu, musi o sobie po-

wiedzieć, że jak na tajniaka, był właściwie wyjątkowym wybrańcem Losu, skoro nic mu się aż dotąd przez tyle lat nie przydarzyło gorszego, niż obecne uwięzienie. Przed zamkniętymi oczyma zaczęli się przesuwać jego poprzednicy, zwierzchnicy, współpracownicy, podwładni — tacy, co padali, by już się nie podnieść, po dwu, trzech, najwyżej pięciu latach powodzeń w służbie, czy to oszałamiających wprost, czy zaledwie miernych, a także i inni, ci, których na samym początku działalności — nieraz w trzecim czy drugim nawet już dniu — znajdowano: jednych z głową zmiażdżoną kamieniem, lub z nożem między łopatkami; innych — otrutych, uduszonych, utopionych, rozszarpanych przez psy, rzuconych żywcem na mrowisko; jeszcze innych — w ogóle nigdy nie znaleziono. Byli i tacy, którzy — jedni po latach służby, inni po dniach — przychodzili z prośbą, wręcz z błaganiem o zwolnienie czy choćby nawet o przeniesienie do czynnej służby wojskowej w takich choćby zakątkach królestwa, a potem zjednoczenia królestw, skąd zwykle zmykali — mimo najwyższych choćby nawet poborów — najemnicy, co w bojach przewędrowali byli pół świata, albo wielką nawet okryci chwałą wojenną weterani spośród osadników; do Indyj także sporo odpłynęło, nawet na wschód najdalszy, przyrzekając, że znajdą sposób nawiązania bezpośredniej łączności handlowej z wytwórcami jedwabiu i białej miedzi. Wielu z nich nigdy z dalekich owych wypraw nie wróciło — zginęli jak byliby też może — choć wcale nie koniecznie — zginęli, w służbie bezpieczeństwa pozostając; to jednak, że ryzyko owych wypraw dalekich przenieśli nad pozostanie w służbie, dowodziło, jak bardzo jednak była niebezpieczna to służba. Heliodorowi jednak nic się na przestrzeni trzydziestu blisko lat nie stało. Owszem, przykrości wielkie miewał nierządki, szczególnie gdy w łonie samej dynastii wszczywały się tarcia — o tym dobrze pamiętał; próbowano też kilkakrotnie robić na niego zamachy — zawsze jednak bezskutecznie, bo zawsze przewidywał, że ci a ci, knując to a to, zagrożeni przez wywiad tak a tak, tak a tak też, nie inaczej, będą chcieli lub musieli się zachować; że zaś w parze ze zdolnością przewidywania szła u niego szybkość i stanowczość a przy tym omalże zawsze i nieomyślność w doborze środków zaradczych, był nie do ugody-

nia. Więc go nazwano, wiedział, w kołach przestępczych Achilesem, przy czym, też wiedział, bywali w tych kołach i tacy, którzy naprawdę go mieli za czarodzieja czy czarownika w zależności od tego, czy bardziej budził nienawiść czy podziw, jaki — gdy pewne przekroczy granice — nawet w przestępcy, choćby i politycznym, zagłuszyć jest władny nienawiść wilka do psa, jastrzębia do oswojonego sokoła. Lecz przecież i Achilles baśniowy okazał się w końcu podległy mocy zabójczej wrogiego grotu, poprzez niedopatrzenie matki, jak Heliodora za chłopięcych jego lat uczono; dwaj jednak nauczyciele — jeden, przygodny, w Naupakcie Aitolów, a drugi, stały, w Antiochii nad Orontesem — którym wiedzę tę zawdzięczał, nie byli zgodni w tym, czemu właśnie z ręki Aleksandra Parysa, Priamowego syna, i właśnie w czasie zaślubin z Polikseną a nie kiedy indziej, trafiony został Achilles w piętę, jedyne miejsce, w jakie w ogóle porazić go można było. Jeden z nauczycieli twierdził, że tylko Parys znał czy zdobył tajemnicę nieomycia pięty w wodzie Styksowej, dającej nieśmiertelność; inny natomiast zaprzeczał istnieniu tajemnicy, wyjątkową zaś rolę Parysa sprowadzał bądź do wyjątkowej też zręczności, niezbędnej, by w piętę szybko nogiego w biegu ugodzić, bądź do równie wyjątkowej podłości, na jaką tylko Parysa właśnie mogło być stać, by oblubiénca siostry zabić w czasie uroczystego rozejmu, bo też tylko wtedy mógł on — czy ktokolwiekbądź — mieć nadzieję, że Achillesa w piętę z łuku trafi. Ten jednak nauczyciel czy tamten miał słuszność, tak czy owak w świetle podania o nietykalności ciała Achillesowego poza piętą, pewne było, że w piętę trafiono, trafił Parys, i Achilles zginął.

Przypominając sobie z zamkniętymi oczyma, jak go nazywano Achilesem, zastanawiał się Heliodor, czy ci, co go tak nazywali, mówili kiedy między sobą o tym, że i on musi mieć swoją piętę Achillesową, że i na niego znajdzie się Parys, co go kiedyś w tę piętę ugodzi. Jeśli tak mówili, nie mylili się: oto został wreszcie ugodzony — wiedział to, czuł, ale wszystko poza tym w tym ugodzeniu było dlań zagadką; Achilles wywiadu Eutydemidów nie umiał powiedzieć — nawet samemu sobie — kto w tym świeżym a rzeczywistym odtworzeniu pradawnego podania baśniowego był Parysem, ani co było łukiem, strzałą, nawet



własną jego piętą. A bardzo chciałby umieć to — sobie samemu przynajmniej — powiedzieć. Im dłużej z zamkniętymi oczyma leżał, tym bardziej tego właśnie chciał — bardziej chwilami, niż powrotu Dionei nawet.

Więc też już poniekąd zaczynał go cieszyć pomysł Mankurasa, tak go zrazu drażniący, by Leptynes opowiedział całe swe życie i by do opowiadania tego należycie się przygotował, obdarowany rękojmnią, iż się nie będzie go niepokoilo, ani przez resztę dnia, ani przez całą następną noc. Bo przecież była to zarazem rękojmia spokoju całkowitego dla niego, Heliodora; Mankuras wyraźnie zapowiedział Leptynesowi, że opowieści tej wysłuchają obaj — i zwierzchnik, i zastępca — że zaś Ind niewątpliwie orientował się najdokładniej w tym wszystkim czego Heliodor właśnie zupełnie nie rozumiał — w tym, co się z nim i wokół niego działo — nie byłby wystąpił z taką zapowiedzią, całkowitej nie mając pewności, iż nic nie przeszkodzi temu, by nazajutrz Leptynesa słuchali znowu obaj, w samej rzeczy tak czy owak zwierzchnik i zastępca, czy to we współzależności pozornej, Leptynesowi znanej, czy też w rzeczywistej — odwróconej.

— Bardzo to zabawne — nieprawdaż? ta współzależność między spokojem twoim a Leptynesa... A i nie tylko ta, bo i inna też: oto obaj jesteście więźniami, choć Leptynes, tu doprowadzany, ani się tego domyślał...

Zdumiał się. Przy pierwszych słowach doznał tylko silnego rozdrażnienia: oto jednak daremne były jego nadzieje na spokój, przez Mankurasa zapewniony, bo Ind sam go w spokoju nie zostawia. Wnet jednak spostrzegł się, że to inny zupełnie głos tym razem — nie wiedzieć jak — na odległość do niego przemawia. I to — co najdziwniejsze — kobiecy głos. Znany mu, a jednak nie dający się rozpoznać. Na tym się przecież dziwność sprawy wcale jeszcze nie kończyła; tajemniczy ten głos bowiem był Heliodorowi dwoiście znajomy — oto ktoś, kogo znał, starał się naśladować kogoś innego, również mu znanego, i ta właśnie dwoistość utrudniała rozpoznanie; gdyby udająca nie udawała, Heliodor od razu by wiedział, kto to mówi — toż samo, gdyby udawana była sobą naprawdę. Ale nawet i to nie był jeszcze koniec dziwności: bo oto mówił ktoś, kto czytał w jego myślach, a zdolny do tego na pokładzie „Zgody Narodów” był wedle jego przekonania tylko Ind,

więc jednak musiał to być on, lecz jeśli on, to udawał dwie kobiety, obie Heliodorowi znane!

„Może śpię?” — mruknął i otwierając oczy uniósł się na łokciach.

Jeśli spał, to niewiarygodnie wprost długo. Barwa nieba w górnym otworze sygnalizowała nadciąganie zmierzchu, czuł też głód. Z przyjemnością sięgnął po placek i wino. Głód się tylko wzmógł, zaczął więc rozglądać się za serem, cebulą i suszonymi owocami. Jedząc i pijąc, starał się dociec tożsamości głosów, zarówno udającego jak i udawanego, choćby nawet snu tylko były tworem. Daleko jednak w dociekaniu tym nie mógł się posunąć: dotąd tylko, gdzie stało mu się jasne, że była to próba udawania dojrzałej kobiety przez głos prawie dziewczęcy. Próba raczej żalosa, gdyby taką nie była, wiedziałby przynajmniej, kogo chciano udawać.

Wrócił do przerwanego przez wtargnięcie głosu, uprzedniego biegu swych myśli: jeśli ugodzono go oto w piętę Achillesową, czy miał taką piętę zawsze? Nagle sobie przypomniał, że swego przygodnego nauczyciela w Naukratos zapytał, czy by nie było to możliwe, ażeby Achilles w ogóle nie wiedział — aż do chwili, gdy został ugodzony — że pięta jego w wodzie Styksowej nie była omyta. Odpowiedzi — równie wyraziście przypomniał sobie — nie dostał; przygodnemu nauczycielowi spieszyło się gdzieś przed kimś bardzo ważnym ważną też bardzo wygłosić mowę. Heliodor nie pamiętał ani mowy ani jej treści ani przed kim — tym kimś bardzo ważnym — wygłoszona została, mimo że — to też z kolei sobie przypomniał — w jego przeciwieństwo była wygłoszona obecności! I to jeszcze pamiętał: przez cały czas trwania mowy nauczyciel, raz po raz prawą wymachując ręką, w swej lewej trzymał malutką dłoń Heliodora i raz po raz też — właśnie w chwilach, gdy najgwałtowniej swą prawą wymachiwał — ścisnął ją tak boleśnie, że chłopiec chciał krzyknąć. Ale ani razu nie krzyknął, wstydził się, a może nawet się bał dostojnego zgromadzenia, szczególnie owej ważnej bardzo osoby. Jeszcze, zresztą, ponadto czegoś się bał — tego też teraz był pewien — czegoś, o czym się dowiedział był z mowy. Ale co to mogło być, nie był w stanie sobie przypomnieć: coś wielkiego, ruchomego — właśnie tak — jakiś potwór, ale potwór bez głowy i nóg. Więc jak się

mógł poruszać? Czołgał się? Ależ nie — leciał — miał skrzydła! Więc był to jakiś potworny ptak! Nagle jednak znów opadły Heliadora wątpliwości: jak głowy i nóg, nie miał ten potwór także skrzydeł — tego znowuż był pewien. Ale i tego też, że leciał — wolno, bardzo wolno, przecież stanowczo leciał. Lecz jak można latać bez skrzydeł?

Rozpędzoną ku dalekiej przeszłości myśl z trudem ściągnął z powrotem tam, gdzie chciał ją mieć, by krążyła: wokół problemu, czy piętę do ugodzenia miał zawsze, a jeśli nie zawsze, to kiedy się taką stała? Wtedy kiedy zaczęto mi wypominać, wytykać, jakim to sposobem ojciec dorobił się dla mnie godności rękodajnego przy osobie króla Seleukidy — oświadczyło bez obstrukcji poczucie winy. — Nie — odparła zraniona miłość starszawego męża do młodszej o wiele żony — tak to nie jest, bo gdyby było, piętę Achillesową miałbym od bardzo dawna i bardzo dawno już też, a nie dopiero teraz, byłbym został w nią ugodzony.

*Poczucie winy:* Ale przecież Achilles też został ugodzony dopiero w dziesiątym roku oblężenia Troi.

*Zraniona miłość:* Bo nikt, nawet Parys, mógł nie znać przedtem tajemnicy pięty. Względnie znowuż nikt, a więc znowuż nawet Parys, nie był władny ugodzić go, gdy był na baczności.

*Poczucie winy:* Więc tak samo i ja mogłem przez wiele lat być na baczności, ostatnio zaś załamane się. Czy nie mówiłem z Mankurasem o haniebnym czynie ojca?

*Zraniona miłość:* Ale kiedy mówiłem? Czy już byłem ugodzony, obalony.

*Poczucie winy:* Wcale nie. Obalony byłem dopiero w chwili, gdy Teofil postawił mi przy drzwiach strażników.

*Zraniona miłość:* I gdy odeszła Dioneja. Lecz to jej odejście pozornie tylko było nagłe. Zapowiadała je uprzednio, przygotowywała jeszcze przedtem.

*Poczucie winy:* Bom jej odmawiał dziecka. Ale jak mogłem pozwolić, by obarczono niewinną istotę ohydny dziedzictwem, zawierającym się w samym imieniu: Bolis?

*Zraniona miłość:* Niewinną istotę, z Dionei zrodzoną — ciało z jej ciała, zapewne i uśmiech z jej uśmiechu. Gdybym Dionei nie kochał tak, jak kocham, cóż by mi

szkodziło, by jej i moje dziecko nosiło imię, którego ohyda łatwo by mogła na zawsze pozostać dla niego tajemnicą?

*Poczucie winy:* Czy na zawsze? Dla Dionei nie pozostały tajemnicą istotne pobudki znalezienia się jej prapradziada nad Oksosem.

*Zraniona miłość:* A czy poznawszy je, tak bardzo cierpi? Przeciwnie — robi sobie z nich materiał pierwszorzędny do szyderstwa.

*Poczucie winy:* Nabrzmiałego łzami szyderstwa.

*Zraniona miłość:* Jeśli tak, to jeszcze lepiej. Zdołałaby wykrzesać w sobie wyrozumiałość i dla mojego niechwalębnego dziedzictwa. Gdyby chciała, oczywiście. Ale wątpię, czyby zechciała. Bo przecież to byłby świetny pretekst dla osłonięcia wielkimi słowami o czci, hańbie, zdradzie, wierności istotnych pobudek, dla których odeszła. Pretekst zaś — każdy, a cóż dopiero taki! — bardzo by jej się przydał, bo te rzeczywiste pobudki...

*Poczucie winy:* Nie ściągnęłyby wcale na nią ani w tysiącznej części takiej hańby, jaką dostałem w dziedzictwie po ojcu. Dla bardzo młodej żony wszyscy mają w zapasie bezmiar istny wyrozumiałości...

*Zraniona miłość:* ...zakładając, że starszawy mąż...

*Poczucie winy:* Przeistaczasz się we mnie.

*Zraniona miłość:* A ty we mnie.

Ogromnym wysiłkiem woli, przecież skutecznym, Heliodor położył temu dwugłowskiemu w sobie natychmiastowemu kres, ledwie spostrzegł, że i zraniona miłość w nim i poczucie winy nagle przeszły w swym sporze na „ty”. Od jakiegoś bowiem czasu z niepokojem śledził w sobie skłonność coraz wyraźniejszą, do rozdawania się. Źródło tej skłonności dostrzegał jasno: tajniak musi wcześniej czy później skończyć na znalezieniu jedynie umiłowanego, bo też jedynie godnego zaufania, rozmówcy w samym sobie. Ale droga to prosta — sądził — do obłądu: można, nawet należy mówić z sobą, by tym lepiej później o tym samym mówić z innymi, lecz wszelkie przetwarzanie środka w cel..

— Jest wielkim nieszczęściem — odezwało się znów poczucie winy. — Przecież nieuniknionym, gdy się dźwiga na sobie całe życie tak potworne brzemień haniebnej tajemnicy...

— Której tajemnicy? — nie pozostała znów w tyle zraniona miłość. — Tyle ich mam. Muszę mieć. Z tytułu

zawodu, rzecz jasna. Ale przed Dioneją ostatnio coraz chętniej się zwierzałem... Ona zaś, zamiast odczuć wdzięczność...

Zerwał się z posłania, szybko zbliżył się do drzwi, otworzył je. To, że strażnicy znikli, nie zdziwiło go. Pewnym krokiem skierował się na taras. Wieczór już prawie zapadł, ale to mu nie przeszkadzało z nadzieją, omalże ze spokojną pewnością, wpatrywać się w dachy Tery.

— Przyszłam — usłyszał nagle tuż za sobą. Ale znów się nie zdziwił. Nie odwracając się, zapytał:

— Czy prosić o pokój?

— Nie o pokój.

— Więc o co? Raczej to niezwykle sposób podchodzenia wroga prosić go o coś innego, póki wojna trwa.

— Przyszłam prosić o zupełną wolność.

— O rozwód?

— O dużo, dużo pieniędzy. Chcę wyruszyć w szeroki świat.

— Do Indyj?

— Nie.

— Do Argos?

— Na Argos za późno. Dobrze o tym wiesz. Chciałam tam z tobą zamieszkać. Tylko z tobą.

— Więc dokąd?

— Na Zachód?

— Do Margu? Może jako nowa nałożnica najukochańsza króla Antymacha.

— Jeśli i nałożnica, to na pewno nie królewska.

— Czyja?

— Tego, kogo kocham. Ale jeszcze nią nie jestem.

— Toteż jeszcze żyjesz. Winszuję i dziękuję. Czy ja go znam?

— Mógłbyś, ale nie chcesz.

— Któż to jest?

— Zaiste takie pytanie nie przystoi...

— Dawcy ci życia? Może masz słuszość.

— Czy wciąż jeszcze za swe życie się nie wypłaciłam?

— Ja cię wciąż jeszcze kocham.

— Ja ciebie — już nie. Ale ty mnie — jako kogo? Jako swój twór czy jako swoją kobietę?

— To i tamto stanowią dla mnie jedność niepodzielną.

— I to właśnie było największym dla nas obojga nieszczęściem. Ale ja nie chcę więcej być nieszczęśliwa.

— Czy tam gdzieś na Zachodzie spodziewasz się znaleźć szczęście?

— Spodziewam się je tam z sobą zanieść.

— By je dawać, czy brać?

Z dołu, najpewniej od strony kwater straży królewskich, doniosło się nagle wołanie:

— Więzień uciekł!

Rozległ się tupot wielu nóg. Wciąż nie odwracając się do żony, Heliodor ze spokojnym powiedział zadowoleniem:

— Ale że ja sam jestem też więźniem, za jego ucieczkę żadnej nie ponoszę odpowiedzialności.

— Jakże się bardzo mylisz! — odezwał się Mankuras, znów niewidzialny, znów już tylko głos bezcielesny, ale Heliodor tym razem nie tylko się nie zaniepokoił, ani nawet nie stropił, lecz z tym samym co przedtem spokojnym zadowoleniem odparł:

— Że rurę przyrządu podsłuchowego zamienić można w głośnik, odległość pokonywujący, jeszcze w Seleukii nad Tygrysem słyszałem, jako wyrostek. Ale że komuś się chce obciążać dodatkowo wielki a wspaniały okręt bezmiarem poskręcane go żelaza tylko po to, by słuchać co mąż mówi do żony, to bym uznał za narażanie, lekkomyślne co najmniej, stanu posiadania dynastii.

— Winszuję, Heliodorze, coraz bliższy jesteś przebudzenia — zaśmiał się gdzieś daleko i blisko zarazem Ind. Wnet potem jednak — poważnym już głosem — dodał: — Ale niekiedy gdy nie śpisz, zdaje ci się, że śniesz.

Heliodor nawet nie spostrzegł, jak i kiedy Dioneja znikła ponownie z tarasu.

Gdy wrócił do sypialni, próbował znów się skupić na problemie swej pięty Achillesowej, ale nie udało mu się. Natomiast uprzytomnił sobie, kogo tak źle po południu udawał — oczywiście też poprzez ukrytą w którejś ścianie rurę — nierozpoznawalny dziewczęcy głos: oto Teodorę, narzeczoną Spitamenesa Sogdyjczyka.

— Mankurasie — zawołał. — Czy mnie słyszysz?

Odzewu nie było. Wołał wielokrotnie. Odzewu wciąż nie było.

Czym nazbyt się nie przejął. Bo oto był na tropie —

w to nie wątpił — tajemnicy śmierci młodego króla Eutydemosa. I to na tropie jedynie właściwym. Ale wpoprzek zalegała, niczym umyślnie ścięte olbrzymie drzewo przydrożne, wciąż jeszcze nierozwiązana zagadka tożsamości Leptynesa. Że zaś pilno mu było do odzyskania wolności, a i w ogóle do tego, co Mankuras zwykł był nazywać jego Heliodora, przebudzeniem, chciał skłonić Inda, by słuchanie opowieści o całym życiu Leptynesa przyspieszył. Ale uprzytomniwszy sobie, że przecież Leptynes rzekomo uciekł, dał bez żalu za wygraną: jeszcze jedna noc uwięzienia wielkiej różnicy dlań nie robi. Szczególnie że noc ta była mu potrzebna, by obmyśleć dokładnie, jak zabije Dioneję. Chciał oszczędzić jej wszelkiego możliwie bólu, ale chciał też, by umierała z pełną świadomością, że umiera tak młodo, bo sama sobie na to zasłużyła — że wszystko dla niej się kończy, a mogłoby przecież długo jeszcze się nie kończyć — że zabiera jej życie ten sam, który życie to dał. Kiedy ją zabije, to łatwo było ustalić; nieporównanie trudniej: gdzie. Najlepiej byłoby na wyspie niemowląt odrzucanych, tej samej, dokąd wysłał był ją kiedyś Dion na rękach Aspionii. Wyspa ta znajdowała się niedaleko; z trudem tylko widzialna z poziomu tarasu komnat królewskich, dawała się doskonale oglądać z wysokości pomostu królewskiego o piętro wyżej. I to właśnie było pierwsze, co sobie Heliodor obiecywał na czas natychmiast po odzyskaniu wolności: wejść razem z Dioneją na tamten pomost i zmusić ją do odszukania wzrokiem gdzieś na sieci kanałów, łączących Politymetos z Oksosem, czerwonawy prostokąt z łukowatym wgłębieniem od wschodu. Obyż to mogło się stać, gdy jeszcze wyrok byłby do odwołania — wówczas przeraziłby ją tylko, i na tym by się wojna skończyła. Ale obawiał się, że tak się jednak nie stanie, i że będzie musiał jej zapowiedzieć przejażdżkę, dla niej bezpowrotną, tam, dokąd kiedyś nie była zjechała. „A jeśli nie da się tam zaciągnąć?” przemknęło mu nagle przez myśl, ale w lot zmiażdżył szyderczym usmiechem tę wątpliwość, jako niewiarygodnie wprost absurdalną: przecież po wysłuchaniu opowieści Leptynesa nikt się mu na pokładzie „Zgody Narodów” nie oprze, nawet Antymachos, więc dokądkolwiek kogokolwiek zechce zaciągnąć, będzie miał dziesiątki, a w razie potrzeby i setki rąk usłużnych do pomocy. Oczywiście, wołałby Dionei

oszczędzić tego upokorzenia, by inni — obcy — miesza-  
li się i to w takiej jeszcze chwili do sprawy, wyłącznie a jak  
najbardziej własnej jego i jej. Spodziewał się ją też do  
tego swego odczucia sprawy przekonać — ostatecznie,  
uprzedził był ją, ostrzegł, a nie miał też podstaw sądzić,  
iżby ostrzeżenie zlekceważyła; więc jeśli go cielesnie  
zdradzi, to z pełną świadomością, że opłaci zdradę życiem.  
Taka zaś świadomość ułatwi — wierzył — dojście do po-  
rozumienia, mającego na celu trzymanie z dala od ich  
sprawy wszystkich obcych — właśnie wszystkich, z wy-  
jątkiem może jednej Teodory, jeżeli Heliodor ją na czas  
zdoła odszukać, ale też Teodory, o ile świeży trop nie  
zostanie zgubiony, nie sposób byłoby właśnie w związku  
z takim, nie innym, zakończeniem wojny między nim a żo-  
ną — uważać za obcą.

Z kolei przeszedł do sposobu, w jaki Dionei odbierze to,  
co był jej dał. Tu też wiele było nad czym łamać sobie  
głowę. Dion — wiedział — nakazał był Aspionii, by no-  
worodka udusiła, ale bez wielkiego przekonania, jako że  
było na porządku dziennym, iż odwaga zawodziła tych  
lub te, których z takim zleceniem na wyspę wysyłano,  
i niemowlęta prawie zawsze ginęły bądź z głodu, bądź  
od szponów i dziobów jastrzębich, bądź też — w porze  
deszczowej — topiły się, gdy woda z kanałów, wzbierając  
wyspę częściowo, a niekiedy i całkowicie, na dzień, dwa  
zalewała. Oczywiście, Dionei dorosłej nie sposób było tak  
na wyspie zostawić na pastwę głodu, czy drapieżców, czy  
wody, choćby nawet z mocno związanymi nogami i ręko-  
ma; po pierwsze bowiem byłoby to narażenie jej na strasz-  
liwe cierpienia, po drugie zaś raz po raz przecież ktoś  
z Tery z noworodkiem na wyspę przybywał i ktokolwiek  
by to był — wolny czy niewolnik, Grek czy tubylec, męż-  
czyzna czy kobieta — znalazłszy ją jeszcze przy życiu,  
byłby uratował, czyli by tylko na powtórne ją skazał prze-  
życie strachu śmierci. Heliodor zaś zawsze za jedną z za-  
sadniczych różnic między Azjatami a Grekami uważał  
przeświadczenie narodu, do którego sam należał, iż nie  
istnieją pod planetami zbrodnie, zasługujące na karę su-  
rowszą niż śmierć jednokrotna.

Trochę nadziei pokładał w tym uwielbieniu, jakie Dio-  
neja zdawała się żywić dla Sokratesa z dialogów Platona.  
Gdyby się dała nakłonić do wypicia wolno działającej tru-



cizny i to takiej, co ściąga śmierć bez bólów — trudno byłoby o lepsze rozwiązanie. Nim by śmierć nadeszła — mówilby do niej — dużo by mówił — głównie, a może i wyłącznie o tym, ile traci, umierając tak młodo. Powiedzialby jej o swej całkowitej już właściwie gotowości do zamiany działalności dotychczasowej na urząd Eparchy nad Parykeną, a więc tym samym gotowości wyjazdu do tak pożądanego dla niej Argos. Opisywałby ogrody i sady, wśród których mogłaby żyć długie, długie lata, jedwabie, które by nosiła — klejnoty, jakimi by ją ozdabiał — książki, które by dla niej sprowadzał zewsząd, choćby nawet z królestwa Tsin, albo i z oszałamiająco już dalekiego wówczas Rzymu, gdyby tam cokolwiek kiedyś zostało napisane, co godne byłoby jej uwagi — rzecz, oczywiście, nieprawdopodobna, tym niemniej przecież warta rozmowy przedśmiertnej. Zresztą, nie mówiłby sam tylko, musiałaby też mówić i ona — więcej jeszcze niż on, bo przecież ostatni raz w ogóle byłaby mówiła. Przypomniał sobie nagle, jak w noc alarmu, co był zapowiedzią pojawienia się Leptynesa, tłumaczyła Dioneja swą niechęć do „Faidona” jedyne dialogu platońskiego, dla jakiego robiła wyjątek spomiędzy obdarzanej przez siebie uwielbieniem całej reszty. Wydawało się jej zawsze — mówiła wtedy — że Sokrates wcale nie wierzy w nieśmiertelność duszy, od ciała oddzielonej, a może jej nawet i nie pragnie, że to tylko wielki, największy jego, najwspanialszy wręcz żart — dlatego zaś tak wyjątkowo nawet jak na niego, wspaniały, bo gaduła niezrównany, wiedząc, że oto kres gadaniu raz na zawsze przychodzi, do syta się chciał wygadać, po raz ostatni olśniewając i upajając tym, na co go stać, słuchaczy, a bardziej jeszcze samego siebie. Czy jednak w owej jej niechęci nie taίło się coś zupełnie innego, niż motyw podany? Coś, czego może sobie nawet nie uświadamiała, ale odczuwała, raczej przeczuwała? To mianowicie, że sama właśnie tak, jak Sokrates umrze. Obyż — westchnął Heliodor — nie było to wówczas fałszywe przeczucie! Obyż się skłoniła do tego, by ją zabił właśnie tak — by jej nie musiał dusić, i to może jeszcze — cóż za ohyda — zniecka, ba, od tyłu!... Ale jeśli się skłoni, o czym by sama miała mówić? Zwierzy mu, rzecz jasna — powinna zwierzyć — tę jedyną tajemnicę, którą dotąd przed nim ukrywa: tajemnicę drogi, na jakiej zdo-

była zadziwiająca w swej dokładności — a jak Leptynes potwierdził, bezbłędną — wiedzę o stosowaniu w królestwie Tsin kary śmierci za wielkie przestępstwa polityczne tak, by ogarniała trzy pokolenia wszystkich krewniaków winnego. Oczywiście, mogłaby zechcieć za śmierć swą tak przedwczesną ukarać go zabranieniem tej tajemnicy z sobą w ciemność niebytu, ale gdyby ją choćby i tak bardzo nawet mściwą, zniechęcić spróbował propozycją odwzajemnienia się, czy by wytrzymała w zaciętej mściwości? Wątpił.

Nagły dreszcz wstrząsnął nim całym. A gdyby wystuchawszy jego tajemnicy, wyszeptala szarymi, bo już nieodwracalnie ucałowanymi przez śmierć ustami: — Czemużeś mi wcześniej tego nie powiedział, głuptasie? Wiedząc przedtem to, co teraz wiem, bez wahania zgodziłabym się na to, iżby syn nasz Dion nazywał się, nie Bolis...

A nie mogąc więcej mówić, oczyma by już tylko oskarżała go dalej o głupotę, zaiste taką, jakiej nigdy by się po nim nie spodziewała: jak mógł myśleć, że dziedzictwo ojcowskie — nawet takie dziedzictwo! — mogłoby ją od niego odrzucić czy oddalić? Wiedza ta tyle tylko sprawia, że czyni go w jej mniemaniu wielce nieszczęśliwym, więc godnym miłości, tysiącokrotnie większej, niż ta, jaką dotąd go darzyła. Więc też darzyłaby go, a raczej byłaby darzyła, bo już nieodwołanie teraz na to za późno...

— Dlaczego wielce nieszczęśliwi mają być godniejsi miłości niż inni? — odezwało się wyzywająco poczucie winy, przerywając mu snucie postanowienia, iżby za nic w owej sokratycznej rozmowie przedśmiertnej nie pytał Dionei o jej tajemnicę.

— Uczono mnie tak — zniecierpliwiony warknął ostro na siebie samego.

— Kto?

— Nie pamiętam.

— Kiedy?

— Niedawno.

— Jak niedawno?

— Kilka dni temu. Już wiem: gdym przerzucał zawartość bagażu Leptynesa.

— Więc to Leptynes mnie tak uczył? Świetnych sobie dobieram na późne lata nauczycieli!

— Jaka jednak szkoda — wtrąciła się znów, widocznie

niezmienne wszędzie poczuciu winy towarzysząca, zraniona miłość — że to Dioneja ma na wzór Sokratesa umierać, nie Leptynes. Dopieroż by była najwłaściwsza sposobność do odtworzenia dokładnego treści „Faidona”...

— A może by razem umarli? — westchnęło poczucie winy.

Zraniona miłość również westchnęła. Nad tym, że Leptynes jest tutaj, i wcale się na Zachód nie wybiera.

*Poczucie winy:* A taki przystojny z niego chłopak.

*Zraniona miłość:* I Dioneję ma za piękną!

*Poczucie winy:* Gdyby umierali razem, należałoby ich skłonić, by tuż przed śmiercią jeszcze raz...

*Zraniona miłość:* ...na moich oczach...

*Poczucie winy:* Znów stajesz się mną!

*Zraniona miłość:* A ty mną znowu!

Znowu wielkiego musiał dokonać wysiłku, by dialogowi temu w sobie położyć kres. Coś jednak po nim świadomości swej pozwolił wziąć w spadku: oto przeczucie nagłe możliwości, iż Dioneja, sokratycznie umierająca, mogłaby rozmowę przedśmiertną wypełnić opisem szczegółowym aktów swej zdrady cielesnej. Czy przeczucie to było pełne lęku? Pragnął, by tak właśnie było, ale nie był oto wcale przekonany, że tak jest. Bo możliwość takiej opowieści — stwierdzał ze zdziwieniem — zaczynała go nęcić. Coś w nim zaczęło zaraz tłumaczyć, że przecież jeśli w królestwie Tsin wraz z przestępcą trzy giną pokolenia krewniaków, niewątpliwie godzi się, by wśród Greków jedyny syn rodzony chociażby wziął udział w odkupieniu winy Bolisa Kreteńczyka, szczególnie ponieważ — dodało owo coś z dokładnością, w jakiej się wyraźnie samo lubowało — po pierwsze sam winowajca nigdy żadnej kary nie poniósł, a po drugie Dioneję — okazuje się — stać niekiedy na używanie najbardziej ordynarnych słów na określenie tego, co przecież najistotniej jest nią samą.

Pośpiesznie to coś, tak we własnej dokładności lubujące się, określił jako ponownie odzywające się poczucie winy, po czym odważnie spojrział w oczy prawdzie: co będzie, jeśli Dioneja nie zechce umrzeć jak Sokrates?

Po długiej a męczącej ogromnie — jak mu się zdawało — walce myślniej z sobą doszedł do wniosku, że zapewne da się ją jednak do pójścia w ślady wielkiego gaduły nakłonić, a to straszac palem. Oczywiście wiedział — le-

piej niż ktokolwiek bądź — że wolno urodzonych Greczynek zasadniczo na pale się nie wbija, choćby jak najstraszliwsze popełniały zbrodnie, ale wiedział także — i to znowuż lepiej niż inni, znacznie lepiej niż cokolwiek bądź w ogóle — iż w wypadkach szczególnie głośnych a groźnych zbrodni stanu osoby, nieporównanie dostojniej niż Dioneja urodzone, skazywane były niekiedy na śmierć okrutną wyjątkowo czy wyjątkowo haniebną, taką, jakiej nawet zbuntowanym niewolnikom się oszczędza. Jak umarł Achajos, król samozwańczy, ofiara chciwości i podłości jego własnego ojca?! Jak umarł Molon, inny przeciw temuż Antiochowi Seleukidzie zbuntowany samozwaniec?! Należało więc — mówił sobie — wmówić w Dioneję iż posądzona jest o zbrodnię stanu najwyższego stopnia, okraszając straszenie jej takimi na przykład szczegółami, jak rzekome wykrzycie rzekomego jej pochodzenia niesłubnego od jednego z dwu Diodotów, którzy rządili Baktrią przed Eutydemidami. Ba — dałoby się nawet zrobić użytek z rzeczywistej jej tajemnicy rodzinnej: oto wywodzenie się jej w prostej linii od pierwszego z Greków, który przebył Oksos, czyniło z niej rzekomo symbol, dla dynastii niebezpieczny, a ponętny dla tych spośród czy to Makedończyków czy Greków, którzy od dawna dość mają zrównywania przez dynastję tubylców z narodem panów, przy czym Makedończyków nęci to, co w tym podaniu rodzinnym jest zmyśleniem — Greków to, co prawdą. Że zaś przy tym wiadomo było na dworze w Baktrze — i to wcale nie rzekomo — iż pozornie nie lubiące się, w istocie bardzo bliskie sobie były potajemnie Dioneja z Teodorą, — trop zaś, ku prawdzie o śmierci młodego króla Eutydemosa wiodący, wiedzie zarazem i ku jakimś dziwnym, przecież niewątpliwie groźnym dla dynastii, tajemnicom Teodory, więc...

Przeraził się. A jeśli to nie jest bynajmniej jego wymysł tylko? Jeśli tajna przez kilka lat bliskość między Dioneją a Teodorą w rzeczywistości kryła w sobie coś, co wiązać mogło jego żonę bezpośrednio ze sprawą śmierci królewskiej, a przynajmniej utopienia się przewodnika, który jeśli nie przeżył umiłowanego słonia, to przecież bynajmniej nie tylko na skutek tej właśnie miłości?...

Drzwi się uchyliły — strażnik zapytał, czy ma zapalić lampy. Heliodor oświadczył, że zapali sam — zawsze tak

przecież robi. Ale nie zrobił tej nocy — odpowiedział strażnik — i to go zdziwiło, właśnie ponieważ wie, iż dostojny Towarzysz Królewski sam zwykł lampy zapalać, ale tej nocy, mimo że już północ dawno minęła, przez szparę pod drzwiami żadne nie padło z sypialni do przedsionka światła.

— Już północ — nie chciał wierzyć Heliodor. Nagle jednak sobie przypomniał: spał czas jakiś — coś się mu nawet śniło. Musiał spać dłużej, niż mu się wydawało. Ale kiedy mianowicie? Na jakim etapie rozmyślań o tym, jak będzie zabijał Dioneję? Co mu się śniło? o tym wszystkim pojęcia nie miał.

Ale ty skąd wiesz — zwrócił się do strażnika — że sam zwykłem lampy zapalać? Przecież to druga dopiero noc, jak mnie pilnujesz, a i poprzedniej postawiono cię tu w długi dopiero czas potem jak lampy zostały zapalone!

Strażnik w odpowiedzi wymamrotał coś na temat rozgłosu, jaki nabywają zazwyczaj nawet drobiazgi z życia codziennego znakomitych osób, ale poprzez słowa mamrotane głos jego zdradzał się z inną zupełną reakcją, taką, co gdyby przełożona została na słowa zaczynałaby się:

— Zaiste, takie pytanie nie przystoi...

— Jeszcze pół dnia, i umilknie na wszystkich ustach szyderyczy ten zwrot! — zawołał Heliodor i zaraz pomyślał, że strażnik będzie opowiadał swym towarzyszom, a może i wyżej niż towarzyszom tylko, że dostojny więzień musi się już na dobre załamywać nerwowo, skoro przed nim — a kimże on jest? — zdradza się ze świadomością straszliwej a upokarzającej krzywdy, tkwiącej w zestawieniu odebrania mu swobody ruchów z tym, czym był: osobą znakomitą, której życie codzienne nawet w drobiazgach staje się zazwyczaj przedmiotem rozgłosu.

Nieuchronnie jednak wymowny w najbliższej przyszłości, na razie strażnik milczeniem całkowitym reagował na dziwne wołanie. To było zresztą naturalne, nie przerwał i wówczas też, gdy Heliodor go zapytał: — Chcesz zarobić dwa pełnowartościowe statery?

Jakkolwiek jednak mało dobrego to milczenie wróżyło, Heliodor postanowił zaryzykować wszystko, byle by w najbliższej przyszłości strażnik nie czerpał — w wyniku głupiego nieporozumienia — dodatkowych natchnień dla swej

wymowy także i w posądzeniu tak znakomitej osoby, iż go chciała przekupić. Dorzucił więc:

— Gdy się zwolnisz, postaraj się dotrzeć przed boskie oblicze najdostojniejszego króla Margiany i zostać z nim choćby krótką chwilę sam na sam. Wówczas — ale też tylko wówczas — powiedz mu w moim imieniu: jeśli chce wiedzieć, dlaczego utopił się przewodnik rozstrzelanego słońca, niech mi za pośrednictwem Teodory, wnuczki dowódcy cytadeli w Tarmicie — ale właśnie i tylko za jej pośrednictwem — przyśle wiadomość, gdzie się teraz znajduje Orestes, syn Orestesa, rzeźbiarz.

— To było bardzo nierozsądne — powiedział prawie zaraz po odejściu strażnika niewidzialny Mankuras. — A pamiętasz? Pytałeś mnie czy poza wolnością, odzyskasz też Dioneję. Odrzekłem — przypominasz sobie? — że może, o ile tylko będziesz rozsądny.

— Wszystko pamiętam. Nawet to, że gdym ciebie po powrocie z tarasu wołał, nie raczyłeś się odezwać, o, zwierchniku.

— Boś nie zatrzasnął, wchodząc, należycie drzwi za sobą. A tylko poprzez zatrzaśnięcie zabezpieczamy się przy naszych rozmowach na odległość przed podsłuchem.

— Naprawdę się zabezpieczamy? Całkowicie?

— Chyba że ktoś na okręcie umiałby się nieproszony włączyć w przyrząd, taką rozmowę umożliwiający.

— A umiałby ktoś?

— Spośród żyjących trzy tylko osoby, mnie samego nie licząc. Król Wielki i dwoje z jego dzieci.

— Więc jeśli Agatokles...

— Czy powiedziałem ci, które z jego dzieci? A zresztą gdzie jest Agatokles? A i kto jest nim, albo kim — on?

— Czyli nikt nas teraz podsłuchiwać nie może?

— Wedle mego rozumienia, nikt.

— A jeśli ktoś leży tuż przy górnym otworze tej sypialni?

— Ten, kto może tam leżeć, nie zrozumie ani ciebie, ani mnie. A jeśli by i zrozumiał — nie powtórzy.

— Któż to jest?

— Nie radzę ci sprawdzać.

— Tygrys?

— Jesteś domyślny, aleś w domyślności przesadził.

— Ale zawsze ktoś, kto mógłby, czy raczej coś, co mogłoby mnie rozszarpać?

— Właśnie ciebie — nigdy — chyba że spróbowałbyś wspiąć się po ścianie aż pod sam otwór — ale wspiąć się nie władnyś.

— Mnie — nie? Ale innych?

— Każdego, kto by się znalazł zbyt blisko otworu.

— Bardzo to dziwne...

— Nie tak bardzo, skoro się zważy, że zacząłeś się budzić. Lecz czy nie zasypiasz czasem na nowo?

— Nie. Na dowód czego odpowiem ci — a zrazu nie chciałem — na to, od czegoś był zaczął. Ja już nie chcę odzyskać Dionei, Mankurasie.

— Ależ to właśnie na to tylko dowód, że znów zasypiasz! — zawołał niewidzialny Ind z niekłamanym żalem, prawie z rozpaczą.

Po chwili zaś dodał:

— Teraz już milcz. I w ogóle mnie już nie wołaj. Gdy trzeba będzie, odezwę się sam.

— Jeszcze jedno pytanie tylko. Co się stało z twórcą przyrzędu?

— Było ich kilku. Jeden został ukrzyżowany.

— Dlaczego?

— Dlaczego, nie wiem. Ale wiem: po co. Ażeby nie zniszczył własnego dzieła.

— Mógłby chcieć je zniszczyć? Po co?

— Po co, nie wiem. Ale wiem: jak. Rzucając się nieprzytomnie w złym śnie na przykład.

— Dlaczego ja nic nie wiem o tym ukrzyżowaniu?

— Ależ wiesz doskonale. Nie wiesz tylko, że ktoś z tych, kogoś kiedyś był odesłał przed sąd królewski jako niebezpiecznego mordercę — stworzył był przedtem przyrzęd, o którym mowa.

— Ale mordercą był?

— O ile mnie powiadomiono, wydarłeś mu wyznanie.

— Czy wyznawał kłamliwie?

— Może.

— Dlaczegoż? Po cóż?

— Ale po to właśnie, by nie zniszczył własnego dzieła. Uważaj, już więcej słowem się nie odezwę.

Heliodor podniósł się i spokojnie a nieśpiesznie zaczął zdzierać ze ścian sprowadzony skądś z daleka z północy

wojłok. Zdzierając, raz po raz spoglądał ku drzwiom. Nasłuchiwał także. Nim ściany, płaskorzeźbami ozdobione, całkowicie wróciły do stanu sprzed dwu lat, za drzwiami strażę zmieniły się dwukrotnie. Czekał. Wpatrywał się w płaskorzeźby; im dłużej, im uważniej, tym silniejsze odczuwał pragnienie, by jeśli Dioneja ma go zdradzić, stało się to jak najprędzej.

O pierwszym brzasku strażę za drzwiami znów się zmieniły. Heliodor z pewnym niepokojem pomyślał, że opowieści Leptynesa będzie słuchał nie wypoczęty należycie. Ale zaraz też prawie uspokoił się, przypomniawszy sobie, że przecież wcale długi czas spał od wieczora aż poza północ, i że śniła mu się Dioneja, upierająca się, że woli pał, niż śmierć, podobną do opisanej w „Faidonie”, ale jeśli nie będzie to ten sam pał, na którym konała niegdyś masagecka jej poprzedniczka, opowie przez głośnik przyrządu z rurą podsłuchową, kto i jak zabił młodego króla Eutydemosa.

Drzwi się znów uchyliły, i znów wszedł strażnik. Od progu powiedział:

— Orestes, syn Orestesa, rzeźbi Ołtarz Zwycięstwa na zamówienie króla Eumenesa Attalidy w Pergamie. Nie wiem, gdzie jest Pergam, ale ty wiesz, boś — powiadają — był tam niegdyś.

— Byłem. Czy Orestes przeniósł się do Pergamu za zgodą Eutydemidów, czy też zbiegł?

— Ani jedno, ani drugie. Wymówił Eutydemidom służbę.

— I nie zatrzymali go?

— Nie, skoro jest w Pergamie.

— Nie chcieli czy nie mogli?

— O to Eutydemidów samych zapytaj.

— Kiedy odszedł?

— Zaraz po wyrzeźbieniu monety z napisem: „Antymacha króla boga”.

Heliodor położył ręce na ramionach strażnika. Ze stroju wnosząc, powinien to być być tubylec z Arii raczej, niż Margijczyk, tak czy owak jednak poddany Antymacha, miał przecież na sobie pod bluzą i opończą aryjską sogdyjskie spodnie.

— Królewicz Agatokles — rzekł Heliodor, — źle mówił, wywodząc, że Indowie są dobrzy, ale miał słuszość,



uważając ich za bardzo mądrych. Jakoże czyż nie jest mądrością przewidywanie przyszłości? Czyli nosząc babską szatę do pięt prawie, wielce mądry jest Mankuras, bo robi już teraz to, co my wszyscy z nad-królestwa zrobimy za dziesięć lat, zarówno Grecy jak Irańczycy, bo jak inaczej odróżnić zdołamy wszystkie nasze żony i wnuczki wszystkie od chłopców sogdyjskich czy tocharyjskich?

A na to Teodora:

— Wcale nie wszystkie, bo tylko ja i Dioneja... A i to wyłącznie z wielkiej potrzeby. Inaczej nie mogłybyśmy się rozpoznać tak by nikt nie wytropił, że rozpoznać się chcemy, więcej: musimy. Ale tyś wytropił, chwała ci, Tajniaku nad Tajniakami.

— Coś więcej jeszcze wytropiłem. Skłamałaś przed chwilą mówiąc, że wy dwie tylko. Jest jeszcze trzecia — najważniejsza — nie próbuj zaprzeczać...

— Któż tobie by zaprzeczał, Heliodorze? Na cóż by się to komuś zdało? Ale jakieś zgadł?

Oderwał prawą swą rękę od lewego jej ramienia i wziął ją pod brodę. Wolnym, delikatnym ruchem jął nakierowywać jej głowę tak, by oczy znalazły się tuż naprzeciw głowy rozhukanego byka, wyobrażonego na płaskorzeźbie. Pędził na małą gromadkę klęczących nagich kobiet, które — jak płaskorzeźba pozwalała, wręcz kazała się domyślać za chwilę rozdepcze, a które wpatrzone były w jego wybujałą rozjuszoną męskość w uniesieniu, wręcz urzeczony. Ów wyraz kobiecych twarzy odtworzony był przy pomocy niewiarygodnej wręcz prostoty w użyciu środków rzeźbiarskich.

— Dostrzegam, co mi pokazujesz — rzekła Teodora, wstydliwie opuszczając powieki. — Na tamtej drugiej płaskorzeźbie, rzekomo takiej samej, one tak w to się nie wpatrują.

— Ależ właśnie ty wcale nie patrzysz na to, co ci pokazuję. Przyjrzyj się dobrze oczom byka.

— Nic nie widzę niezwykłego — powiedziała, ale wyczuł że głos jej drży, a nogi się lekko uginają.

— Widzisz. Ale chwali ci się, że taki niezłomnie wierny z ciebie towarzysz trzeciej przebranej.

— Nie rozumiem...

— Czyś nie rzekła przed chwilą: na co by się komuś zdało zaprzeczać Heliodorowi? A skoro nikomu na nic,

jedyny nań sposób to pozbawić go swobody ruchów, wręcz uwięzić, wówczas właśnie, gdy ma łatwy sposób znalezienia się sam na sam z Menandrem niezadługo potem, jak się przewodnik słonia utopił.

— Jeszcze łatwiejszy sposób niż uwięzić: zabić.

— Ale Król Wielki sobie tego nie życzy. Nigdy by tego nikomu nie przebaczył. Właśnie nikomu, nawet swym dzieciom.

— Lecz jeśli... jeśli — zaczęła bełkotać Teodora i nagle rozpłakała się, wtulając twarz w ramię Heliodora.

— Jeśli stało się, jak sądzę, że się stało, to dlaczego miałyby się tak stać, to chcesz zapytać — nieprawdaż, dziecko? Powiem ci szczerze: nie wiem. Nie będę wiedział.

Oderwała gwałtownie twarz od jego ramienia — przestała szlochać — oczy jednak, które w jego oczach znacząco a niedwuznacznie utkwiła, pełne jeszcze były łez.

— Heliodorze — powiedziała tonem równie znaczącym a równie niedwuznacznym.

Wziął ją znów pod brodę. Uśmiechnął się.

— Nie, dziecinko — starał się mówić jak najłagodniej, ale i jak najbardziej poważnie zarazem — choć cenilibym sobie to tym bardziej, im lepiej wiem, ile by to ciebie — właśnie ciebie — kosztowało... Ale nie myśl, że to u mnie główne wzdraganie się przed sięganiem bezprawnym po coś, co należy do dzieci królewskich, choćby nawet i bękartów tylko a mieszańców... Nie, moja droga, jam przede wszystkim za stary, by brały mnie w siebie tak młode dziewczęta, więcej niż jedna, a i ta też już chyba nigdy nie weźmie... Ofiarę jednak twą oceniam i nie bój się — wynagrodzę ją tak, jakieś tego godna. Powiedz królownie Agatoklei, że domysłem swym, a raczej już teraz niezłomnym przekonaniem z nikim się nie będę dzielił, więc ani z Królem Wielkim, ani z Menandrem. Przrzeczenie to jednak warunkowe jest tylko i chwilowe: zamieni się w trwałe i bezwarunkowe wówczas dopiero, gdy mi ona sama powie, co ją skłoniło do bratobójstwa... Nie patrz tak na mnie — wiem, wiem... Wyznałem chwilę temu, że nie znam przyczyny, a że, jak myślisz, nie stać mnie na jej wytropienie, chcę, też tak myślisz, wyłudzić ją w drodze przetargu. Mylisz się — w ogóle mnie nie rozumiałaś. Ktoś zabija, coś tego kogoś do zabicia skłania, ale to

jest coś zupełnie innego, niż przyczyna, tajniakowi potrzebna, by ustalić winę ponad wszelką wątpliwość. Więc owszem, proponuję przetarg, ale inny, niż sobie wyobrażasz: królowna zwierzy mi się nie wcześniej z tego, co ją do bratobójstwa skłoniło, niż usłyszysz z mych ust, dlaczego ją i tylko ją już teraz mam za sprawczynię śmierci króla Eutydemosa. O takiej to odpowiedzi na: „Dlaczego?” myślałem, przyznając ci się, że nie wiem, ale twierdząc też, że będę wiedział. Nie wiem, kiedy, bo zgaduję, że to długi i zawiły łańcuch związków przyczynowych. Pierwsze przecież ogniwo łańcucha trzymam w ręce, i o tym królownę uprzedź: byk na płaskorzeźbie — tylko tej, nie tamtej drugiej — ma jej oczy. Byk — to ona; kobiety rzekome — to jej bracia. Orestes przeczuł, na co się w łonie dynastii zanosi i przecucie swe utrwalił w rzeźbie, ale tak, by jak najtrudniej było je odgadnąć. Może nie chciał, by odgadnięto, może liczył na czyjąś przemyślność...

— Na twoją liczył...

— To mi największy złożył pokłon z wszystkich, jakie w życiu otrzymałem.

— Za co chyba należy mu się wdzięczność, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— W ramach tej wdzięczności zrobiłbyś wszystko, o co cię poprosi?

— Wszystko?... Ależ to...

— Nie poprosiłby cię, byś zabił Króla Wielkiego, o to możesz być spokojny... Ale czy pomógłbyś jego synowi udać się jego śladami na Zachód? Bo Pergam jest na zachodzie, gdzieś bardzo daleko na zachodzie, nieprawdaż?

Na co Heliodor:

— Grają w teatrach Sofoklesa, ale nigdy Platona. Ale my, dziecko, tutaj w Terze mamy pierwsze odtworzenie teatralne „Faidona”. I to jakie odtworzenie... Czy wolno mi wyjść na taras?

— Teraz nie wolno.

— Kiedy będzie wolno?

— Gdy Teofil...

— Ale Teofil zaraz by mi pozwolił, gdybym mu się za tę przysługę odwdzięczył domysłem, kto naprawdę zabił młodego króla.

- Ciszej...
- Wyjdę na taras?
- Wyjdź.

Wyszedł. Rzucił się ku balustradzie — odszukał wzrokiem wyspę odrzucanych niemowląt. W przejrzystym powietrzu wczesnego ranka tak dobrze dało się widzieć postać błędzącą tuż nad wodą. Wyraźnie oglądała się, czy nie jest śledzona, a zarazem na kogoś czekała. Nie dziwił się, że widzi oto na jawie dwukrotny swój sen, ale ani temu też, iż tło ma na jawie inne — wyspę, nie brzeg Oksosu — ani że dzianie się będzie odwrócone. Czekał. Gdy zachowanie się Leptynesa zasygnalizowało nadejście Dionei, Heliodor tego nade wszystko był ciekaw, czy w tocharyjskim przychodzi stroju. W tocharyjskim. I boso?

— W samej rzeczy — powiedział do Teodory, wracając do sypialni — zupełnie zasłużenie zowią mnie tajniakiem nad tajniakami.

Odpowiedziała mu pytaniem: — Odwdzięczysz się Orestesowi za najwyższe zaufanie, jakim ciebie obdarzył? Za bezgraniczną wiarę w twoje zdolności zawodowe?

— Więc ten... ten... to naprawdę jego syn?

Rzuciła mu się na szyję.

— Heliodorze — zawołała w uniesieniu — obyćś dowiódł, że to nie jest jego syn!

Delikatnie oderwał jej ręce od swej szyi, odsunął ją od siebie i powiedział:

— Jeśli co kiedy ciebie doprowadzi do zguby, to niezłomność w wierności.

— Tak jak zapewne i mego dziada — szepnęła.

— Czy Dioneja ma go za syna Orestesa?

— Prawie.

— Tylko: prawie? Dzięki, dziecko.

Gdy Dioneja przyszła, zapytał ją w obecności Teodory:

— Nie wzięłaś go w siebie tam na wyspie, nieprawdaż?

Uśmiechnęła się.

— Jesteś jednak bardziej wszechwiedzący, niż ów inny bóg — ten, który musiał stworzenia swego pytać: „Gdzie jesteś”?

— Dionejo — wzywam cię raz jeszcze, po raz ostatni: połóżmy kres tej wojnie.

Potrząsnęła głową, z powagą, prawie ze smutkiem.

— Raz jeszcze ci powiem: za późno. Kocham go.

— Jesteś tego pewna?

Znów się uśmiechnęła.

— W tym samym stopniu, jak tego, że jestem kobietą.

Spróbował i Heliodor się uśmiechnąć.

— To nie dla wszystkich zawsze jest pewne — zażartował.

Po czym poprosił Teodorę, by wyszła. Gdy zamknęły się za nią drzwi, odezwał się do żony cicho po sogdyjsku:

— Kiedy to nastąpi?

— Odpowiedziałeś sobie na to pytanie zaraz jakem tu weszła — odrzekła w tym samym języku.

— Czy zdradziłabyś mnie z nim, gdyby się nie okazał być tym, za kogo się podaje?

— Tak, ale nie wcześniej niżby mi sam wyznał, kim jest naprawdę.

— Nie wyzna nigdy.

— Zdaje ci się, boś sam nigdy nie kochał.

— Kocham ciebie.

— Dobrze wiesz, że nie kochasz. Gdybyś kochał, czyżbyś bał mi się wyznać swoją tajemnicę?

— Czy to jedyne sprawdzian miłości?

— W pewnych wypadkach — największy. W twoim na przykład. W jego — również.

— Ale na jego wyznanie możesz czekać lata i lata.

— Wcale nie. Wierzę w potęgę rozeznawczą myśli Mankurasa. Powiedział Ind: gdy wysłucham opowieści Leptynesa o całym jego życiu, będę wiedział, kim jest. I wierzę: będzie wiedział nieomylnie.

— Więc?

— Więc Leptynes, o ile nie jest tym, za kogo się podaje, musi mi to wyznać przed rozpoczęciem opowieści.

Heliodor dłuższą chwilę milczał. Gdy się wreszcie odezwał, to aby dać posępnym mruknięciem wyraz zdziwieniu nad tym, że Leptynes nie zniewolił jej, gdy byli na wyspie.

— Jest bardzo nieśmiały — odpowiedziała, a cała twarz jej rozpromieniła się uśmiechem, nabrzmiałym czułością, a równocześnie dumą. — Jestem pewna, że nie miał dotąd żadnej kobiety, chyba najwyżej jakieś kupne, a i to wątpliwe. Najpewniej jest całkowicie dziewiczy.

- Jak Mankuras?...
- O, nie! Ind nie miał nigdy, bo nie chciał. Ten zaś, bo...
- ...nie mógł? Czyżby jednak był rzezańcem?
- Wiem, że nie.
- Więc?
- Ale to tyś przecie powiedział: bo nie mógł. Ja chciałam rzec: bo nie śmiał.
- I zamierzasz go ośmielić?
- Jeśli kocha mnie tak, jak ja jego, będzie to najwyższym możliwym do osiągnięcia szczęściem...
- Za którego zaznanie zapłacisz...
- Wiem: życiem. Najpewniej na wyspie, gdzie raz już miałam umrzeć; właśnie wybierałam miejsce, gdzie zapewne najmilej byłoby ci mnie zabić...
- Ja nie żartuję, Dionejo.
- Tym mniej — ja. Pozwól jednak, że cię ostrzegę. Jużem ci mówiła: jeśli zabijesz mnie, skążesz tym samym na śmierć — zapewne samobójczą — siebie. Ale cóż z ciebie za Grek w takim razie? Zostawisz Indowi w spadku po sobie moc olbrzymią władzy nad dynastią poprzez ułatwienie mu wykrycia najstraszliwszej tajemnicy Eutydemidów?
- Ciszej...
- On po sogdyjsku nie rozumie... A przy tym Teodora nie zatrzasnęła całkowicie drzwi.
- Ale jak ty w ogóle... o tym wszystkim? — zaczął bełkotać. — Jak to możliwe?... Skąd?...
- Stąd, gdybym skądinąd nie wiedziała — powiedziała oschle, wskazując ręką ku płaskorzeźbie. — Słuchaj! Nie kocham ciebie, ale tylem ci winna, chcę ci wypłacić się do reszty. Zażądaj, by Leptynes opowiadał o sobie gdzie indziej, nie tutaj. I by opowiadanie to przesunięte zostało do późnego wieczora. Przez cały dzień będziemy z tobą bardzo zajęci, i dnia tego, właśnie tego, nie innego, bardzo potrzebujemy...
- Na co?
- Na to, by odrobić to coś zrobił obłądnie nocą — wskazała ręką na kupy i strzępy zdartego ze ścian wojłoku.
- Aby znów było, jak było?
- Niby tak, ale naprawdę inaczej. Zniszczymy — zniżyła głos do najcichszego z możliwych do usłyszenia szep-

tów — oczy byka na płaskorzeźbie, a jeśli zdążymy, to i oczy kłęczących kobiet...

— Potrzebuję przecież dowodu...

— Wiem. Zrobimy odlew. Zapomniałeś, że była uczennicą Orestesa, pókiś mi nie zakazał? Dwa miesiące niespełna tylko — żałuj teraz — pójdzie nam gorzej, wolniej, niż byłoby mogło...

— I nikt nigdy nie będzie wiedział o tym odlewie?

— Poza mną i mężczyznę, którego kocham, nigdy nikt...

— Ależ to...

— Narażenie się na to, że dowie się cały świat? Drogi mój — gdzież nieporównana logika Greków?! Mnie zamierzasz zabić, Leptynesa albo też zabijesz, albo dotrze on do ojca i od niego się dowie, więc po cóż przed nim robić z tego tajemnicę? Jeśli zaś nie jest synem Orestesa, albo na czas mi to wyzna, albo nie; jeśli nie wyzna, nie dam mu siebie, a tym samym żadnej mu nie zwierzę tajemnicy.

— Ale jeśli wyzna?

— Tyś naprawdę przestał być Grekiem. Po coś przychodził do Azji? Tyle razy już ci to mówiłam. Przecież czy wyzna, czy nie wyzna, jeśli nie jest synem Orestesa, tak czy owak wbijecie go na pal, jako szpiega. Kiedyż więc zdąży tajemnicę nabytą zdradzić? Może nawet w ogóle nie zdąży jej osiąść.

— A ciebie zdąży?

— Oczywiście. Żeby mnie osiąść, synem Orestesa nie będąc, musi mi przecież pierwaj zrobić wyznanie i to zanim wy go jako oszusta, przygwoździecie. A nie wbijecie go na pal, zanim wysłuchacie jego opowieści. Do opowieści zaś sporo jeszcze czasu, cały dzień nieprawdaż?

— Więc ty na to potrzebujesz całego dnia, nie po to abyśmy robili odlewy?

— Czy ty miałaś w ogóle kiedy ojca?...

Uczuł, że blednie. Dioneja jednak zdała się tego nie spostrzegać, bo ciągnęła z coraz rosnącym żarem. — Czy nie rozumiesz, że można dzielić ten sam czas między miłość a to, co się ojcu czy bogu czy choćby tylko wierzytelowi należy?

— Jeśli ma być wbity na pal jako oszust — przerwał jej opanowany już jako tako — to co? Będzie to kochanek na jeden raz?

Z kolei ona zbladła. A i wargi bardzo jej drżały i ręce i nogi w kolanach, gdy mu odpowiadała, że ma czym to pytanie jak najlogiczniej odeprzeć zwycięsko, nie będzie jednak odpierała tak długo, póki nie wiadomo jeszcze, czy mężczyznę, którego kocha, naprawdę czeka pał.

Po czym też już opanowana zupełnie, z poprzednim rzuciła żarem:

— A teraz do roboty!

Heliodor bez wielkiego trudu uzyskał od Mankurasa przesunięcie czasu opowieści Leptynesa na późny wieczór. Nie podobało mu się jednak spojrzenie, z jakim Ind tej jego prośby i umotywowania jej gorączką żony wysłuchał. Malowało się bowiem w tym spojrzeniu, na ogół niezmiennie beznamiętnym — wcale już nieukrywane a bezgraniczne współczucie. Czyżby — zaniepokoił się Heliodor — nie miało być prawdą to, iżby Mankuras nie rozumiał po sogdyjsku a przyrząd do słuchania na odległość koniecznie wymagał, by działać, szczerze zatrzaśniętych drzwi?

Jedno i drugie przecież było prawdą, jak się to po jakimś czasie miało ponad wszelką okazać wątpliwość. Jeśli więc Mankuras współczuł czemuś głęboko, przyjmując do wiadomości prośbę Heliodora, to nie dlatego iżby małżonków był podsłuchiwał, ale bo — jak miał to im wyznać w wiele lat później — bał się o nich, czy się nie załamają pod brzemieniem nazbyt już trudnej dla zrozumienia przez Greków tajemnicy. Że istotnie była do zrozumienia trudna — szczególnie dla Heliodora — z tym się bez zastrzeżeń godzili. Ale — dodawali, też w wiele lat później — Azja nauczyła ich wiele, nade wszystko zaś tego, że nie wszystko, co ludzkie, dostępne jest rozumieniu przez grecką umysłowość, więc też nie należy temu, czego się nie rozumie, odmawiać szacunku lub nawet wsparcia wówczas, gdy oto czy o tamto się dopomina. A i więcej jeszcze: że nie należy nawet pragnąć koniecznie rozumieć to wszystko, czemu okazać szacunek czy wsparcie się chce, gdy o tym, że się chce, świadczy bicie przyspieszone własnych serc i parcie niepowstrzymane łez, co się do własnych cisną oczu. Tak nauczeni — mówili — władni byli królowie Agatoklei przebaczyć, choć jej i nie zrozumieli nigdy. A ponieważ przebaczenie to grozić im mogło wzięciem na siebie współodpowiedzialności z nią za to, co



jeszcze i w przyszłości tragicznego przydarzyć się mogło w łonie dynastii — troskę o to, by nic się już więcej takiego nie przydarzyło, przelali wraz ze straszną a niedostępną ich pojmowaniu tajemnicą na kogoś, o kim wiedzieli, że Agatokleję kocha bardziej niż ojciec rodzony, Król Wielki: na Menandra.

## IX

Menandra Heliodor uważał od wielu lat za jedyne go człowieka, któremu by zwierzył się w wypadku ostatecznej konieczności z tajemnicy najbliższego związku krwi między sobą a Bolisem Kreteńczykiem, sprzedawczykiem i zdrajcą. Co prawda, ilekroć siebie zapytywał, co mianowicie uznałby za taką ostateczną konieczność — nigdy nie umiał sobie dać odpowiedzi ni prostej ni jasnej — zawsze mglistą i zawiłą. Ale gdy najnieoczekiwaniej zupełnie spostrzegł go w gronie osób, zaproszonych przez Mankurasa, by wysłuchali opowieści Leptynesa, od razu a bez trudu sobie uprzytomnił, że ową ostateczną koniecznością byłoby wykrycie tej tajemnicy przez Dioneję wbrew jego woli; wówczas by udał się do Menandra i powiedział mu: „Całe życie cierpiałem ogromnie iż takiego miałem ojca. Odczuwałem to zawsze jako największą hańbę. I właśnie dlatego — tylko dlatego — nie chciałem mieć z Dioneją dziecka, iżby na ciało z jej ciała, na uśmiech z jej uśmiechu nie spadło haniebnie piętno mojego własnego dziedzictwa. A czy mogłoby być bardziej wyraziste, bardziej dobitne hańbą tą napiętnowanie, niż nadanie dziecku tego imienia, którego Dioneja w nieświadomości swej dla niego się domagała — imienia dziada po ojcu?” Równocześnie zaś uprzytomnij sobie coś innego jeszcze: to, dlaczego mianowicie Menandra właśnie z dawna upatrzył sobie na jedyne go powiernika, które to wyróżnienie również aż do teraz nie dawało się prosto i jasno umotywować. Ale teraz — tak jak nigdy dotąd — było dla Heliodora zupełnie

oczywiste, iż Menander zrozumie go i uwierzy mu, tak jak nie wierzyłby ani rozumiał nikt, nawet sama Dioneja, choć w ciągu dnia, spędzonego z nią na robieniu odlewów i zniekształcaniu niebezpiecznych szczegółów płaskorzeźby, świadomość, że są sobie — mimo wszystko — ogromnie bliscy, nie opuszczała go ani na chwilę, ba, z każdą upływającą godziną rosła. Właśnie mimo wszystko, więc także i mimo jej pełnych prostoty a zarazem zniewagi straszliwej dla Heliodora, oświadczeń, że kocha Leptynesa, i że z niecierpliwością wypatruje chwili, gdy kochanemu mężczyźnie się odda i o ile to tylko będzie możliwe, pójdzie z nim czy za nim daleko, daleko na Zachód. Owego szczególnego nasilenia bliskości doznawała zresztą wyraźnie i Dioneja, więc też w czasie robienia odlewów odbyła się jedna z najzaciętszych bitew wypowiedzianej mu przez nią wojny: Heliodor usiłował z całym, na jaki go było stać, zapalem wymowy złamać jej wolę, nastawioną na urzeczywistnienie związku miłosnego z Leptynesem; Dioneja z niemniejszym zapalem próbowała zmiażdżyć w mężu poczucie prawa wyłączności w stosunku do niej, przed użyciem żadnego nie wzdragając się argumentu, jaki by w przekonaniu jej władny był skłonić czy zmusić Heliodora do zadowolenia się w stosunku do niej na przyszłość stanowiskiem tylko przybranego, a tysiąc razy bardziej kochanego przez nią niż kochani są wszyscy rodzeni — ojca. Wszyscy rodzeni ojcowie wszystkich czasów i wszędzie pod planetami — wołała z uniesieniem, w którym wytropić nie mógł najmniejszej odrobiny fałszu. Posuwała się nawet do zapewnień, że nie tylko w niej, ale i w Leptynesie także będzie miał on, Heliodor, kochające, zatroskane, oddane dziecko; mówiła, że dzielenie z nią owych najwyższego stopnia uczuć i obowiązków miłości i wdzięczności względem Heliodora, zamierza mężczyźnie, którego kocha, narzucić jako warunek konieczny związku cielesnego, przy czym narzucanie tego warunku jego świadomości — tego była zupełnie pewna — nie przyjdzie jej z większą trudnością, niż własnego roznamietnionego a doświadczonego ciała najdosłowniejsze narzucenie na jego, Leptynesa, cielesną nieśmiałość i bierność, jakie bynajmniej — wie to dobrze — nie są równoznaczne z chłodem czy beznamiętnością, przeciwnie, kryją w sobie bezmiar utajonych, niewątpliwie z trudem, wręcz z bólem

dławionych żądz, i to właśnie stanowi dla niej w nim główne źródło nieprzepatrego uroku. Gdy zaś Heliodor tę jej wypowiedź zgromił, wołając, że chyba nigdy nigdzie żadna żona nie odważyła się dotąd tak bezwstydnie przemawiać do męża, Dioneja odparła, że przemawiając tak, jest wciąż tylko tą sobą, która za stan dla siebie najbardziej naturalny uważała, odkąd się pobrali, a i znacznie wcześniej, gdyby miała na to dość śmiałości — zupełną nagość w jego obecności, z tym, że teraz obnaża przed nim i dla niego swe myśli, a nie ciało. Gdy zaś zwrócił uwagę na to, że nigdy ową jej skłonnością do nieokrywania się nie zachwycał, owszem, często miał jej to za złe — wyraziła domysł, że za złe jej to mając, ulegał raczej bez wielkiego przekonania nawykowi, z którym zerwać nie miał dość odwagi myślowej, nie zaś istotnemu w sobie sprzeciwowi dla jej sposobu manifestowania całkowitej swej od niego zależności, owszem, sposób ten niedwuznacznie mu schlebiał zawsze; gdyby bowiem było inaczej — inaczej by się też przedstawiało karcenie jej przez niego za to, co rzekomo miał jej za złe. Gdy bogowie — mówiła — coś rzeczywiście mają za złe swym czcicielom — nie mamrocą: „Bądźcie łaskawi tak nie robić”, tylko zsyłają pioruny, powodzie, posuchę, głód, zarazę. Pewne bóstwo, na przykład, którym od dawna bardzo się interesuje, a z którym zetknęła się była po raz pierwszy przy sposobności zapoznania się z tajemnicą swej rodziny, ujawnioną w liście długowiecznego jej pra-pradziada do wnuczki, poraziło śmiercią natychmiastową jednego ze swych czcicieli tylko za gorliwość w najlepszej wierze: oto dotknął, by ratować przed spadnięciem i potrzaskaniem się, ołtarz przenośny ku czci tegóż bóstwa; zdawać by się mogło, że należała mu się tylko boża wdzięczność i nagroda — spotkała go zaś najstraszliwsza kara. Nieraz, naga będąc przed Heliodorem — szczególnie w pierwszych miesiącach po zaślubinach — trzęsła się wprost ze strachu, że oto zaraz spadnie na tę nagość okrutna, a długo trwająca chłosta, którą — mimo że tak się bała — gotowa była pokornie przyjąć z prawem jedynie do jęku: „Panie boże mój, cóżem winna, żem rada tak właśnie objawiać swoją zupełną w stosunku do ciebie podległość?” Ale nie spadało nic, poza mruknięciem, by się okryła, bo oto przecież trzęsie się cała... z zimna...

— Więc łagodność — uśmiechnął się gorzko — nie może być przymiotem istot boskich? A przecież — dodał — Achilles, pół bóg przez matkę, okazał się tak łagodny dla ojca zabitego przez siebie Hektora, jak nikt z tych, co byli w pełni ludźmi tylko...

— Bo też komuś, kto jest człowiekiem tylko, nigdy by nie przyszło na myśl osiągnąć przy użyciu łagodności rzecz nieosiągalną: by ojciec zabitego z wdzięcznością szczerą — właśnie szczerą — całował rękę mordercy syna...

— Nieraz już myślałem, Dionejo — powiedział Heliodor wolno, ostrożnie, z pewnym nawet wahaniem — że ty masz jakoś dziwnie spaczony umysł...

— Który to umysł, jak i cała reszta mnie, twoim jest wyłącznie dziełem. Kto mnie utrzymał przy życiu? Kto mnie wychował i wszystkiego, tego co wiem w sprawach myśli i sprawach ciała nauczył?

Potrząsnął przecząco głową.

— Aspionia, rzezańcy-kapłani Niepokalanej, nauczyciele, nauczycielki, nade wszystko książki, z różnych zakątków świata sprowadzane — oto kto ciebie wychował, nie ja.

— Ale wszyscy i wszystko — zawołała, odrywając ostrożnie od głowy byka na płaskorzeźbie lepki, niezastygły jeszcze gips — na twój wyraźny wniosek, nie wyłączając nałożnicy twej, poprzednio królewskiej — a co najmniej za twoją zgodą. Nie było książki, którą bym skądkolwiek sprowadziła, nie zapytując ciebie uprzednio o pozwolenie.

— Ale czyż ja mogłem znać treść wszystkich książek na świecie?

— Był czas — uśmiechnęła się — gdym mniemała, że znasz. Zresztą — dodała — jeśli ja w samej rzeczy mam, jak powiadasz, spaczony umysł, jeszcze to tylko jeden powód, byś mi pozwolił odejść daleko stąd.

— A cóż by się w takim razie stało z twoją obietnicą kochania mnie tak, jak żadna nigdy nigdzie nie kochała córka ojca?

— Ojcem umiłowanym można się opiekować i na odległość także. Pomyśl tylko: oto dopomagam ci do przechowania na swój wyłączny użytek najstraszliwszej tajemnicy dynastii. Czy nie jest to dar pożegnalny znacznie większy od zasobów na dziesięć lat chociażby, zostawianych rodzinie przez odchodzącego żołnierza-najemnika — obieży-

świata? A z daleka raz po raz będę ci wskazywała, jaki masz z tej tajemnicy robić użytek.

— Dzięki. Ale ja muszę cię mieć przy sobie zawsze, Dionejo.

— Czy razem z Leptynesem? Bo — uważasz? — on rwie się do ojca, ale ja go będę umiała zatrzymać gdybym chciała — wierzaj mi!

— Znów mnie bezwstydnie znieważasz!...

— Powtarzam: z tobą muszę być naga.

— Zamierzasz być i z nim też.

— Tylko gdy będę miała na to chęć. Zrozum mnie: ty jesteś moim twórcą; ja chcę być — Leptynesa.

— Ten spryciarz dawno jest zakończonym całkowicie tworem, bez względu na to czyim.

Dioneja uśmiechnęła się w zamyśleniu i pozornie, jak się to niebawem okazało, zmieniając temat dała wyraz zdziwieniu, że mąż jej ani słowem nie zagadnął, jaki istnieje związek między nią a tropem, wiodącym ku królownie Agatoklei, jako ku bratobójczyni; że o związku tym Heliodor wie — ostrzegła ją Teodora. Ale oto kończą już pracę nad odlewami, z jego jednak ust żadne na ten temat nie padło pytanie.

— Czy takie pytanie — znów uśmiechnął się — przystoi Tajniakowi nad Tajniakami?

W szczerym uniesieniu ucałowała go w pokrytą lepkiem gipsiem rękę.

— Jak Priam Achileśa? — dalej się uśmiechał. Ale czuł że i jemu już też — jak jej od dłuższej chwili — wilgotniejszą oczy.

— Czemu nie chcesz być tylko bogiem i ojcem? — szepnęła.

— Czemu nie chcesz być wierną żoną? — odparł.

— Wiesz, czemu — powiedziała na odmianę zupełnie już zimno a sucho — ale mnie motywy twej zachłanności nie są znane. Chwilami myślę, że ta zachłanność to zemsta. Zemsta iżeś musiał sobie narzucić — innego wyjścia nie widząc — zaręczyny ze mną, niemowlęciem.

Potem czas jakiś — wcale długi — w milczeniu parzyła mu w oczy. Wreszcie — a znowuż zimno i sucho, zdumiewająco wręcz rzeczowo — powiedziała, że niekiedy — coraz częściej ostatnio — ma go za ojcobójcę. Jeśli to prawda — dorzuciła — bardzo to było głupie

z jego strony, że przed nią tak uporczywie z taką tajemnicą się krył; oczywiście, teraz już na to — a i na wszystko — za późno, ale gdyby był z ojcobójstwa się zwierzył przed nim, zanim Leptynesa pokochała, dopieroż by swego męża uwielbiała i czciła. I rzecz jasna — od razu by się zgodziła, by ich syn nazywał się Dion, a nie tak jak zamordowany.

Musiała spostrzec, jak bardzo zmienił się na twarzy, bo ze łzami, co już po policzkach obfitą ciekły jej strugą, jednak ostrzej jeszcze i bardziej sucho niż przedtem, wycedziła przez zęby:

— Nie ma większej zbrodni niż głupota, szczególnie taka, której nie sposób już odrobić.

A Heliodor, zamiast na to odpowiedzieć, zapytał, czując, że coraz bardziej braknie mu tchu:

— Powiedziałaś Leptynesowi, że go kochasz?

— Wiele razy! — zawołała,omalże szczerze ubawiona. — A i to też że go chcę, jak nigdy nikogo. I że skoro chcę — stanie się to.

— Cóż na to on?

— Pozwól, ojcze, że to zostanie tajemnicą między mną a nim. Chyba że jako mój bóg, jesteś wszechwiedzący, lecz w takim razie byś nie pytał.

— Kiedyś mu powiedziała to po raz pierwszy? Nie odpowiadaj — wiem: w noc, gdym ciebie zastał u niego w tocharyjskim stroju i boso...

— Heliodorze, gdybym wcale nie kochała Leptynesa, jeszcze bym się nim posłużyła — na zimno — jako narzędziem do zdradzenia ciebie — po tych słowach, jakies teraz był wypowiedział...

— Nie rozumiem — ni to bąknął, ni jęknął.

— Jeszcze gorzej. Czyżem nie rzekła, że nie ma zbrodni większej nad głupotę? A tylko głupotą da się wytłumaczyć to, coś chwilę temu rzekł. Głupotą albo podłością, która zresztą też jest tylko odmianą głupoty, najohydniejszą z wszystkich.

— Nadal nie rozumiem.

— A może tylko nie pamiętasz? Widzisz, jak chcę cię wybraniać, usprawiedliwiać, wprost ratować? We własnym zresztą interesie — nie łudź się co do tego. Głupota i podłość boga poniżają przede wszystkim czciela. Więc lepiej — stokroć lepiej — byś tylko był zapomniał;

Zastaleś mnie u Leptynesa boso i w stroju tocharyjskim na pół doby zanim wypowiedziałam ci wojnę. Byłżebyś zdolny naprawdę myśleć, że mogła przed takim wypowiedzeniem wojny powiedzieć innemu mężczyźnie, że go kocham?

— Więc kiedy w takim razie? — zapytał prawie tkliwie.

— Nie wiesz?

Milczał znów chwilę. Potem rzekł:

— Gdy Teofil postawił straż przy moich drzwiach. Gdyś wybiegła z tobolem, pozornie by iść do Tery...

— Nareszcie odpowiedź godna Tajniaka nad Tajniakami! Alem ja poszła wtedy do Tery — do Leptynesa zajrzałam na chwilę tylko.

— Ale jeszcze przed zejściem z okrętu ułożyłaś się z królową, jak ma się dokonać rzekoma ucieczka Leptynesa.

— Dobrze ci, postrzegam, robią dwa dni bez nudy bezpłodnych zbliżeń cielesnych ze mną. O Heliodorze, jaka to straszna szkoda, żeś mnie nigdy nie kochał!

— Ja ciebie?... Zawsze...

— Nigdy. Ani przedtem, ani teraz. Lecz bierzmy się do zniekształcania oczu byka — czas nagli...

— Trochę mi szkoda, przyznam się. Ta rzeźba to największe dzieło Orestesa. Znacznie większe niż nawet popiersie Antymacha jako boga...

— Ale nie większe niż moneta Antymacha jako boga. Bo, uważasz? tej płaskorzeźby Orestes nienawidził; monetę uwielbiał; tworzył ją wręcz w zachwycie...

— Czy był to zachwyt wiary w boskość Antymacha?

— Zachwyt wiary w prawo człowieka do nazwania się bogiem. I wiary też w prawo tegoż człowieka do drwiącego subtelного uśmiechu z tego, że się bogiem nazwał, a żadne nań z niebios nie padły pioruny...

— Jeszcze mogą kiedyś paść.

— Już będzie za późno. Kto raz uśmiech ten widział, nigdy go nie zapomni. Ani jego istotnego znaczenia.

— Powtórzę, Dionejo: masz dziwnie spaczony umysł.

— Więc i Orestes także. A jeśli tak, to i Leptynes: tym bardziej dobrana z nas będzie para.

— W platońskich zaświatach, siedzibie wyzwolonych z więzienia-ciała dusz? Ale jak jako dusza tylko, narzucisz swą czynną żądzę na nieśmiałość i bierność jego też



przecież już tylko duszy? Więcej jeszcze: jako tylko dusze  
przecież nie będziecie nawet władni wcale odczuwać żad-  
nej żądz: ni on biernej, nieśmiałością dławionej, ni ty  
czynnej, bezwstydnej... Toteż powtórzę: chcesz takiej mi-  
łości cielesnej, jakiej doznasz raz tylko? Rzekłś, Dionejo:  
nigdy ciebie nie kochałem. Rzeknę teraz ja: ty nie kochasz  
Leptynesa.

— Więc kogo? Nadal ciebie?

— Siebie.

— I kochając siebie, narażam się na śmierć z twoich  
rąk?

— Na pewną idziesz śmierć, nie narażasz się tylko, toś  
chciała rzec, nieprawdaż? Odpowiem ci: właśnie tak.  
Idziesz na śmierć wyłącznie przez miłość do siebie.

— Toż samo najdokładniej: ty. Ale co do mnie, tak  
nie jest.

— Masz słusność, dziecinko. Za późno wpadam na  
właściwy trop, przecież wpadam. Żłem rzekł: ty nikogo nie  
kochasz, poza sobą. Powinienem był rzec: ty nie kochasz  
żadnego mężczyzny.

— Kocham Leptynesa!

— Jak brata kochała, nim go zabiła, Agatokleja, jak  
Spitamenesa kocha Teodora. Nie czytałem tyle, co ty, dzie-  
cko, ale przecież mogę ci się odplacić nareszcie za kpiny  
dawniejsze z nas, mężczyzn greckich w sercu Azji, że pod  
wpływem książek, w ojczyźnie praojców powstałych, uda-  
jemy przed sobą, że od kobiet wolimy w miłości siebie  
wzajem... Wy czy też naczytawszy się pieśni z wyspy  
Lesbos...

— Udajemy? Przed chwilą zdawałeś się mniemać, że  
się naprawdę kochamy...

— Kochacie się. Odczuwacie do siebie miłość wzajem-  
ną. Doznajecie — z sobą będąc — dreszczów rozkoszy.  
Boście na niższym jeszcze stopniu udawania, niż my, męż-  
czyźni: w lęku przed bitwą wysłużony najemnik robi to  
a to, by lekarzowi się zdawało, że ma gorączkę; świeży  
rekrut naprawdę tę gorączkę nieistniejącą odczuwa.

— Bardzo to rozsądne, bardzo też zajmujące. Ale ja  
kocham Leptynesa.

— Powtórzę: tak jak Agatokleja kochała brata.

— Czy się nie dajesz, miły, ogarnąć złudzeniu, że ja  
Leptynesa zabiję, raz wzięwszy go w siebie?

— Dzięki ci, żeś na to napomknęła. Pragnę cię dodatkowo ostrzec: zabicie go już po oddaniu mu się ciebie samej od śmierci z moich rąk nie ocali.

— Dzięki za ostrzeżenie. Aleś tak je sformułował, jak gdybyś przewidywał — lub sugerował — możliwość zabicia go przeze mnie zanim go wezmę — właśnie wezmę, nie zaś oddam mu się...

— To by była możliwość najlepsza...

— Dla kogo? Dla Leptynesa na pewno — nie.

— Dla nas dwojga z tobą.

— Jako dla ojca i córki, stwórcy i stworzenia, zbawcy i zbawionej?

— Jako dla małżeństwa.

— Nie jesteśmy już nim. Znów powtórzę: ostrzegałam cię, prosiłam, błagałam...

— Co powtarzając — raz jeszcze stwierdzasz, że Lep-tynesowi oddasz się bez miłości, a tylko na złość...

— Tobie?

Nieoczekiwanie dla siebie samego, Heliodor powiedział:

— Nad tym chwilę muszę się zastanowić, Dionejo.

Zastanawiał się znacznie dłużej niż najdłuższą choćby chwilę: przez cały czas zniekształcania płaskorzeźby i okrywania ponownie ścian sypialni zdartym z nich minionej nocy wojłokiem. Przebiegł milczącą myślą i pamięcią wszystkich mężczyzn, w których Dioneja mogła kiedykolwiek pragnąć wzbudzić miłość ku sobie. Najdłużej zatrzymał się przy Orestesie rzeźbiarzu — nie dłużej jednak niż gdy wezwany wraz z nią na taras do wysłuchania opowieści Leptynesa, niespodzianie zobaczył tam Menandra. Wybrańca na jedyne go swej tajemnicy powiernika bezwzględnie wskazał żonie oczyma.

— Gdybyś nie kochał tak bardzo zawsze siebie tylko — szepnęła — powinieś się gdy cię prosił, byś mię mu odstąpił, prośbę tę spełnić.

— Byś, zamiast mnie, jego gotowała się dziś zdradzić z Leptynesem?

— On by nie wzdragał się przed zapłodnieniem mnie. Ani przed nadaniem memu płodowi imienia Straton.

— Ale zapładniając ciebie, z zamkniętymi oczyma, wyobrażałby sobie, że płodzi wnuka Królowi Wielkiemu. Dlatego — i tylko dlatego — gdy mnie o ciebie prosił, rzekłem mu: „Nie. Ona jest moja”.

— Agatokleja była wtedy dzieckiem w pieluszkach, nie mógł więc już wtedy...

— Nie była już wtedy córką Demetriosą Eutydemidy?

— Jesteś w błędzie. On by się z nią ożenił bez wahania, gdyby była niewolnicą...

— Słusznieś rzekła, zmień jednak „była” na „została”. Na przykład jako ukarana za bratobójstwo. Poszedłby za nią — zawsze przecież Eutydemidką — na łańcuchu do najcięższych, najhaniebniejszych robót przymusowych... Gdyby jej kazano zażyć trucizny, zażyłby i on. Gdyby ona chciała, pomna pomysłów dziada, otworzyć granice barbarzyńcom, to i on bez wahania...

Urwał, uderzył się w czoło, szepnął:

— Nareszcie wszystko rozumiem.

— Czy jednak naprawdę wszystko? — zapytała drwiąco, a przecież nie zdołała tą drwiną osłonić całkowicie swego niezmiernego a wzruszeniem nasyconego, podziwu.

— Więc niech będzie: prawie wszystko. Na razie.

— Po czym znalazłszy wzrokiem Teofila, odszedł od żony, by zająć miejsce tuż obok grubasa.

— Daruj, ale to jest moje miejsce — uśmiechnął się przyjaźnie Menander.

Odwzajemniając mu się równie przyjaznym uśmiechem, Heliodor odpowiedział, że byłoby mu bardzo miło, gdyby bohaterski obrońca pogranicza usiadł obok jego żony, która podwójnie przecież Menandra uwielbia: jako dziecko pogranicza i niedoszły — przecież zawsze z tego powodu dumny i wdzięczny — przedmiot jego zamiarów małżeńskich przed laty.

— A i ja coś o tem słyszałem — wtrącił Teofil. — Podobno Król Wielki wcale poważnie wówczas z tym się liczył, że odstąpi sz Menandrowi narzeczoną...

— Z tym, czy na to? — odparł Heliodor, a nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał z westchnieniem: — Szkoda, że bezpośrednio mnie o tym nie był wówczas powiedział. Nigdy bym się nie ośmielił przeciwstawić własnych — choćby najgorętszych pragnień — interesowi dynastii...

— Kapryswi dynastii, chciałeś rzec? — rzucił Menander, który był już w drodze do wolnego krzesła obok Dionei, ale nagle się zatrzymał i obrócił na pięcie.

— Bo ja wiem, co chciałem rzec — znów westchnął Heliodor. — Gdy chodzi o motywy działania władców,

nigdy się te dwa pojęcia nie dają łatwo rozróżnić. Na przykład — pytam was obu, ciebie, Teofilu, i ciebie, Menandrze — świeże objawienie się boskości Antymacha to kaprys czy interes dynastii?

— Jednego z członków dynastii — z niezwykle prężnym pręgiem poprawił Menander.

Teofil nie rzekł nic, czemu się dziwić wcale nie należało: na taras właśnie wchodzili Mankuras i Leptynes, a za nimi ku zdumieniu bezgranicznemu Heliodora młodzieniec, który mógł być bądź królewiczem Agatoklesem, bądź bękartem i mieszańcem też z krwi Eutydemidów, Spitamenesem. Miał na sobie strój tocharyjski, niewątpliwie ten sam, który Heliodor dotąd widywał na Dionei. Towarzyszyło mu czterech strażników — wszyscy byli w strojach tubylczych. Mimo zapadającego wieczora, Heliodor bez trudu rozpoznał w najniższym z nich Teodorę, wnuczkę Teodora. W ledwie co wyższym zaś domyślił się królowy Agatoklei. Drgnął. Ostatecznie — powiedział sobie z tamującym oddech przerażeniem — jest wysokim urzędnikiem służby bezpieczeństwa, mężem zaufania dynastii, a ta, tam, przy drzwiach to królobójczyni. Że także i bratobójczyni — na to właściwie od biedy i mógłby przymknąć oczy. Ale jak je przymknie na zbrodnię stanu? Czy gdy o planowanie zbrodni takie — jakże głupio! — posadzał Antymacha, skłonny był oczy przymknąć? Nie. Więc?...

— Kim jesteś — zabrzmiał, jakoś zupełnie niespodzianie dla Heliodora, znowuż beznamiętny zupełnie głos Mankurasa.

— Leptynes, syn Orestesa, wnuk także Orestesa.

I dopiero słysząc te słowa i głos, który je wypowiadał, uświadomił sobie Heliodor, że jeśli mówiący nie jest tym, za kogo się podaje, nie zwierzył się w czasie, uznanym przez nią za jedynie właściwy, z tajemnicy swej tożsamości przed Dioneją. Nie miał kiedy — ani na chwilę nie była się oddaliła z sypialni, choć — także i to dopiero teraz sobie Heliodor uprzytamniał — często rzucała niecierpliwie spojrzenia ku drzwiom...

Znów mówił Ind:

— Ty, który się podajesz za osobę, dopiero co przez siebie wymienioną, kimkolwiek jesteś, wsłuchaj się w moje słowa: oto jeżeli nie jesteś nią — tą osobą — ostatnia to

teraz dla ciebie sposobność szczerze uczynić wyznanie, które władne byłoby znacznie złagodzić karę, jakiej będziesz podlegał, jeśli się okaże, iż nas tu obecnych zwodzisz. Może będzie to kara za szpiegostwo, może za podszywanie się pod cudzą osobowość tylko, tak jednak czy owak w tej jeszcze chwili możesz liczyć na względność przy wymiarze sprawiedliwości w imieniu Króla Wielkiego. Za chwilę nieodwołalnie już liczyć na nią nie będziesz mógł.

— Jestem Leptynes, syn Orestesa, wnuk Orestesa.

— Możesz nas zwodzić a zarazem mówić prawdę — wtrącił nieoczekiwanie królewicz Agatokles względnie jego sobowtór, brat przyrodni z sogdyjskiej kobiety — Orestesów wielu jest na świecie.

— To prawda — zgodził się Leptynes — ale mnie w Sardach spółdził z córką osadnika wojskowego, przerzuczonego rozkazem króla Antiocha Seleukidy z Babilonii do Lidii. Orestes rzeźbiarz, twórca wielu posągów i popiersi, zdobiących i Aleksandrię Baktryjską i ten oto okręt, a także monet, z których ostatnia — o ile się nie mylę — ma napis „Antymacha króla boga”.

— Nie mylisz się — potwierdził Mankuras i dając znak strażnikom, by zapalili na tarasie wszystkie latarnie, a także i wieniec lamp wokół krzesła, na którym usadowił był Leptynesa — sam siadł tuż naprzeciw i wyjmując z zanadru monetę, niewątpliwie tę samą, którą tak dobrze już znał Heliodor — zlecił podsądnemu by ją dokładnie z obu stron obejrzał.

Czy Leptynes był ponad zwykłą swą miarę przejęty i niespokojny, więc drżały mu ręce, czy też monetę niezbyt zręcznie palcami uchwycił — ledwie na nią spojrział, wypadła mu z ręki i długo z dźwięcznym brzękiem toczyła się po deskach tarasu. Gdy wreszcie znieruchomiała, Mankuras pochylił się, podniósł ją i schował tam, skąd był wydobyl.

— Moneta ta, którąś był obejrzał — powiedział — daje mi moc prawną nad tobą jak gdyby to sam Król Wielki orzekał, jesteś czy nie jesteś tym, za kogo się podajesz. Masz jakieś zastrzeżenie odnośnie tego mego oświadczenia?

— Nie mam żadnego.

— Ja jednak mam — odezwał się Teofil — jako ten, na którym palcu...

— Stwierdzam — przerwał mu Eutydemida, bądź prawnie, bądź poza łożem ślubnym urodzony — że pierścień Króla Wielkiego w danym wypadku...

Ale i on nie skończył, bo Mankuras wciął mu się pośpiesznie między słowa oświadczeniem, że chętnie przyjmie do wiadomości wszelkie zastrzeżenia Teofila, a to bezgraniczną pokładając ufność zarówno w zdolności niezrównanej swego bezpośredniego zwierzchnika, Heliodora, do skupienia uwagi jak i do natychmiastowego wyciągnięcia nieomylnych wniosków z tego, co takie skupienie mu daje.

— Jeszcze jedna zagadka? — zakpił, ale równocześnie też i zachnął się jak gdyby Teofil.

— Która, jak i sporo innych — podjął Mankuras — zostanie rozwiązana, nim się stąd udamy na nocny spoczynek. Ale póki, o panie, na twym palcu połyskuje pierścień Króla Wielkiego, nie masz chyba powodu niepokoić się taką zagadką czy inną?

— Niepokoić się? — zarechotał Teofil, a wesołość jego wydała się Heliodorowi bezgranicznie szczerą. — Mnie tylko żal chłopca, którego wyraźnie chcecie tu zaszczuć, a czyje losy...

— ...były niekiedy — znów przerwał Ind — bardzo podobne do twoich własnych, o panie. Wiem o tym. Ale choć bardzo podobne, jak sam się niebawem przekonasz — nawet wtedy gdy podobne, nie były dokładnie takież. Co zaś się tyczy niebezpieczeństwa zaszczucia, okazicielowi pierścienia Króla Wielkiego, rzecz jasna, niezawodnie przysługiwać będzie prawo łaski w stosunku do wyroku jaki wydam.

— Czy także i prawo zaostrenia wyroku? — wyrwało się Heliodorowi.

— Także.

— A nawet uznania wyroku za błędny?

— Również, z tym jednak, że z kolei mnie będzie wtedy przysługiwało prawo odwołania się do Króla Wielkiego bezpośrednio, a więc i odesłania czy odwiezienia natychmiast podsądnego tam, gdzie się Król Wielki obecnie znajduje.

Menander spoglądał wokół wyczekująco. „Myśli” — powiedział do siebie Heliodor — „że odezwie się może Agatokleja”.

Nie odezwała się jednak. Najwidoczniej przed kimś z obecnych nie chciała ujawnić swej tożsamości. Ale przed kim? Kto mógł tu nie odgadywać jej jeszcze poza przebraniem? Heliodor zaczął liczyć domniemanych nieświadomych — prawdopodobny: Teofil; możliwy: Leptynes; wątpliwy i to bardzo wątpliwy: Ind; prawie pewni: dwaj strażnicy, ale o nich jej chyba nie chodziło.

— Nie mam żadnych już zastrzeżeń — znów rechotał Teofil. — Król Wielki nie ma powodów, jak wy, by zaszczyć na śmierć chłopca.

— Także i ja żadnych nie zgłaszam zastrzeżeń — dołączył się syn Króla Wielkiego, Agatokles, bądź Spitamenes bękart.

— Ani ja — westchnął Heliodor.

— Ale król Margiany — odezwał się Menander — czy on nie będzie miał, jakkolwiek nieobecny, jakichś zastrzeżeń?

— Nie — warknął Teofil — bo ja go tu reprezentuję.

— Czas już, byś zaczął opowiadać nam dzieje swego życia — zwrócił się Mankuras do Leptynesa i w lot przeczucił swój wzrok ku Heliodorowi, jak gdyby żarliwie upominając go, by nie zawiódł nadziei Inda ani na jego zdolność do skupiania uwagi, ani na umiejętność natychmiastowego wyciągania nieomylnych wniosków z tego, co by takie skupienie uwagi mu dało. Sensu tego wezwania do siebie Heliodor zupełnie nie rozumiał, słał jednak w odpowiedzi na nie równie żarliwe zapewnienie: nie zawiedzie.

Leptynes zaczął.

K o n i e c T. I-go.







ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 10 DECEMBRE 1955  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON  
— PARIS (XVIII<sup>e</sup>) —

Dépôt légal : 4<sup>e</sup> trim. 1955.

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,  
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)



Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001013282620